

JACK KETCHUM

KRÓLESTWO SPOKOJU

Ketchum jest dla Kinga tym, co dla mnie jest Tolkienem. On jest moim ulubionym autorem. On jest moim ulubionym autorem.

Stephen King

Replika

Ketchum Jack

Królestwo spokoju

Jack Ketchum mrozi krew w żyłach! Zamienia w kłębek nerwów! Przyśpiesza puls! Chwyta czytelnika za gardło od pierwszego zdania i nie puszcza, dopóki ten nie dotrze do przytłaczającego zakończenia.

Wyborny – pierwszy na polskim rynku – zbiór opowiadań mistrza horroru, Jacka Ketchuma, nagrodzony Bramem Stokerem i przez wielu uważany za jedno z ważniejszych dzieł autora. Tom zawiera ponad trzydzieści porywających opowiadań. Niezależnie od tego, czy jesteście już zaznajomieni z suspensem, stanowiącym znak rozpoznawczy Ketchuma, czy też doświadczycie go po raz pierwszy, oto książka, której żaden miłośnik horroru nie może przegapić!



Wstęp

Nie wiem, dlaczego ze mną wytrzymujecie. To kwestia spójności. Lub, jak w moim przypadku, niespójności.

Jako pisarz, jestem wszędzie.

Spójrzcie na książki. Pewnie dotarliście do mnie dzięki *Poza sezonem* i przypuszczalnie polubiliście tę brutalną smugę i ekstremalny przekaz, a później szukaliście jeszcze więcej tego samego. Musieliście chwilę poczekać - całe cztery lata - a kiedy wreszcie znaleźliście na półkach nowego Ketchuma, co dostaliście? *Hide and seek*. Spokojną historię z suspensem pisaną w pierwszej osobie, skądinąd opowieść o miłości, z kilkoma mocniejszymi akcentami pod koniec, ale w porównaniu z pierwszą książką, raczej dobrotliwą.

A teraz inny scenariusz. Załóżmy, że pierwszą moją książką, jaką czytaliście, było *Hide and seek*, *Cover* pominęliście - jak większość zresztą - a następnie wpadła wam w ręce *Dziewczyna z sąsiedztwa*. Teraz sobie pogdybam i założę, że zignorowaliście tę słodką idiotkę na okładce. Założyliście, że Ketchum nie ściągnął tego od R. L. Stine'a, kupiliście to i usiedliście, żeby poczytać. Początkowo to spokojna, pisana w pierwszej osobie nowelka, w stylu pamiętniczka, więc czuliście się komfortowo, skojarzyła wam się z *Hide and seek*, wciągnęła was, spodobała się, potem jeszcze bardziej was zauroczyła, a w końcu zdziwiliście się... co to za gównno? - zapytaliście. - Czy jemu totalnie odpierdoliło?

A może pierwszą waszą książką Ketchuma było *She wakes!* Antyczni greccy bogowie i boginie, zombie, koty i węże, goniące się nawzajem dokoła Morza Egejskiego. Potem sięgnęliście po *Red*.

Hm mm. Ciekawe.

To chyba o starym facecie i jego psie. Czy on kompletnie zwariował? Teraz rozumiecie.

Jeśli jednak potrzebujecie dalszych dowodów mojej niespójności, po ten tom - abyście raz na zawsze wyzbyli się wszelkich innych o mnie wyobrażeń. Będę się cieszył z całego serca. Opowiadanie to forma, która zmusza autora do ciągłego ruchu. W przeciwieństwie do powieści, tu nie musisz żyć pomysłem przez pół roku czy rok, tak więc dopóki trzymasz się jakiegokolwiek założenia, możesz radośnie meandrować. Eksperyment. Fruwać jak motyl, żądlić jak osa. Wejść, wyjść, zająć się czymś innym.

Zatem mamy tu *Pasować do zbrodni*, tak zimne i bezduszne jak nic, co dotąd napisałem i *Taniec ognia* - rzecz niemalże do rany przyłoż. Surrealistyczne historie, jak *Cela* i *Łańcuszek*, i dziwaczne czarne komedie, jak *Nawiedzony* czy *Biznes*. Dostaniecie nawet jedyną opowieść o wampirach w *Przemianie* i - szczerze mówiąc - bajeczkę o UFO w *Pośród lekko rannych*.

Jest nawet western.

Jak wspomniałem, jestem wszędzie. I myślę, że mam szczęście, iż większość moich czytelników tego właśnie ode mnie oczekuje i najwyraźniej nie mają potrzeby, żeby mnie przyprzeć do muru. Peter Straub powiedział mi kiedyś komplement, stwierdzając, że większość ludzi zaczyna mnie czytać ze złych powodów, ale zostają już ze mną z dobrych. Podejrzewam, że jest w tym ziarnko prawdy.

Z doświadczenia wiem, że większość moich czytelników to przede wszystkim zwykli, staromodni *czytelnicy*. *Dobrzy czytelnicy*. Nie szukają łatwej pozycji opatrzonej znanym nazwiskiem,

co znaczy, że nie muszę im tego dawać. Nie są leniwi i nie mają cierpliwości do prefabrykowanych książek, nadających się do torby plażowej, albo tych, które zaopiniowała Oprah. Są poszukiwaczami.

Wiedzą, że prędzej czy później im się poszczęści i czyste złoto pokroju *Czarnego domu* Kinga i Strauba po prostu wpadnie im w ręce w lokalnym supermarkecie, ale jeśli ich domeną jest horror i suspens, będą musieli się ubrudzić, kopiąc głębiej. Znajdą Ramseya Campbella i Edwarda Lee. Oczekują różnorodności i jej szukają. Chcą tego, czego wszyscy dobrzy czytelnicy - zostać zabranym w książce lub opowiadaniu w miejsce, które warte jest ich wizyty. A może nawet warte rozmyślenia o nim po lekturze.

A jeśli to miejsce przestraszy ich na śmierć, to tym lepiej.

Niektóre z zebranych tu opowiadań próbują to zrobić, inne nie. Oczywiście, wszystkie mają na celu dojście do jakiegoś ciemnego miejsca - w końcu to ja - ale czasem mają też inne zadanie. To jeden z powodów, dla których książka nosi tytuł *Królestwo spokoju*.

Szczerze mówiąc, to nie miała być ironia. Tytuł pochodzi z ostatniego opowiadania w książce - *Taniec ognia*.

Tak, z tego „do rany przyłóż”. Pamiętajcie, że powiedziałem „niemalże”.

Dla tych z was, którzy mogą nie pamiętać Starego Testamentu albo historii sztuki, wyrażenie pochodzi z Księgi Izajasza 11:6-9, którą faworyzowali dziewiętnastoletni malarze, często pięknie przedstawiając opisaną tam scenę i używając tytułu „Królestwo spokoju”.

W moim tekście odnoszę się do malarstwa. A oto wycinek z Księgi Izajasza:

Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z koźlęciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą razem

*i mały chłopiec będzie je prowadził (...) Zła czynić nie będą ani zgubnie działać, po całej świętej mej górze. **

Wilk i baranek. Pantera i kozłą. Cielę i lew. Prosiaczek i małe dziecko.

Różnorodność, wspólnota, harmonia. Moje nadzieje w związku z tym zbiorem.

Z drapieżnikami, pozbawionymi kłów na dobre.

Tego życzę nam wszystkim, z ukrytym lub jawnym przekazem płynącym z każdej historii - „Zła czynić nie będą ani zgubnie działać”.

Nie na mojej przeklętej górze.

Jack Ketchum Grudzień, 2001

*** Pismo Święte Starego Testamentu, Księga Izajasza, z opracowania Zespołu Biblistów Polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich (przyp. tłum.).**

KARABIN

Znalazła karabin w głębi jego zagraconej szafy. Niespodziewany niczym wąż, mimo że nie starał się go jakoś ukryć.

Broń stała w rogu za dwudziestofuntowym łukiem z włókna szklanego i kołczanem ze strzałami, które ojciec kupił mu na Gwiazdkę, pomimo jej sprzeciwu. Zwisała z niej jego zimowa kurtka. Odsunęła ją. Był tam karabin.

W przeszłości syn narzekał, że myszkuje w jego szafie i przez długi czas tego nie robiła. Prywatność, jak wiedziała, była ważna dla dziesięciolatka - szczególnie ważna dla Danny'ego. Ale kiedy kłęby kurzu kulają się spod drzwi, ktoś musi tam wejść i posprzątać, i oczywiście nie będzie to on.

Miała tylko poodkurzać.

A teraz to.

Sięgnęła za siebie i wyłączyła odkurzacz. Przez moment klęczała tylko, gapiąc się w ciężkiej, przytłaczającej ciszy na karabin. Smukła, czarna lufa, przyczajona w cieniu. *Sekret*, pomyślała. Kolejny.

Włożyła rękę do środka i chwyciła chłodny metal. Wyciągnęła go na światło.

Stary, samopowtarzalny karabin kaliber 22. Jej brat w wieku piętnastu lat miał kiedyś bardzo podobny - brał go w soboty na strzelnicę. Potem odkrył dziewczyny.

Donny ma tylko dziesięć lat. Skąd go, na Boga, wytrzasnął?

Richard przecież by mu nie kupił. Nawet jej były mąż nie był na tyle głupi, aby choć przez chwilę pomyśleć, że pozwolił by mu trzymać w domu broń. Nie, to musiało należeć do... *jej ojca.*

A to oznaczało, że Danny go ukradł.

Odwiedzili jego farmę dwa tygodnie temu. Znow uderzyło ją, jak pusty wydawał się dom po śmierci jej matki. Usiadła z ojcem w kuchni, popijając czarną kawę filiżanka za filiżanką, wiedząc jak bardzo pragnie rozmowy. Danny'ego nikt nie pilnował cały dzień. Obserwowała go przez wielkie okno w wykuszu, podążającego w stronę stodoły, gdzie ojciec trzymał dwa ostatnie konie. Trochę później zobaczyła jak szedł przez pole długiej, suchej trawy w stronę lasu i strumienia. A potem o nim zapomniała na ponad godzinę, do czasu gdy nie wrócił, trzaskając drzwiami, z dużym żółwiem na rękach. Danny był podekscytowany, dopóki nie kazała mu odnieść stworzenia nad strumień, gdzie je znalazł i powiedziała, że nie zabiorą go ze sobą do Connecticut.

Jej ojciec trzymał nowszą broń w oszklonej gablocie w salonie. Stara, której już nie używał, leżała w warsztacie w piwnicy.

Obejrzała kolbę. Była podrapana i pobrużdżona. Zatoki dawały się jej we znaki tego lata i prawie nic nie czuła, ale i tak pociągnęła nosem. Karabin pachniał ziemią i pleśnią. Tak, należał do ojca. Powąchała ponownie. Zapach starego oleju na rękach. Prawdopodobnie nie używał go od lat.

Minęłyby miesiące, zanim zauważyłby, jego brak. Jeśli w ogóle by zauważył. Odrzuciła zasuwkę. W środku błyszczał mosiężny nabój.

Poczuła nagłe uderzenie szoku i wściekłości. Mój Boże.

On *załadował* tę przeklętą rzecz.

Jej ojciec nigdy by nie zostawił naładowanej broni. To znaczyło, że Danny przeczesał piwnicę w poszukiwaniu naboju. I znalazł je. *Ile jeszcze miał! Gdzie były!*

Oparła się pokusie przeszukania szuflad i grzebania w szafie. To mogło poczekać.

Musiała go teraz znaleźć i zmierzyć się z nim. Jeszcze jedna konfrontacja. Im był starszy, tym więcej ich było.

Zastanawiała się, jak *to* wytłumaczy.

To już nie była kradzież batoników Milky Way.

To już nie był pożar, który wzniecił (choć temu zaprzeczał) razem z Billym Berendtem w zeszłym roku na polu za kościołem.

Nie mógł powiedzieć, że chciał zapłacić za słodycze, ale poszedł popatrzeć na komiksy i po prostu zapomniał, że były w jego kieszeni. Nie mógł stwierdzić, że wydało go dwoje naocznych świadków - dzieciaków z tej „twardszej” części miasta - którzy widzieli Billy'ego i Danny'ego idących na pole, a potem biegnących i śmiejących się chwilę przed tym, jak dym pojawił się na horyzoncie.

Karabin to poważna sprawa. Nabój - jeszcze poważniejsza.

Nie będzie łatwo się z tego wytłumaczyć. To nie to samo, co scyzoryk znikąd, nowa gra Sega Genesis, czy zapalniczki Bic, które ciągle wypadają komuś z kieszeni, a on *znajdował je na ulicy*. Co za szczęściarz.

Była wściekła. I przerażona.

Wściekła i przerażona na tyle, że trzęsły jej się ręce, kiedy wyjmowała nabój i chowała go do kieszeni džinsów. Poczowała znane już ukłucie czegoś, co można by nazwać żalem, wrażenie, że straciła już swego zaledwie dziesięcioletniego syna. Jakby było w nim coś, czego nie mogła dotknąć, z czym nie mogła już porozmawiać i po czym żaloba byłaby prosta, usprawiedliwiona i właściwa, jak żal ojca po stracie jej matki.

Wiedziała, że to ważne, by odsunąć to odczucie na bok. By pozwolić wściekłości swobodnie płynąć. Potrzebowała jej. W przeciwnym razie, zbyt dużo miłości i strat, zbyt dużo współczucia i - *spójrzmy prawdzie w oczy* - zbyt dużo zwykłego, staromodnego uzalania się nad sobą, mogło ją tylko osłabić.

Trudna miłość, pomyślała. Tylko to zostało. Próbowwała psychiatrów. Próbowwała doradców. Próbowwała go zrozumieć.

Zabrać mu rzeczy, przywileje - komputer, telewizor, filmy - chyba tylko to działało.

Wszystko wyleci dziś przez okno. Wszystko.

Zasunęła zamek karabinu i wymaszerowała z pokoju. Wiedziała, gdzie go znajdzie.

W klubie.

Trawa na podwórku łaskotała jej kostki. Najwyższa pora ponownie przystrzyc trawnik. Wilgotność powietrza sprawiła, że karabin stał się lepki w jej dłoniach. Wsunęła się między dwie sosny i weszła na wydeptaną, ścieżkę prowadzącą do lasu.

Ścieżka należała do chłopców. Billy Berendt, Danny, Charlie Haas i inni. Nigdy wcześniej nią nie szła. Prawie nigdy. Tylko, kiedy wołała go na kolację, a on się spóźniał i nie odpowiadał. Ale nawet wtedy nie zapuściła się tak daleko. Ścieżka miała tylko dwie stopy szerokości, pokryta suchą, brązową trawą, wiodła wśród zarośli do pasa i wrzosców tak wysokich, jak ona sama. Ścieżka o szerokości ciała chłopca - nie jej. Była zadowolona, że ma na sobie dżinsy - już pełne cierni - i nieszczęśliwa z powodu bluzy z krótkim rękawem. Kolczasty krzak naciął dwie cienkie krwawe linie na jej ramieniu. Użyła lufy karabinu do rozsuwania zarośli.

Cały ten las pewnego dnia zostanie zrównany z ziemią i pójdzie w zapomnienie. Ale mieszkali tu przez trzy lata i jeszcze się to nie stało, a Danny niedługo osiągnie taki wiek, że nie będzie miało to znaczenia. Tymczasem las i strumień były powodami, dla których wybrała to miejsce. Dla niego.

Natura, jak wierzyła, jest najlepszą nauczycielką. Dorastała na farmie i myślała, że większość tego, co wiedziała o życiu, dostrzegła po raz pierwszy właśnie tam, a dopiero potem lepiej zrozumiała. Narodziny, śmierć, seks, odradzanie się ziemi, jej kruchość i moc, chaos w porządku, zmiany w ludziach, które przy-

chodziły wraz ze zmianami pór roku. Nieustępliwość naturalnego świata. I to, jak ważna była jego akceptacja.

Chciała tego wszystkiego dla Danny'ego.

Tego, co sama miała. Tego, co teraz pozwalało jej trwać.

Wiedziała, że wiele kobiet gorzknieje, trwając w nieudanym małżeństwie. Ale nie ona. Niezupełnie. Nieszczęśliwa, tak, oczywiście - ale nigdy zgorzkniała. Według niej miłość to kontrakt, który podpisujesz, wiedząc, że pewnego dnia podpis może wyblaknąć. Richard się odkochał i związał z kimś innym. Zwykła zmiana pór roku. Ciężka jak zima, ale do zniesienia, a nawet w jakiś sposób zrozumiała. W dzisiejszych czasach nie jest już konieczne, by ludzie wiązali się na całe życie. Rzeczywistość była jaka była i nie mogła się zmienić ze względu na jej rozpacz. Pomyślała, że Richard pożałuje kiedyś wyboru kolejnej partnerki. Ale to był jego romans. Pozwoliła mu odejść.

Mogła być też zgorzkniała przez Danny'ego. Broniała się przed tym, mimo że nie było z nim łatwo. *Nigdy* nie było łatwo. Od rozstania cztery lata temu zawsze wydawał się być jeśli nie w kłopotach, to przynajmniej na krawędzi. Coraz gorsze oceny. Wyglupy, bójki w klasie. Świntuszenie przy dziewczynach. Raz przyłapano go, jak na boisku rzucał kamieniami w Charliego Haasa. A jeszcze te kradzieże i podpalenie.

Z jego ojca nie było żadnego pożytku oprócz alimentów. Richard uważał, że to typowe zachowanie dla chłopca. To minie, mówił. Ona nigdy nie była chłopcem, możliwe więc, że miał rację.

Ale Richard nie musiał z nim żyć.

Nie musiał znosić napadów złości ani wrogiej ciszy.

Czasem czuła się wykończona.

W co jeszcze może wplątać się dziecko!

Najwyraźniej może zainteresować się bronią.

Mając dziesięć lat.

Świetnie. Po prostu wspaniale.

Zastanawiała się, jak przemycił ją do domu, a potem przypomniała sobie koc, który trzymała na tylnym siedzeniu kombi.

Mógłby tam nawet ukryć skrzynię z dynamitem, a ona by się nigdy nie domyśliła.

Cudownie, Danny. Bardzo to przebiegłe. Sprytne.

Jej ręce były mokre od potu, swędziały od pyłków, kurzu unoszącego się w powietrzu i ciepłych muśnięć liści. Ledwo mogła oddychać przez te cholerne pyłki.

Ale była już prawie na miejscu.

Jego klub. Mogła go dostrzec z oddali, po prawej stronie od ścieżki, na wzgórzu, za cienkimi, wysokimi brzożami. Jego osobisty azyl. Oprócz sporadycznych wizyt Billy'ego Berendta, nienaruszony przez świat. Aż do dzisiaj.

Kiedyś, pewnie ze sto lat temu, stał tam budynek, jednak spalił się doszczętnie - została tylko piwnica - i kimkolwiek byli właściciele, nigdy go nie odbudowali. Kiedyś ją tam zabrał, cały podniecony, tuż po tym jak się wprowadzili i odkrył to miejsce. Wtedy była to tylko dziura w ziemi, pięć stóp na osiem i cztery stopy głębokości, zarośnięta chwastami. Ale oczyścił ją, odsłaniając kamienne ściany i klepisko. Za zgodą matki wyblagał stare, podwójne drzwi ze stodoły jej ojca. On i Richard spędzili razem jedno niespodziewanie ambitne popołudnie, malując je na zielono i montując na zawiasach, by zakryć dziurę i odizolować ją przy pomocy kłódki i haka.

Totalne odosobnienie.

Nazywał to swoim klubem.

Jego prywatne, jednoosobowe zgromadzenie.

Zawsze myślała, że to smutne. Pewnie nawet niedobre dla niego.

Ale Danny był samotnikiem. Najwidoczniej taką miał naturę. Tolerował innych, a chłopcy z sąsiedztwa jakoś się z nim przyjaźnili, lubili go i ochoczo wciągali do wspólnych zabaw, nawet pomimo wykluczenia z jego klubu i zazdrości, że to on był odkrywcą. Z jakiegoś powodu nie miało to jednak znaczenia. Może to miejsce nadawało jakiś status. Nie wiedziała. *Chłopcy*, pomyślała.

Wiedziała tylko, że spędza tam dużo czasu. Więcej niż by tego chciała.

Kupiła mu latarkę na baterie. Mówił, że przez drzwi wpada mało światła. Drabinka do wchodzenia i wychodzenia. Zabawki, książki i gry znikwały i ponownie pojawiały się w jego pokoju, podobnie jak słoje ze szczelną przykrywką w kuchni oraz młotki i gwoździe w pudełku z narzędziami, wiedziała, że wynosił je, a potem zwracał.

Nigdy się nie wtrącała.

Ale teraz musiała mu to wszystko na jakiś czas zabrać. Oparła się na karabinie, łapiąc oddech przed długą wędrówką na pochyłe wzgórze. W trawie obok słyszała bzyczenie pszczoł. Zatoki nie dawały żyć.

Ciepły wiatr potargał jej włosy. Przygotowała się na to, co miało się stać i poszła dalej.

Drzwi trochę się zużyły, odkąd ostatni raz je widziała. Przydałoby się im kolejne malowanie. Kłódki nie było. A więc miał ją ze sobą. Był w środku.

- Danny.

Brak odpowiedzi. Wysłuchała się. Żadnego ruchu.

- Danny, wiem, że tam jesteś.

Chwyciła za klamkę i potrząsnęła drzwiami.

- Wyłaż. Natychmiast.

Ponownie poczuła gniew. *Dobrze, pomyślała. Powinnam czuć gniew.*

- Powiedziałam: natychmiast. Słyszałeś?

- Nie powinno cię tu być. -Co?

- Powiedziałem, że nie powinno cię tu być. Nigdy tu nie przychodzisz.

- Tym gorzej, bo teraz jestem. Mam wyważyć te drzwi? Usłyszała kliknięcie i brzęk szkła, a potem kroki po drabinie.

Słyszała jak odczepił hak i otworzyły się ze skrzypnięciem. Wyłonił się wprost z ciemności i pozwolił, by drzwi się za nim

zatrzasnęły. Było w nim coś tajemniczego. Coś, co jej się nie podobało. Uklęknął i wyjął kłódkę z kieszeni.

- Zostaw to - powiedziała. - Wstań i popatrz na mnie. Zrobił jak kazała. I zobaczył karabin. Tylko rzucił na niego okiem, a potem odwrócił się.

- Skąd to masz?

Nie odpowiedział. Gapił się na coś u dołu wzgórza, z rękoma skrzyżowanymi na wąskiej klatce piersiowej.

- To należy do twojego dziadka, prawda? Ponownie brak odpowiedzi.

- Ukradłeś go, tak?

- Chciałem go odnieść - powiedział. *Nadąsany. Przylapany.* - Jak tylko znów tam pojedziemy.

- Doprawdy? To też chciałeś odnieść? Wyjęła nabój z kieszeni i pokazała mu.

- A może planowałeś go użyć? Westchnął, nadal spoglądając w dół wzgórza.

- Masz tego więcej? Skinął głową.

- Gdzie?

- W szufladzie.

- Masz wielkie kłopoty. Wiesz o tym, prawda? Westchnął ponownie, a potem schylił się z kłódką w dłoni, by zabezpieczyć podwójne drzwi.

Pamiętała sposób, w jaki je otworzył. Tylko na tyle, by się przez nie prześlizgnąć i ani odrobinę szerzej.

- Zostaw to - powiedziała. - Co tam jest?

- Tylko moje rzeczy.

- Jakie rzeczy? Masz dla mnie więcej niespodzianek? -Nie.

- Otwórz. Chcę zobaczyć.

- Mamo... to moje rzeczy.

- Od dziś nie masz żadnych swoich rzeczy. Dopóki nie powiem, że masz. Rozumiesz mnie? A teraz otwieraj.

- Mamo!

- Otwieraj!

Stał nieruchomo. *Nie poruszy się*, pomyślała. Dlaczego, ty mały sukin...

- Do cholery!

Sięgnęła i otworzyła najpierw jedne drzwi, potem drugie. Pierwsze, co ją uderzyło, to odór, który poczuła nawet mimo problemów z zatokami. Zatęchły, niewyobrażalny smród. Potem bałagan: szmaty, słoiki i wiadra na podłodze. Następnie to, co zobaczyła na ścianach: zwisające z mosiężnych gwoździ wbitych w ścianę, jak dekoracje, jak trofea, jak galerie, które widziała w zamkach w Szkocji i Anglii podczas miesiąca miodowego. Galerie myśliwych. Chłopiec miał tu ich straszliwą parodię.

Jego rzeczy.

Zemdliło ją i przyłożyła dłoń do ust. Upuściła nabój. Odruchowo pochyliła się, żeby go podnieść.

Popatrzyła na syna, mając nadzieję, że kolana jej nie zadrzą.

Szaleńczo pragnęła, żeby go tu nie było.

Gapił się na nią. Po raz pierwszy, odkąd wyszedł z piwnicy. Wyraz jego twarzy był obojętny, ale jego spojrzenie już nie. Oczy studiowały ją chłodno, bacznie, czekając na jej reakcję.

Tak jak być może zimno badały to, co było tam na dole, w piwnicy.

Oczy dorosłego. Takie, jakich jeszcze nigdy nie widziała, o jakich nawet nie śniła. *Czy to był jej syn?*

Przez moment poczuła płynącą od niego falę grozy. Od małego chłopca, który nie ważył nawet czterdziestu kilogramów. Który nadal unikał codziennego prysznica i regularnego mycia włosów. Przewrzenie nagle wpełzło w nią i obudziło wszystkie wspomnienia naraz, jak uderzenia pioruna - kradzież, rzucanie kamieniami, ogień, mroczne, na wpół ukryte spojrzenia, napady złości - groza, która nagle nadała temu wszystkiemu sens, wszystkie przebliski

zrozumienia układające się nagle w czarną jednolitą ścianę wydarzeń i zachowań, które go definiowały. I wtedy już *wiedziała*.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, czym był naprawdę.

Wiedziała, kim mógł się stać.

Zachwiała się pod tym ciężarem. Dziesięć lat życia.

Kiedy to się zaczęło? Przy piersi?

W łonie?

Musiała wiedzieć wszystko, musiała ogarnąć ten horror, tak jak zawsze potrzebowała ogarnąć jego. Jednak na zimno. Z dystansem.

Zawsze chciała zrozumieć swojego syna.

- Masz światło tam na dole? - mruknęła. Skinął głową.

Zawahała się. Zatem...

- Włącz je - nakazała.

Przepuścił ją na drabinkę i włączył lampę. Pokój nagle stał się bardzo jasny.

Stała w pomieszczeniu i patrzyła na ściany.

Żółw - czy przemycił go tu z domu jej ojca, czy to był inny żółw? Jak wiele innych było? A co było, zanim znalazł domek? Co z...? Żółw przybity był za nogę gwoździem do ściany. Jego pomarszczona główka opierała się o szarzejącą skorupę. Sześć żab przybitych pojedynczym gwoździem przez sam środek ich ciał. Jedne brzuszkiem do góry, inne nie. Zobaczyła parę białoczerwonych węży pończoszników i trzy raki. I salamandrę.

Podobnie jak żółw, koty również były przybite za kończyny. Wypatroszył je, posplatał ich wnętrzności dookoła nich i przybił je do ściany, tak, by koty były w samym środku straszliwego oka. Udusił je jakimś sznurem. Temu większemu prawie oderwał łeppek. Ich czarno-białe futra były zlepione zaschniętą krwią.

Ten drugi był tylko kociątkiem.

Buraskiem.

Wiedziała, że ją obserwuje.

Czuła łzy napływające do oczu, wiedziała jednak coś, czego on nie wiedział. Płakała nad sobą, nie nad nim. Nie tym razem. Wytarła je.

Słyszała o takich ludziach. Czytała o nich. Widziała w wieczornych wiadomościach.

Wydawało się, że w dzisiejszych czasach są wszędzie. Wiedziała kim byli. I kim nie byli.

Nie spodziewała się, że jej własny syn będzie jednym z nich. *Jej syn miał dziesięć lat. Tylko dziesięć. Tyle lat jeszcze przed nim. Tyle lat.*

Tyle śmierci miało jeszcze nadejść.

Leczenie, pomyślała. On potrzebuje leczenia. Potrzebuje pomocy.

Ale ich nie dało się wyleczyć. - Wracam na górę - mruknęła.

Jej głos brzmiał matowo i obco. Zastanawiała się, czy to przez Danny'ego, czy ściany i podłoga tak go zniekształciły, czy to coś w niej, jakaś zmiana, która w ten sposób się uzewnętrzniła.

Pomyślała: *nieubłagany*.

Weszła po drabince na górę i znalazła się na polu. Słyszała, jak gasi lampę, kiedy ładowała broń. Spojrzał na nią tylko raz, kiedy już był prawie na górze. Wtedy zobaczyła, że nie ma co ratować w jego naturze i wystrzeliła prosto w jego lewe oko, a on spadł z powrotem do piwnicy. Zamknęła podwójne drzwi.

Musiała oddać karabin ojcu. Musiała odwrócić jego uwagę i jakoś zanieść broń do warsztatu, gdzie było jej miejsce.

A potem zadzwoni do... kogokolwiek.

Kolejny zaginiony chłopiec.

Prędzej czy później znajdą jego oraz kłódkę. Będą się zastanawiać. Kto mógł zrobić coś takiego? *Coś takiego. Te rzeczy na ścianach. Mój Boże. Jak to się stało?*

To było pytanie, które - pomyślała - będzie sobie zadawać przez wiele kolejnych lat, gdy wiosna zanurzy się w upalnym lecie, gdy znów nadejdzie zima, a chłód serca i umysłu będzie straszliwie trwać.

PUDEŁKO

- Co jest w pudełku? - zapytał mój syn.

- Danny - powiedziałem - daj panu spokój.

Do Świąt Bożego Narodzenia zostały dwa tygodnie i Stamford był zatłoczony - kupujący byli wszędzie, mieliśmy więc szczęście, że znaleźliśmy miejsca siedzące. Mężczyzna siedział twarzą do mnie i moich córek - Clarissy i Jenny. Nasza trójka wcisnęła się naprzeciw, a Danny usiadł obok niego.

Mogłem zrozumieć ciekawość mojego syna. Mężczyzna trzymał na kolanach czerwone, sześciennie pudełko, jakby się bał, że na kolejnej stacji ktoś mu je wydrze. Ścisnął je już od trzech przystanków - odkąd tylko wsiadł.

Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i z dziesięć kilo nadwagi. Oddychał ciężko, pomimo chłodnego i suchego powietrza, które uderzało w nas za każdym razem, gdy za naszymi plecami otwierały się podwójne drzwi pociągu. Miał czarne wąsy niczym mors, rzadkie, cienkie włosy i był ubrany w brązowawy płaszcz przeciwdeszczowy Burberry, którego już od wielu lat nie można nazwać nowym, narzucony na szary biznesowy garnitur. Ocenilem, że nogawki jego spodni były, jak dla niego, o jakieś trzy centymetry za krótkie. Skarpetki miał nylonowe i szare, chociaż o wiele jaśniejsze niż garnitur. Gumka w lewej skarpecie była pęknięta, więc ta zwisała mu nad kostką jak skóra u jednego z tych modnych obecnie mopsów. Mężczyzna uśmiechnął się do Danny'ego, spojrzał na pudełko, na czerwony, świecący papier,

otaczający tekturę o powierzchni sześćdziesięciu centymetrów kwadratowych.

- Prezent - powiedział. Patrzył nie na Danny'ego, a na mnie. Jego głos wypełniony był flegmą, charakterystyczną dla nałogowych palaczy. A może po prostu był przeziębiony.

- Mogę zobaczyć? - zapytał Danny.

Wiedziałem skąd się to bierze. Nie jest łatwo spędzić cały dzień w Nowym Jorku z dwiema dziewięciolatkami i siedmiolatką, tuż przed Gwiazdką, zwłaszcza iż wiedzą, że tuż za rogiem jest legendarna fabryka zabawek F.A.O. Schwartz. Nawet jeśli zabierzesz ich na poranek z Radio City, a potem na łyżwy do Rockefeller Center. Nawet jeśli prezenty dla nich są kupione już od tygodni i czekają, aż położymy je pod choinką. Zawsze znajdują coś, o czym wcześniej nie pomyśleli, a pomyślał Schwartz i oni to doskonale wiedzieli. Musiałem trochę z nimi powalczyć - szczególnie z Dannym - by zdążyć na pociąg do Rye o 15:55.

Ale on ciągle myślał o prezentach. -Danny...

- W porządku - odparł mężczyzna. - Żaden problem. Wyglądał przez okno. Dojeżdżaliśmy do stacji Harrison. Uchylił wieko pudełka od strony Danny'ego, nie do końca, tylko

na kilka centymetrów - wystarczająco, by on mógł zajrzeć, ale nasza trójka już nie - a ja widziałem jak twarz mojego syna pojaśniała i roześmiała się, kiedy spojrzał z satysfakcją na Clarissę i Jenny, a potem zajrzał do pudełka.

Uśmiech powoli zanikał, przekształcając się w pewnego rodzaju zakłopotanie. Miałem wrażenie, że mój syn zobaczył tam coś, czego zupełnie nie rozumiał. Mężczyzna dał mu popatrzeć przez chwilę, lecz wyraz oszołomienia na twarzy mojego syna nie zniknął, potem zamknął pudełko.

- Muszę lecieć - powiedział. - To mój przystanek. Przeszedł obok nas, a jego miejsce natychmiast zajęła kobieta

w średnim wieku, taszcząca dwie ciężkie torby na zakupy, które położyła na podłodze między swoimi stopami - wtedy właśnie

poczułem zimny, grudniowy wiatr na plecach, gdyż otworzyły się podwójne drzwi, a po chwili zamknęły z powrotem. Mężczyzny już prawdopodobnie nie było.

Danny spojrzał na torby kobiety i nieśmiało zapytał:

- Prezenty?

Spojrzała na niego i skinęła głową z uśmiechem. Postanowił dłużej jej nie przepytować. Pociąg zadudnił.

Nasz przystanek był następny. Wyszliśmy na wiatr, na peron stacji Rye i dźwięcznie stukając zeszliśmy po metalowych schodach.

- Co on tam miał? - zapytała Clarissa.

- Kto? - powiedział Danny.

- Ten facet, młotku - odpowiedziała Jenny. - Mężczyzna z pudełkiem! Co w nim było?

- A, nic.

- Nic? Co? Było puste?

A potem pobiegły wzdłuż parkingu, do naszego samochodu, zaparkowanego w drugim rzędzie po lewej stronie.

Nie usłyszałem jego odpowiedzi. O ile w ogóle odpowiedział.

Potem uruchomiłem samochód i całkowicie zapomniałem o tamtym mężczyźnie.

Tego wieczoru Danny nic nie zjadł.

Czasami się to zdarzało każdemu z dzieciaków. Mieli inne rzeczy do roboty albo za dużo przekąsek w ciągu dnia. Moja żona Susan i ja dorastaliśmy w domach, gdzie panowała mentalność z czasów wielkiego kryzysu. Jeśli nie chciałeś dokończyć obiadu, tym gorzej. Siedziałeś przy stole, a jedzenie stygło, dopóki nie opróżniłeś talerza. Ustaliliśmy, że nie będziemy tak traktować naszych dzieci. Większość współczesnych ekspertów zdaje się potwierdzać, że okazyjne pominięcie posiłku nie ma znaczenia. A już na pewno nie jest warte kłótni.

Pozwoliliśmy mu więc odejść od stołu. Następnego wieczoru - w poniedziałek - to samo.

- Co jest? - zapytała go moja żona. - Zjadłeś na lunch sześć deserów?

Nie mówiła całkiem serio. Desery i pizza to jedyne dania, które nasze dzieci były w stanie skonsumować w szkolnej stołówce.

- Nie, po prostu nie jestem głodny. Odpuściliśmy.

Wieczorem miałem go jednak na oku - chciałem sprawdzić, czy w przerwie reklamowej jednego z naszych ulubionych poniedziałkowych sitcomów nie polecą do kuchni po torbę precelków, słoik orzeszków miodowych, czy pudełko suszonych owoców. Ale tak się nie stało. Poszedł do łóżka wypiwszy jedynie szklankę wody. Nie wyglądał na chorego ani nic w tym guście. Cera była odpowiedniego koloru, śmiał się z żartów razem z nami.

Ale widziałem, że coś się z nim dzieje. Susan też. Nasz syn zazwyczaj miał apetyt zapaśnika sumo.

Oczekiwałem, że rano będzie chciał się wymigać od szkoły, usprawiedliwiając się bólem głowy albo brzucha.

Ale nie.

Nie chciał też śniadania. Wieczorem to samo.

Było to o tyle dziwne, że Susan zrobiła spaghetti z mięsem, a nie było chyba dania, które dzieciaki bardziej by lubiły. Nawet pomimo - a może właśnie dlatego - że było to najprostsze danie, jakie potrafiła przygotować. Ale Danny tylko siedział i mówił, że nie jest głodny, z zadowoleniem patrząc, jak inni pochłaniają jedzenie. Wróciłem do domu po szczególnie wyczerpującym dniu - pracuję dla firmy maklerskiej w City - i byłem głodny jak wilk.

I może trochę wytracony z równowagi tym, że mój syn nie chciał jeść.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Musisz coś zjeść. To już trwa trzy dni.

- Jadłeś lunch? - zapytała Susan.

Danny nigdy nie kłamie.

- Nie miałem ochoty - odparł.

Nawet Clarissa i Jenny patrzyły na niego ze zdziwieniem.

- Ale ty uwielbiasz spaghetti - dodała Susan.

- Spróbuj trochę pieczywa czosnkowego - zasugerowała Clarissa.

- Nie, dziękuję.

- Dobrze się czujesz, mały? - zapytałem.

- Czuję się w porządku. Po prostu nie jestem głodny. Siedział przy stole. Nic poza tym.

W środowy wieczór Susan poszła na całość, robiąc mu jego najukochańsze danie - jagnięcą pieczeń przyprawioną cytryną, w sosie miętowym, okraszoną czerwonym winem i z pieczonymi ziemniaczkami, a do tego zielony groszek.

Wydawał się zadowolony z obserwowania nas podczas jedzenia, ale nawet nie tknął pieczeni.

W czwartek próbowaliśmy wziąć coś na wynos - chińszczyznę z jego ulubionej sycuańskiej restauracji. Wołowina w imbirze, smażony ryż z krewetkami, pierożki won-ton i słodko-kwaśne żeberka.

Powiedział, że ładnie pachną. I to wszystko.

W piątek wieczorem resztki kryzysowej mentalności z mojego dzieciństwa mściwie powróciły. Tak więc stałem i krzyczałem, że nie odejdziesz od stołu, dopóki nie zje przynajmniej jednego kawałka pepperoni z klopsikami i kiełbasą z jego ulubionej włoskiej restauracji.

Martwiłem się. Z przyjemnością dałbym mu dwadzieścia dolców, byleby tylko zobaczyć ciągnący się na jego brodzie ser. Nie powiedziałem mu tego. Zamiast tego stałem tam, mierzając w niego palcem i wrzeszcząc, dopóki nie zaczął płakać - a wtedy, druga generacja mojej mentalności dziecka kryzysu, kazała mu iść do łóżka. To samo zrobiliby moi rodzice.

Do niedzieli pod jego koszulką było już widać żebra. W poniedziałek nie posłaliśmy go do szkoły, a ja zostałem w domu, żebyśmy mogli wszyscy spotkać się z doktorem Wellerem. Weller był jednym z ostatnich staromodnych lekarzy pierwszego kontaktu. Teraz się już takich nie spotyka. Był po siedemdziesiątce i nadal po godzinach udzielał wizyt domowych, jeśli zaszła taka potrzeba. W Rye było to równie niespotykane, jak sympatyczny mechanik samochodowy. Weller wierzył w opiekę domową, a nie w szpital. Kiedyś usnął na mojej sofie, po tym jak stwierdził zapalenie oskrzeli Jenny. Spał przez dwie godziny, a my chodziliśmy dookoła niego na paluszkach i słuchaliśmy jak chrapie.

Usiedliśmy w jego gabinecie i odpowiadaliśmy na pytania, podczas gdy on badał oczy, uszy, nos i gardło Danny'ego, pukał go w kolana, plecy i klatkę piersiową, sprawdzał oddech. Następnie pobrał krew i wysłał go do łazienki, by oddał próbkę moczu.

- Jak dla mnie wszystko z nim w porządku. Stracił dwa kilo od ostatniego badania, ale poza tym nie widzę, żeby coś mu dolegało. Oczywiście musimy poczekać na wyniki badań krwi. Mówi pan, że nic nie je?

- Zupełnie nic - powiedziała Susan. Westchnął.

- Poczekaście na zewnątrz - poprosił. - Pozwólcie mi z nim porozmawiać.

W poczekalni Susan sięgnęła po magazyn, spojrzała na okładkę i rzuciła go z powrotem na kupkę.

- Dlaczego? - wyszeptała.

Starszy mężczyzna z balkonikiem zerknął na nas, a potem odwrócił wzrok. Matka siedząca naprzeciw nas patrzyła, jak jej córka koloruje książeczkę z Garfieldem.

- Nie wiem - wymamrotałem. - Chciałbym to wiedzieć.

Siedząc tam, czułem się dziwnie oderwany od rzeczywistości, jakby to wszystko przydarzyło się im - nie mnie, nie nam.

Zawsze miałem w sobie coś z samotnika. Pewnie dlatego, że byłem jedynakiem. A może to ponura, niemiecka krew dziadka, która płynęła w moich żyłach. Byłem sam, mając żonę, byłem sam, mając dzieci - nietykalny, nieosiągalny i podejrzewam, że przez większość czasu oni nawet o tym nie wiedzieli. Samotność siedziała głęboko we mnie. Zakwaterowałem ją w sobie. Wpłynęła na wszystkie moje związki i oczekiwania. Sprawiała, że ponure koleje losu nie mogły mnie zaskoczyć. Teraz już zdawałem sobie sprawę z jej obecności.

Doktor Weller uśmiechał się, kiedy poprowadził Danny'ego do poczekalni i prosił go, żeby poczekał chwilę, po czym skinął na nas, byśmy weszli do środka. Ale uśmiech był przeznaczony dla Danny'ego. Nie był prawdziwy. Usiedliśmy.

- To dziwne - doktor potrząsnął głową. - Powiedziałem mu, że musi jeść. Zapytał mnie, dlaczego. Powiedziałem, Danny, ludzie codziennie umierają z głodu. Na całym świecie. Jeśli nie będziesz jadł, umrzesz. To proste. Wasz syn popatrzył mi prosto w oczy i spytał: „no /?”.

- Jezu - jęknęła Susan.

- To nie był przytyk, uwierzcie mi - on zadał mi poważne pytanie. Powiedziałem, no dobrze, chyba chcesz żyć, prawda? Na co odparł: *a powinienem!* Uwierzcie mi, prawie spadłem z krzesła. (7,y powinien? Powiedziałem: oczywiście, że tak! *Każdy* chce żyć. Zapytał - *dlaczego!* Mój Boże. Wyjaśniłem mu, że życie jest piękne, święte, zabawne! Czy nie zbliża się Gwiazdka? A co z feriami, urodzinami, wakacjami? Powiedziałem mu, że obowiązkiem każdego człowieka jest żyć pełnią życia, robić wszystko co się da, by być silnym, zdrowym i tak szczęśliwym, jak tylko można. A on słuchał. Słuchał i wiedziałem, że mnie rozumie. Wydawało się, że nic z tego, co mówię ani trochę go nie zmartwiło, zaniepokoiło czy zasmuciło. Kiedy skończyłem, rzekł tylko: tak, ale nie jestem głodny.

Doktor wyglądał na zdumionego i skonfundowanego.

- Naprawdę nie wiem, co wam powiedzieć - wziął notes.

- Zapiszę nazwisko i numer telefonu psychoterapeuty. Nie psychiatry - nie będziemy faszerować Danny'ego żadnymi pigułkami. Terapeuty. Ze swojej strony mogę tylko podejrzewać, że Danny ma poważny problem natury emocjonalnej, który wymaga natychmiastowego zbadania. Field jest najlepszy. Świetnie sobie radzi z dziećmi. Powiedzcie mu, że kazałem was przyjąć natychmiast, najlepiej jeszcze dzisiaj. Znamy się od dawna - zrobi to, o co proszę. Myślę, że będzie w stanie pomóc Danny'emu.

- Pomóc mu w czym, doktorze? - spytała Susan. Czuję, że zaraz wybuchnie. - Pomóc mu w czym? - powtórzyła. - *Znaleźć sens życia!*

Jej głos załamał się na ostatnim słowie i nagle zaczęła szlochać. Skryła twarz w dłoniach, a ja objąłem ją i trzymałem tak, starając się skontaktować z tą częścią mnie, która z kolei mogłaby się skontaktować z nią, a która może jeszcze nie całkiem we mnie zamilkła.

Słyszałem jak rozmawiali w nocy. Danny i dziewczynki.

Było późno i szykowałem się do łóżka. Susan była w łazience i myła zęby. Wyszedłem do hallu. Zamierzałem pójść do kuchni po ostatniego papierosa. Wtedy usłyszałem ich szepty. Bliźniaczki miały wspólny pokój, Danny swój. Szept dobiegał od nich.

Było to wbrew zasadom, ale zasady nagły szlag trafił w tych dniach. Prace domowe ignorowano. Na śniadanie były kawa i pączki. Oczywiście dla Danny'ego nawet nie to. Spać szliśmy wtedy, kiedy byliśmy zmęczeni.

Doktor Field powiedział, że to na krótką metę jest w porządku.

Że powinniśmy unikać wszelkich napięć i kłótni w rodzinie, przynajmniej przez jakiś czas. Miałem nie krzyczeć na Danny'ego za to, że nie je. Field najpierw rozmawiał z nim przez pół godziny w swoim gabinecie, a potem przez dwadzieścia minut ze mną i Susan. Wydawał się bystry i otwarty. Narazie nie miał pojęcia co dolega Danny'emu. Powiedział tylko, że chce widywać go

codziennie, dopóki chłopiec nie zacznie jeść, a potem jeszcze raz czy dwa razy w tygodniu. O ile zacznie jeść.

Tak czy siak, postanowiłem zignorować szepty w pokoju dziewczynek. Pomyślałem, że gdybym rzucił palenie, to i tak nigdy bym nic nie usłyszał. Ale wtedy Jenny powiedziała coś, co przeleciało przez uchylone drzwi i mnie zatrzymało.

- Nadal nie rozumiem - stwierdziła - co to ma wspólnego z pudełkiem?

Nie usłyszałem jego odpowiedzi. Podeszedłem do drzwi. Podłoga zaskrzypiała. Szepty ustały. Otworzyłem drzwi. Leżeli skuleni w łóżku.

- Co ma mieć coś wspólnego z *jakimś* pudełkiem? - spytałem.

Spojrzeli na mnie. Pomyślałem, że dorastały wolne od wyrzutów sumienia. Zasady albo ich brak. Tym różniły się ode mnie. Czasem zastanawiałem się, czy to są w ogóle moje dzieci.

- Nic - odparł Danny.

- Nic - zawtórowały Clarissa i Jenny.

- Dajcie spokój - powiedziałem. - No już, o czym rozmawialiście?

- O głupstwach - wyjaśnił krótko Danny.

- O sekretnych głupstwach? - zażartowałem, jakby to nie było nic wielkiego.

Wzruszył ramionami.

- No wiesz, po prostu o głupstwach.

- Czy te głupstwa mają coś wspólnego z tym, że nie jesz?

- Taaato.

Znałem mojego syna. Był uparty jak ja. Nie trzeba było być geniuszem, żeby wiedzieć, że nic więcej z niego nie wyciągnę.

- OK - mruknąłem. - Wracamy do łóżek.

Przeszedł obok mnie. Spojrzałem na sypialnię i zobaczyłem, że dziewczynki siedziały bez ruchu. Gapiły się na mnie.

- Co jest? - zapytałem.

- Nic - odparła Clarissa.

- Branoc, tato - powiedziała Jenny.

Powiedziałem dobranoc i zszedłem na dół zapalić papierosa. Wypaliłem trzy. Zastanawiałem się, o co chodzi z tym pudełkiem. Następnego ranka moje córki przestały jeść.

Sprawy potoczyły się dość szybko. Wieczorem było już jasne, że poszły w ślady Danny'ego. Były szczęśliwe. Zadowolone. Nie-wzruszone. Dla mnie „nie jestem głodny” stało się trzema naj-straszniejszymi słowami w naszym języku. Szaleństwo stało się jeszcze straszniejsze, gdy dwie noce później, Susan siedząc nad gotowaną na parze lazanią, nad której przyrządzeniem spędziła cały dzień, spytała, jak ona może jeść, skoro jej dzieci głodują.

I nie zjadła nic.

Zacząłem zamawiać jedzenie dla jednej osoby. McDonald's. Kawałki pizzy. Skrzydełka z delikatesów. Do Świąt Bożego Narodzenia Danny nie mógł wstać z łóżka bez pomocy.

Bliźniaczki wyglądały na wychudzone. Moja żona też. Nie zjedliśmy świątecznego obiadu. Nie było sensu go przygotowywać.

Pochłonałem zimny ryż, wrzuciłem kilka żeberek do mikrofal. To wszystko.

Field był zdumiony takim obrotem spraw i powiedział mi, że chciałby o tym napisać artykuł, pytając czy nie mam nic przeciwko. Nie miałem. Nie obchodziło mnie to. Doktor Weller, który hospitalizację uważał za ostateczność, chciał podać Danny'emu kroplówkę tak szybko, jak to tylko możliwe. Zlecił więcej badań krwi. Zapytaliśmy, czy może to poczekać do końca świąt. Stwierdził, że nie powinno trwać ani chwili dłużej. Zgodziliśmy się.

Nie licząc zimnego ryżu i szalonych okoliczności, Święta Bożego Narodzenia były właściwie najlepszym okresem, jaki mieliśmy od bardzo długiego czasu. Wszyscy razem, przy kominku, otwieraliśmy prezenty - to przywołało wspomnienia. Przytulne

ciepło minionych dni. Było prawie normalnie, chociaż nie całkiem. W tym dniu mogłem zapomnieć o moich obawach, zapomnieć, że Danny następnego dnia wyląduje w szpitalu, pewnie razem z bliźniaczkami. Susan jakby przestała się martwić. Szybko przyłączyła się do postu, dzieląc także ich brak troski. Jakby post był narkotykiem. Z tego dnia pamiętam śmiech, dużo śmiechu. Nowe ubrania nie pasowały na nikogo, oprócz mnie, ale i lak je przymierzyliśmy - były żarty o Kolosalnej Kobiecie i Kurczącym Się Mężczyźnie. Zabawki i gry pasowały, nowy, ręcznie rzeźbiony anioł, którego kupiłem na choinkę, też. Wierzcie lub nie, byliśmy szczęśliwi.

Ale tamtej nocy leżałem w łóżku i rozmyślałem o Dannym, szpitalu, a potem o szeptach, które podsłuchałem - zdało mi się -tak dawno temu, no i o mężczyźnie z pudełkiem i dniu, w którym się to wszystko zaczęło. Czułem się jak głupiec, jak człowiek obudzony z długiego, pogmatwanego snu.

Nagle poczułem, że muszę wiedzieć to, co wiedział Danny.

Wstałem i poszedłem do jego pokoju. Potrząsnąłem nim delikatnie, żeby się obudził.

Zapytałem, czy pamięta ten dzień, kiedy jechaliśmy pociągiem, mężczyznę z pudełkiem i to, co było w środku, a on odparł, że tak. Wówczas spytałem, co w nim było.

- Nic - odpowiedział.

- Naprawdę nic? Masz na myśli, że było puste? Skinął głową.

- Ale czy... przecież pamiętam, mówił, że to prezent. Znów przytaknął. Nadal nie rozumiałem. To nie miało dla mnie sensu.

- Więc to było coś w rodzaju żartu? Chciał wyciąć komuś kawał?

- Nie wiem. Po prostu... pudełko było puste.

Spojrzał na mnie, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego ja nie rozumiem.

Puste to puste. I tyle.

Pozwoliłem mu spać. To była ostatnia noc w jego własnym pokoju. Mówiłem, że wszystko działa się bardzo szybko. Trzy tygodnie później mój syn uśmiechnął się do mnie słodko, zapadł w śpiączkę i zmarł w ciągu następných trzydziestu dwóch godzin. Powiedziano mi, że to niezwykle, że kropiówka nie podtrzymała chłopca w jego wieku przy życiu, ale podobno czasami się to zdarza. Do tego czasu bliźniaczki miały już łóżka w drugiej sali od strony hallu. Clarissa zmarła trzeciego lutego, a Jenny piątego.

Moja żona, Susan, wytrzymała do dwudziestego siódmego.

Po tym wszystkim, po tych tygodniach jeżdżenia codziennie do szpitala, pracowania wtedy, kiedy byłem w stanie, brania wolnego, kiedy nie byłem w stanie, jeżdżenia z Rye do City i z City do Rye, sam w pociągu, szukałem go. Zaglądałem do każdego samochodu. Jeździłem w tę i we w tę, na wypadek, gdyby wysiadł przystanek wcześniej albo przystanek dalej. Nie chciałem go przegapić. Traciłem na wadze.

Jem. Nie tak dobrze jak powinienem, ale jem.

Ale muszę go znaleźć. By dowiedzieć się, co wiedział mój syn i co potem przeszło na pozostałych. Byłem pewien, że dziewczynki też wiedziały; że przekazał im to tamtej nocy w sypialni -jakąs przerażającą wiedzę, jakiś okropny spokój. Myślę, pewnie dlatego, że teraz jestem o wiele bliżej z moimi dziećmi, niż kiedykolwiek wcześniej mogłem być, że Susan też wiedziała. Wiem to na pewno.

Jestem przekonany, że moja dogłębna samotność, która odseparowała mnie i ocaliła, i która teraz mnie nawiedza, sprawia, że włączę się po ciemnych wagonach pociągów podmiejskich, czekając na niego - i na jego przekłętą prezent, podarunek, pudełko.

Chcę wiedzieć. Tylko tak mogę się do nich zbliżyć.

Chcę zobaczyć. *Muszę zobaczyć.*

Jestem *głodny*.

Dla Neala McPheetersa.

PRZESYŁKA

Przyszła w zwykłej, bąbelkowej kopercie. Bez adresu zwrotnego. Ładna i dyskretna.

Ktokolwiek wymyślił bąbelkowe opakowanie, zarobił pewnie fortunę, pomyślał Howard.

Postanowił to sprawdzić. Ot tak, dla rozrywki. Teraz było już za późno na inwestowanie.

Okładka wyglądała na tanią: czarno-biały rysunek jakiejś wrzeszczącej dziewczyny i męskie kształty majaczące dookoła niej - jeden z nich trzymał kiepsko naszkicowane ostre narzędzie, skierowane rzekomo w jej kierunku.

Tytuł filmu - jedno słowo, napisane wielkimi literami przechodzącymi przez środek pudełka.

Zarżnięta.

Z tyłu pudełka nie było nic.

Żadnych napisów. Żadnych praw autorskich.

Nic.

Ręce zaczęły mu się trząść, kiedy obracał w palcach przesyłkę. Bo to mogło być... .. *najprawdziwsze*. Po tylu latach.

Wysunął kasetę z pudełka, włożył ją do magnetowidu i włączył (<'>. Potem nacisnął przycisk *Odtwarzaj*. Usiadł na dużym, brązowym, skórzanym Lazy-Boyu* w swoim wyłożonym dębem

*** Rodzaj rozkładanego fotela (przyp. tłum.).**

i mahoniem gabinecie i obserwował, jak taśma zaczyna się z sykiem kręcić.

To była okropnie długa rozbiegówka. Howardowi to nie przeszkadzało.

Oczekiwanie było częścią zabawy.

Czekał sześć i pół tygodnia, odkąd wysłał czek do Los Angeles, na adres „Video Nasties”. I pewnie pół życia na tę taśmę. O ile to było to.

Kupował i zbierał już od czasów koledżu - czyli od dziesięciu lat - zaczynając od takich klasyków, jak *Święto krwi*, *Ostatni dom po lewej*, *Znak diabła*, czy *Piła łańcuchowa*, potem, przerzucając się na mniej znane towary spod lady, takie jak *Niech umierają powoli*, czy *Oblicza śmierci*, które zawierały autentyczne obrazy okaleczania, torturowania i zabijania, chociaż głównie zwierząt. W końcu trafił na naprawdę mroczne rzeczy, które można znaleźć tylko w magazynach dla fanów, takich jak „The Film Threat Video Guide” i „Video Nasties” - zamówił prenumeratę jednego i drugiego. Filmy o tytułach takich, jak *Gorgasm*, *Wykręcona tkanka*, czy - jego ulubiony - *Zamknij się i cierp*.

Miał tego pełną szafę. Dosłownie. Stała tuż za jego plecami.

To była jedna z korzyści zawodowego inwestowania. Ma się gotówkę i modem podpięty do Wall Street. Siedzi się w swoim apartamencie i używa telefonu. Prywatność i brak wścibskiej sekretarki. Pozostaje się w cieniu. Tak, jak lubił. Inwestował przez inwestora, który inwestował przez inwestora. Tak jakby sam nigdy nie istniał - chyba, że tego zapragnie.

Robił kasę, jakby miało nie być jutra.

Papiery z transakcji zawsze trafiały tutaj - nieważne jak to robił. Z dołączonymi czekami. I mógł zachować swoją bezcenną prywatność, która, jak sądził, była w jakiś sposób powiązana z jego hobby. Od dawna.

Ale na pewno się tego nie wstydził.

Lubił oglądać przemoc. Lubił słyszeć krzyki.

I co z tego. Był... inny. I co z tego.

Za oknem Nowy Jork warczał i buczał na niego poprzez wiosenny deszcz.

Ekran telewizora zamigotał.

Słowo *Zarżnięta* pojawiło się i zniknęło.

Innych napisów nie było.

Zdawał sobie sprawę, że nad górną wargą perli mu się pot, a przez jego ciało przebiegł wstrząs. Zawsze to samo. Pochylił się do przodu.

Niespodziewanie okazało się, że kopia jest wyśmienita.

Taśma 35 mm, pomyślał. Film oryginalny. Nie z video. Nie był ziarnisty. Dobrej jakości, czysty.

Przeszli od razu do sedna. Żadnych wstępów. Tylko krótkie ujęcie motelowego pokoju, gdzieś w USA, ale niespecjalnie obskurnego, z łóżkiem i sekretarzykiem z lustrem, a także z łazienką po lewej stronie. No i dziewczyna wprowadzona przez drzwi, odwrócona plecami do masek Richarda Nixona, T-shirtów i dżinsów. Jeden duży brzuch wyprzedzał drugi w kolejce do rozlewu krwi.

Dziewczyna wyglądała na naćpaną, powłóczyła nogami w stronę łóżka, głowa luźno się jej kołysała, dwaj mężczyźni praktycznie podtrzymywali ją za ramiona, podczas gdy trzeci zniknął na moment, prawdopodobnie sprawdzić kamerę.

Była szczupłą blondynką, ubraną skromnie, w granatową spódnicę i schludną białą bluzkę. Wyglądała jak stewardessa, pełne biodra i zgrabne nogi - póki co tyle mógł zobaczyć. Nadal była odwrócona plecami.

Nie mógł już doczekać się zbliżenia.

Howard nie wiedział dlaczego, ale miał przeczucie, że dziewczyna będzie atrakcyjna.

Podprowadzili ją do łóżka i posadzili na nim. Gwałtownie opadła na poduszkę, zakopując w niej głowę, gdy jeden z bysio-rów rozpiął jej bluzkę, śmiejąc się - dźwięk był mętny, nieczytelny, nawet w połowie nie tak dobry jak obraz - mówiąc coś do swojego kumpla. Wyszarpnął bluzkę ze spódnicy i zdjął ją z dziewczyny, podnosząc najpierw jedno jej ramię, potem drugie.

Nosiła zwykły, biały, jedwabny stanik, a jej piersi były małe i spiczaste. Takie jak lubił.

Richard Nixon Pierwszy odwrócił ją na brzuch, by Richard Nixon Drugi mógł dostać się do zamka błyskawicznego z tyłu jej spódnicy. Nosiła buty na obcasach. Zdjął je powoli, jeden po drugim, a potem rozpiął spódnice, uniósł dziewczynę w pasie i ściągnął z niej resztę ubrania. Poklepał ją po pośladku i zaśmiał się.

Majtki miała wysoko wycięte, aż do bioder.

Dziewczyna delikatnie stawiała opór, opędzając się od niego ręką, jakby był wkurzającym zwierzęciem, psem czy kotem, przeszkadzającym jej spać.

- Neeee - wymruczała.

- Taaak - powiedział i zaśmiał się.

Odwrócił ją. Jej twarz wypełniła ekran po raz pierwszy. Howarda zmroziło. *Znał ją!*

Był tego prawie w stu procentach pewien! Bóg świadkiem, że spojrzał na nią tylko przelotnie, zanim znów została obrócona, ale kiedy teraz patrzył, nawet jej ciało wydawało się znajome. Nogi, piersi, smukłe ramiona, krótkie blond włosy.

Minęło bardzo dużo czasu odkąd widział ją po raz ostatni i nie mógł sobie przypomnieć nawet jej imienia. Ella czy Etta - nie, Greta - oczywiście! Umawiał się z nią w koledżu przez parę miesięcy, a potem rzucił po wielu przejściach. Pamiętał, że w tamtym czasie chciała zostać...

(...Mój Boże...)

...chciała zostać...

...aktorką.

Jezu! Mój Boże, teraz ją pamiętał. I to doskonale. Razem oglądali wznowienie „Nocy żywych trupów”. Greta również lubiła takie filmy. Tylko to mieli wspólnego. Spędzili Bóg jeden wie ile nocy, tarzając się po jego sofie, oglądając horrory z dużą ilością trupów - oczywiście sztucznych.

A teraz...

Jezu Chryste!

A teraz zamierzali ją przelecieć! Na jego oczach! A może nie?

Wszystko zależało od tego, co film miał do zaoferowania.

Ogłoszenie obiecywało:

Znudzony w kółko tym samym?

Chcesz doświadczyć czegoś prawdziwego?

Wypróbuj nasze video!

Gwarantujemy - ZARŻNIĘTA to jest to!

Nigdy już nie zapragniesz innej dawki przemocy.

Przyrzekamy!

Na groby naszych matek!

39,95\$

A jeśli to prawda?

Przewinął taśmę. Puścił scenę raz jeszcze. Potem jeszcze raz. Głowa dziewczyny, obraca się. Diabło podobna do Greta.

Nagle desperacko poczuł, że musi się napić. Nacisnął pauzę. Obraz zatrzymał się i zamigotał, poprzecinany poziomymi liniami.

Podszedł do barku i nalał sobie szkockiej. Wypił i nalał następną.

Myślał o niej.

Lubiła ostry seks, to nie ulegało wątpliwości. Ale, Jezu, nigdy tak ostry. Nabijał się z niej, że ślady ugryzień nosiła tak, jak inne kobiety biżuterię.

Była perwersyjna. Nagrał nawet kilka numerów na swoją, obecnie przestarzałą, kamerę. Nic ciężkiego, ale ona i tak wykradła taśmy.

Szkoda.

Kobieta była atrakcyjna i dobra w łóżku, ale było w niej też coś, co mu przeszkadzało. Coś szorstkiego i grubiańskiego. Ten akcent z Jersey i nijaki sposób ubierania się.

Wątpił, by kiedykolwiek dostała się do przemysłu filmowego.

Wiedział też od początku, że im nie wyjdzie.

Oczywiście nie powiedział jej tego. Nie po tym, jak zajmowała się jego fiutem, gotowa na wszystko, łącznie z pejcami, łańcuchami, zapinkami, nożami i skórą. Nie miał zamiaru jej tego mówić, dopóki nie musiał.

Dopóki nie znalazło się coś bardziej interesującego.

A pewnego dnia się znalazło.

Zabawne. Jej imienia też nie pamiętał.

Pamiętał, że koniec z Gretą był nieciekawym. Krzyczała, jęczała i błagała. Parę razy pijana waliła w jego drzwi. Prosiła.

Ale rak jego ojca był już w zaawansowanym stadium i wiedział, że niedługo będzie miał dużo pieniędzy, a nie miał zamiaru ich z nią dzielić. Nie z tym akcentem, nie z tym gustem.

Tak więc pa pa, Greto.

Może na zawsze.

Jezu.

Dokończył szkocką, nalał kolejną szklaneczkę tylko po to, by mieć ją przy sobie i wrócił na fotel.

Nerwy się uspokoiły. Szkocka rozlewała się w nim przyjemnie. Sięgnął po pilota i nacisnął *Odtwarzaj*. Film ruszył. Pojawiły się noże.

Właściwie to nóż. Jeden facet z długim, ząbkowanym nożem kuchennym i drugi z nożycami ogrodowymi, jakich używa się do przycinania gałęzi. Trzymali je przed kamerą, która właśnie przysunęła się o krok czy dwa do przodu. Ewidentnie sprzęt miał

kiepski zoom i Richard Nixon Trzeci przeniósł go ze statywem bliżej łóżka.

Teraz było widać lepiej.

Kobieta, która nadal wyglądała jak Greta, jęknęła, ale nie opierała się, kiedy mężczyzna z nożem przeciął ramiączka jej stanika, a potem przepiłował środek. Uwolnione piersi drgnęły. Sutki miała bladoróżowe, duże, ginące na tle jeszcze bledszego ciała. Dokładnie jak u Grety.

Mężczyzna przeciął gumkę w majtkach i wyciągnął je spod dziewczyny.

Jak Greta, prawdziwa blondynka.

Howard wziął porządny łyk szkockiej. Przy tym filmie nie dało się jej wolno popijać.

Myśl, że oglądał właśnie Gretę - że to w zasadzie mogła być Greta - przestraszyła go na śmierć. Było w tym coś zajebiście ironicznego i nieskończenie bardziej perwersyjnego niż kiedykolwiek sobie wyśnił - nawet bardziej niż chciał sobie wyśnić. Wszystkie te makabryczne obrazy. Tyle lat kolekcjonowania tych rzeczy. Wszystkie lata poszukiwań, no właśnie... czego?

Śmierci, najwyraźniej.

To musiało być to. Doświadczenie brutalnej śmierci, w której był jednocześnie obserwatorem i uczestnikiem.

Uczestnikiem, bo kupił, zapłacił za konkretną taśmę, w pewnym sensie nawet sfinansował ją. Pozwolił jej istnieć. On i jemu podobni.

OK, robił to tysiące razy.

Ale teraz to był ktoś, kogo znał. Ktoś, kogo posuwał na wszystkie sposoby, ktoś, kto zaraz będzie bardzo cierpiał, a on będzie podziwiał.

Możliwe, że przesadził.

Za moment się przekona. Brutalnie.

Richard Nixon Trzeci pochylał się wraz z kamerą. Przybliżał się, a Richard Nixon Drugi włożył nożyce z powrotem do kiesze-

ni swoich poplamionych dżinsów i złapał dziewczynę za ręce - zasłaniając ją niestety, duppek - podniósł je nad jej głowę i przycisnął do łóżka.

Jej opór był słaby, narkotyk nadal działał.

Richard Nixon Pierwszy pochylił się nad nią z nożem w ręku i wyrznął X na jej lewej piersi, sam środek litery był środkiem sutka, krew zaczęła sączyć się po jej boku, a ona krzyczała i walczyła żarliwie po fali adrenaliny, która pokonała środek uspokajający, aż Richard Nixon Trzeci wyszedł zza kamery i złapał ją za nogi, przytrzymując nieruchomo, podczas gdy Richard Nixon Pierwszy zrobił z prawą piersią to samo co z lewą.

Teraz działali wszyscy trzej.

Richard Nixon Drugi zajmował się jej palcami, tnąc stawy nożycami, a odcięte fragmenty skakały po całym łóżku, Richard Nixon Pierwszy rozsmakował się w wycinaniu ciała żąbkowanym nożem, a Richard Nixon Trzeci ograniczył się do przytrzymywania tej części ciała, która akurat była obrabiana.

Howard gapił się na to z otwartymi ustami i cały się trzął. Drżał. Zapomniał o szkockiej. Był przygwożdżony do fotela.

Na dwadzieścia pięć minut.

Aż do ciosu miłosierdzia.

Wtedy wstał.

Krzyczał. Szkocka wylała się na dywan. - Kurwa! Pierdolone skurwysyny.

* * *

Zdecydowali, że nakręcą końcówkę na zbliżeniu. Nareszcie, pomyślał Howard, zbliżenie. Zachichotał. Podniecenie, strach i szkocka uderzyły jednocześnie. Mieszanka wybuchowa.

O Boże, Greta, zobaczę jak umierasz.

Na ekranie Richard Nixon Trzeci podbiegł do kamery i przeciągnął ją do przodu tak, by stała zaledwie trzy stopy od pomaza-

nych, przesiąkniętych krwią prześcieradeł i błyszczącego czerwienią ciała na łóżku, które nadal oddychało i próbowało się poruszyć.

Wyregulował ostrość w kamerze.

I Howard zdał sobie sprawę z dwóch spraw jednocześnie. Po pierwsze, to nie była Greta. Po drugie, to nie było morderstwo.

I że mógł ich wszystkich zabić, wytropić i posiekać na pieprzone kawałki, za to, że kazali mu przez to przejść. Nie Greta. I nie śmierć.

Och, dziewczyna była podobna, prawie identyczna, ale oni zostawili jej twarz w spokoju, nie licząc cię w poprzek policzków; i to nie był ten nos i nie te oczy, kości policzkowe też jakby zbyt wydatne - i teraz jak o tym myślał, kiedy czar prysł, zdał sobie sprawę, że musiał być głupi, myśląc, że to Greta, ponieważ Greta była w tym samym wieku co on, może trochę młodsza, a ta dziewczyna była ledwo po dwudziestce, czyli w wieku, w którym Greta była wtedy, kiedy została w jego wyobraźni.

Czuł się jak kompletny idiota.

Że też nie dostrzegł lateksowych akcesoriów.

Byli nieźli. Bardzo dobrzy. Niczym Tom Savini*. Pewnie to było bardzo kosztowne.

Prawdziwe dzieło sztuki. Ale kamera z dużym zbliżeniem jest bezlitosna i możesz zobaczyć, kiedy kończy się żywe ciało, a zaczynają efekty specjalne, tak wyraźnie, jakby były oznakowane.

Więc kiedy nóż rozplatał ją, a ręka wśliznęła się do czegoś, co miało być klatką piersiową Grety i wyciągnęła to, co miało być jej bijącym sercem, ale nie było, ani jej, ani nikogo innego, Howard stanął na równe nogi.

Przeklinający. Wściekły. Przygnębiony i cholernie zawiedziony.

I znów oszukany.

*** Sławny Amerykański ekspert od efektów specjalnych (przyp. tłum.).**

Tydzień później pomyślał: dobra, to i tak był niezły film, podpisał go i dodał do swojej kolekcji.

Miesiąc później zobaczył ją. Naprawdę ją zobaczył.

Przechodziła przez Południowy Central Park, tuż obok jego apartamentu, akurat kiedy wychodził. Spojrzała wprost na niego, bez jakiegokolwiek znaku, że go rozpoznała, a on o mało nie wpadł na portiera wołającego taksówkę - ponieważ tamta Greta, którą pamiętał, ta prawie-Greta z filmu, była atrakcyjną kobietą, to na pewno, ale ta Greta, starsza, pełna wdzięku, z perfekcyjnymi nogami i jedwabnym żakietem od Armaniego była absolutnie powalająca.

Co się z nią stało, do cholery?

Ledwo wyartykułował jej imię.

- Greta?

- Mój Boże, Howard.

Potrzebował tylko jej uśmiechu, by od razu zaprosić ją na obiad.

Jakimś cudem przyjęła zaproszenie.

Jedząc kaczkę w sosie truflowym w Cafe Luxemburg na Upper West Side, nie powiedział jej ani słowa o dziwnym filmie, natomiast cały czas mówił o inwestowaniu - poczuciu zwycięstwa, kiedy jego wybory były trafne i bagatelizowaniu zupełnej furii przy okazjonalnych porażkach. Snuł opowieści. O stawianiu na Apple czy Nintendo i odpuszczeniu Exxon w odpowiednim momencie.

A co ona robiła?

No więc, w przemyśle filmowym jej nie wyszło. Mógł to zgadnąć bez problemu. Kręciła się przez parę lat w pobliżu Los Angeles, a potem przerwiała się na nieruchomości.

Miała też kilka innych interesów, jak stwierdziła, na boku. I wyglądało na to, że nieźle jej szło. I nie, nie była mężatką. I nie, nie była zaręczona.

Nie miała nawet chłopaka. Przynajmniej mu o tym nie wspomniała.

Nie mógł nic poradzić na to, że zastanawiał się, czy nadal robi w sypialni te ostre rzeczy, tak jak kiedyś. Sama myśl o tym sprawiła, że czuł się bardziej spragniony niż po kaczce, chociaż była to najlepsza kaczka, jaką jadł.

Wyglądało na to, że może się tego dowie.

Stwierdził, że ona nadal uważa go za atrakcyjnego. Język jej ciała, sposób, w jaki na niego patrzyła i słuchała - wszystko na to wskazywało.

Nadal był atrakcyjny. No więc, dlaczego nie?

A ona... absolutnie piękna. Sukces, jak sądził, uczynił ją piękną. Małomiasteczkowy akcent kompletnie zniknął. Został tylko głęboki, dźwięczny pomruk, który kazał mu myśleć o dzikich, gorących nocach na plażach Karaibów, o tarasach w dżungli, o upale, pocie i dziwnych, egzotycznych namiętnościach.

Spod restauracji pojechali limuzyną na południe, do jej hotelu w city. Teatry wzdłuż Broadwayu i Ósmej Alei pustoszały

i był spory korek. Rozmawiali przy szampanie. O wspólnej znajomości, którą ledwo pamiętali. W połowie drogi, kiedy stali w korku, pochyliła się i musnęła ustami jego usta. Delikatnie pachniała perfumami Aliage, albo czymś podobnym.

Jej usta były miękkie, obfitsze niż pamiętał.

- Wejdiesz?

- Oczywiście. Bez dwóch zdań.

Był pod wrażeniem. Hotel był jednym z najlepszych w mieście, a jej pokój okazał się prawdziwym apartamentem.

Otworzyła drzwi i weszli do środka, prosto w ciemność.

Kiedy odwróciła się twarzą do niego i wpadła mu w ramiona, jej usta były gorące i słodkie. Wyrwała mu się i zamknęła za nim drzwi na klucz, po czym zapaliła światło, by rozjaśnić ogromny salon. Gdy zdjęła żakiet i uśmiechnięta stanęła przed nim, pomyślał, jakie to osobliwe, że zaraz będzie kochał się z kobietą, o której miesiąc temu myślał, że umrze - straszną śmiercią - na ekranie jego telewizora.

Życie było dziwne.

- Cieszę się, że jesteś - powiedziała, robiąc krok w jego stronę.

- Uwierz mi, ja też.

- Wiesz, trochę to trwało.

Już miał spytać ją *co trochę trwało*, kiedy wyszli z ciemności, która tam panowała.

Trzech ciężkich mężczyzn w dżinsach i T-shirtach. Piwne brzuchy wypychały im paski.

Nawet po miesiącu i bez masek wyglądali zbyt znajomo.

I o wiele bardziej obrzydliwie niż przypuszczał.

Jeden wśliznął się za niego, odcinając od drzwi. Pozostali zaszli go od boków.

- Mówiłam ci, że mam dodatkowe zajęcia - powiedziała. - Inne zainteresowania. I pamiętam twoje inne zainteresowania. Właściwie pamiętam je bardzo dobrze. Wiedziałam, że prędzej czy później odpowiesz na ogłoszenie. Nie mogłeś się oprzeć, co?

Zaśmiała się.

- Stałeś się bardzo skrytą osobą przez te wszystkie lata, wiesz Howardzie? Bogactwo zawsze izoluje - ochrania - czyż nie? Powinnam to wiedzieć. Dotarcie do ciebie zajęło mi dziesięć lat. Potrzebowałam tylko adresu, ale nikt go nie miał. Kto by pomyślał, że jesteś w Nowym Jorku, bawiąc się w giełdę. Ledwo mogłeś policzyć wydaną resztę, kiedy cię poznałam.

Westchnęła i dotknęła jego policzka. Jej dłoń była ciepła.

* * *

- Na dłuższą metę to było znacznie tańsze niż wynajęcie prywatnego detektywa. I dużo zabawniejsze. Daliśmy ogłoszenie i czekaliśmy. Nawet na tym trochę zarobiliśmy. Prawda, panowie?

Uśmiechnęli się. To nie był miły widok.

Drzwi sypialni otworzyły się. Dziewczyna, która stała tam w białej, jedwabnej koszulce na ramiączkach również wyglądała znajomo. Kiedy widział ją po raz ostatni, była cała we krwi. Teraz, oczywiście, uśmiechała się.

- Moja siostra. Doreen, poznaj Howarda. Rozpoznajesz rodzinne podobieństwo, Howardzie? Nie sądzisz, że jest uderzające?

- Czego ty...?

- Czego ja chcę? Chcę nakręcić film, to oczywiste. Tak jak za starych czasów. Widzisz, pamiętam też, jak mnie traktowałeś. Podejź tu.

Weszła do sypialni, mijając swoją siostrę. Dwóch mężczyzn podążyło za nią. Trzeci szturchnął Howarda w plecy grubym, zrogowaciałym knykciem. Nie miał innego wyjścia, musiał iść za nimi.

Zapaliła światła. Zaświeciły się lampy studyjne. Nagle znalazł się w centrum uwagi.

35-milimetrowa kamera stała na trójnogu w rogu pokoju. Ogromne łóżko pokryte było folią plastikową. Grubą folią.

Zorientował się, że stojący za nim mężczyzna popycha go.

Próbował krzyknąć, ale jeden z nich wepchnął mu do ust brudną, białą szmatę i zawiązał wokół głowy biały, jedwabny szalik, podczas gdy dwóch pozostałych złapało go za nadgarstki i przymocowało je do łóżka, potem jeszcze przywiązali mu stopy, nic trudząc się zdjęciem jego butów z ozdobnie dziurkowanymi czubkami. Pracowali metodycznie, jakby robili to nie po raz pierwszy, a on podniósł wzrok i zobaczył siostrę Grety, jej młodszą wersję, trzymającą przed nim dwa dziesięciocentymetrowe

haki ze stali nierdzewnej, które następnie odłożyła na stolik i podniosła brzytwę z rączką z kości słoniowej, prezentując mu ją. A potem Gretę, która malowała szminką usta przed lustrem pięknego, zabytkowego sekretarzyka i powoli się rozbierała, aż do przejrzystego, czarnego stanika i wyciętych wysoko majteczek, takich, jakie lubił. Następnie założyła czarną pół-maszkę, taką samą, jaką właśnie nałożyła jej siostra i odwróciła się, z błyszczącym skalpelem w dłoni.

- Jak myślisz? - zapytała. - Damy radę przez dziewięćdziesiąt minut? Mężczyzna za kamerą skinął głową.

- Jasne. Jeśli będziesz ostrożna.

Greta uśmiechnęła się. Obfite usta uśmiechały się do niego. W tym czasie Howard miotał się bezskutecznie na łóżku.

- Widzisz, Howardzie. Prawdziwe dzieła istnieją. Tylko nie możesz ich otrzymać pocztą.

Kamera zafurkotała. Strzelił klaps. Greta weszła w kadr.

- Akcja! - zakomenderowała.

FART - NIE - FART

Noc była bezksiężycowa i cicha, nie licząc trzasku ogniska, bulgotania whisky, którą sobie podawali, Faro* Billa Brody'ego zaciągającego się skrętem buli durham, jęków i ciężkiego oddechu Chunka Herberta, parskania i skrobania koni oraz męskich głosów. Ich rozmowa zesłała na temat farta i pecha. Mężczyźni zgodnie uważali, że los przestał im dziś sprzyjać. Kto by przypuszczał, że stacja dylżansów w Turner's Crossing będzie pełna stróżów prawa, uzbrojonych obywateli, gotowych do strzelaniny I oddziału ludzi ukrytych za ich plecami, poza zasięgiem wzroku. Obrabiali ciągle to samo miejsce o tej samej porze już od trzech tygodni i nigdy nie było problemu.

Teraz Chunk Herbert leżał oparty o jałowiec, z brakującym kawałkiem czaszki wielkości srebrnej jednodolarówki i mózgiem przytrzymywanym przez zakurzony lewy rękaw koszuli Canary Joe Hallihana.

Sam Canary Joe wymigał się od kuli. Podobnie jak Faro Bill Urody, chociaż narzekał na dwie poszarpane dziury z prawej strony runda jego kapelusza - ale czego można było się spodziewać po facecie, który przyjął imię głupiej francuskiej gry, w której karty rozdaje pudełko ze sprężyną, zamiast imienia ludzkiego, Juk należy. Kid Earp dostał kulkę w łydkę i zapowiadało się, że będzie przez jakiś czas utykał.

- Musisz przyznać, że w porównaniu z innymi mamy szczęście - powiedział Joe. - Nie licząc Chunka, oczywiście.

*** Faro - francuska gra w karty (przyp. tłum.).**

- Słyszałem o większym szczęściu.

- To prawda - stwierdził Kid*.

Kid nie był dzieckiem i nikt nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek nim był. Nie był też powiązany z braćmi Earp, chociaż lubił pozostawiać to w niedopowiedzeniu.

Nie martw się o to, kim są moi krewni.

- Pamiętasz Thimblerig Jacka? Najlepiej radził sobie z grochem i łupinkami orzechów. Mogłeś spędzić cały dzień i nie znalazłeś tego ziarnka grochu pod jedną z trzech łupinek, póki Jack tego nie zechciał. Ręce szybsze niż atak grzechotnika. A urok? Facet mógł cię wyprowadzić w pole i ograć do ostatniego centa, a ty jeszcze pod koniec dziękowałaś mu za miło spędzony czas. Potem pojawił się ten Indianin.

- Jaki Indianin? - zapytał Faro Bill.

- Wielki Ute, mieszaniec o imieniu Jim Murphy. Przyprował pewnego ranka do miasta swoją *squaw***, a Jack właśnie rozłożył grę na beczce przy sklepie tekstylnym Knotta i zatrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu. Chciał pokazać jej partyjkę. Indianin też był szybki. Z tego, co wiem, złapał dłoń Jacka i trzasnął nią o beczkę, po czym wyciągnął nóż myśliwski i odciął mu palec.

Pozostali zamyślili się.

- To nie jest kwestia szczęścia - orzekł Faro Bill. - Powinien był to wiedzieć.

- Skąd? Indianie zazwyczaj ustępują. Trafił po prostu na nieodpowiedniego Indianina, to wszystko. Niektórzy są przebiegli, inni to tchórze.

Podawali sobie butelkę i gapili się w ogień. Za ich plecami Chunk jęknął.

- Mówiłeś coś, Chunk? - zapytał Kid.

- Nie bądź głupi - sarknął Canary Joe.

- Myślałem, że coś powiedział.

*** Dziecko (ang.) (przyp. tłum.).**

**** Żona Indianina (przyp. tłum.).**

- Ja też - przyznał Faro Bill. - Zabrzmiało jak „Lily” albo „Liddy”.
- Nic nie powiedział - stwierdził Canary Joe.
- Tak czy siak, słyszałem o gorszym pechu - oznajmił Faro Bill. - Słyszałem o tym lata temu, od starego Górala zwanego Thomas Curry.
- Znałeś Górala, Bill? - zapytał Kid.
- Pewnie. Poznałem go w saloonie „Wiadro Krwi” w Johnson City. Lubił hazard i częściej wygrywał niż przegrywał. Ci staruszkowie to dziwna rasa. Cholera, ledwo można było go zrozumieć. Siedział z parą asów i mówił coś w stylu: *Dobra, kamraci! Przyjmę bawka, ale jeśli jest inne mięso, które odbłyszczysz psiznę, toście świry.*
- Co to znaczy, Bill? - zapytał Kid.
- *Przyjaciele, zrobię wyjątek dla bawoła, ale jeśli jest jakieś mięso smaczniejsze od psiego, to jesteście wariatami.* Był z niego stary dżentelmen. Słyszałeś kiedyś o „Zaginionym Holendrze” Meyersie Mine, Kid? Holender był poszukiwaczem w Montanie. Znalazł złoto gdzieś w pobliżu Big Horn, wraz z dwoma kompanami, nawet postawili sobie chatkę, by móc pracować przy rzece. Pewnego ranka zaatakowali ich Siuksowie, a gdy opadł kurz, Holender był jedynym pozostałym przy życiu. Uciekł na południe, by ratować skalp. Osiedlił się w mieście i sprzedawał całkiem ładne samorodki, rozpuszczał też plotki o swoim znalezisku. To nie było mądre, bo jednym z chłopców, którym wszystko opowiedział, był Bob Heck. Ten strzelił Holendrowi w plecy, a potem pojechał prowadzić poszukiwania na własną rękę. Nigdy nie znalazł złota. Siuksowie spalili chatkę, więc nawet nie trafił we właściwe miejsce. Bob Heck dostał stryczek, a złota nie uświadczył nikt. To dopiero była para cholernych pechowców.
- Skąd wiedział, że Siuksowie ją spalili?
- Słucham?
- Jeśli nikt nie znalazł chatki, skąd Thomas Curry wiedział, że Siuksowie ją spalili?

Faro Bill wzruszył ramionami.

- Góral po prostu wiedział takie rzeczy, tak myślę.
- Mogę podać lepszy przykład pecha - powiedział Canary Joe.
- Tylko mi nie uwierzycie.
- Dawaj - rzucił Kid. - Mamy czas.
- Powinniśmy rozniecić większy ogień - zauważył Canary Joe.
- Ten maleje, a Chunk potrzebuje ciepła.

- Chunk potrzebuje cholernego księdza - fuknął Faro Bill. Canary Joe zignorował go, stanąwszy sztywno na nogach,

stwierdził, że prawdopodobnie jest za stary na takie przekomarzanie i wszedł w ciemność za czterema przywiązanyymi wierzchowcami, by zebrać tyle chrustu, ile się da. Pozostali patrzyli w ogień, odurzeni whisky. Kid przeciągnął się i podał butelkę Faro Billowi, który pociągnął z gwinta i oddał mu ją z powrotem. Kid kopnął jakiś patyk w kierunku płomieni i patrzył, jak ten pęka i trzeszczy.

- Jak myślisz, ile mu zostało? - zapytał Kid

- Chunkowi? Tyle, ile dusza potrzebuje, żeby ulecieć. Bóg raczy wiedzieć.

- Myślisz, że nas słyszy?

- Nie wiem.

- Przeraza mnie to, że stary Chunk może słyszeć, jak rozmawiamy o jego rychłym zgonie.

- Więc nie rozmawiajmy o tym.

- Dobra, już nie będę.

Podawali sobie butelkę, a chwile mijały w ciszy, ponure jak kopnięty pies, dopóki Canary Joe nie wrócił do ogniska z kilkoma wyblakłymi, bladymi jak kości polanami pod pachą, drugą ręką ciągnąc po suchej, twardej ziemi spletaną stertę chrustu. Zostawił chrust i puścił polana, które zastukały jak kręgle. Joe odwrócił się w stronę Chunka.

- Mówiłeś coś, Chunk?

- Teraz ty go słyszysz - powiedział Kid. - Tym razem ja nic nie słyszałem.

- Taa, tym razem mnie się wydawało.

- A mnie nazwałeś głupim.

- Jesteś głupi. Najgłupszy człowiek jakiego spotkałem.

- Kto planował napad? Kto sprawił, że strzelali do nas jak do kaczek?

Nie przypominam sobie, bym był to ja, Faro Hill czy Chunk.

- Panowie - przerwał Faro Bill - możemy to rozwiązać. Orzeł: Chunk coś mówił. Reszka: nie.

Wyczarował starą, gładką, srebrną jednodolarówkę.

- Faro Bill - powiedział Joe. - Cofam to i chciałbym z tego miejsca przeprosić Kida. Ty jesteś największym głupcem jakiego znam. Chcesz się zakładać o to, czy wiatr wieje.

- To już robiłem.

- Nie wątpię.

Skruszył trochę chrustu i dorzucił do ognia, po czym uklęknął i dorzucił jeszcze trochę.

- Chcesz wiedzieć to, co ja wiem na temat pecha? Prawdziwego pecha?

- Jasne. - Faro Bill podał mu butelkę. Wypił prawie wszystko, usiadł ze skrzyżowanymi nogami i podał ją Kidowi.

- Przydarzyło mi się to lata temu, kiedy jeszcze byłem chłopcem i dopiero przybyłem na zachód. Pewnej nocy siedziałem w saloonie Tuttle'a w Newton, w Kansas i - oczywiście - graliśmy. Nie znałem pozostałych graczy. Byłem nowy w mieście, szukałem pracy przy wypasaniu bydła, przybyłem dopiero dzień wcześniej. Chłopaki stanowili niezłą zgraję, mówię wam. Było nas czterech. Dużo śmiechu. Nic na poważnie. Piliśmy whisky Snakehead, to pamiętam. Próbowaliście kiedyś?

- Nie przypominam sobie - odparł Faro Bill.

- Sześć łbów grzechotnika na beczkę. Smakuje, jakby sam diabeł wymieszał ją własnym kopytem. Tak czy siak, gramy, a ja przegrywam, kiedy wkracza nieprzyjemnie wyglądający, brudny, mały typek. Koszulę ma poplamioną tytoniowym sokiem, na biodrze kolt, a kapelusz, jakby żuły go niedźwiedzie. Podchodzi do baru,

zamawia kielona, wypija, potem kolejnego, po czym omiata pomieszczenie wzrokiem. Ci, z którymi grałem, w ogóle nie zauważyli tego chłopca, zajęci swoimi kartami. Tylko ja i tylko dlatego, że siedziałem twarzą do baru. Kiedy zamówił i wychylił trzecią kolejkę, tylko ja dostrzegłem, co zamierza zrobić, widziałem to wyraźnie w jego oczach, na długo zanim wyjął broń i przyjął pozycję. Gdy zaczął strzelać do naszego stolika, byłem już pod nim, starając się wyjąć własną broń, ale byłem tylko dzieciakiem, nie strzelcem, tak więc zanim mi się udało, zastrzelił już dwóch graczy, a potem trzeciego, który upadł razem z krzesłem i potoczył się po podłodze w stronę drzwi. Facet patrzył na mnie i wiedziałem już, że nadszedł mój kres. Nie było czasu nawet na przewrócenie stolika dla osłony. On był gotów do strzału, a ja przebierałem nogami. Tego dnia dupę uratował mi barman i jego strzelba. Mówię wam, rozbryzgało tego małego gościa po całym pomieszczeniu. Miałem jego szczątki we włosach, panowie. Do dziś czuję jego smród.

Ułożył trzy polana w ognisku. Od razu zaczęły się kopcić.

- Marna imitacja drewna - stwierdził.

- Nie nadążam - powiedział Bill. - Co to ma wspólnego z pechem?

- Zmierzam do tego. Kiedy znów zapadła cisza, podeszliśmy i spojrzeli na niego, przynajmniej ci, którzy mogli chodzić. Zastrzelił dwóch chłopaków przy moim stoliku, nigdy nie dowiedzieliśmy się dlaczego. Tak czy siak, barman, któremu było Brocius, odwraca jego truchło. Można było patrzeć na wylot przez dziurę w jego klatce piersiowej. Ktoś powiedział, że to Mały Dick West, a ktoś inny, że to nie może być on, bo Mały Dick West został zastrzelony w Witchita ponad rok temu. Ale ten pierwszy był pewny, mówił, że osobiście znał Małego Dicka, mówił też, że przynosił pecha, gdziekolwiek się pojawiał i że sam wiele razy ledwo przed nim uszedł, w Abilene, w Dodge, w Tombstone. Widział tam, jak Dick zastrzelił kiedyś człowieka. Drugi koleżka również był tego pewny. Mały Dick West został zastrzelony ponad

rok temu w burdelu w Witchita. Wiedział to na pewno, a byli tam też inni chłopcy, którzy to potwierdzili. Mały Dick przyjął dwie kule w Witchita. Jeden z nich nawet znał imię człowieka, który go zastrzelił. Farmer McLoughlin. Jego dom spłonął jakiś miesiąc później. Z McLoughlinem, jego żoną i dziećmiakami w środku. Faceci nie doszli do porozumienia. Ale przecież to barman Brocius go zabił, tak więc to on, razem z szeryfem, zaciągnął go na ulicę, by poczekać na przedsiębiorcę pogrzebowego. Truposz był cięższy niż myślicie, a Brocius sam ważył swoje, tak więc nieźle się zmachał. Saloon Tuttle'a ma trzy stopnie prowadzące na ulicę. Tylko trzy. Brocius był na drugim, kiedy noga mu się powinęła, a chwilę potem leżał na schodach ze stopą wskazującą na wschód, a głową okręconą dookoła karku w stronę zachodnią.

- Martwy? - zapytał Kid.

- Martwy - odrzekł Joe.

- Dobra, to rzeczywiście pech - stwierdził Faro Bill.

- Jeszcze nie skończyłem. Parę lat później jadę sobie do Abilene. Jest wieczór. Oczywiście zapomniałem już, co działo się w saloonie Tuttle'a, no i wziąłem sobie kilka łyków Tangleleg na trasie wzdłuż torów z Circle P do miasta, więc byłem średnio skupiony. Kiedy przywiązywałem konia, zorientowałem się, że na ulicy nie ma nikogo poza mną i dwoma mężczyznami, przygotowującymi się do strzelaniny jakieś dwadzieścia jardów dalej. Zanim zdążyłem znaleźć kryjówkę, wyjęli broń i zaczęli do siebie strzelać, dopóki nie opróżnili magazynków. Czuję dym. Stał już tylko jeden z nich. Mieszczuchy zaczęły pojawiać się jeden za drugim, jak szczury, tłocząc się dookoła wielkiego, ciężkiego koleżki, który stał na ulicy i przeładowywał spokojnie broń. Pokażny cel, a nie miał nawet zadrapania, a ten drobniutki koleżka leżał, krwawiąc na piaszczystą ulicę, martwy. Otoczyli go, a ktoś rzekł, że to, niech mnie diabli, Mały Dick West!, a ktoś inny, że nie, bo pochowali tego zdradliwego sukinsyna Małego Dicka Westa w Witchita kilka lat temu. Wkrótce wywiązała się dziwnie dla mnie znajoma konwersacja. Podeszedłem, żeby się przyjrzeć. Mówiłeś coś, Chunk?

- Tym razem ja również słyszałem - powiedział Faro Bill.
- Ja też - przyznał Kid. - Chociaż mogło to być też parsknięcie konia.
- To nie konie, głupcze - odparował Canary Joe. - Brzmiało jak „miał”.

- Na pewno - powiedział Kid.
- Kontynuuj swoją opowieść - poprosił Faro Bill.
- Napijmy się jeszcze Tangleleg, Kid.
- Cholera, nie ma już, Joe.
- Masz jeszcze jedną butelkę przy siodle, Kid. Widziałem, jak ją tam wkładałeś.

- Psiakrew, Joe. Miała być na drogę.
- Możesz już nigdy nie wyruszyć, jeśli nie dasz mi tej butelki. Kid gapił się na niego przez płomienie, jakby zastanawiał się czy mówi serio, potem wstał ciężko i zniknął w ciemnościach. Słyszeli końskie kopyta, szurające i grzebiące w podłożu w odpowiedzi na zakłócenie ich drzemki. Canary Joe wrzucił do ogniska chrust i trzy ostatnie polana, po czym rozproszył dłonią kłębiący się dym. Faro Bill Brody skręcił i zapalił durhama. Kiedy Kid wrócił, butelka była już otwarta, a on pociągał z niej długo i wyzywająco, zanim usiadł. Podał ją Joemu.

- Jak wspominałem, podszedłem, żeby się przyjrzeć.
- Czy to był Mały Dick West? - zapytał Kid.
- Wtedy trudno było to stwierdzić, Kid. Ale później wyrobiłem sobie opinię. Plamy tytoniu na jego koszuli się zgadzały. Przeżuty kapelusz też. Właściwy wzrost i waga. Niestety, w jego prawym oku i w policzku tkwiły kule, które trochę popsuky jego dobry wygląd. Był brudny, zanim jeszcze padł na piach. Tak czy siak, tłum nadal tam stał, kłócąc się czy to on, czy nie. Ja musiałem się napić. Wy byście nie musieli? Widziałem Małego Dicka Westa zastrzelonego w Newton, w Kansas, a teraz prawdopodobnie widziałem go zastrzelonego ponownie. Coś takiego potrafi człowieka zdenerwować. Udałem się do saloonu. Właśnie wchodziłem, kiedy usłyszałem kolejny strzał, odwróciłem się i spojrzałem, tłum roz-

praszał się falami, jak kręgi powstające po wrzuceniu kamyka do stawu. A środkiem tego konkretnego stawu był strzelec, wielki koleżka, na kolanach. Potem widziałem, jak upada twarzą w piach. Znow pociągnął z butelki i rzucił ją do Faro Billa.

- Co się stało? - zapytał Kid.

- Odstrzelił sobie jaja - powiedział Canary Joe. - Wkładając do kabury swojego Remingtona Model Trzy. Za cholere nie wiem, jak mu się to udało, ale tak właśnie było. Parę godzin później usłyszałem w saloonie, że wykrwawił się na śmierć.

- Cholera - mruknął Kid. - A to ci dopiero historyjka. Podasz mi butelkę, Bill?

- To jeszcze nie koniec - ciągnął Joe. - Nie całkiem. Pół roku, może siedem miesięcy później jestem w Witchita, w drodze donikąd, po prostu przed siebie. W Montanie jest nagroda za moją głowę, ale nie przejmowałem się. Byłem w tanebudzie Rowdy Joe Lowe'a, pijąc i zawieszając oko na panienkach, myśląc o jakimś rekreacyjnym wydatku na noc, jeśli wiecie, co mam na myśli. Pamiętacie, mówiłem, że Mały Dick West miał być zastrzelony w Witchita?

- Za pierwszym razem - powiedział Kid.

- O którym wiemy - stwierdził Bill.

- Zastrzelony przez farmera, którego dom spalił się miesiąc później, z nim w środku. Widzicie do czego zmierzam? - zapytał Canary Joe.

- Chyba... - odparł Faro Bill. - Chcesz powiedzieć, że patrzysz sobie na panienki, a wtedy wchodzi...

- Wchodzi Mały Dick West. Racja. Staje dokładnie obok mnie przy barze, zamawia grzecznie whisky. Wtedy byłem pewien. Cholernie pewien. Nie miał kulki w oku ani w policzku. Był tak blisko, że czułem jego zapach, a nie pachniał dobrze. Ten sam cholerny kapelusz, te same cholerne plamy po tytoniu na jego koszuli i la sama cholerna spluwa, którą miał w Newton. Mężczyźni z Witchita muszą mieć krótką pamięć, ponieważ nikt nie zwrócił na niego uwagi. Barman go obsłużył, pijacy pili, cholera, niektóre

panienki nawet rzucały mu wyzywające spojrzenia. Ale nie jaja widziałem go ostatnio trochę zbyt często, więc pamięć miałem odświeżoną. Zapłaciłem za ostatniego kielicha i zmyłem się stamtąd najszybciej jak mogłem, ponieważ wiedziałem na pewno, że Mały Dick West jest najbardziej feralnym gościem, jaki kiedykolwiek chodził po świecie.

Wiatr wiał z zachodu. Noc stała się chłodniejsza na kilka godzin przed świtem, a mężczyźni pili w ciszy i ogrzewali ręce przy ognisku. Kid potrząsał głową, myśląc o pechu i Małym Dicku Weście, a Faro Bill skręcił kolejnego durhama i odpalił go od płonącej gałązki. Konie parskwały, pogrążone we śnie.

- Lepiej odpocznijmy, chłopcy - rzekł Canary Joe. - Jutro przed nami długa droga. Pozbieram jeszcze trochę tego niby-drewna, żeby wystarczyło do rana.

Wstał i powoli ruszył w stronę czekającej na niego ciemności.

- Strzeż się Małego Dicka Westa - powiedział Faro Bill ze śmiechem.

Wtedy właśnie usłyszeli echo jego własnych słów dobywające się z ust umierającego pod jałowcem Chunka Herberta, tym razem wyraźnie, bez pomyłki. Nie *miał*, nie *Lily*, ale *Mały Dick West, zastrzeliłem Małego Dicka Westa w Dodge City, w Kansas*. Nagle rozległy się strzały. Zdawały się dobiegać zewsząd. Tym samym na dobre skończył się ich fart.

NAWIEDZONY

Znalazłem to miejsce tuż za East Sunset, zaledwie trzy przecznice od morza i kupiłem je za bezcen.

W zeszłym roku Lauderdale znowu zalała ogromna fala i woda poczyniła spore zniszczenia na piętrze. Nie to jednak stanowiło problem. Miałem pieniądze. Zebraliśmy odpowiednią ekipę i wraz z rozpoczęciem sezonu bar wyglądał w porządku. Nazwałem go „Niebieska Papuga”, na cześć Sama.

Drinki to drinki, żadna sztuka je zrobić, jednak Shiela i Cindy dostały wyraźne instrukcje, by polewać mocniejsze, na zachętę dla stałych klientów. Jeśli chodzi o dziewczyny, w okolicach Sunset trudno znaleźć bamanę czy kelnerkę, która choć po części byłaby atrakcją. Tak więc naszą gwiazdą został Sam.

Widywałem już gorsze gwiazdy. A on przykuwa uwagę z jednego powodu - jest niebieski jak Karaiby i ma śnieżnobiały żabot na piersi. No i jest wielki jak udo Schwarzeneggera.

Wysoko, po lewej stronie baru, podwiesiliśmy dla niego żerdź, tak więc jeśli tam siedzisz, możesz rzucić mu słonego orzeszka i patrzeć, jak chwyta go w locie, podrzuca i łapie w gardło, jakby łykał tequilę Cuervo, odwraca się i patrzy krótkowzrocznym spojrzeniem, skrzeczając *Dzięki chłopaku, myślisz, że stać cię na jeszcze jednego!* Ludzie przysięgają, że ma głos jak Bacall, ale nauczył się tego zwrotu od dziwki, która wpadała do mojego mieszkania w Miami. Jeśli rzucisz za daleko albo za nisko, dostaniesz to samo złowrogie spojrzenie, tylko dłuższe, a chwilę potem żółty dziób znów się otworzy. *Cholerni pijacy.*

Miał dziesięć lat i znał kilka niezłych tekstów, więc przy barze był jak znalazł. Snułem wielkie plany co do tego interesu. Lauderdale to jedno z najbardziej otwartych miejsc na Florydzie. Przychodziły tu dzieciaki z koledżu i geje. Rok później postawiliśmy na topless. Sam został tam gdzie był, a po drugiej stronie baru zbudowaliśmy scenę. Pomieszczenie na piętrze było zastawione stołami, ale można było stać przy mosiężnej balustradzie i spoglądać w dół na tancerki i jednocześnie oblegać bar.

Większość naszych dziewczyn również chodziła do koledżu, więc obroty były wysokie. Mieliśmy ładne, młode i zdrowo wyglądające tancerki, nie takie zblazowane, dziwkopodobne. Od lokalnych dziewczyn raczej trzymałem się z daleka. Tutaj nigdy nie wiesz, kiedy czyjś pijany chłopak z Fort Meyer czy Punta Gorda przejedzie przez Alligator Alley ze strzelbą na tylnym siedzeniu pickupa, gotowy uratować ukochaną Maisie od życia w plugastwie. Zwabiały niezły tłumek kobiet i mężczyzn, głównie młodych.

Nasze zawody mokrego podkoszulka i konkurs na „Najlepsze Bułeczki” dawały radę. Istnieliśmy już dwa lata i prosperowaliśmy lepiej niż inne lokale, które padały jeden po drugim.

Sam się roztył. Ja zakochałem się w nowej barmance.

Miała na imię Bernie i była rozwiedzioną trzydziestoczerolatką. Ja również byłem rozwodnikiem. Mieszkałem zaraz za rogiem, ona zaś po drugiej stronie miasta. W jednej chwili moje szuflady zapełniły się skąpymi koszulkami, shortami i majteczkami, a jej siostra z Wisconsin wprowadziła się do jej domu. Nigdy tego nie żałowałem.

W tym roku wystartowaliśmy z nową atrakcją. Miała na imię Mary.

Gdyby nie Bernie, pewnie nigdy bym jej nie zatrudnił. Byłaby to dla mnie za duża pokusa. Do tancerek topless można przywyknąć. Ale nie do Mary.

- *Bwwaaakl Gorący alarm]* - to były pierwsze słowa Sama na jej widok. Ogłaszał to, co oczywiste. Ale było tego więcej. Mogę

tylko powiedzieć, że na Mary nie można było patrzeć bez onieśmienia - taka była piękna. Dlaczego chciała tańczyć topless w „Niebieskiej Papudze”, tego nigdy nie rozgryzłem. Przygotowywała się do studiów medycznych. Mogła być kim chciała - modelką, aktorką, nawet, z tego co zauważyłem, profesjonalną tancerką. Jej ruchy na scenie były wspaniałe, jeśli już napatrzysz się na to silne, perfekcyjne ciało, zwróć uwagę na ruchy. I to spojrzenie.

Niesamowite, jak potrafiła przykuć uwagę publiczności swym spojrzeniem. Jej oczy były bładoniebieskie. Niezwykle zuchwałę. Zdawały się omiatać wszystkich na raz, cały parter i połowę facetów na balkonie. Nigdy w życiu nie widziałem tylu mężczyzn starających się nawiązać kontakt wzrokowy z kobietą. Do tego z półnągą kobietą. To było niesamowite. Odkąd pierwszy raz zatańczyła pozostała w centrum uwagi i nigdy nie słyszałem słowa skargi od innych dziewczyn, które były tam dłużej niż ona. Zasługiwała na to.

Nie miała chłopaka. Powiedziała mi kiedyś, że nigdy nie poznała mężczyzny tak silnego, jak ona sama i wierzyłem jej. Flirtowała tylko z Samem, a on do niej puszczał oko. Przysięgam, że miał chytre spojrzenie.

To Mary wpadła na pomysł malowania ciała. Jak powiedziałem, była zuchwałę. Była nowa, ale zajmowała najważniejsze miejsce w przedstawieniu. Potrafiła dać czadu. Były obawy, że pomysł z malowaniem ciała nie wypali, ale ona wiedziała swoje. Że się uda. W końcu to jej ciało mieli malować.

Działo to w ten sposób, że każdej nocy klient dostawał do swojego pierwszego drinka los, tak po prostu. O północy wychodziłem na scenę ze wszystkimi losami w szarej fedorze* i Samem usadowionym na moim ramieniu. Mieszałem losy, a Sam nurkował do kapelusza i wyłaniał zwycięzcę. Jedna z dziewczyn przynosiła farby i pędzle. Mary wychodziła i tańczyła, a pod koniec

*** fedora - męski kapelusz, spopularyzowany w latach 40-tych XX wieku - przez Humprey'a Bogarta; kapelusz Indiany Jonesa (przyp. tłum.)**

przybierała nieruchomą pozę. Wówczas odczytywałem wylosowany numer.

Wręczałem szczęśliwcowi nożyczki, by mógł przeciąć jej majteczki - to zawsze wywoływało owacje na stojąco - a potem facet zaczynał malować. Kiedy doszliśmy do wniosku, że robi to już wystarczająco długo, zaciemnialiśmy lokal i włączaliśmy muzykę, a kiedy Mary zaczynała swój taniec, robiło się naprawdę dziko. Farba była opalizująca, a dzięki ciemności omijaliśmy zasady odnośnie alkoholu, tańca i kompletnej nagości. To zapełniało budę każdej nocy. Farba była na bazie wody, więc pół godziny później mogła ją zmyć i powrócić, bisując jak gwiazda.

Bujaliśmy się. W piątkowe i sobotnie noce zostawialiśmy konkurencję daleko w tyle. „Niebieska Papuga”, zanim została przerobiona na bar, była księgarnią-antykwarem, a wcześniej jeszcze pracownią artysty. Zatem mieliśmy zaledwie sto pięćdziesiąt miejsc. Ale sto pięćdziesiąt osób, pijących drinki przez całą noc to i tak kupa szmalu. Szło nam dobrze.

Pewnej nocy, kiedy właśnie zamykaliśmy, zobaczyłem Bernie polewającą Mary podwójną szkocką przy barze, podczas gdy kelnerki układały krzesła na stołach. Mary zazwyczaj nie piła dużo, więc zastanawiałem się, co się stało. Podszedłem i zamówiłem sobie jedną. Mogłem wyczuć zapach jej perfum Possession, który podniecał mnie delikatnie.

Po chwili odezwała się:

- To dziwne, Stu. Dziś podczas pokazu... Czuję się *obserwowana*.

Wszyscy się zaśmialiśmy.

Jednak spojrzenie, jakim nas obdarzyła, sprawiło, że natychmiast nabraliśmy powagi.

- Ludzie, mówię serio. Nie mam na myśli tego, jak faceci zazwyczaj na mnie patrzą. Cholera, przywykłam do tego. To było... to było coś innego.

Zmroziło mnie przez moment.

- Masz na myśli, że mamy tu jakiegoś zbrodźcę? Coś w tym stylu?
- Nie wiem. Może. Cokolwiek to było, nie chcę, aby na mnie patrzyło.

Wypiła kolejną szkocką.

Nie miałem nic do powiedzenia. Obiecałem jej, że będę miał oko na publiczność i zobaczę, czy uda mi się wyłapać kogoś dziwnego, a jeśli tak, to go wykopię. Widywałem różne typy. Zazwyczaj są nieszkodliwi, ale nigdy nic nie wiadomo. Moja obietnica chyba poprawiła jej humor. Dopija drinka i poszła do domu, a ja posiedziałem jeszcze chwilę w smudze zapachu Possession, dziękując swojej szczęśliwej gwiazdzie za Bernie, która była tu przy mnie i przypominała, że za stary już jestem, by próbować pocieszać Mary intensywniej.

Przez kilka następnych nocy obserwowałem gości, ale nikt nie wydawał mi się podejrzany. Chociaż Mary twierdziła, że teraz zdarza się to *codziennie*. To samo uczucie. Zacząłem się o nią martwić. Była niespokojna. Widać to było w jej oczach podczas występu. Nie były takie same - nie było w nich tej zuchwałości. Nadal zapierała dech publiczności, lecz już nie spojrzeniem. Robiła to swoją wolą i ciałem. Czegoś brakowało.

Potem zacząłem coś dostrzegać.

Światło w damskiej przebieralni, które nie chciało się wyłączyć. Gasiłem je przy zamykaniu lokalu, ale następnego ranka nadal było zapalone.

W piątki i soboty zapraszaliśmy zespoły grające na żywo, miejscowych chłopców, no i zaczęły pojawiać się skargi, że ktoś przedstawiał ich instrumenty w magazynie. Nikt oprócz mnie i Bernie nie miał klucza, a przecież my tego nie robiliśmy. Po kilku miesiącach zespół przestał u nas grać. Nie mogłem ich winić. Instrumenty były drogie, a w ramach wyjaśnień dostawali ode mnie tylko zakłopotane wzruszenie ramionami.

Potem kucharz zaczął narzekać na grzechoczące w kuchni naczynia.

Kiedy Bernie i ja otwieraliśmy lokal, odkrywaliśmy, że ktoś poprzestawiał stoły i krzesła.

Rozważaliśmy wszystkie możliwości. Światło w przebieralni było źle podłączone. Dzieciaki włamały się do magazynu i bawiły się instrumentami, a potem w nocy przestawiały krzesła i stoły. Fundamenty osiadały, powodując brzdęk naczyń. Oczywiście to nie pasowało. Wiedzieliśmy, że to bzdury.

Mieliśmy duchy. Lokal był nawiedzony.

Byłem już tego prawie pewny, kiedy Paula zaczęła słyszeć różne głosy.

Paula była jedną z naszych tancerek - niska, zadziorna blondynka ze wspaniałym tyłkiem i diastemą, zupełnie jak u Lauren Hutton. Była trochę nieśmiała, absolwentka anglistyki o ile dobrze pamiętam, jedyna dziewczyna w klubie, która nalegała na noszenie osłonek na sutki. Klóciłem się z nią o to - mieliśmy w końcu 1996 rok - ale za każdym razem gdy tańczyła bez nich, wypadła słabo, więc w końcu pozwoliłem jej je zatrzymać. To dziwne, co może dać człowiekowi pewność siebie. Z osłonkami była drugą najlepszą tancerką, jaką mieliśmy. Może nie tej samej klasy co Mary, ale była dobra.

Pewnej nocy zeszła ze sceny, podbiegła do mnie i powiedziała:

- Co jest? Uczysz Sama brzuchomówstwa, czy co?

Była zła, ale też blada, jakby zjadła coś niezdrowego. Zapytałem, o co jej chodzi, a ona powiedziała, że kiedy była na scenie, ktoś do niej przemawiał. Brzmiało to, jakby stał tam razem z nią, bo jak inaczej mogłaby go słyszeć przy tej muzyce? Pomyślała więc, że może Sam dostał się na krokwie nad jej głową, tam, gdzie podwieszane były reflektory.

Sam oczywiście siedział na swojej żerdzi, jak zawsze. Nigdy nie latał swobodnie. Był leniwy jak cholera. Powiedziałem jej to.

- Więc masz do czynienia z nawiedzeniem, Stu - oznajmiła. -1 chciałabym wiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić.

Zapytałem ją, co konkretnie słyszała.

- Facet prawil mi komplementy.

- Komplementy?
- Taa. Podobały mu się moje piersi. Podobały mu się moje uda. A najbardziej podobały mu się moje „derriere*“.
- Tak je nazwał? Twoje derriere? -Tak.
- Jezu.
- Chcę wiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić. Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. W końcu odparłem:
- Chyba urządzę seans.

Wydawało się to naprawdę logiczne. Dowiedzieć się, czego chciał ten facet. Zobaczyć, czy uda się go przepędzić - na przykład do „Konika Morskiego”, parę przecznic stąd. Ze znalezieniem medium nie było problemu. W Lauderdale było ich pełno. W każdej turystycznej miejscowości znajdzie się miejsce dla jasnowidzów, uzdrowicieli, co tylko chcecie. Musiałem znaleźć kogoś, kto po prostu znał właściwe słowa.

Jak się okazało, znała je Mary.

- Jasne, Stu - powiedziała. - W Indianie podsluchiwałam swoją ciotkę, Lilian. Zawsze starała się wywołać brata, wuja Joe, „który się zapił”, jak zwykli tam mawiać ludzie. I przywołała go, chociaż, jak myślę, po drugiej stronie też chlał na umór, ponieważ wszystko co mówił, było niezrozumiałe. Ale pamiętam całą procedurę.

- Chcesz spróbować?

- Jasne, dlaczego nie? Im wcześniej, tym lepiej. Do niej mówi, a mnie obserwuje. Dorwijmy drania. Jutrzejszej nocy, po zamknięciu.

Nabazgrała mi listę zakupów. Rano pojechałem wszystko kupić - biały obrus, białe świece, ceramiczne świeczniki i tabliczkę ouija**.

Podczas przerwy obiadowej kucharz powiedział mi, że

' Z francuskiego „pośladki” (przyp. tłum.).

"Plansza z literami, cyframi i słowami wraz z niewielką trójkątną wskazówką (tzw. planszeta), zamocowaną na dwóch rolkach i pionową igłą. Kolejno wskazywane znaki (przez ducha lub osobę trzymającą wskaźnik) tworzą wyrazy będące odpowiedzią na pytania zadawane przez uczestników seansu spirytystycznego. Nazwa pochodzi od zbitki francuskiego słowa *oui* z niemieckim *ja* - oba wyrazy oznaczają „tak” (przyp. red.).

ktoś wypchał jego kurczaka ryżem i lodami o smaku mokki. Niełatwo było go uspokoić.

Tej nocy niewidzialne palce odpięły osłonki Pauli.

Rzeczy wymykały się spod kontroli.

O trzeciej wyszedł ostatni klient, a my zebraliśmy się na scenie. Przygotowałem stół i cztery krzesła, nakryłem go białym obrusem, ustawiłem świece na świeczniku i rozłożyłem tabliczkę ouija. Mary i Paula przebrały się w codziennie ubrania, a potem czekaliśmy aż Bernie podliczy przychód. Usiedliśmy, wyłączyliśmy światła i zapaliliśmy świece. Zamknęliśmy oczy i chwyciliśmy się za ręce.

Nie pamiętam wszystkiego, co Mary mówiła tej nocy, ale było coś o tym, że siedzimy tu, czworo przyjaciół, gotowych wezwać ducha, który się tu zadomowił, że przybywamy w pokoju, przyjaźni i mamy nadzieję, że skontaktuje się z nami bezpośrednio albo poprzez tabliczkę. Była bardzo grzeczna. Pamiętam dotyk jej dłoni, ciepły i miękki, podczas gdy Bernie miała twardszą i chłodniejszą, ale bardziej pocieszającą. Znowu poczułem upojny zapach Possession. Na moment zapadła cisza. Czekaliśmy.

- Otwórzcie oczy - powiedziała. - Wypróbujemy tabliczkę. Umieście na planszecie koniuszki palców, tylko delikatnie.

Jeśli nigdy nie widzieliście tabliczki, planszeta to plastikowy trójkąt, który podobno porusza się po planszy z literami, odczytując wiadomość. Bernie, Paula i ja zrobiliśmy, co kazała Mary, a planszeta nawet się nie poruszyła. Potem Mary przyłożyła do niej swoje palce. Wtedy to cholerstwo zaczęło się wychylać z taką prędkością, że ledwo odczytywaliśmy litery.

- Popychasz to! - powiedziała Paula, ale ja wiedziałem, że wcale tego nie robiła.

Wszyscy to wiedzieliśmy. Pokój nagle coś wypełniło, coś elektrycznego i przenikającego. Mary nawet nie zauważyła. Była zbyt zajęta obserwowaniem rozbieganego, wirującego plastiku.

Pięć minut później mieliśmy całą wiadomość. Bernie ją zapisała. Do dziś mam ją w swojej szufladzie.

CZEŚĆ MAM NA IMIĘ FRANK I OBRAZILIŚCIE MNIE NIE LUBIĘ I NIE CENIĘ WASZEGO ALKOHOLU I WASZYCH NAGICH UPODLONYCH KOBIEŃ I GŁOŚNYCH PIJANYCH TŁUMÓW A SZCZEGÓLNIIE MALOWANIA PONIEWAŻ TO JEST GŁUPIE I HANIEBNE I RANI MOJE UCZUCIA CZY MOGLIBYŚCIE ZANIECHAĆ TEGO A PRZY OKAZJI CO TO ZA BUNTOWNICZA MUZYKA

- Rock'n'roll - wyjaśniła Mary.

AHA, odpowiedziała tabliczka. Potem, przez moment, nic się nie działo.

Zadawaliśmy pytania, kim on był i czemu tu jest, ale otrzymaliśmy tylko upartą ciszę, aż w końcu odpowiedział:

TO JEST MÓJ DOM ZAWSZE TU MIESZKAŁEM BYŁEM TU OD ZAWSZE ŚWIATŁO JEST DOBRE A PRZY OKAZJI CO TO ZA PERFUMY

- Possession - odparła Mary.

AHA, odpowiedziała tabliczka. **SĄ BARDZO ŁADNE**

- Przynajmniej lubi jedną z tych upodlonych, nagich kobiet - skomentowała Paula.

I to by było na tyle.

Usiedliśmy przy drinkach i gulaszu, który nastawiła dla nas Bernie. Mary rzuciła Samowi orzeszki.

Gadaliśmy do rana i Sam, który ma niezłą pamięć krótkoterminową, aż do chwili, gdy skończyliśmy, powtarzał ciągle wszystkie pytania. *Co mamy zrobić? Jak się pozbędziemy tego sukinsyna? Kto to jest? Jakies pomysły?*

- Zamknij się, Sam - powiedziała Bernie. Nagle mnie olśniło.

- Archiwum! - wykrzyknąłem.

- Jasne - rzekła Mary. Możemy sprawdzić, kim on jest. Nie spałem za długo. Do południa Bernie i ja byliśmy już

w archiwum. Szukaliśmy go do 14:30. Wierzyliśmy na słowo, że mieszkał tu od zawsze. Ale tak nie było. Artysta. Frank W. Morgan. Był właścicielem tego miejsca przez piętnaście lat, tuż przed jego zamianą na księgarnię w latach dwudziestych. Powinienem się domyślić, po tym, co powiedział - **ŚWIATŁO JEST DOBRE**. Malarz. Oczywiście.

Poszliśmy od razu do biblioteki, żeby obejrzeć reprodukcje jego prac. Nie rozumiałem, dlaczego miał obiekcje względem malowania ciała, tematem połowy jego prac była nagość. Malował nagie kobiety w mitycznych, quasi metafizycznych dekoracjach, podobnie jak prerafaelici. Swym obrazom nadawał tytuły, takie jak „Dydona i Eneasz”, „Łamią”, „Circe”, czy „Penelopa i kołowrotek”. Wszystkie były trochę zbyt melodramatyczne, jak na mój gust, trochę afektowane, ale niezłe. Mieliśmy do czynienia z duchem całkiem wybitnej osobistości. Zmarł na niewydolność serca w 1928 roku, jako kawaler, w wieku trzydziestu siedmiu lat.

Powiedzieliśmy Pauli i Mary, co znaleźliśmy, a one nie mogły się doczekać, kiedy znów użyjemy tabliczki ouija.

Malowanie ciała oczywiście zostało. To nie była sprawa jakiegoś nieznośnego ducha. Nie będzie mi mówił, w jaki sposób mam zarabiać na życie. Poza tym, tak było łatwiej dla nas wszystkich. Wiedza o tym, kim był, czyniła go mniej niepokojącym. Występ Mary był tej nocy prawie normalny.

Po zamknięciu znów zmusiliśmy go do mówienia.

Powiedzieliśmy, że wiemy o nim wszystko. **DOPRAWDY?** - usłyszeliśmy. Spytałiśmy go, gdzie zmarł. Byliśmy ciekawi. **NIE WASZA SPRAWA** - odpowiedział. Zapytaliśmy go, czy podobały mu się dziewczyny. Nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Następnie, dlaczego malował starożytne sceny, zamiast współczesnych, a on powiedział **LATA DWUDZIESTE BYŁY DLA MNIE**

ZBYT KRZYKLIWE I ZAPOMNIAŁEM SPYTAĆ CO ZA NIEDORZECZNE COŚ NOSISZ NA SWOICH SUTKACH.

Paula zarumieniła się i powiedziała mu, że to osłonki. W końcu Mary zebrała się w sobie i zapytała, czy zawsze będzie się pojawiać, kiedy go wezwiemy. Powiedział, że tak. Zapytała dlaczego.

PONIEWAŻ MUSZĘ DO CHOLERY - odparł i nagle stół zaczął się trząść, jakbyśmy mieli tu własne trzęsienie ziemi. Dało się wyczuć gniew, wylewający się przez deski w podłodze. Bernie zbladła jak prześcieradło. To było przerażające.

Zanim ustało, usłyszałem Sama skrzeczącego na swojej żerdzi. Jego głos był wysoki i przejmujący. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak wystraszonego i prawie dałem sobie spokój z tym wszystkim. Teraz wiem, że powinienem. Ale Mary zaszczepiła coś w moim umyśle. Jestem przedsiębiorcą. Nic na to nie poradzę. To przychodzi wraz z latami praktyki i zostaje we krwi.

Powiedział, że będzie przychodził za każdym razem, kiedy go wezwiemy. I trzął stołami.

Następnej nocy wyciągnął obrus spod świeczników. Tkanina wystrzeliła na jakiś metr w powietrze, a potem opadła za moimi plecami. Kolejnej nocy uniósł stół na ponad pół metra nad podłogę. Za trzecim razem zmiażdżył planszetę.

Chodzi o to, że my poprosiliśmy, by zrobił te rzeczy.

A właściwie Mary prosiła. Jej zawsze odpowiadał, wobec nas był kapryśny.

Ale to również mogłem wykorzystać.

- No to robimy seans - powiedziałem jej. - Pod koniec pokazu?
- Co?
- Wpasujemy go w program.
- Zwariowałeś, Stu.
- Czemu nie? Raz możemy spróbować. Jeśli nic się nie wydarzy, nie będzie problemu. Ale jeśli się uda, wykorzystamy go marketingowo.

Siedzieliśmy przy barze, a obiadowa klientela powoli napływała. Cokolwiek kucharz gotował, pachniało tak dobrze, aż sam zgłodniałem. Zapach Mary też na mnie działał. Przez moment poczułem się cyniczny, sprytny i chciwy. Uśmiechnąłem się do niej, ona spojrzała na mnie i odwzajemniła uśmiech. W oczach znów miała to coś, co mówiło, że może się zgodzić.

- No nie wiem, Stu - powiedziała. Trochę się bała. - Powiedz mi, co masz na myśli.

Uzgodniliśmy to.

Daliśmy seansowi miejsce tuż po Pauli, przed numerem z malowaniem ciała. Nawet jakby nie wypalił, nadal mieliśmy w zanadrzu gwóźdź programu. Zgasiliśmy światła, dwie kelnerki wniosły stół z obrusem, świecami, tabliczką ouija i planszetą, tymczasem sam wykonałem mały numer, próbując przestraszyć publikę.

Powiedziałem im wszystko o Franku W. Morganie, o tym, że był malarzem, że nie żyje od 1928 roku i że powinni usłyszeć jego wycie i wrzaski. Oczywiście myśleli, że ich nabieramy. Ale udało mi się do nich dotrzeć. Wymyśliłem historyjkę o tym, iż został zamordowany przez byłą kochankę, zazdrosną modelkę. Zadbalem, by opowieść była ponura i mroczna, tak więc pod koniec przykułem ich uwagę. Cały lokal zamilkł. Było tak cicho, że gdyby ktoś upuścił chochlę w kuchni, dałoby się słyszeć jej brzdęk.

Bernie, Paula i Mary wyszły ubrane w białe szaty i zajęły miejsca przy stole, podobnie jak ja, zaraz po zapaleniu świeczek.

Poczułem go jeszcze zanim go wezwaliśmy.

Coś zimnego i twardego, tuż obok mnie. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że głupio się uśmiechał.

Tłum zareagował ochami i achami, kiedy tylko stolik zaczął się unosić, a potem znów, kiedy świece zamieniły się miejscami, a obrus zatrzepotał i po raz kolejny, kiedy tabliczka ouija złożyła się i przeleciała przez pomieszczenie, uderzając w bar. To uciszyło publiczność na dobre. Myślę, że byli przerażeni, głównie

bali się o Mary, która prowadziła dialog, ale i o siebie, ponieważ to gęste i dziwne uczucie w pomieszczeniu narastało, a skrzeczenie Sama było niezwykłe, przechodzące od niskiego jęku do głośniejszego i ostrzejszego, aż w końcu - zgodnie z planem - Mary wstała i rozkazała duchowi Franka W. Morgana zdjąć jej szatę i *zrobić to od razu*. Usłuchał. Ona oczywiście pod spodem była naga. Potem słychać było tylko skrzeczenie Sama, wysoki, przeraźliwy, ptasi odgłos kompletnego strachu.

- Pomaluj mnie - powiedziała.

Nie miałem pojęcia, że to nadchodzi. Naprawdę.

Wiedzieliśmy, co on myśli o malowaniu ciała i zabroniłbym jej tego, gdyby dała mi jakiś znak. Niektórzy mi nie wierzą, jednak to prawda. Ale to było w jej stylu, postawić na swoim w tak teatralny i ekscytujący sposób. Znow ta zuchwałość, ta śmiałość. Puszki z farbą i pędzle były tuż za nią, za kulisami po prawej stronie sceny i ona o tym wiedziała.

- Pomaluj mnie!

Stała w świetle świecy, z uniesioną wysoko głową, uśmiechając się. Zapach Possession emanował z niej falami ciepła, a pośród nas nie było nikogo, kto by się odezwał, tylko Sam i jego bezbożny skrzek. Wtedy jakby wielka dłoń podniosła ją prawie dwa metry nad ziemię, a ja nagle przypomniałem sobie, co mi mówiła o tym, że nigdy nie poznała mężczyzny tak silnego, jak ona sama, no i pamiętałem, co czułem od niego chwilę przed tym jak usiedliśmy do seansu. Tymczasem ona zawisała w powietrzu na moment, z ustami otwartymi w zdziwieniu i powiedziała tylko „ups”. Przysięgam. „Ups”. Jakby nigdy nie wierzyła, że to się w ogóle stanie, a potem rzucił nią prosto w prawą kulisę.

Usłyszeliśmy trzask. Sam nagle zamilkł.

Następnie rozległ się dźwięk kapiącej farby.

To było litościwe, trzeba mu przyznać. Głowa znajdowała się przy ścianie pod takim kątem, że wiadomo było, iż nie cierpiała.

Pomalował ją.

Myśleliśmy, że będzie jakaś kulminacja, zakończenie - nie było. „Niebieska Papuga” nigdy nie przestała być nawiedzona. Przeciwnie.

Kucharz nadal od czasu do czasu szuka swojego durszlaka i swoich szpatulek, musi też uważać, by jego nadzienie nie zawierało niechcianych substancji; Bernie znajduje butelki po szkockiej poukrywane w najróżniejszych miejscach i co rano musimy na nowo ustawiać stoły przed otwarciem.

Oczywiście wyrzuciliśmy tabliczkę ouija. Zarzuciliśmy też głośny rock'n'roll na rzecz muzyki country, którą chyba bardziej lubi. No i nikt już nie maluje nagich dziewczyn, przez szacunek do Mary.

Czuję Possession w każdym kącie klubu. To największe przekleństwo. Muszę przyznać, że facet ma gust. Sam mruga w nicość i spogląda w cienie.

PRAWO MEGAN

A co wy byście zrobili?

Gliniarz podchodzi do waszych drzwi i puka. Wyglądacie przez okno i widzicie radiowóz zaparkowany przed domem. Otwieracie, a ten dzieciak o połowę młodszy od was, z bronią, kajdankami, ładownicą na pasku, notatnikiem, ołówkiem i jakimiś ulotkami w rękę mówi: *proszę pana, dzień dobry, czy pan Albert Walker!* A wy odpowiadacie: *tak, co mogę dla pana zrobić, panie władzo!* On się przedstawia i zaczyna informować was w ten miły, słoneczny, letni, sobotni, pachnący świeżo ściętą trawą i rosą poranek, że dwa domy dalej wprowadził się *gwałciciel, pierdolony dręczyciel dzieci* o nazwisku Phillip Knott, kryminalista wysokiego ryzyka, a on przekazuje to z rozkazu biura prokuratora stanowego.

Mówi, iż rozumie, że macie dwunastoletnią córkę, *Michelle, prawda!*, a wy potakujecie. Prosi, byście zachowali ostrożność. Zerka w notatnik, by upewnić się, że nic nie pomylił. Mówi, że *proszą rodziców w sąsiedztwie, by wzmocnili swoje instrukcje dotyczące trzymania się z daleka od obcych i żeby traktować pana Knotta jako wyjątkowo groźnego, by powiedzieć opiekunom, aby nie spuszczaali dzieci z oczu i by przekazać dzieciom, gdzie mieszka pan Knott i jak wygląda.* A potem wręcza wam ulotkę.

Patrzycie na policyjną fotografię. Front i profil. Zrobiona sześć lat temu, informuje gliniarz.

Od przodu nie wyglądał źle. Przed trzydziestką, ciemne włosy. Wysoko osadzone kości policzkowe, mocna szczęka, szczelina w podbródku i szerokie, zmysłowe usta. Jednak oczy miał dzikie, straszne. I głębokie cienie pod nimi, jakby nie spał dobrze albo jakby za dużo pił. Na zdjęciu z profilu widać niesamowity, długi nos jak u Boba Hope'a i nie ma wątpliwości - facet wcale nie wyglądał dobrze. Z boku cienie pod oczami wydawały się jeszcze ciemniejsze.

Potem gliniarz mówi, że jeśli moja córka z jakiegokolwiek powodu zostanie zaczepiona przez pana Knotta, powinienem zgłosić to na policję, tak jak w przypadku każdej innej podejrzaney aktywności kryminalnej. Potem mówi mi, czego *nie mogę* zrobić. Na początek, nie mogę przekazać tych informacji nikomu innemu ze społeczności. To zadanie biura i lokalnych władz. Nie mogę nawet tego *komentować*. *Wszystkie działania podjęte przeciw panu Knottowi, włącznie z aktami wandalizmu na terenie posesji, słownymi lub pisemnymi groźbami, przemoc fizyczna przeciw niemu lub jego rodzinie czy pracownikom, będzie skutkowała aresztowaniem i procesem. Czy to rozumiem?* Ostrzegł mnie przed uformowaniem straży obywatelskiej. Słyszałem go głośno i wyraźnie, ale sam też miałem pytania.

- Proszę zaczekać. Mówimy o mężczyźnie, który zamieszkał w domu Hadleyów, prawda?

- Zgadza się.

- Wprowadził się tydzień temu. I dopiero teraz pan o tym mówi?

- Rozumiem pańskie obawy. Mogę jedynie powiedzieć, że to czasami trwa. Robota papierkowa, biurokracja i te sprawy. Ale, jak mniemam, był zajęty przeprowadzką. Pan by nie był?

- I nic nie możemy z tym zrobić?

- Może pan być ostrożny.

- Chodziło mi o wykopanie go stąd. Wzruszył ramionami.

- Facet musi gdzieś mieszkać. Odsiedział swoje. Musi odwiedzać kuratora raz w tygodniu i potwierdzać swój adres w biurze prokuratora co trzy miesiące. Poza tym, może chodzić gdzie chce, jak każdy inny.

- Jak każdy inny.

- Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda.

Dzieciakowi rzeczywiście było przykro. To trzeba przyznać.

Ponownie spojrzałem na policyjne zdjęcia. Pod fotografiami znajdowały się personalia, charakterystyka, adres, marka samochodu - biały ford escort - numery rejestracyjne, miejsce zatrudnienia - Warsztat u Gene'a, i - wiedziałem to dobrze - opis jego przestępstwa.

Kwalifikowany jako maniak seksualny.

- Może mi pan powiedzieć, co on takiego zrobił?

- Obawiam się, że nie mogę, proszę pana. Naruszyłbym jego prawa obywatelskie.

- Ale pan wie, prawda? -Tak.

-1 to było złe, prawda?

Dzieciak spojrzał na mnie. Odpowiedź kryła się w jego wzroku.

- To bardzo niedobrze.

- Nie mogę się nie zgodzić, proszę pana. Proszę porozmawiać z córką. Większość tych facetów nie chce namieszać we własnym sąsiedztwie. Idą gdzie indziej. Proszę jej powiedzieć, by uważała i jestem pewien, że wszystko będzie dobrze.

Życzy mi miłego dnia i schodzi ze schodków na chodnik, po czym idzie w stronę mieszkania Freda Grummona, sąsiada. Ciekawe, jak Fred i Susan to przyjmą. Ich córka Linda ma osiemnaście lat, ale Fred Junior tylko dziesięć. Knott mieszka tuż obok nich, trzeci dom na naszej małej, zamkniętej ulicy. Puka do drzwi. Nie chcę tego oglądać. Wchodzę do środka.

* * *

To niesprawiedliwe. Teraz zamartwiam się przez cały czas.

Pod wieloma względami to nawet gorsze niż pierdolone Rahway. W Rahway miałem przynajmniej Jumma do ochrony i chociaż był kurewsko drogi, miałem szczęście, że mogłem chodzić z podniesioną głową, a tutaj nie mam nikogo. Nikogo, komu mógłbym ufać i pozwolić osłaniać tyły. Chłopaki w warsztacie. Ufam właścicielowi, ale nie reszcie tych głupich dupków. Wiedzą, że jestem cholernie dobrym mechanikiem, ale chcieli mnie skopać już od pierwszej chwili.

Wszystko jest nowe. Może o to właśnie chodzi. Tylko tydzień w tym cholernym mieście. Nie mogę nawet patrzeć na swoich sąsiadów.

To Prawo Megan. Wszyscy wiedzą - pierdolone piętno! W Kalifornii podłożyli facetowi pod samochód bombę, spalili biednego drania, na śmierć. W Connecticut dorwali innego, było ich dwudziestu pięciu, skatowali go, ale pomylili się, zła tożsamość, dorwali nie tego gościa. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie aż tak przerażające. Do czego ludzie są zdolni.

To niesprawiedliwe.

Cholera, odsiedziałem swoje. Sześć lat. Spłaciłem swój dług wobec społeczeństwa. Mam czyste konto. Czy pozostanie czyste? Poczekamy, zobaczymy.

** * **

Co, do cholery, miałem zrobić?

Porozmawiałem z nią. Porozmawiałem z Michelle jeszcze tego ranka. Pokazałem ulotkę i powiedziałem o tym facecie. Była przerażona, tak jak wtedy, kiedy bała się swojej szalonej, zalanej w trupa, nędznej namiastki matki, ale w tym przypadku musiałem ją przestraszyć, to był mój obowiązek i chyba podziałało. Jeśli go zobaczysz, oznajmiłem jej, jeśli odezwie się do ciebie chociaż

półośłówkíem, dajesz znać mi, a ja wzywam policję. Nic odzywaj się do niego, nie zbliżaj się do niego. Jeśli będzie się kręci! w pobliżu szkoły, a ty go zobaczysz, od razu powiedz nauczycielowi. Potem możesz zadzwonić do mnie do biura. OK? Dobrze, tato.

Kocham tę małą dziewczynkę. Przeżyła straszliwe katusze ze swoją matką. Judy była lekko trzepnięta, kiedy poznałem ją w szkole trzynaście lat temu, ale wówczas nie piła, tylko studiowała ekonomię, była bystra i ładna, z delikatnymi blond włosami i jasnymi, niebieskimi oczyma, które dała naszej córce, a w łóźku była kompletnie dzika. Poślubiłem tę dzikość, a nasza córka ją okiełznała. A może okiełznała ją opieka i miłość? Nie wiem.

Michelle miała siedem lat, a ja wracałem każdej nocy z pracy w firmie brokerskiej, by znaleźć Judy schlaną wódką. Omdlała w salonie, jeśli mieliśmy szczęście, lub wrzeszczącą na Michelle, jeśli nie mieliśmy. Do czasu, kiedy mała skończyła dziesięć lat, moja żona była już martwa, umarła leżąc na podłodze przy kuchennym zlewie, ze skręconym karkiem. Michelle ją znalazła. Pamiętam jej podręczniki, notatki i papiery porozrzućane po podłodze w przedpokoju. Wybuch przerażenia. Szczątki katastrofy.

Przez cały ten czas byłem jej jedynym obrońcą. Najpierw przed żoną, potem przed resztą świata. Nie zamierzałem przestać.

Znalazłem Michelle opiekunkę na tę noc i poszedłem do pubu Turnera na Myrtle Avenue. Jeśli ktoś miał coś na Phillipa Knotta, to był to Tommy. Wszyscy gadali z Tommy'm. Radni miejscy, gliniarze, adwokaci, dentyści, ginekolodzy. Praktycznie nie dało się z nim nie gadać. Najbardziej uprzejmy Irlandczyk, jaki chodził po tej ziemi. Tommy był troskliwy, nalewał mocne drinki, kiedy byłeś trzeźwy, a odcinał cię i załatwiał powrót do domu, kiedy okazywało się, że nie jesteś.

- Taa, słyśzałem - powiedział Tommy. - Chujowo, co?
- Wiesz co on zrobił, Tom?

Spojrzał na mnie. Lodowate, niebieskie oczy osadzone pod rudymi brwiami.

- Nie chcesz tego słyszeć, Al. Naprawdę.

- Chcę. Jezu, Tommy, ty byś nie chciał? Westchnął i pochylił się nad barem.

- Dobra. Lerner wpadł tu parę dni temu, po swojej zmianie. Powiedział, że to się działo w Livingston, jesienią dziewięćdziesiątego drugiego. Dziesięciolatka wracała ze szkoły do domu na pożyczonym od koleżanki rowerze, bo jej własny się zepsuł. Pedalowała mocno, powoli wjeżdżając na wzgórze. Knott bez problemu zatrzymał ją na chodniku, położył dłonie na kierownicy. Powiedział, że na moment potrzebuje jej roweru i że zaraz go zwróci. Odparła, że to nie jej, tylko przyjaciółki. Knott uderzył ją w twarz, strącił, a potem zaciągnął razem z rowerem do przepustu. Tam zostawił rower, a dziewczynkę zaciągnął do lasu. Nikogo nie było w pobliżu. Na pewno chcesz usłyszeć resztę? Potem robi się ostro.

- Na pewno.

Wychylił się jeszcze bardziej.

- Bydlak rozebrał ją i zgwałcił, wpychając do ust zeschnięte liście, by nie mogła krzyczeć. Przeleciał ją cholernym patykiem. Kiedy skończył, zostawił nieprzytomną i wrócił do przepustu, wsiadł na rowerek, po czym odjechał.

- Chryste. Jak go złapali?

- Mieli go już wcześniej, za machanie kutasem na placu zabaw dla dzieci. Jego odciski były na rowerze. Głupi skurwysyn, zostawił go na chodniku jakieś sześć bloków dalej. No i te ślady ugryzień.

- Ugryzień? Skinął głową.

- Na całym ciele. Pasowały do użębienia Knotta. Lerner stwierdził, że miała szczęście, że przeżyła. Chociaż szczęściem bym tego nie nazwał.

- Mówiłeś o tym komuś jeszcze, Tommy?

Nalał mi kolejną szkocką.

- Twojemu sąsiadowi z naprzeciwka, Normowi Greenowi. Może chciałbyś zamienić z nim słówko? Ja bym tak zrobił.

Gliniarz wspominał, że nie powinienem rozmawiać o tym z moimi sąsiadami.

Ale ten już o tym wiedział, więc pieprzyć to.

* **

Doktor Stringer mówił, że jeśli chcę, mogę to kontrolować. Bierz leki, nie pij. Mam nadzieję, że miał rację. Jeszcze jedna wpadka, jak ostatnio, i będę miał jakiegoś czarnucha zakotwiczonego w dupie na resztę życia. Dopóki nie będę tak stary, że nikt nie będzie chciał mnie zaczepiać.

Chujowo. Zrobisz to raz i natychmiast chcesz więcej. Ja zrobiłem to cztery razy. Ale już dawno temu.

Najbardziej podobał mi się drugi raz, z rudą. Prawdziwą rudą. Na oko mogła mieć osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Nigdy nie dowiedziałem się, ile miała dokładnie, bo nigdy nie złożyła zeznań.

Twarda, mała suka.

Ciekawe jak wytłumaczyła chłopakowi i rodzicom brak sutka. Nienawidzę swojej roboty.

Nienawidzę tego głupiego, przekłętego miasteczka. Chcę coś pieprzyć. Chcę coś pieprzyć, dopóki nie zacznie krzyczeć.

* * *

Nie mogłem uwierzyć. Porozmawiałem z Normem Greenem, a on nic nie chciał zrobić. Nic. Nawet zastraszyć go z telefonu na kartę. Powiedział, że zamierza trzymać się programu, chociaż też go to wkurzało. A Norm i Beverly mają córkę, Clare, która jest dokładnie w wieku mojej. Gdyby nie poszła do katolickiej szkoły

Świętej Filomeny, byłaby w jednej klasie z Michelle. Rozmawiałem też z Fredem i Susan Grummonami i chociaż Susan była wyraźnie przerażona, Fred powiedział w zasadzie to samo, co Norm. *Gość spierdoli albo nie. Jeśli tak, zamkną go znowu. Jeśli nie, nie ma problemu. Rozmawialiśmy z naszymi dziećmiakami i wszystko już o nim wiedzą. Będą ostrożne.*

Gówno prawda. Taki facet jak on to tykająca bomba.

Taką bombę należy rozbroić.

Tej nocy nie mogłem spać. Za każdym razem, kiedy zamykałem oczy, widziałem tego faceta, pochylającego się nad rowerem mojej córki. Strącającego ją uderzeniem. Zaciągającego do lasu. Rozdzierającego jej bluzeczkę, dzinsy. I gorsze rzeczy.

Michelle nawet już nie jeździ na rowerze.

Wstałem, wycieńczony i zdenerwowany. Ten gość nie będzie z nami zadzierał. Mowy nie ma. Nie, jeśli mogę na to coś poradzić.

A co wy byście zrobili?

Całą niedzielę spędziłem wyglądając przez okno, czekając by ujrzeć białego forda escorta. Albo tego faceta spacerującego chodnikiem. Wpatrywałem się w policyjne fotografie. Jego twarz wyglądała mi teraz na naprawdę złowrogą. Pokusa, by iść do jego domu, zapukać do drzwi i pobić go na śmierć była silna jak zimowy wiatr, ale się jej oparłem. Powstrzymałem się też przed zadzwonieniem do niego. Jego numeru pewnie i tak nie było w książce telefonicznej. Kiedy Michelle i jej koleżanki poszły spędzić poranek na Colony, oparłem się pokusie śledzenia ich.

Ale bardzo chciałem.

W biurze nie bywam przed dziesiątą, ale w poniedziałek wstałem wcześniej i usadowiłem się na ganku ze szklanką soku pomarańczowego, tostem, filiżanką kawy i obserwowałem ulicę. Domyśliłem się, że Knott pewnie będzie musiał być w warsztacie na dziewiątą i miałem rację. Za piętnaście dziewiąta zobaczyłem, jak jego samochód zjeżdża z podjazdu i mknie w dół ulicy. Zaniósłem śniadanie do środka. Michelle jeszcze spała.

Wyszedłem ponownie i ruszyłem w stronę domu Hadleyów, który teraz należał do Knotta. Zatrzymałem się na chwilę, by dodać sobie otuchy i przypomnieć to, co wiedziałem o tym domu. Nieważne, w którym miejscu na podjeździe się zaparkowało, trzeba było przejść jakieś cztery metry trawnikiem, dopóki nie doszło się do schodków na ganku. To samo tyczyło się tylnego wejścia, gdyby zaparkować samochód za budynkiem.

Wróciłem do domu, wziąłem prysznic, ogoliłem się i poszedłem do pracy.

We wtorek wstałem wcześniej. Odpuściłem śniadanie, wykapałem się, ogoliłem, wyszczotkowałem zęby i - z wyjątkiem marynarki i krawata - ubrałem się jak do pracy. Dwa lata temu, pewna grupa od nas z biura brała udział w seminarium dla kadry zarządzającej w Stowe w Vermont, więc nadal miałem w szufladzie kominiarkę narciarską. Zabrałem ją ze sobą, tak samo jak parę skórzanych rękawiczek, krawat i marynarkę, po czym pojechałem do centrum handlowego.

W koledżu zarabiałem na sobie. Pracowałem dla mojego wujka, jako człowiek zajmujący się odzyskiwaniem samochodów od niepłacących właścicieli. To nic wielkiego, otworzyć drzwiczki i odpalić samochód bez kluczyków, kiedy już nauczysz się to robić. Kiedyś potrafiłem zrobić to w trzydzieści sekund. Teraz trochę zdziadziałem. Potrzebowałem czterdziestu pięciu.

Był to jeep wagoneer. Pomyślałem, że napęd na cztery koła może się przydać. Była 8:39, kiedy podjechałem pod krawężnik domu Lindsayów, po drugiej stronie mieszkania Knotta. Zostawiłem wagoneera na gazie, trzymając stopę na hamulcu i założyłem kominiarkę na czoło, jak zrolowany kapelusz, gotowy do naciągnięcia na twarz. Nie martwiłem się, że ktoś mnie tu zobaczy. Lindsayowie mieli domek letniskowy nad jeziorem w Sparcie. Miało ich nie być do września. Dotarło do mnie, że dla nich wszystko to będzie obce. Nierealne. *Czego oczy nie widzą...*

O 8:42 wyszedł z domu na frontowe schodki.

Zdjąłem stopę z hamulca. Naciągnąłem kominiarkę na twarz. Wcisnąłem gaz i ruszyłem w stronę trawnika.

* **

Chcę pieprzyć coś, dopóki nie zaczną krzyczeć, ale tego nie zrobię. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Jestem tego pewien. Myślę, że dam radę. Może. Może to leki, a może to, że jestem wolny, że nie siedzę w Rahway i nie mam obsesji, jak zwykły mawiać doktor Stringer, ale jest łatwiej, popęd jest mniejszy niż w pudle i o wiele mniejszy niż przed nim. Wczoraj w pracy nie pomyślałem o zrobieniu tego ani razu. Ani razu, przez cały pieprzony dzień. Po raz pierwszy. Nie ze strachu przed innymi. Dla mnie to było kurewsko niesamowite. Nie wiem, co się stało, ale coś się zmieniło.

Nie wiecie o mnie wszystkiego. Mam ze sobą poważny problem. Ale może...

* * *

Za pierwszym razem kiedy w niego uderzyłem, wydawało się, że nawet mnie nie słyszał. Trafiłem w prawe biodro. Przeleciał przez krzaki, a przednie koła przetoczyły się po jego nogach, czułem to i słyszałem jego krzyk. Chciałem jednak trafić w klatkę piersiową i głowę. Wycofałem, skręciłem nieco kierownicę i ruszyłem ponownie. Przejechałem po nim znowu, tym razem usłyszałem trzask. Już nie krzyczał. Kiedy po raz kolejny wycofałem, zobaczyłem, że moje prawe koło przejechało mu po karku, a ciężar samochodu właściwie odseparował jego głowę od ciała

i zmiądzzył szyję, jak padlinę na drodze. Właściwie tym był teraz ten mały skurwiel.

Wjechałem na ulicę i zobaczyłem Susan Grummon. Miała na sobie jedynie halkę. Stała w drzwiach i spoglądała to na Knotta, to na mnie, dostrzegając maskę narciarską. Następnie weszła do

domu i zatrzasnęła drzwi. Wezwie gliny, pomyślałem. Pieprzyć to.

Ostrożnie pojechałem z powrotem do centrum handlowego i zaparkowałem wagoneera dokładnie tam, gdzie go znalazłem. Wróciłem do swojego wozu i pojechałem pod śmietnik przy WalMarcie, gdzie wyrzuciłem rękawiczki i maskę. Potem pojechałem do biura, założyłem marynarkę i krawat, który poprawiłem przy wstecznym lusterku. Miałem produktywny dzień w pracy.

Tego wieczoru, kiedy wróciłem do domu, Michelle powiedziała mi, że była policja i że rozmawiali z nią. Zadawali pytania wszystkim na tej ulicy. To naturalne. Jako jego sąsiedzi byliśmy przecież podejrzani. Kazali jej przekazać, żebym zadzwonił jak wrócę. Tak też zrobiłem. Umówiliśmy się na jutro na rozmowę. Równy o dziewiątej.

Nie mam z tym problemu. Pewnie nawet nie spóźnię się do pracy.

Za to Michelle była wstrząśnięta całą sytuacją. Trudno ją winić.

Morderstwo. Policja.

Zrobiłem więc to, co zawsze.

Zabrałem ją do łóżka.

Utuliłem do snu.

A co wy byście zrobili?

JEŚLI MNIE PAMIĘĆ NIE MYLI

Patricia rozsiadła się na krześle, zrelaksowana. Przed nią na stole tykał metronom.

- Chciałbym rozmawiać z Leslie - powiedział Hooker. Kobieta spojrzała na niego, westchnęła i potrząsnęła głową.

- Boże! Znowu Leslie. Nie rozumiem, co złego jest w tym, żeby od czasu do czasu porozmawiać ze mną?

Hooker wzruszył ramionami.

- Kłamiesz. Uchylasz się. Starasz się wszystko pogmatwać. Gdybyś tyle nie kłamała, Susan, może częściej chciałbym z tobą rozmawiać. Nic osobistego.

Nadała się, oparła na krześle i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Wiesz, staram się tylko chronić swój tyłek - oznajmiła.

- Wiem. I rozumiem. Tylko, że teraz to nie pomaga. Pozwól mi porozmawiać z Leslie, dobrze?

Zatrzepotała rękami. Odrzuciła głowę i zawyła. Potem obdarzyła go potulnym, błyskotliwym spojrzeniem i zaczęła skomleć.

- Leslie. Nie Katie. Katie była psem.

Drugim psem odnotowanym w całej historii MPD - Zespołu Zwielokrotnionej Osobowości.

Hooker napisał o niej obszerny artykuł dla *Dziennika Medycyny Psychiatrycznej*. Spekulacje i obserwacje. Czołganie się, węszenie, wycie. Związek Katie z innymi osobowościami wydawał się niejasny.

- Cześć, doktorze Hooker.
- Cześć, Leslie.
- Rozumiem, że chciałbyś jeszcze trochę porozmawiać.
- Zgadza się.
- Nie powinnam.
- Dlaczego?
- Patricia mi zabrania.
- Myślę, że nie zabrania, Leslie.
- Jest przerażona.
- Czego się boi?

Niespokojnie kręciła się na krześle, typowa nastoletnia dziewczyna, zmagająca się z problemem. Jak wszystkie osobowości, które pojawiły się do tej pory - poza suczką Katie i Lynette, która miała pięć lat - Leslie przyszła na świat, mając szesnaście lat i w tym wieku pozostała.

- Powiedzieli, że zrobią jej krzywdę, pamiętasz? Jeśli będzie mówić. Powiedzieli, że ją zabiją.

- Pamiętam.
- Więc?
- To było dawno temu, prawda?

Dokładnie dwadzieścia dwa lata temu. Kobieta siedząca przed nim miała trzydzieści osiem lat i była matką dwóch dziewczynek w wieku ośmiu i dziesięciu. Do czasu rozwodu, który miał miejsce półtora roku temu, była popularną redaktorką u dużego wydawcy, a potem nałogową alkoholiczką, która zdecydowała się na terapię, kiedy zorientowała się, że bije starszą córkę chochlą po twarzy, zupełnie o tym potem nie pamiętając. Po czterech miesiącach terapii objawiła się pierwsza osobowość - mała Lynette.

- No nie wiem, doktorze.
- Do tej pory świetnie ci szło, Leslie. Dlaczego teraz miałabyś przestać?
- Ja nie chcę przestać.
- Więc nie przestawaj. Uwierz mi, na dłuższą metę to bardzo pomoże Patricii. Bardzo.

Zastanowiła się przez moment i westchnęła.

- Dobrze. Jestem jej to winna.

Pozwolił sobie na relaks. To był kluczowy moment. Jeśli zatrzyma się w tym miejscu, mogą minąć całe tygodnie, zanim, ponownie pozwoli sobie do tego wrócić. To się już zdarzało.

A dzisiaj, nareszcie, miał zgodę Patricii na nagrywanie sesji.

- Ostatnim razem mówiłaś, jak ci - Gannetowie - przekazywali ją sobie.

-Aha.

- Podawali ją sobie w sensie seksualnym, zgadza się? -Tak.

- Czy możesz mi powiedzieć, komu oddali ją rodzice?

- Wielu ludziom. Była ich tam cała grupa. Pan i pani Dennison, sędzia Blackburn, pan i pani Siddons, pan Hayes, doktor Scott i pani Scott, pan Seymour, panna Naylor.

- Nauczycielka.

- Zgadza się. I pan Harley. Byli też inni. Ale głównie oni.

- Jej rodzice, czy wzięli za to pieniądze od tych ludzi?

- Nie. Po prostu zgodzili się na to. Było to dla nich w porządku.

- Ile lat miała wtedy Patricia?

- Trzy. Może cztery.

Podejrzewał, że miała pięć. Tyle, co Lynette. Wiek, w którym zaczęła się ukrywać.

- Co robili z nią ci ludzie?

Przerabiali to już, ale tym razem chciał to mieć na taśmie.

- Cały czas musiała być naga, a oni wsadzali w nią palce, w tyłek, w pochwę, niektórzy mężczyźni wkładali w nią swoje penisy, zmuszali ją, by brała je do ust, dawali jej bardzo mocne klapsy, a doktor Scott lubił kłuć ją tymi długimi igłami...

- Igłami do akupunktury?

- Nie wiem. Po prostu długimi igłami.

- Mów dalej.

- Wkładał je w nią, wszędzie. A pani Scott zawsze chciała lizać jej pochwę.

Znamienne dla osobowości Leslie było to, że żadna z tych rzeczy w najmniejszym stopniu nie wprawiała jej w zakłopotanie. Traktowała ten przegląd dziecięcych koszmarów z niemal klinicznym oderwaniem. *Godne podziwu*, pomyślał, ale *smutne i przerażające*.

- Pani Siddons lubiła wykręcać jej sutki, dopóki nie zaczęła płakać. A pani Naylor chciała, by Patricia ssała jej piersi, jakby była dzieckiem karmionym przez matkę. Pan Hayes kładł ją w wannie i oddawał na nią mocz, a raz nawet kał. Na jej brzuszek.

- Były tam też inne dzieci, prawda? Skinęła głową.

- Danny Scott, Ritchie Siddons i bliźniaki Dennison.

- Czy Patricia próbowała stawiać opór? Albo uciec?

- Parę razy próbowała. Ale była za mała, by gdzieś pójść. Gannetowie bili ją za to. Więc przestała próbować.

Skończyła mówić. Łzy potoczyły się nagłym strumieniem po jej policzkach.

- Leslie?

Jej broda trzęsła się, a duże, brązowe oczy były jak u królika, przezroczyste i niewinne.

- Lynette, czy to ty?

- Robią mi krzywdę! Mamusia i tatuś...

- Wiem. Już w porządku, Lynette. Mamusia i tatuś więcej cię nie skrzywdzą. Obiecuję. Przysięgam.

To była prawda. Mamusia i tatuś zginęli w wypadku samochodowym, jakieś dziesięć lat wcześniej. On był pijany. A słup telefoniczny nie ustąpił. Zdaniem Hookera, było to całkiem niezłe uwolnienie.

- Robią mi krzywdę!

- Wiem, Lynette. Ale to już koniec. Mamusia i tatuś nie skrzywdzą cię więcej. Rozumiesz?

Pociągnęła nosem. Strumień łez zmniejszył się.

- Czy już wszystko w porządku?

Zawahała się, po czym skinęła głową.

- To dobrze. Jeśli wszystko w porządku, czy mogę znów porozmawiać z Leslie?

- Rany boskie, pieprzyć Leslie! Głos był głęboki i chrapliwy. *Sadie*.
Pojawiła się dopiero trzeci raz.

Pierwsze dwa razy były kłopotliwe. Wiedział, że ten nie będzie wyjątkiem. Wstała z krzesła i zrobiła krok do przodu.

- Chcesz porozmawiać o seksie, kochanie? Czujesz się podniecony? Czyż nie? To lepiej porozmawiaj *ze mną*.

Prawie wstał ze swojego krzesła, ale podeszła do niego i popchnęła go na nie z powrotem.

Podniosła spódnicę i usiadła na nim okrakiem. -*Sadie*...

-Wiem. Przechodziliśmy już przez to. To nie wypada, nie między pacjentką a terapeutą, bla, bla, bla. Wyluzuj, dobra? Zrzuciła z siebie kurtkę.

- Zejdź ze mnie, *Sadie*.

- Wyluzuj. Wiesz przecież, że chcesz malutkiej *Sadie*.

- Chcę porozmawiać z...

- Taa, z Leslie. Wiem. Ale czy Leslie robi to dla ciebie, doktorku?

Ściągnęła przez głowę swój sweter. Pod nim jej piersi były nagie. Cudowne piersi, pełne i jędrne jak na jej wiek - nawet pomimo tego, że urodziła dwoje dzieci i, sądząc po rozmiarze oraz kształcie jej sutków, wykarmiła przynajmniej jedno z nich.

Cudowne, gdyby nie blizny.

Małe, pomarszczone blizny po oparzeniach. Ponad tuzin na każdej piersi. Dużo więcej na brzuchu, karku i ramionach. Nadal mógł rozpoznać swastykę, wyciętą tuż nad jej pępkiem. Nigdy wcześniej nie widział tego osobiście.

- Chcesz o tym porozmawiać, *Sadie*? Zaśmiała się.

- O czym? O moich cyckach?

- O tych oparzeniach. O swastyce.

Odepchnęła się od niego ze złością, zgarnęła sweter i podeszła do okna. Naciągnęła go. Podeszła do krzesła i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu paczki winstonów light.

Sadie paliła. Inne nie.

- Nie pozwalam na papierosy. Przecież wiesz, Sadie.

Spojrzała na niego zde gustowana i wrzuciła paczkę z powrotem do torebki. Sadie mogła się buntować, ale tylko do czasu. Potem, tak jak inne, zmuszona była posłuchać.

- Pierdol się, doktorku. Pogadaj ze swoją drogą Leslie. Baw się dobrze. Ty dupku.

Opadła na krzesło i spojrzała na niego. Oczy złagodniały. Twarz powoli obojętniała. Leslie wróciła.

Oby tylko teraz mógł utrzymać ją na dłużej.

Sesja się przedłużała. Już to wiedział. Zegar na ścianie wskazywał 14:50. Ale to było zbyt owocne, by skończyć w dziesięć minut. Miał nowego pacjenta, który pewnie czekał już w poczekalni - umówiony na piętnastą. Nie był to najlepszy sposób na rozpoczęcie relacji doktor-pacjent, ale facet będzie musiał chwilę poczekać.

Nie chodziło tylko o Patricię.

Ten przypadek wzmocni jego reputację, to było pewne. Pierwszy artykuł, opublikowany sześć miesięcy temu, już prawie to zrobił. AP* go zauważyło. Boże, nawet „New York Times”. On i jego anonimowa pacjentka mieli swoje piętnaście minut sławy, jak mawiał Warhol.

Wkrótce będzie więcej. Pierwszy artykuł to dopiero początek.

- Leslie.

- Cześć. Witam ponownie.

- Rozmawialiśmy o tych wszystkich rzeczach, które zrobili Patricii. Ale były też inne rzeczy, prawda?

*** AP - *The Associated Press* - amerykańska agencja prasowa.**

Przytaknęła.

- Czy mogłabyś mi o nich znów opowiedzieć?

- To były szatańskie sprawy - oznajmiła.

- Jakie na przykład?

- Nauczyli ją tych przyśpiewek, ubierali się na czarno, czasem odwiedzali nocą cmentarze, czasem wykopywali ciała i robili jakieś dziwne rzeczy z kośćmi i ubraniami zmarłego, warzyli diabelskie mikstury na Święto Bestii czy Święto Gromnicy, wzywali duchy i...

- Co masz na myśli mówiąc „diabelskie mikstury”?

- Mocz. I wino. I krew.

- Czyja krew?

- Ich. Kogokolwiek.

- Mów dalej.

- Większość czasu spędzali w piwnicy domu Gannetów. Pomieszczenie było ogromne. Wszyscy byli nadzy. Wszyscy musieli całować penis pana Ganneta zanim zaczęli, ustawiali się w kolejce, śpiewali, jedli i pili, a potem wprowadzali ofiarę.

- Co było ofiarą?

- Kurczaki. Koty. Przeważnie psy. *Psy jak Katie*.

To było niesamowite i niecodzienne. Patricia wykreowała tę osobowość w całkowitym utożsamieniu się z martwą, lub mającą stać się martwą, osobą.

Która weszła w nią, stała się jednością.

Niezwykły przejaw współczucia.

- Tego jednego razu - powiedziała - no wiesz, jej inicjacja. Jej głos był cichy i już nie tak rzeczowy jak poprzednio. Niepewny. Prawie że wystraszony.

Znał ten ton.

W przeszłości to właśnie w tym momencie Leslie przestawała opowiadać - teraz albo chwilę później. W tej inicjacji było coś traumatycznego. Hooker wiedział z poprzednich sesji, że Patricia miała wtedy szesnaście lat, czyli była w wieku, w którym wybu-

chały wszystkie jej osobowości, strażnicy bramy do jej poczytalności. Wiedział, że inicjacja miała miejsce w piwnicy jej rodziców. Nic więcej.

Spojrzał na zegar. Piętnasta.

Do cholery z czasem. Musiał spróbować.

- Leslie, wiem, że w przeszłości nie chciałaś mi tego powiedzieć. Rozumiem, że to dla ciebie ciężkie. Ale tym razem będzie inaczej. Powiem ci dlaczego. Widzisz dyktafon na biurku, tuż obok ciebie?

Spojrzała i skinęła głową.

- Będzie inaczej, ponieważ teraz to nagrywam. Podczas następnej sesji odtworzę taśmę dla Patricii. Kiedy to zrobię, Patricia będzie wiedziała i rozumiała, co jej zrobili. Zrozumie dlaczego taka jest, dlaczego wszystko takie jest. Czy domyślasz się, co się stanie potem?

Potrząsnęła głową.

- Ból ustanie. Jeszcze trochę czasu, jeszcze kilka sesji i ból ustanie.

Spojrzał na nią, dał jej chwilę czasu. *Zaufaj mi*, pomyślał.

- Opowiedz mi o tym, Leslie - poprosił.

Przez chwilę myślał, że to się nie uda. Potem wychyliła się na krześle, zamknęła oczy, a gdy je ponownie otworzyła, już pamiętała.

- Był tam chłopiec - powiedziała. - Nie wiem, skąd się wziął. To żaden z tych chłopców co zawsze, to znaczy żadne z ich dzieci. Hiszpan, myślę. Kubańczyk albo Meksykanin, mniej więcej w wieku Patricii. Patricię nafaszerowali narkotykami, chłopca też, oboje byli nadzy. Położyli ją na stole, na ołtarzu, a chłopiec stał nad nią, wszyscy śpiewali, kiedy wyjął penis i zaczął to robić. Robił to przez dłuższą chwilę i to bolało. Wtedy pan Gannet podszedł ze swoim nożem, rytualnym nożem, bardzo, bardzo ostrym i naciął chłopcu... wiesz które miejsce, między... jądrami a odbytem? Ta skóra w tamtym miejscu?

Hooker pokiwał głową.

Wypływała z niego krew, spływała po nogach, skapywała na ołtarz, ale, pewnie z powodu narkotyków albo z powodu seksu, nie zauważył tego, tylko cały czas ją posuwał, jednak Patricia wiedziała, czuła, że krew zbiera się pod nią, ciepła i mokra, aż w końcu chłopak też się zorientował, zaczął krzyczeć i chciał z niej wyjść, ale wtedy pan Gannet powstrzymał go i podciął mu gardło tym nożem, a Patricia krzyczała, gdy dławił się krwią, która była wszędzie, na niej też, a ona *spróbowała jej*, inni łapali krew w miski, pili ją prosto z jego karku i spomiędzy jego nóg; mogła wyczuć jego gówno, które również łapali w miski i wcierali sobie w twarz, w usta, a on zamiast dojść w niej, oddał w niej mocz.

- Wtedy chłopak upadł na nią, martwy, a pan Gannet wręczył Patricii nóż i kazał jej dźgnąć go w imię Szatana, a ona była tak przerażona i tak wściekła na chłopca - to było dziwne - tak kompletnie wściekła, że to zrobiła. Dźgała go raz za razem.

Zamilkła zakłopotana.

- Zastanawiam się, dlaczego była tak zła na niego. A nie na nich.

Pozwolił jej się chwilę zastanowić. To nie był właściwy moment, by naciskać, ale wiedział, skąd bierze się gniew jednej ofiary względem drugiej. Na kolejnej sesji.

- Co się stało później? Wzruszyła ramionami.

- Zjedli serce chłopca. Wysmarowali ją jego krwią. Potem po kolei zrobili to z nią, a następnie pozwolili jej wziąć prysznic i pójść spać.

Dziesięć po trzeciej. Doszli do końca. Było już po wszystkim. Czuł się wstrząśnięty, ale również dumny. Nie mógł uwierzyć w to, co ma na taśmie.

- Policzę do pięciu, Leslie - powiedział. - Kiedy dojdę do pięciu, będę rozmawiał z Patricią. Ona będzie rozbudzona, wypoczęta, zrelaksowana i nic nie będzie pamiętać. Świetnie się spisałaś. Dziękuję.

- Doktorze?

-Tak?

- Patricia znów jest przerażona.

- Nie musi być.

- Wie, że powiedziałam. Że powiedziałam ci wszystko.

- Patricii nic nie będzie, uwierz mi. Policzę teraz do pięciu, dobrze?

Zamknij oczy.

Policzył.

Patricia otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Jak się mamy? - zapytała.

- Byłaś wspaniała. Odwzajemnił uśmiech.

- Chciałbym przejść przez to z tobą najszybciej jak się da. Ale mam kolejnego pacjenta.

Spojrzał na swój harmonogram.

- Co powiesz na środę, pojutrze, o piętnastej?

- Zgoda.

- Osiągnęliśmy przełom, Patricia. Powinnaś to wiedzieć.

- Naprawdę? Możesz zatem... ?

- Nie. Obawiam się, że nie. Nie teraz. To zajmie trochę czasu.

Umawiam cię na dwie godziny w środę, dobrze?

- Dobrze.

Wręczył jej kurtkę, leżącą przed nim na podłodze. Nawet nie spytała, jak się tam znalazła. Miała już doświadczenie. Wzięła torebkę i wstała, gotowa do wyjścia. Zawahała się, a potem odwróciła do niego.

- Czy powinnam się martwić? - zapytała.

- Martwić o co?

- Nie wiem, tak po prostu.

- Nie. Ani trochę. Najgorsze już za nami. Mamy przed sobą jeszcze trudne kwestie, ani na moment temu nie zaprzeczam, ale teraz przynajmniej wiemy, z czym mamy do czynienia. Wiemy *na pewno*. To zajmie trochę czasu. Ale będziesz miała życie, Patricio. Pełne, zintegrowane życie. Bez ukrywania się. Bez strachu.

Uśmiechnęła się.

- Do zobaczenia w środę, doktorze. I, jak mniemam... no nic, zobaczymy.

Wyszła przez drzwi do poczekalni i zamknęła je delikatnie za sobą. Podszedł do stołu obok jej pustego krzesła i wyłączył dyktafon. Nacisnął przycisk przewijania i wsłuchał się w syczący dźwięk taśmy, na której zarejestrowane zostały głosy jej i jego; wiedział już, że sprzęt nie zawiódł. Począł aż taśma dojdzie do początku, wyciągnął wtyczkę, podszedł do biurka, otworzył szufladę i wsunął dyktafon do środka.

Usłyszał dobiegający z poczekalni odgłos krzesła uderzającego o ścianę. Jego umówiony na piętnastą pacjent prawdopodobnie niecierpliwiał się już jak cholera i będzie wymagał łaskotania piórkiem. Ale w porządku. W tym momencie czuł, że podoła wszystkiemu. Przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Mężczyzna klęczał nad nią, wielki facet, ubrany cały na czarno - kurtka, buty, spodnie - klęczał nad nią tak, że Hooker mógł zobaczyć jej martwe, otwarte oczy i tył jego głowy, kiwający się na boki na wysokości jej podbródka. Na ścianach i obrazach mających uspokoić pacjentów była krew, ciągle jeszcze tryskająca z jej szyi ponad

i z obu stron głowy tego mężczyzny, zalewając jego czarne, wybrylantynowane włosy. Spojrzał na Hookera i uśmiechnął się, chociaż jego twarz była teraz jasnoczerwoną maską, a zęby ociekały rozcieńczoną przez ślinę krwią. Hooker zobaczył nóż w jego lewej dłoni i poplamiony krwią srebrny pentagram zawieszony na szyi.

- Sesja skończona - wysyczał mężczyzna. - Pacjentka wyleczona.

Hooker zrobił krok w tył, do gabinetu, jakby ktoś go popchnął. Spróbował zatrzasnąć drzwi. Zakrwawiona ręka uderzyła w nie z trzaskiem i pchnęła go w głąb pokoju.

Mężczyzna stał na progu.

Przez moment, kiedy do niego podchodził, Hooker pomyślał o wszystkich tych ludziach, o całej strukturze, o bogactwie wynalazku i woli przeżycia, które właśnie umarły tam, w poczekalni.

a jedynym pocieszeniem była taśma, która przetrwa, bo ten facet o niej nie wiedział. Jego praca przetrwa i ona też przetrwa, z powodu jego ambicji, chociaż to nie wystarczyło, ani dla nich obojga, ani dla jej dzieci. Pomyślał *publikuj albo giń, albo jedno i drugie*, bo właśnie przez to im się to wszystko przydarzyło. Potem usłyszał psi skowyt, który okazał się jego skowycem, kiedy nóż wchodził głębiej i głębiej.

OJCIEC I SYN

Staruszek poczuł na swoim przedramieniu chłodny powiew, jakby podmuch powierza wywołany maleńkimi skrzydłami, i poruszył się na łóżku. Prawie się wybudził w tę ciepłą, letnią noc, ale nie całkiem. Gin znów wziął górę i zmorzył go sen.

Za drugim razem poczuł to na policzku i teraz - spłoszony - obudził się w pełni, świadom, że coś jest nie tak. W jakiś sposób ptak albo nietoperz dostał się do sypialni, a jego serce łomotało, chociaż nie powinno, nie po dwóch bajpasach. Ostatni wszczepiono mu dwa tygodnie temu.

Sięgnął ponad poźólkłą pościelą w stronę nocnej lampki i zaczął gmerać w poszukiwaniu włącznika. Zapalił światło. Jego oczy nadal były w porządku, chociaż reszta ciała już niekoniecznie. Rozejrzał się, ale nie było ani ptaka, ani nietoperza. Nie wiedział jak jest z ptakami, ale nietoperze w jasnym świetle kryją się przy gruncie. Znajdują zacienione miejsce i czekają, na przykład pod łóżkiem albo w ciemnym rogu. Wstał z lekkim zawrotem głowy, ale z lżejszym sercem. Sprawdził za stolikiem. Powoli i ostrożnie schylił się, by zajrzeć za kredens i na tyle, na ile pozwalały mu schorowane nogi, zerknął pod łóżko.

Nic. Drzwi do sypialni były zamknięte. Okna także. Słyszał, że nawet ciepła bryza może zabić człowieka w jego wieku, jeśli jest na nią narażony wystarczająco długo, więc wszystko było pozamykane na stałe. To znaczyło, że nic nie mogło wejść do pokoju ani się z niego wydostać.

Nic tu nie ma, do cholery - pomyślał. Przecież czułem. Wiem to, u diabła, bardzo dobrze. A teraz musiał się odlać.

Stary kutas i tak by mnie obudził, prędzej czy później.

Otworzył drzwi i poczłapał przez korytarz, mijając pokój swojego syna, Joey'a. Zajrzał do niego. Joey'a nie było. Łóżko jak zawsze nieposłane. Pewnie znów usnął przed telewizorem, pomyślał, ale zdał sobie sprawę, że nie słyszy mętnego, stłumionego śmiechu z jakiegoś głupiego sitcomu, minął więc łazienkę i poszedł do salonu. Był tam, na wyścielanym krześle. Chrapał, z łoskotem, głośniejszym od śmiechu. Między jego nogami stała butelka taniego burbona, co wyglądało jakby ją brandzlował i zasnął w połowie.

Staruszek pamiętał prawdziwe erekcje.

Pamiętał nawet czas, kiedy jeszcze żaden z nich nie był pijakiem.

Minęło już ponad piętnaście lat, odkąd pewnego jasnego, zimowego poranka jego żona Ella i Susan, małżonka Joey'a, pojechały do sklepu spożywczego, a potem wyleciały razem przez przednią szybę jego pickupa. W przypadku Susan, tylko do połowy. Miał wtedy siedemdziesiąt lat i powiedział, że do diabła z tym. Joey miał tylko pięćdziesiąt dwa i ważył osiemdziesiąt kilogramów. Przystojny facet. Joey też powiedział, do diabła z tym.

Pęcherz nie dawał mu spokoju.

Zawrócił i wszedłszy do łazienki, przekręcił klucz w zamku, ponieważ Joey czasem miał w zwyczaju wchodzić bez pukania. Obaj tak mieli. Posadził swoje zmęczone kości na toalecie. Po takim ciśnieniu, jakie odczuwał, mógł sądzić, że wyrzuci z siebie istną powódź, ale tak nie było. Zajęło to całą, bolesną minutę, a kiedy już zaczęło lecieć, odebrało mu dech, takie to właśnie było przyjemne odczucie.

Omiótł wzrokiem łazienkę. Była brudna i desperacko wymagała czyszczenia. Coś wyrosło na zasłonie prysznicza i wydawało się, że rozprzestrzenia się też na wannę. Kępki włosów walały się po

kafelkach. Były to głównie kłaki Joey'a, ponieważ jego własne już dawno wypadły. Nawet mydło wyglądało obrzydliwie. Pomyślał, że powinni kogoś zatrudnić. Sam jest za słaby, żeby sprzątać. Joey natomiast zbyt leniwy.

Pomyślał o tych skrzydłach. O bryzie na policzku.

Cholernie dziwna rzecz.

Prawie skończył, kiedy usłyszał trzask, szkło uderzające o podłogę, dźwięk łamania twardego drewna, a potem głuchy odgłos. To mógł być tylko Joey. Nagle jego serce znów zaczęło walić.

- Joey! Nic ci nie jest, synu?

Kiedyś jego głos był donośny. Teraz tylko flegma i chrząst. Wstał z kibla, podpierając się o umywalkę, po czym podszedł do drzwi i otworzył zamek. Popchnął je. Drzwi przesunęły się o centymetr.

- Joey?

Przez szparę widział go, leżącego do góry brzuchem na podłodze. Dolna część drzwi wciskała się w to, co było klatką piersiową Joeya. Popchnął je ponownie, ale rezultat był ten sam.

Spróbował jeszcze raz, pchając ramieniem i zapierając się stopami o poplamioną podstawę toalety. Pchał z całą siłą swojego czterdziestokilogramowego ciała, dopóki nie mógł już dłużej.

Nie dało się.

Przeklął głupiego skurwysyna, który zamontował drzwi do łazienki w taki sposób, by otwierały się na zewnątrz, a nie do środka. Rozejrzał się za czymś, co mógłby wepchnąć przez szparę w drzwiach. Może uda się jakoś je podważyć. Pod umywalką nie było przepychacza, Joey znów zostawił go w cholernej kuchni. Kłapa toalety była grubsza niż szpara, zresztą i tak nie miał śrubokrętu by ją odkręcić.

Nie było sensu wołać o pomoc. Łazienka znajdowała się od strony zarośniętego podwórza. Jego podjazd był daleko od podjazdu Mackenziech, najbliższych sąsiadów, więc nigdy tędy nie przechodzili. Nigdy nie zbliżali się do jego domu. Wątpliwe

zresztą, czy by mu pomogli, nawet jeśli by go usłyszeli, szkockie psubraty.

Przez to małe okienko też nie przejdzie.

Nie mógł liczyć na to, że ktoś przybędzie mu na ratunek. Dostawca alkoholu był wczoraj, wody sodowej, podłego żarcia i obiadków - dzisiaj, i nikt inny nie przybędzie, aż do następnego tygodnia. Wszyscy jego przyjaciele nie żyją, a Joey z nikim się nie zadawał odkąd zginęła Susan. Warsztat został zamknięty, a on zaczął nałogowo pić.

Wyglądało na to, że będzie musiał tu zostać przez chwilę. Dopóki Joey nie wstanie.

Nagle naszła go koszmarna myśl. Tak straszna, że aż musiał usiąść na toalecie. Myśl tak perfekcyjnie uformowana i okropna, że zakręciło mu się w głowie.

Joey miał potrójne bajpasy już od ponad roku. Lekarze powiedzieli to samo, co jemu.

Rzuć picie.

Nie rzucili. Żaden z nich.

Zatem możliwe, że Joey nigdy nie wstanie. Że przepadł na dobre.

To łazienka, więc woda nie była problemem. Za to wódka już tak. Kiedy drgawki zaczęły nim miotać, pił wodę po goleniu, a potem pociągał z butelki wody kolońskiej Joey'a. To na jakiś czas je powstrzymywało, jednak potem wracały, a wraz z nimi niepohamowane pragnienie. Nie mógł zrobić wiele, jedynie kląć, wrzeszczeć, tarzać się po podłodze, obejmując kolana i miotać się w spazmach, Bóg jeden wie, jak długo. Do czasu, kiedy to się skończyło, zsiakał się i zesrał w piżamę i dorobił się siniaków od uderzeń w kibel, wannę czy rury.

To łazienka, więc woda nie była problemem. Za to jedzenie już tak. Stracił poczucie czasu, ale zgadywał, że minęło przynajmniej kilka dni. Dopadł go głód, miał wrażenie, że ma w żo-

ładku rozrywającego go wściekłego psa i pomimo smrodu Joey'a, który dochodził z korytarza, musiał coś zjeść. Zjadł pół tubki pasty do zębów, a potem resztę, popijając wodą. Próbował kostki mydła, ale od razu ją zwrócił. Porwał na kawałki papier toaletowy, a potem go połknął. Cokolwiek, byle tylko wypełnić żołądek. Butelka aspiryny wyglądała kusząco, ale wiedział, że to go zabije, więc splukał proszki w toalecie, na wypadek, gdyby zjedzenie ich stało się nieuniknione.

Był tak słaby, że ledwo siedział prosto. Ledwo mógł podrzeć papier toaletowy, przeżuwać i połykać.

Nie potrafił się skupić, miał wrażenie, że nawet oczy go zawodzą. Spał i nie spał, a jedno zlewało się z drugim. Nie mógł robić nic innego, tylko siedzieć, leżeć i myśleć o przeszłości, o Elli i o miejscu, które mieli, tam nad rzeką. I o zmarłym bracie, Henrym, o zmarłej siostrze, Laurie i o rodzicach, od dawna nieżyjących. Ale najwięcej myślał o jednej rzeczy - o tym, że zabił go jego własny syn, a kiedy przychodziło mu to do głowy, zaczynał płakać skąpymi, nieszczęśliwymi łzami starego człowieka, który zdał sobie sprawę, że może by potrafił mu pomóc, gdyby sam nie był tak pijany, ohydna parodia ojca. A potem pomyślał o skrzydłach.

Poczuł skrzydła.

Właściwie to *czuł je* teraz, drobne muśnięcie powietrza na jego policzku. Tak jak wtedy.

I tak jak wtedy, znów go to obudziło. Spał. Był zaskoczony.

Usłyszał głos na zewnątrz. Jacyś ludzie wchodzili do środka, już weszli do cholernego domu i przemieszczali się wzdłuż korytarza w kierunku napuchniętego, pokrytego muchami ciała Joey'a na podłodze. Staruszek spróbował się podnieść, by powiedzieć im, że jeszcze on tu jest, do cholery, że jeszcze żyje, ale skrzydła nagle zamarły. Jego serce również.

Podziękowania dla Dale 'a Meyersa Coopera.

BIZNES

Karaluch nie był specjalnie duży, ale zmierzał wprost na niego. Poruszał się chodem pijaka - właściwym dla tego miejsca - trochę na lewo, trochę na prawo. Minął rozlane piwo mamy i ruszył w stronę jego szkockiej.

- Hej, Billy - zwrócił się do barmana Howard - podasz mi kolejną serwetkę?

Billy go nie lubił. Howard to wiedział. Ale miał to gdzieś. Obsługiwano go, bo zostawiał przyzwoity napiwek i tyle. Billy podał mu serwetkę.

Howard rozgniół robaka niczym ziemniak wypełniony sosem cebulowym.

Mama nic nie zauważyła. Po pierwsze, była zajęta rozmową z jego bratem Normanem i jego cycatą przyszłą żoną, Sonią, a po drugie, mama była ślepa jak kret, niech ją Pan błogosławi.

Zwinął serwetkę w kulkę i położył na blacie baru, aby Billy ją wyrzucił. Jednego robala mniej. Pociągnął łyk szkockiej i wsłuchał się.

Rozmawiali o budynku przy Siedemdziesiątej Pierwszej, pomiędzy Columbus a Zachodnim Central Parkiem. Mieli tam poważny problem z hydrauliką. Jeden z lokatorów dwa dni temu oglądał telewizję, kiedy ściana za odbiornikiem wybrzuszyła się w jego stronę, jak wielki pryszcz z białą końcówką, a potem zaczęło się z niej sączyć. Gonzales musiał wyłączyć dopływ wody w całym budynku, podczas gdy burzyli ścianę sypialni,

a potem znajdującą się za nią ścianę łazienki, aby dostać się do rur. Wszystko to o godzinie ósmej wieczorem. Ludzie chcieli gotować, wziąć prysznic, pozmywać. Lokatorzy krzyczeli.

Krzyczeliby znacznie głośniejszy, gdyby rzucili okiem na rury tego biedaka.

I na swoje własne.

Tak więc teraz jego matka i Norman obgadywali kontrakty z hydraulikami i, mówiąc szczerze, Howard był śmiertelnie znudzony, ponieważ decyzja kogo zatrudnić w zasadzie nie należała już do Normana. Nie tym razem. W ogóle już nie. Nie było zatem sensu o tym dyskutować.

Przykro mi, starszy bracie.

Naprawdę.

- Mamo - powiedział. - Dość gadania o biznesie. Jest Dzień Matki. Mamy przyjęcie. Przyszliśmy tu się sobą nacieszyć, prawda?

Odwróciła się do niego, uśmiechnęła i poklepała po dłoni. Pomyślał, że mama miała naprawdę ładny uśmiech. Kiedy jeszcze posiadała zęby.

- Masz rację, syneczku - odparła.

Nienawidził gdy go tak nazywała, ale zawsze tak robiła. To było nedorzeczne. Zbliżał się do pięćdziesiątki, na Boga, był praktycznie łysy, miał problemy z cholesterolem i ciśnieniem. Przeszedł dwa rozwody. A teraz jakiś dryblas przy barze, Teksasczyk albo Południowiec, czy skąd on tam był, który zawsze nosił tę samą czapkę baseballówkę i kamizelkę na ryby, jakby miał zaraz wyciągnąć szczupaka, patrzył na niego i chichotał. Bo mama nazwała go syneczkiem. Nienawidził *syneczka*.

Ale to była mama.

A mamę trzeba kochać.

Nie potrafił się na nią długo gniewać. Nawet jeśli traktowała go jak idiotę, który nie ma głowy do interesów, podczas gdy jego brat Norman był traktowany co najmniej jak drugie wcielenie Nate'a, ich ojca - z takim szacunkiem. To się zdarzało.

Nawet wtedy nie mógł się na nią gniewać. Ponieważ w przeciwieństwie do Normana i do ich, drogiego niczym wrzód na tyłku, zmarłego ojca, mama zawsze wspierała go we wszystkim, co robił.

Chociaż nie było tego wiele.

Howard inwestował w przedstawienia. Głównie off-Broadway, duże rewie grane w ekskluzywnych klubach-restauracjach. Coś jak *Forbidden Broadway* albo *Forever Plaid*, chociaż do tych akurat nie miał praw - Bóg wie, jak bardzo chciał mieć. Nie, przedstawienia, które wspierał, nosiły tytuły takie, jak *Wysokie obcasy Spike'a* czy *W kryzysie*. Niektóre zarabiały, inne nie. Większość nie zarabiała. Ale dawały mu zajęcie. A mama go wspierała.

Mamę więc należało kochać.

Jego brat Norman, to inna sprawa.

Tylko spójrzcie na niego. Skąpiec. Stoi przy barze, pijąc whisky w najtańszej melinie na Columbus Avenue.

Facet wart ponad trzydzieści milionów dolarów. Howard to sprawdził.

- Nawet jeszcze nie złożyliśmy zamówienia - powiedziała mama. - No dalej, zamówmy coś. Barman wręczył im menu.

W milczeniu studiowali dania. Pieczone skrzydełka, krążki cebulowe i frytki. Paluszki z kurczaka. Burgery i kanapki z mięsem. O tak. I specjalna oferta na Dzień Matki, za osiem dziewięćdziesiąt pięć: tyle wina musującego, ile jesteś w stanie przełknąć, albo mimoza - szampan z sokiem pomarańczowym.

Cholerny skąpiec.

To był Dzień Matki, na litość Boską!

A Pan Szczodry powiedział wczoraj przy obiedzie, że zabiera nas wszystkich na przekąskę! Mama oczywiście była zachwycona. Wylądowali tutaj.

Mama nie miała nic przeciwko.

Wydawało się, że jest szczęśliwa.

Ale Howard miał.

Miał już od dłuższego czasu, a teraz nareszcie coś z tym zrobił. Koła poszły w ruch. Naoliwił osie. Norman się skończy.

Za wielkim oknem na zewnątrz dziewczyna jego marzeń jeździła sobie na rolkach, przez moment ukazując Howardowi nieskończony wdzięk, a potem zniknęła.

Możesz zatrzymać swoją Sonię, swoją piersiastą, wąską w pasie blondyneczkę - gust Howarda był bardziej wyrafinowany. Jego wyobrażenie prawdziwego piękna miało około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu - choć on sam miał niecałe sto-siedemdziesiąt - długie nogi i szyję, delikatne nadgarstki i dłonie, małe piersi, wąskie biodra i młodość. Zwłaszcza młodość. Modelka, infantka.

I mógł ją mieć. Będzie ją miał już wkrótce.

Zaczerwienił się na samą myśl.

Nikt nie zauważył.

Spojrzał na Sonię. Głowiła się, zezując na jednostronicowe menu.

Sonia dobiegała trzydziestki. Nie była w jego typie. Drażniło go, że Norman był starszy, grubszy i bardziej łysy, a mimo to miał młodszą kobietę, *znacznie* młodszą kobietę, która była mu całkowicie oddana. A Howard kobiety nie miał.

Oprócz mamy, oczywiście.

Chodziło o pieniądze. Wiedział to. Norman miał kobietę, ponieważ posiadał pieniądze, budynki i kontrolował interes. Ojciec tak to ustawił - Howard dostał pewien zastrzyk żywej gotówki, ale bez szans na rozmnożenie jej. A Norman miał dziesięć kamienic i cztery apartamenty, do dyspozycji w każdej chwili.

To niesprawiedliwe.

- Wezmę zestaw specjalny - powiedziała mama. - Dwa jajka, bekon, tosta i frytki. A, i mimożę poproszę.

Billy wszystko zapisał.

- Ja również specjalny - oznajmiła Sonia. - Omlet, szynkę,

tosta, frytki i kieliszek zwykłego... no wiesz... szampana, nic tę mieszanę z pomarańczą. Rozumiesz?

- Ja to samo - powiedział Norman. Przytulił ją i uśmiechnął się. Owinęła swoje opalone, jędrne, nagie ramię dookoła jego talii i zachichotała.

Zacieśniali więzy przy omlecie. *Mój Boże.*

- Stek i jajka - rzekł. Billy spojrzał na niego. - Wiem, że nie ma tego w menu. Ale musicie tam mieć jakiś stek. Powiedz kucharzowi, żeby był średnio wysmażony i żeby dorzucił dwa jajka i frytki. Do tego zieloną sałatę. Z serem Roquefort. I zapomnij o szampanie. Niech płynie whisky.

Mama trąciła go delikatnie łokciem w żebra, uśmiechając się konspiracyjnie.

- Rozrzutnik - powiedziała. - Tylko wtedy, gdy Norman płaci.

Zaśmiała się, pochyliła i pocałowała go w policzek.

- Jest nieco spięty, prawda syneczku? - westchnęła. - Ale wszystko będzie teraz dobrze, czyż nie?

Przypuszczał, że miała na myśli *teraz, gdy żeni się z Sonią*. Trudno było sobie wyobrazić w jaki niby sposób ta kupuj-do--upadłego zawsze-nowy-ciuch Sonia miałyby popsuć Normanowi szyki. Nawet gdyby miała okazję.

Ale nie będzie miała.

Bardzo łatwo było to zaaranżować. A jeszcze łatwiej wymyślić. Właściwie, przyszło mu to do głowy od razu po tym, jak Norman ogłosił miesiąc temu, że on i Sonia wyjeżdżają razem na wakacje, na przedmiesiąc miodowy. Do Meksyku.

Meksyk, pomyślał od razu. *Gdzie życie jest tanie.*

Nie było takiego ogłoszenia w jakimś filmie?

Nie będzie ich tydzień, powiedział Norman. Albo dłużej.

Howard skupił się na tym „albo dłużej”.

W budynku przy Czterdziestej Piątej w Hell's Kitchen, był pewien lokator. Nazywał się Castanza. Malarz i cieśla. *Podobno*. Rozmawiali o nim z mamą i Normanem wiele razy. Policja była w biurze Normana i wypytywała go o działalność Castanzy. Czy mieli na niego jakieś skargi? Czy płacił czynsz na czas? Czy wiedzą, w jaki sposób zarabia na życie? Czy zauważyli u niego jakieś większe wydatki? Może na mieszkanie?

Przyciśnięty, jeden ze śledczych zasugerował - tylko zasugerował, tak między nimi - że dobrze będzie, jeśli zachowają ostrożność w swoich kontaktach z Castanzą, a wszystkie nieprawidłowości w jego zachowaniu względem nich albo któregokolwiek z lokatorów powinny być natychmiast zgłoszone władzom, i że jest powiązany - nie dosłownie, ale jednak - z kilkoma zniknięciami w różnych częściach miasta.

On i sponiewierany stary ford, którym jeździł, a który notorycznie zarabiał mandaty za złe parkowanie przed budynkiem.

Nic nie zauważyli ani nic nie słyszeli, ale sugestia utkwiała w ich głowach, denerwując i przerażając.

Castanza był prawdopodobnie niebezpieczny.

Może nawet był mordercą.

Castanza z Mexico City.

Morderca bez sumienia, jak dowiedział się Howard, który pracował na zlecenie i faktycznie całkiem dyskretnie. Już tam był. Czekał na lot Normana, nocny lot z lotniska Kennedy'ego.

Norman i Sonia nie znajdują tam miasta pełnego zielonych parków, pomników i placów, cappuccino i romantycznych spacerów w świetle księżyca. Znajdą śmierć.

Nie wiedział gdzie ani jak. Nie obchodziło go to. To było zmartwienie Castanzy. Facet zapewnił go, że w Meksyku nie będzie trudno połączyć tego z narkotykami albo z czarami - z dotykiem Santeri*. Czy ma jakieś preferencje?

*** Afroamerykański synkretyczny kult pochodzenia karaibskiego, wyznawany głównie na Kubie. Nazwa „Santeria” jest zewnętrzną - wyznawcy określają go mianem Regla del Ocha. Inne nazwy dla kultu to: Lucumi (Lukumi) lub Ocha (przyp. red.).**

Nie miał.

Facet znał dobrze Normana i nie żywił żadnych uczuć wobec swojego gospodarza. Może dlatego Howard utargował taką cenę. Soni nie znał wcale - ale Sonia była tylko dekoracją, była *nada**, jakąś kobietą podróżującą z Normanem.

Do następnego tygodnia biznes będzie należał do niego.

Klauzula „zazdrości” w testamencie Nate'a.

Nate przekręciłby się w grobie. Mentalnie Howard pokazał mu palec.

Mężczyźni w tej rodzinie zawsze byli draniami, a jego tata nie stanowił wyjątku.

Howard patrzył na swojego brata po raz ostatni. Jego zdaniem to był *najwyższy* czas. Wszystko teraz będzie należało do niego i do mamy. To było w porządku.

Myślał o tym wszystkim, gdy przyniesiono jedzenie i zaczęli jeść - można powiedzieć, że on wręcz je delektował. Łatwiej było przełknąć to, niż ten stek.

- Chciałbym wznieść toast - powiedział Norman. Jego widelec uderzał hałaśliwie o pusty talerz. *Pierwszy zaczął, pierwszy skończył. Jak zawsze.* - Będziesz potrzebował do tego szampana, braciszku. No dalej. Billy? Polejesz mojemu bratu?

- Nie piję szampana - powiedział Howard. - A zwłaszcza takiego. Przecież wiesz.

- Jeden kieliszek cię nie zabije. Chciałbym wznieść odpowiedni toast, dobra?

Norman się uśmiechał. Jego usta były wciąż tłuste od jajek i frytek, nakrapiane okruchami z tosta. Howardowi wydawało się niesamowite, że jego matka wydała na świat coś tak odpychającego.

W końcu stwierdził, że może dać się w to wciągnąć. Przecież są wakacje, prawda?

*** z języka hiszpańskiego „nicość”, „nic” (przyp. red.).**

- Dobra - powiedział. - Jeden kieliszek. Masz coś lepszego, niż to? - zapytał barmana.

Billy wzruszył ramionami.

- Mogę ci dać trochę Korbel Brut.

- Jezu. Dobra, niech będzie.

Barman otworzył butelkę i nalał, a potem dolał Freixineta mamie, Normanowi i Soni. Howard dopił resztkę szkockiej, a potem wznieśli kieliszki.

- Za mojego brata - rzekł Norman. -Co?

- Za ciebie.

- Jest Dzień Matki. Dlaczego toast za mnie? Wszyscy troje uśmiechnęli się i spojrzeli na niego. Urocze, pomyślał. Ma tu miejsce jakaś konspiracja.

- To niespodzianka - powiedział Norman. - Wierz mi, spodoba ci się. Napij się. Zdrówko!

Wypili.

Howard już wyobrażał sobie ból głowy po Korbelu.

- Oto cała historia, braciszku - rzekł Norman. - Wiesz, że Sonia i ja pobieramy się w przyszłym miesiącu, prawda? Wiesz. Dobra, dużo rozmawialiśmy we dwoje, potem omówiliśmy to z mamą... Wiesz, chodzi o to, że ja nie młodnieję, prawda? A Sonia i ja mamy dość miasta. Tłumy, męczarnia, kurz. Pamiętasz, jak w zeszłym roku byliśmy na Barbados? Sonia i ja myślimy o Barbados. Wiem, że zawsze chciałeś prowadzić biznes, ale wola taty, to wola taty i zawsze ja go prowadziłem. Ale mówię ci, dużo pieniędzy, dużo inwestycji, prędzej umrę niż wydam to wszystko! Tak więc, zgadnij co, oddaję go tobie.

- Oddajesz mi...?

- Biznes, głupku! - zaśmiał się. - Oddaję ci biznes.

- Czy to nie wspaniale, syneczku! - wykrzyknęła mama. Pochyliła się i pocałowała go. Norman wyciągnął rękę.

- Gratulację, braciszku.

Howard potrząsnął dłonią brata. Swojego martwego brata.

Rozważył możliwości. Nie było ich wiele.

Nie było możliwości odwołania Castanzy. Nie wiedział nawet, gdzie i jak się z nim skontaktować.

Bilety Normana były już opłacone i nie licząc mamy dostającej wylewu lub zawału właśnie teraz, przy barze, nic, co ktokolwiek by powiedział czy zrobił - a zwłaszcza on - nie było w stanie powstrzymać jego i Soni przed wejściem za kilka godzin na pokład samolotu. Chyba że, oczywiście, Howard przyzna się do tego, co zrobił.

Jeśli się przyzna, to z pewnością nie przejmie biznesu. Właściwie to Norman był gotów nawet wpakować go do więzienia. Wcale by go za to nie winił.

Jego możliwości były... ograniczone.

Przepraszam, Norm, pomyślał. Kto by pomyślał, że zmięknieś dla tej blondyny po tylu latach twardej gry.

- Nie wiem co powiedzieć - stwierdził. - Ja... Jestem przytłoczony, Norman. Nie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz, braciszku. Papiery będą na twoim biurku jutro rano. Jesteś teraz czyimś gospodarzem, koleżko. Powodzenia.

Sonia podeszła i pocałowała go w policzek. Pachniała Tigress i jajkami. Mama go uściskała.

- Doskonale dasz sobie radę. Wiem to, syneczku.

- Dzięki, mamó.

Ponad jej ramieniem widział Normana, zerkającego na swojego Rolexa.

- Będziemy się zbierać, mamó - rzucił. - Musimy cię spakować.

-Co?

Norman westchnął.

- Racja, zapomnieliśmy ci powiedzieć. Jutro przyjeżdżają rodzice Soni, jej ciotka jest w szpitalu St. Luke. Co to jest, Sonia? Kolanostomia?

- Kolostomia.

- Kolostomia. W każdym razie Sonia nie może jechać. Zaprosiłem więc mamę.

- Zaprosiłeś mamę? Do Meksyku? Norman zaśmiał się.

- Jasne, do Meksyku. A gdzie niby jadę, do Hoboken? Mama nigdy tam nie była, więc pomyślałem, co mi tam, albo to, albo zjem bilety, więc czemu nie.

- Będziecie się świetnie bawić - powiedziała Sonia.

- Jestem pewna, że będziemy - przyznała mama, uśmiechając się. - Nie byłam nigdzie z żadnym ze swoich chłopców od dwudziestu lat. Oczywiście, że będziemy się dobrze bawić!

Castanza jej nie zna, pomyślał Howard. Nie ma nawet jej opisu. Castanza powiedział, że kobieta jest nada. Po prostu kimś podróżującym z Normanem. Dekoracją.

Mój Boże, mama!

Mama, która wspierała go, wychowała, dodawała mu odwagi. Która poprzez małżeństwo z Natem i splodzenie dwójki dzieci dała mu cholerne życie!

Rozważył możliwości.

To były te same możliwości, które już ustalił, kiedy martwił się Normanem i Sonią. Dał znak Billy'emu, by przyniósł whisky -jak się spodziewał - pierwszą z wielu. Do lotu pozostały jeszcze cztery godziny, musiał pić ostrożnie.

Wiedział, że nie może być zbyt pijany, kiedy razem wejdą na pokład. Norman miałby to gdzieś.

Ale mama by się martwiła.

MATKA I CÓRKA

Kiedy odszedł mój ojciec, mama zakryła wszystkie lustra. Był pianistą jazzowym, i to dobrym. Może nawet za dobrym. - Za dużo słyszy - powiedziała nam kiedyś mama. - To go doprowadza do szaleństwa. Tylko ona o tym wiedziała.

Ale to była prawda. Mój ojciec słyszał *wszystko*. Uchwycenie rozmowy po drugiej stronie zatłoczonej restauracji to była dla niego pestka. Jadąc autostradą, słyszał wiatr szumiący między drzewami, ponad pomrukiem samochodu i gadaniną mojej mamy siedzącej z tyłu. Większość ludzi śpi, kiedy pada nocny, delikatny deszcz. Ojciec nie mógł. Miał perfekcyjny słuch i potrafił odtworzyć krzyk mewy albo kosa na pianinie tak dokładnie, że ja i moja siostra doskonale odróżnialiśmy, który jest który. Potrafił jednocześnie odegrać jedną ręką motyw przewodni z *Pienie*, a drugą z *Przeminęło z wiatrem*.

Jego dar był też przekleństwem.

Nie było możliwości, by został w mieście. Nie tylko w Nowym Jorku, ale w *żadnym* mieście - każde czyniło jego karierę muzyka niemożliwą i ograniczało go do małych klubów wzdłuż wybrzeża Jersey. W sezonie turystycznym nawet leniwy, stary Cape May czynił go burkliwym. Jego lekarstwem była butelka szkockiej. Mój ojciec był pijany między czerwcem a wrześniem, a także podczas dłuższych przerw świątecznych. Braliśmy za pewnik, że tak już będzie zawsze.

Nie spodziewaliśmy się jednak, że odejdzie.

Pewnej zimnej, lutowej nocy, kiedy wszyscy spaliśmy, on wstał i odjechał.

Moja matka zakryła lustro.

Miałem wtedy tylko jedenaście lat, a moja siostra Louise szesnaście. Co dla mnie jawiło się jako głupie i dziwne zachowanie dorosłych, dla niej było katastrofą.

- Zwariowałaś? - zapytała matkę.

Chyba tak było - a przynajmniej się zaczynało. *Teraz to wiem. Nasza rodzina nigdy nie przystawała do serialowych ideałów. Z perspektywy czasu widzę, że lustra były kolejnym tego przejawem.*

- Dlaczego mi to robisz?

Nie robiła tego jej. Robiła to *dla siebie. Matka była tak czuła na punkcie swojego wyglądu, a ojciec był z niego dumny, więc zasłaniając lustro, zachowywała te oczy, tę skórę, tę dziką fryzurę, aż do dnia, kiedy on powróci. Żeby sama nie mogła widzieć upływającego czasu, odbijającego się na jej twarzy.*

Wiedziała, że wróci. Wbrew wszelkiej nadziei, w kółko nam to powtarzała. Chociaż prawdopodobnie to właśnie jej klótnie i paplanina ostatecznie go przegnały.

- Jak mam zaprosić do siebie przyjaciół? - pytała moja siostra. Nie mogła. To byłoby zbyt kłopotliwe.

- Wszyscy zapraszają przyjaciół. Czy wiesz, co to robi z moim życiem?

Miała na myśli życie towarzyskie. To je rujnowało. Ale po części to była jej wina. Moja siostra czuła wstyd.

To także prawie zniszczyło rodzinny interes. Prowadziliśmy mały, skromny pensjonat z sześcioma sypialniami, który mama odziedziczyła po siostrze i praktycznie niemożliwe było wytłumaczenie płacącym gościom, dlaczego lustra zostały zasłonięte rycinami Laury Ashley. Matka nawet nie próbowała. Zamieniła wielkie, owalne lustro w jadalni na pejzaż morski Neala McPhee-

tersa i otworzyła małą restaurację, gdzie serwowała śniadania oraz obiady. Mama była świetną kucharką, z nieznaczną skłonnością do gęstych sosów na bazie mąki, ale wydawało się, że ludzie polubili kameralną jadłodajnię, w której mieściło się tylko szesnaście osób.

Przetrwaliśmy. Ja przetrwałem z łatwością. Moja siostra Louise - zdecydowanie nie.

Wstydziała się. Była winna, ponieważ się wstydziała. Trwało to do końca jej dni.

Mamie zajęło kilka lat, zanim dotarła do niej gorzka prawda. Pomimo pełnej nadziei litanii - *kiedy twój ojciec wyrzuci to z siebie* - musiała w końcu zdać sobie sprawę, że on nie wróci. Ich ślubne zdjęcie stało na obudowie kominka w salonie, ale stopniowo traciło moc przyciągania jej wzroku. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego go nie zasłoniła. Dostawaliśmy świąteczne i urodzinowe kartki z Oregonu, Colorado, Vermont i Maine, podpisane niewielką, zgrabną ręką ojca. Zawsze bez adresu zwrotnego. Mama dostawała czasem świeży banknot studolarowy. Nigdy nie było żadnej notki.

Potem zapomniał o dwudziestych pierwszych urodzinach mojej siostry, a parę miesięcy później o moich szesnastych. Banknoty studolarowe przestały przychodzić.

Louise i ja założyliśmy, że nie żyje.

Mama nigdy nie chciała o tym rozmawiać.

Louise i ja rozmawialiśmy, wiele razy. Było takie miejsce, do którego lubiliśmy chodzić - Cypel za żeńskim klasztorem St. Mary. Nie widywaliśmy tam zakonnic, tylko rybaków. Schodziliśmy w dół starym deptakiem wśród wydm do długiego falochronu, zbudowanego z ogromnych granitowych płyt, spojonych żwirobotonem. Przez lata płytów i łomotania fal przybrzeżnych, beton rozpadł się na białe, lśniące kamyczki, które osadziły się w szczelinach pomiędzy skałami na długości około trzydziestu

metrów. Falochron ciągnął się przez następne pięćdziesiąt - czarny, poszczerbiony i pokryty śliskim, zielonym porostem.

Po jednej jego stronie rozpościerał się dziki Atlantyk, a po drugiej spokojna Zatoka Delaware.

To było miejsce kontrastów, dobre by usiąść i pomyśleć.

Pamiętam jak wylegiwaliśmy się na piasku po stronie Atlantyku w ciepłe, wrześniowe popołudnie. Wypytywałem siostrę, dlaczego nie wyjechała. Dlaczego nie poszła do koledżu, jak inne dzieciaki. Przecież miała dobre stopnie.

- Ona mnie potrzebuje - powiedziała. - Jak inaczej poprowadzi restaurację?

- Cały czas na ciebie wrzeszczy.

- Każdy czasem wrzeszczy.

- Tata tego nie robił.

- Nie. Tata uciekł. Już chyba wolę wrzaski, a ty nie?

- Myślisz, że nie żyje?

- Nie wiem.

Pamiętam, że miałem na sobie jasnopomarańczowe kąpielówki, które uwielbiałem, a Louise - dwuczęściowy kostium w kwiatki i wystawał jej brzuszek, trochę większy niż by tego chciała.

- Mnie się wydaje, że nie żyje - powiedziałem. - Kiedyś, co jakiś czas, czułem go, wiesz? Coś jakby pewność, że on gdzieś tam jest. Nie w pobliżu, ale gdzieś jest. Już od dawna tego nie poczułem. To dziwne, prawda?

-Nie.

- Myślisz, że kiedyś dowiemy się, co się stało?

- Jeśli do tej pory nie wiemy, to nie.

- Myślę, że powinnaś wyjechać. Powinnaś iść do szkoły. Może znaleźć sobie inną pomoc do restauracji.

I kolejny raz później, w środku lata. Louise i ja staliśmy na skałach, patrząc ponad jasnym, mokrym porostem na rój insektów unoszący się tuż nad niewielkim przypiływem.

- Powinnam była wyjechać - powiedziała. - Prawie się do mnie nie odzywa. Albo cały czas mówi o czymś, o czym nie mam

zielonego pojęcia. Powinam była wyjechać, do cholery. Teraz już nigdy tego nie zrobię.

- Oczywiście, że zrobisz. Możesz wyjechać w każdej chwili. *Ja wyjeżdżałem jesienią do koledżu. Nie planowałam szybkiego powrotu.*

- To by było jak ucieczka - powiedziała. - Zupełnie jak tata.

- Nieprawda.

- Jak mogę ją tu zostawić samą, Steven? Wiesz, że zapomniała wczoraj wyłączyć jeden palnik? Gdybym tego nie zauważyła, cały cholerny dom trafiłby szlag.

- Jezu.

- Miałam ci nie mówić.

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Wyjeżdżasz.

Poleciałem do Bostonu. Siostra zawiozła mnie na lotnisko Newark i zaczekała, aż wejdę na pokład. Kiedy machała mi, stojąc przy bramie, zobaczyłem w niej zwykłą, ale niebrzydka kobietę, ubraną w dżinsy i koszulę, która pomimo swoich dwudziestu trzech lat miała tylko trzech chłopaków, każdego na krótko. Nie byłem nawet pewien, czy nadal nie jest dziewicą.

W samolocie myślałem o mamie.

Do tego czasu linie wokół jej ust były już głęboko wyżłobione w policzkach.

Zaczynała się lekko garbić. Włosy stały się matowe i cienkie. Oczy osadziły się głębiej, niczym tonące kamienie. Zupełnie, jakby jej ciało powoli zapadało się w sobie - jakby ojciec ciągle żył w niej i zjadał ją od środka, nawet jeśli nie było wiadomo czy chodzi jeszcze po świecie, czy nie.

Zaczęła się starzeć na naszych oczach, sama tego nie widząc.

Lustra nadal były zakryte.

Mężczyźni w naszej rodzinie odchodzą, pomyślałem. Kobiety zostają.

Osteoporoza matki zaabsorbowała mój ostatni rok nauki.

Miałem dwadzieścia dwa lata, Louise dwadzieścia siedem. Zadzwoiła do mnie parę tygodni przed Świętem Dziękczynienia, by powiedzieć, że mama przetrąciła biodro o kuchenny stół. Złamała je i upadła. Przy upadku złamała też nadgarstek i to w dwóch miejscach. Biodro było głównym problemem. Musiała zostać w szpitalu przynajmniej przez tydzień. Zapytałem Louise, czy mam wrócić do domu i pomóc jej przez jakiś czas.

- Dam sobie radę - powiedziała.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

Uwierzyłem jej. W Cambridge była dziewczyna z miękkimi, rudymi włosami i wyrzeźbionym brzuchem, która działała na mnie jak nic innego. Dzwoniłem do mamy do szpitala dwa razy. Była trochę przygnębiona, ale poza tym wydawała się być zaskakująco w porządku. Mówiła o doktorach, wypróżnianiu i okropnym jedzeniu. Typowa gadka szpitalnego pacjenta. Potem Louise zadzwoniła i powiedziała, że mama jest już w domu. Spała, a ja poprosiłem, żeby jej nie budzić.

Pojechałem do Cambridge, by dziękczynić po swojemu, a do domu tylko na Święta Bożego Narodzenia. Louise wyszła po mnie na lotnisko. Zaszokowało mnie, jak bardzo schudła, zaledwie od ostatniego lata. Kości miednicy wystawały jej z dżinsów. Piersi praktycznie zanikły. Kiedy powiedziałem jej, że mogłaby trochę przytyć, zaśmiała się.

- Wiem, wiem - odrzekła. - Mama zabiera mnie ze sobą, prawda? Kiedy dojechaliśmy do domu, dowiedziałem się, co miała na

myśli. Dom był czysty i schludny jak zawsze, ale to nie była zasługa mamy. Matka była przykuta do łóżka. Tydzień wcześniej wstała z niego, źle stanęła i złamała palec lewej nogi. Nie powiedziały mi o tym.

Przy łóżku leżał dywanik. Trochę na to za późno, pomyślałem.

Ciało zwisało z jej łamliwych kości. Kiedy ją przytuliłem, czułem się jakbym obejmował wróbla wielkości człowieka.

W styczniu miała skończyć sześćdziesiąt pięć lat. Dla mnie wyglądała co najmniej na osiemdziesiąt.

Mogliśmy odsłonić teraz wszystkie lustra, oprócz tego w jej pokoju. Louise sprzeciwiła się temu.

- Nie odsłaniaj ich. Sama też nie lubię teraz na siebie patrzeć. Zostaw tak jak jest.

Mama dużo spała. Tak działało lekarstwo przeciwbólowe. Rozbudzona, zazwyczaj była niezwykle sprawna umysłowo i chciała uporządkować wszystkie sprawy - mówiła nam po raz enty gdzie jest jej testament, ubezpieczenie i akt notarialny domu. Zupełnie, jakby planowała umrzeć następnego dnia. Wydawało się jej, że ciągle jest w szpitalu. Narzekała na lekarzy, pielęgniarki i jedzenie. Albo była w półśnie i zaczynała mówić absurdalne rzeczy.

- *Masz dolara ? Dobry chłopiec. Idź do Murphy 'ego i przynieś zgrzewkę piwa, OK? I weź resztę. Jemu nie można ufać. Masz dolara ? OK, dobry chłopiec...*

Razem z Louise uznaliśmy, że rozmawia ze swoim zmarłym bratem Lloydem - *ale głosem swojej własnej matki*. To musiało być to. Była z powrotem w Newark, gdzieś w drugiej połowie lat trzydziestych.

Lloyd został zabity w Baatan podczas II wojny światowej.

Dla mnie i mojej siostry tamto Boże Narodzenie to głównie czyszczenie basenu chorej, sprawdzanie odleżyn, tony brudnego prania, przewracanie matki na drugi bok i wycieranie jej podbródka. No i restauracja. Zamknęliśmy ją na święta i nagle zdaliśmy sobie sprawę, że nie mamy nic więcej do roboty. Nie zawracaliśmy sobie głowy choinką, dekoracjami, wymianą prezentów, tak więc świąteczny poranek trwał jakieś dziesięć minut. Dla niej srebrna bransoletka, którą kupiłem w sklepie z antykami w Cambridge. Niezbyt dobry pomysł, chociaż nie mogłem tego wcześniej wiedzieć. Bransoletka sprawiła, że jej nadgarstek wyglądał na jesz-

cze cieńszy niż w rzeczywistości. Dla mnie - absolwenta literatury - ładna kolekcja dramatów Sofoklesa, Eurypidesa i Ajschylosa. Usiedliśmy przed telewizorem. Obejrzałem książki.

- Moglibyśmy iść na Cypel - powiedziała.
- Za zimno na Cypel. No i co zrobilibyśmy z nią?
- Nic jej nie będzie. Zastanowiłem się nad tym.
- Nie. Zapomnij o tym. Nieważne. To była tylko luźna propozycja. Osteoporoza to ból, a ból nadwyręzą serce.

Na przekór oczekiwaniom, mama dotrwała do kwietnia następnego roku. Odwiedzałem ją tak często, jak tylko pozwalał na to mój szkolny grafik i obserwowałem, jak siostra stopniowo podupada na zdrowiu, zupełnie jak wcześniej matka, chociaż bez dodatkowego problemu - lub wymówki - czyli fizycznej choroby. Mogłem tylko mieć nadzieję, że teraz, kiedy wszystko się skończyło, Louise wróci do czegoś, co przypomina normalne życie. Chociaż nigdy go nie miała.

Podczas pogrzebu widać było, że z mojej siostry zostały tylko skóra i kości. Ja dopiero co przyleciałem.

Mój lot z Logan został odwołany i ledwo zdążyłem.

- Chciała być skremowana - powiedziała mi.
- Chciała? Od kiedy?

Powitaliśmy innych żałobników. Było ich zaskakująco wielu, chociaż właściwie to nie znałem żadnego z nich. Niektórzy pamiętali jeszcze czas, kiedy ojciec był muzykiem. Louise i ja siedzieliśmy w pierwszym rzędzie, obok zamkniętej, sosnowej trumny, słuchając niskiego buczenia organów. Czekaliśmy, aż pastor zacznie.

- Mnie też to zaskoczyło. Powiedziała coś śmiesznego, Steven. Przynajmniej jak na nią. Powiedziała, że chce się do cholery stąd wreszcie wydostać.

- Módlmy się - powiedział pastor. Skłoniliśmy głowy.

- Nie winiłam jej - wyszeptała. - Też bym chciała.

To było moje życzenie względem siostry. O to właśnie modliłem się w domu pogrzebowym tego poranka. Nie za duszę mojej zmarłej matki.

Siostra nareszcie była od niej wolna, na dobre.

W dniu, w którym mama została skremowana, zanieśliśmy prochy na Cypel.

To był pomysł Louise.

- Chciała stąd uciec - powiedziała. - Wiatr i woda. Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu, a ty?

Niebo było matowe i ciemnoszare, zupełnie jak przed burzą. Nie obraziłbym się, gdybyśmy przenieśli to na inny dzień - wyglądało na to, że lada moment zaczną lać. Ale Louise nic sobie z tego nie robiła. Wsiadła z samochodu z małym, białym, ciężkim poidelkiem kartonowym w rękach i ruszyła deptakiem w stronę wydmy. Kiedy mijalem klasztor, była już w połowie drogi do brzegu.

Dogoniłem ją mniej więcej na dwudziestym metrze falochronu, w miejscu, gdzie beton zaczynał pękać i rozszczepiać się. Po naszej prawej stronie zatoka delikatnie marszczyła się pod południowo-zachodnim wiatrem. Od strony Atlantyku grzywiaste fale uderzały o płaskie, czarne skały. Chwyciłem ją za ramię. Musiałem krzyczeć, żeby mnie usłyszała.

- Jesteśmy wystarczająco daleko! - rzuciłem. -Co?

- Zróbmy to wreszcie! Tu będzie w porządku.

- Jeszcze kawałek. Zróbmy to jak trzeba. Jesteśmy jej to winni, Steven!

- Mc nie jesteśmy jej winni, na Boga. Ona nie żyje. Chciałem powiedzieć, że ona nic nie jest jej winna, ale nie powiedziałem.

- Jeszcze kawałek.

Wyprzedziła mnie. Byłem tuż za nią, nie próbując jej dalej powstrzymać. Skały były mokre i śliskie tam, gdzie nie było za wiele betonu, więc musieliśmy patrzeć pod nogi. Potem nie było go już wcale. Droga stała się niebezpieczna.

Byliśmy w połowie falochronu, na czterdziestym metrze czy dalej. Powietrze było gęste i zimne.

Louise! pomyślałem. *Jezu, siostró, wystarczy.*

Stała, co było dla mnie wielką ulgą. Odwróciła się i uśmiechnęła, a potem przysiadła i zaczęła otwierać pudełko. Wyjęła grubą, plastikową torbę, która zawierała prochy matki, a ja zrobiłem krok naprzód i nagle zobaczyłem to monstrum, wyrastające po jej lewej stronie. Zaczęłem wrzeszczeć, krzyczeć, ale nie było już czasu. Wyjęła torebkę z pudełka i wtedy właśnie dzika fala uderzyła w Louise jak ogromna, szarobiała kocia łapa, zrzuciła ją ze skały i pociągnęła do morza. Poślizgnąłem się i pobiegłem w miejsce, w którym przed chwilą stała, ale kiedy tylko piana z bąbelkami spłynęła ze skał, mogłem zobaczyć jedynie dwie blade, chude dłonie, próbujące chwycić się czegoś, przebijające się przez wodę, a potem niknące w ciemności pod jej powierzchnią.

Dostrzegłem czarny kształt, który, jak wiedziałem, był moją siostrą, z dużą prędkością przepływający pod zaporą i uderzający o skały, a potem drugi raz, przy końcu falochronu. Zobaczyłem zamkniętą, plastikową kopertę, ślizgającą się po falach. Kredowa wiadomość w plastikowej butelce. Potem kolejna fala uderzyła tuż przede mną i zaczęło padać, więc wycofałem się.

Wycofałem się z tego wszystkiego.

Odwróciłem się i przeszedłem przez wydmy, do telefonu w klasztorze.

Kiedy policja skończyła swoją robotę, a raport był już należycie sporządzony, pojechałem do domu, odrzucając ich ofertę po-dwózki. Upiłem się, jak mój ojciec, szkocką z kubka, i zapłakałem nad nami wszystkimi. A potem, wczesnym rankiem, wstałem i odsłoniłem wszystkie lustra.

KIEDY UPADA GROSİK

dla Morta Levina

Bądźcie cierpliwi.

Mam do opowiedzenia historię, ale bądźcie cierpliwi. To chwilę potrwa. Oto teza.

To zdarzenia tajemnicze i niewytłumaczalne powodują w nas boskie nawrócenie albo pogrążenie się w zło. I tylko one.

Mała wiedza to niebezpieczna rzecz, ale czy możemy wiedzieć więcej?

Moja żona i ja pewnego wieczoru, kilka lat temu, jedliśmy obiad z przyjaciółmi w kawiarni na Columbus Avenue i, jak to czasem bywa, nawet jeśli się tego nie chce, rozmowa zeszła na temat religii, zorganizowanej i innej - a ja przywołałem historię o Eskimosie i Misjonarzu. Eskimos pyta Misjonarza: *jeślibym nie wiedział o tym twoim Bogu ani o grzechu zupełnie nic, czy poszedłbym do piekła?* a Misjonarz mówi, że oczywiście nie.

W takim razie, dlaczego mi o tym powiedziałaś?

Moja żona roześmiała się. Obaj moi przyjaciele, którzy chcieli zostać krytykami w „New York Times Book Review”, uśmiechnęli się nieznacznie.

Wydaje mi się, iż morał nie jest taki, że niewinność jest łaską, albo że jest dobra. Eskimos nie jest Szlachetnym Dzikusem. Morałem jest to, że wiedza nigdy nie jest kompletna, niesie ze sobą rdzeń tajemnicy, pozornie nieprzenikniony - a razem z tym nie

bezpieczne zjednoczenie światła i ciemności, jasności i cienia, które przynajmniej do jakiegoś stopnia musi zostać spenetrowane, żeby zrozumieć codzienne cele, pośród majaczącego nieba i zaludnionej ziemi, aby się nie potknąć, tylko zacząć widzieć.

No i znowu mówię jak fotograf. Wybaczcie.

W momencie kiedy miała miejsce owa konwersacja na Columbus Avenue, pracowałem dla ABC News już od pięciu lat. Obfotografowywałem Super Bowl, mecze Rangersów, miejsca zbrodni, gale celebrytów, powodzie w Iowa, pożary w Kalifornii, kampanie wyborcze i inne katastrofy naturalne. Kochałem tę pracę, tak jak kochałem swój aparat Brownie, gdy byłem dzieckiem i przemierzałem gęste lasy Maine. Lubiłem patrzenie przenikliwym okiem, szybką reakcję na odpowiedni moment, która decyduje czy zdjęcie się uda, czy nie, lubiłem kadry i przesuwające się obrazy na taśmie.

Moja żona Laura była dziennikarką, zajmującą się przemysłem lotniczym. Oznaczało to, że rzadko kiedy oboje byliśmy w domu w tym samym czasie. Zawsze w trasie; Laura, by relacjonować zjazdy, skandale czy fuzje, a ja Bóg wie gdzie i Bóg wie w jakim celu, obsługując jakieś przełomowe wydarzenie. Głównie z tego powodu nie mieliśmy dzieci. Myślę, że z tego powodu byliśmy też szczęśliwi, przynajmniej początkowo. Jako nowożeńcy, nie mieliśmy czasu na wątpliwości względem siebie, na kwestionowanie swoich decyzji i radzenie sobie z małymi irytacjami i skargami, które mogą odsunąć od siebie dwoje ludzi, zaczynających ze sobą żyć. Dni mijały szybko, a my musieliśmy tylko się trzymać - i to trzymać się razem.

Z czasem się to pogłębiło. Wspólne stawianie czoła trudnym sytuacjom niesie zwykłą, prostą, wysoce niedocenioną radość. Dla dwojga ludzi, którzy ciągle są rozdzieleni, zastrzegając, że związek zaczyna się od miłości, każde spotkanie jest jak klej. Miękki klej, który pozwala na wielkie, elastyczne rozstania. Cienkie włókna, rozciągające się ponad miastami i kontynentami, ponad czasem i przestrzenią. A każde z nich ma taki sam skład.

Chcą się w końcu zejść. Ich chemiczny cel to powrót do ujednoczonej formy, od której zaczęło się rozciąganie. I tak się dzieje. Przynajmniej tak było w naszym przypadku.

Latem 1969 roku byliśmy już małżeństwem od ponad roku, a nadal nie mieliśmy miesiąca miodowego z prawdziwego zdarzenia. Spędziliśmy długi weekend w Sag Harbor, pomiędzy jednym zleceniem a drugim i uznaliśmy, że to może być nasz miesiąc miodowy, tak samo jak innym razem wypożyczyliśmy samochód na parę dni i pojechaliśmy na północ zjeść indyka na Święto Dziękczynienia w jakimś wiejskim zajeździe i też tak to nazwaliśmy. Nasze miesiące miodowe były jak jasne, jesienne liście, wirujące na wietrze, trudne do złapania, ale cudowne, kiedy już uda się to zrobić.

Był sierpień, tak gorący, że większość taksówek na Manhattanie śmierdziała jak stare kanapki z salami wystawione na słońce. Właśnie skończyłem relacjonować Woodstock. Czterysta tysięcy dzieciaków chcących złapać pokój, miłość, narkotyki i muzykę obiema dłońmi. Trzy dni słodkiego koszmaru pełnego korków, deszczu, błota i braku higieny. Tydzień wcześniej byłem w Los Angeles w sprawie morderstw w domu Sharon Tate. Byłem wypalony i wykończony. Błagałem o urlop od tego niekończącego się ciągu historii i jakimś cudem dostałem go - pięć dni wolnego. Dziewięć, jeśli liczyć weekendy.

A gdzie była Laura? Laura była w Atenach, pracując nad artykułem o Olympic Airlines. Prawie kończyła. Wskoczyłem do samolotu.

Nie zostaliśmy tam. Tylko najbardziej bojaźliwi turyści tak robią. Ateny zostały mocno zbombardowane podczas II wojny światowej, a potem tandetnie odbudowane. W przeciwieństwie do Plaki - Starego Miasta w pobliżu Partenonu - i wzgórza Lycabettus po drugiej stronie doliny, Ateny nie są ładnym miastem. Są pospolite i szare dla oka. Spędziliśmy tam jedną noc, podczas której regenerowałem się po locie, a z samego rana wzięliśmy taksówkę do portu w Pireusie, a potem prom do Mykonos na Cykladach.

W sierpniu wyspa Mykonos jest zwiędła jak pustynia. Niemalże spodziewasz się ujrzeć bosego proroka z laską w dłoni, wracającego po kolejnym objawieniu. Masz szczęście, jeśli zobaczysz coś zielonego, chyba że będzie to zmięta paczka Salemów jakiegoś turysty. Na wybrzeżu zawsze jednak wieje bryza i całkiem nieźle znosisz ponad trzydziestostopniowy upał, nawet przez cały dzień. Laura i ja trzymaliśmy się blisko brzegu, w małym, ośmiopokojowym hotelu z widokiem na port.

Bawiliśmy się cudownie. Całymi dniami wygrzewaliśmy się na słońcu i pływaliliśmy w turkusowym morzu na plaży nudystów, do której dotrzeć można było jedynie promem. Laura świadoma była bladości swego ciała, które rzadko widywało słońce. Spędzaliśmy ciepłe, wietrzne wieczory, siedząc w tawernach na wolnym powietrzu przy winie, *meze*, *dolma-dakia*, grillowanych krewetkach i kalmarach, *taramasalata* z ikry i pikantnym Cedes. Nocami wracaliśmy do swoich ciał, śmiejąc się jak uliczne dzieciaki skrywające jakiś sekret. Albo jak pływacy, dryfujący na Morzu Egejskim, unoszeni przez wieczną wodę.

Poznaliśmy francuskich, angielskich i holenderskich turystów i wielu miejscowych - tych, którzy jeszcze mieli siłę i uprzejmość, by radzić sobie z tymi wszystkimi obcokrajowcami przez trzy miesiące sezonu. Zmagaliśmy się z językiem. Było dużo śmiechu, tańczenia w klubach i picia, bez kaca o poranku.

Wieczorem, przed odlotem, zjedliśmy obiad w „Sunset Bar” po przeciwnej stronie wyspy, obserwując wspaniałą, czerwoną kulę, schodzącą powoli w kierunku ciemniejącej wody, najpierw niebieskozieloną, potem purpurową i wreszcie czarną. Pomachaliśmy znajomej parze z Australii, która siedziała przy stoliku obok, ale nie zaprosiliśmy ich do naszego. Żegnaliśmy się z wyspą. Miesiąc miodowy - nasz pierwszy, prawdziwy miesiąc miodowy - dobiegał końca. Delektowaliśmy się winem, obiadem i kremem karmelowym, a potem mocną, ciemną kawą. Wypiliśmy też kilka kieliszków Metaxy.

Uregulowałem rachunek, wstaliśmy i trzymając się za ręce wędrowaliśmy po wyspie, jakbyśmy się z nią już obyli, celowo i szczęśliwie gubiąc się w wąskich, bielonych uliczkach, które biegły w górę i w dół wzgórza, a potem przy wiat rakach wzdłuż wybrzeża, sklepach i małych domkach z niebiesko-białymi okiennicami. Mogliśmy słyszeć muzykę z klubów porozsiewanych w ciepłej, bezwietrznej nocy, odległe echa Dionizosa. Wreszcie dotarliśmy w pobliże naszego hotelu. Zdecydowaliśmy się na ostatnią Metaxę w tawernie przy porcie.

Usiedliśmy przy stoliku na wolnym powietrzu. Wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że moja kieszka jest pusta. Nie było portfela.

Powrót po własnych śladach był niemożliwy. Za dużo meandrowania po zbyt wielu uliczkach w mieście zaprojektowanym jako labirynt, by pokonać starożytnych piratów. Jedyna nadzieja była w tym, że upuściłem portfel w restauracji po zapłaceniu rachunku. Mimo to, szukaliśmy też po drodze. Nagle nie było już nic zabawnego w tym, że się gubiliśmy. Braliśmy złe zakręty, podejmowaliśmy błędne decyzje, musieliśmy odtworzyć nasze kroki. Zaczynałem się czuć jak ci piraci: sfrustrowany, oszołomiony i zły. *Przekłęci Mykeńczycy!* Nie mogli poprowadzić gdzieś jednej prostej linii?

Wreszcie znaleźliśmy drogę do restauracji i zawołaliśmy kelnera. Uśmiechał się, szczęśliwy, że znów nas zobaczył. Znał angielski na tyle, by zrozumieć, co do niego mówimy. Uśmiech wyparował i zmienił się w grymas, nagły jak szkwał na morzu. Wysoki, chudy, odziany w fartuch, zaglądał pod stoły, zatrzymując każdego kelnera, każdego pomywacza, chodził od stolika do stolika, wypytyując bywalców, poszedł do kuchni wpytać kucharzy. Wszystko zajęło mu dziesięć minut, taki był szybki, a kiedy wrócił do nas, był tak przygnębiony, jakby to był jego portfel, a nie mój. Albo że straciłem nie portfel, a bliskiego krewnego.

Podziękowaliśmy mu i poszliśmy do domu. Nie przyjął od Laury napiwku. Nie naciskaliśmy. Był dobrym i dumnym człowiekiem.

Staralem się nie być markotny.

Utrata portfela była wielkim kłopotem, zwłaszcza w obcym kraju, ale tylko kłopotem - tak przynajmniej sobie tłumaczyłem. Nie zepsuj pięciu wspaniałych dni przez jedną taką noc. Nadal miałem paszport, a Laura sporo gotówki. Żaden problem. Ale to wisiało nad nami, z każdym krokiem, jaki robiliśmy, jakieś ciemne i puste uczucie, pochylające moją głowę, nakazujące mi badać i przeszukiwać ulicę przede mną.

Weszliśmy po schodach do hotelu. W holu Theodore, nocny portier, uśmiechał się do nas zza biurka i pamiętam, że przeszło mi przez myśl, że niestosowne szczerzenie się było chyba greckim przymiotem.

- *Parakalo* - powiedział. *Proszę*. Podniósł rękę niczym policjant z drogówki.

Sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej mój portfel.

- Zwrócił go pewien dżentelmen - oznajmił.

Podał mi go. Prawo jazdy, karty kredytowe, drachmy, dolary. Niczego nie brakowało.

Przywykłem do Nowego Jorku. Przywykłem do Londynu, Rzymu czy Paryża. Zadziwiające.

Oczywiście, pomyślałem. Adres wydrukowany był na karcie hotelowej, a karta była w portfelu.

Nadal zadziwiające.

- Kto to był? Zostawił nazwisko? Pomyślałem, że znalazcy należy się nagroda. Portier potrząsnął głową.

- Nie znam go. Poprosił mnie o kopertę i kawałek papieru. Dla pana.

Podał mi kopertę, a ja ją otworzyłem. Mężczyzna nabazgrał niebieskim flamastrem: *zrób kiedyś to samo dla kogoś innego*. To wszystko.

Pamiętam, że poczułem się wzruszony. To był tak wielkoduszny gest i tak wspaniałe słowa. Ale nie od razu poczułem się dotknięty przez tajemnicę.

A tymczasem się o mnie otarła.

Po ojcu nie zostało mi prawie nic. Rozwiedli się z mamą, kiedy miałem szesnaście lat. Wyprowadził się z naszego domu w New Jersey na Florydę, uciekł z kobietą poznaną w samolocie do Fort Meyers. Nigdy go nie odwiedziłem. Pewnej nocy, jakieś półtora roku później, wracał pijany do domu z przyjęcia i owinął swój samochód wokół drzewa. Ona zginęła na miejscu, on po kilku dniach pobytu w szpitalu. Nie poszedłem na pogrzeb, chociaż teraz tego żałuję. Wtedy byłem zbyt wściekły.

Miałem kilka starych zdjęć, których matka nie spaliła po jego odejściu. Miałem też sygnet. Zostawił go na moim nocnym stoliku w dniu, kiedy zabrał swoje rzeczy. Pierścionek był ze złota, z dużym rubinem, kwadratowym i ciężkim. Przez bardzo długi czas go nie nosiłem. Leżał w mojej szufladzie, kiedy chodziłem do koledżu i parę lat po nim. Nie wiem dokładnie, co sprawiło, że zmieniłem zdanie odnośnie sygnetu, oprócz tego, że dowiedziałem się co oznaczał - nigdy nie wyrzekniemy się tych, których kochamy, tylko zastąpimy ich. Pewnie do tego czasu zastąpiłem moją zranioną, wściekłą miłość do ojca, delikatniejszą miłością do Laury.

Kiedy już zacząłem, nosiłem go każdego dnia. Zdejmowałem tylko idąc do łóżka i myjąc ręce. Zakładanie go każdego poranka było nieświadomym rytuałem, jak golenie się czy mycie zębów.

Pewnej październikowej nocy w 1989 roku byłem w barze „Lwia Głowa” w Greenwich Village i piłem z przyjaciółmi. Nie znali mnie tam jeszcze, ale moich przyjaciół tak. To był ich lokalny bar.

Laura znów wyjechała z miasta. Byłem niespokojny.

W końcu wstałem i poszedłem do kibelka, by ulżyć pęcherzowi, a potem umyłem ręce i kontynuowałem picie. Kiedy stało się jasne, że jeszcze jeden strzał Dewar's zwali mnie z nóg, przestałem, zapłaciłem, powiedziałem dobranoc i przywołałem taksówkę. Dochodziła północ.

Taksówka była przy Dziesiątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdy zobaczyłem, że nie mam sygnetu.

Wiedziałem, gdzie był. Zostawiłem go na umywalce, kiedy myłem ręce.

Poczułem coś w rodzaju paniki. Kierowcy zazwyczaj są mało tolerancyjni, a ten musiał pomyśleć, że zwariowałem. Kazałem mu *natychmiast* zawrócić i gnać z powrotem do „Lwiej Głowy” tak szybko, jak się da i że jeśli dojedzie tam w mniej niż dwadzieścia minut, dostanie dwadzieścia dolarów napiwku. Byliśmy na miejscu w dwadzieścia pięć. I tak dałem mu dwudziestkę.

Moich przyjaciół już nie było. W łazience nie było też sygnetu. Podeszedłem do barmana. Uśmiechnął się i położył go na barze, po czym rozłożył przede mną koktajlową serwetkę. Na początku pomyślałem, że chce mi nalać drinka. Potem przeczytałem niedbale nabazgrany napis.

Głosił: *zrób kiedyś to samo dla kogoś innego.*

Napis był ledwo czytelny. Barman nie znał gościa, oświadczył, że nigdy wcześniej go nie widział. Powiedział, że wypił parę piw i wyszedł. Zostawił dobry napiwek. Średni wzrost, średnia budowa ciała. Pan Przeciętny.

Przypomniał mi się Mykonos. Wkroczyłem w tajemnicę.

Tajemnica kipi obietnicami i bezładem. Ogromna liczba istot na ziemi rodzi się każdej wiosny z niewyobrażalnymi obietnicami życia, a zdecydowana większość tylko po to, by umrzeć brzydko i młodo, zanim jeszcze całkowicie się uformują. Miliardy miliardów larw insektów - czerwie, gąsienice, liszki, owady siatko-skrzydłe, komary. Ich życie kręci się dokoła szczęk, dokoła

jedzenia. No i przemiany. Zabijania liści kapusty, bawełny, dębu, wiązu - tylko po to, by zostać upolowanym przez większą kreaturę, która rozwinęła apetyt nie na kapustę, albo żeby zostać żywcem pożartym od środka przez nowo narodzonego pasożyta. Konkretny apetyt pasożyta. Larwy, też liczone w miliardach narodzonych i miliardach martwych, ponieważ same są bardzo apetyczne dla innych stworzeń. Obietnica i bezład. Oto koło życia i integralna tajemnica - dlaczego? Do jakiego końca? Do unieśmiertelnienia właściwie czego?

To i przemiana. Weź krępe, owłosione, pełzające po ziemi ciało i spraw, by było lekkie jak piórko, nadaj mu koronkowe skrzydła. Zamień rozdzierające szczęki na popijające trąbki.

Słowo *larwa* oznacza tyle co *duch* albo *maska*.

Ja byłem, jak mi się wydawało, w stadium larwalnym. Teraz już mi przeszło.

Wiem, czym się karmiłem, moją własną wersją liścia kapusty. Karmiłem się moją pracą, na świecie, który oglądałem przez obiektyw. Ograniczony świat, nie prawdziwy, ale mój własny, który mogłem zobaczyć.

Tym i Laurą.

Wiele lat temu poznaliśmy się w dość niezręcznej sytuacji, na obiedzie u naszych wspólnych przyjaciół, w ich apartamencie na East Side. Żadne z nas nie wiedziało, że drugie też tam będzie. To była zasadzka na nas oboje i kompletnie się nie udała. Moją wymówką na wyjście było jej wyjście. Chciałem być dżentelmenem i odprowadzić ją do taksówki, poza tym musiałem iść rano do pracy. Dobranoc, moi drodzy. I nie próbujcie tego więcej.

Potem na ulicy stała się dziwna rzecz. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak strasznie i niezręcznie było tam na górze i oboje zaczęliśmy się autentycznie śmiać, po raz pierwszy tej nocy. Nabijaliśmy się z naszych przyjaciół przez całą drogę do skrzyżowania. Kiedy taksówka zatrzymała się przy nas zapytałem

ją, czy ma dobrą pamięć do liczb, a ona powiedziała, że właściwie, to tak. Bardzo szybko wypowiedziałem swój numer telefonu, a ona uśmiechnęła się i skinęła głową, po czym odjechała.

Zadzwoiła do mnie po miesiącu. Prawie już o niej nie pamiętałem. Nie byłem nawet pewien, czy ją rozpoznam. Ale kiedy weszła do baru i zaczęliśmy rozmawiać, nie zajęło mi więcej niż godzinę, by zorientować się, że nigdy jej nie zapomnę. Nie taką kobietę. Ta była na zawsze. Zabawna i mądra, a gdy się przyjrzeć, również piękna. Nie mogliśmy przestać rozmawiać, a po jakimś czasie nie mogliśmy przestać się dotykać - to było jak pozioma grawitacja. Dłoń na dłoni, ręka sięgająca ramienia albo barku, a potem w lekko oszołomionych, porannych godzinach w tym nowym dla nas obojga barze na Midtown, prawie pustym, tuż przed zamknięciem, na oczach barmana, ręka na policzek i usta do ust. Tak, Laura i ja pieszczący się przy obcych, delikatnie, jak para nastolatków, jak ludzie, na których patrzy się z uciechą lub dezaprobatą, całowaliśmy się. Upojeni i to nie alkoholem. I tak zostało.

Aż do zeszłego roku.

Był gorący lipiec, a my dla odmiany oboje byliśmy w mieście.

Laura miała zrobić obiad, delikatną sałatę, trochę chleba i ser. Poszła do sklepu monopolowego po butelkę wina. Ja byłem po drugiej stronie ulicy, kupowałem papierosy w Pathmark. Znów nie udało mi się rzucić.

Pomimo swojej reputacji, Manhattan wcale nie jest taki niebezpieczny, zwłaszcza w okolicy Lincoln Center. Podobno to najbezpieczniejsza dzielnica w mieście. Ale bezpieczeństwo to sprawa względna. Powiedz jakiejś zgubionej gęsi, która leci znad jeziora razem z innymi i zostaje zdjeta przez jakiegoś drapieżnika, że właściwie to była bezpieczna.

Bandyta pewnie sądził, że sklep jest pusty. Laura przycupnęła w bocznej uliczce, czytając etykiety na winach, kiedy on wszedł

i zażądał pieniędzy od dzieciaka za ladą. Musiała wtedy wstać, czym go zaskoczyła. Miał trzydziestkę ósemkę i stał blisko niej, nie dalej jak trzy i pół metra. Strzelił trzy razy, w twarz, biodro i klatkę piersiową, a potem uciekł w panice. Mogła przeżyć dwa pierwsze strzały. Trzeci trafił prosto w serce.

Nic nie słyszałem. Żadnych strzałów. Nie widziałem nikogo uciekającego. Widziałem za to grupkę pięciu czy sześciu osób, zagląających przez drzwi do sklepu monopolowego. Żadnej policji, żadnych syren. Ale to nie wyglądało dobrze. A Laura była w środku. Przeszedłem przez ulicę, czując się, jakbym brnął w błocie. W głowie mi łomotało. Pierwszy raz od lat czułem bicie własnego serca. Utorowałem sobie drogę przez tłum i wszedłem do sklepu.

Nie opiszę tego ze szczegółami. Odmawiam. O pewnych rzeczach lepiej nie mówić. Moja żona, moja kochanka, moja dwudziestoosmioletnia towarzyszka, kobieta, z którą spałem i z którą się budziłem, z którą śmiałem się i trzymałem w ramionach, leżała martwa na podłodze w kałuży krwi i wina, usiana jasnymi, barwionymi odłamkami szkła i tylko tyle potrzebujecie wiedzieć.

W takich chwilach zauważasz, widzisz najbardziej szalone rzeczy, które nagle nabierają niezwykłego znaczenia. Nie widziałem regałów ani rzędów butelek, tylko światła nad głową, kolumny jasne jak słońca. Widziałem nad sobą kręcący się wiatrak, niczym śruba napędowa odłączona od statku i podwieszona pod sufitem. Widziałem pęknięcia w ścianach, jak żyły na wielkim nadgarstku. Odwróciłem się w stronę lady, by zawołać o pomoc, ale chłopak pobiegł po policję zanim jeszcze przyszedłem.

Przede mną, niczym mała, szara góra, stała kasa fiskalna. Wyglądała na nienaruszoną. Był też wiklinowy kosz pełen korkociągów i otwieraczy do butelek, jakby ktoś zorganizował metalowy piknik.

A obok stało małe pudełko miedziaków.

To właśnie ono sprawiło, że nogi odmówiły mi posłuszeństwa, a mój świat przechylił się i runął.

* * *

Na psa urok, powiadają.

W moim słowniku Webstera definicja numer sześć dotycząca *uroku* brzmi: *magiczne zaklęcie, słowo lub zdanie*.

Nigdy nie wierzyłem w magię. Dopóki magią nie było uchwycone zdjęcie. Życie, przeżywane wciąż na nowo, w wielu wzorach na ekranie.

O ile magią nie była Laura.

Ale sygnet wprowadził mnie już w tajemnicę.

Pamiętacie moją tezę? *To zdarzenia tajemnicze i niewy tłumaczalne powodują w nas boskie nawrócenie albo pogrążenie się w zło.*

I tylko one.

Widzi się te pudełka miedziaków w całym Nowym Jorku. W Love Cosmetics. W Tower Video. Widzi się je wszędzie. Zazwyczaj mówią tylko *weź grosik, zostaw grosik*, ale ten wygłaszał cały elaborat.

Mówił *weź jeden, jeśli potrzebujesz*.

I zrób kiedyś to samo dla kogoś innego.

Nigdy nie złapali faceta, który ją zabił. Opis dzieciaka za ladą był wrażliowy. Mężczyzna przed trzydziestką, rasy kaukaskiej lub lekko hiszpańskiej, koszulka Jetsów i džinsy. Średni wzrost, średnia waga, średnia budowa ciała.

Cała ta średniość. Całą ta szarość.

Złodziej w cieniu. Morderca pod fluorescencyjnym światłem.

Niebezpieczne zjednoczenie światła i ciemności, jasności i cienia. Obietnica i bezład. To ją zabiło. A ja pytam: po co? Do uniesmiertelnienia właściwie czego?

Sprzedalem trochę akcji. Złożyłem wymówienie w ABC. Dłużej nie interesował mnie ten rodzaj widzenia. Zacząłem szukać gdzie indziej.

Świat przypina pinezki do wielkiej tablicy ogłoszeń, którą mijamy codziennie. Są na niej skrawki papieru, wiadomości, które nie mają porządku ani planu, ale z których musimy wyłuskać sobie porządek i plan, na dobre i na złe.

Jeśli nie - oszalejemy.

Odrobiłem pracę domową i znalazłem właściwą lokalizację na sklep, miejsce na Lower East Side w Alphabet City. Załatwiłem formalności w ciągu miesiąca. Pozwolenie na broń zajęło dłużej i czekałem na nie z otwarciem. W międzyczasie dogadałem się z dostawcami alkoholu i nieco przemeblowałem lokal. Kiedy przyszło pozwolenie, kupiłem trzydziestkę ósemkę Smith&Wessona i położyłem ją na półce za ladą. Teraz tam jest.

Sklep został obrabowany cztery razy w ciągu ostatnich czternastu miesięcy, więc kupiłem go za bezcen. Domyślałem się, że to tylko kwestia czasu, zanim ktoś znowu spróbuje. Nie szukam zabójcy Laury. To niemożliwe, abym go dopadł. Szukam kogokolwiek. Boże, proszę.

Kogokolwiek, *któregoś dnia*.

Muszę komuś to oddać.

Portfel. Sygnet.

Grosik.

MIŁOŚĆ WŚCIEKŁYCH WIEWIÓREK

Z dziennika Kathleen McGill Augusta, Maine 8 czerwca, 22:30.

To najprzystojniejszy mężczyzna, na którym kiedykolwiek zawiesiłam oko. To po pierwsze. Po drugie: on mnie przeraża.

Chcę to zapisać teraz, ponieważ nie wiem, prawdę mówiąc, co bardziej mi się podoba - dobry wygląd, czy to przerażenie. (Czy to nie dziwne?) Mama dała mi ten duży, brązowy, skórzany notes jakieś cztery lata temu, zaraz po tym, jak wyciągnęli mój chudy tyłek z koledżu (i dzięki Bogu, że to zrobili!), w nadziei, że zapiszę moje myśli i odczucia względem narkotyków i Kennetha, no i oczywiście względem tatusia, ojca Sylwestery i doktora Todda. Ale wtedy wcale go nie używałam. Teraz czuję się zagubiona i chcę to zrobić.

Na początek: on ma brutalną stronę.

Dzisiaj to zobaczyłam.

Pracuję jako pomoc w Augusta Mental Health. Jestem terapeutką rekreacyjną, a on jest posługaczem, zazwyczaj na oddziale zamkniętym. Wiem, że praca w zakładzie dla umysłowo chorych jest nieco dziwna dla kogoś, kto ma swoje własne problemy. Ale podejrzewam, że on też ma. Założę się, że większość z nas, którzy tam pracują, je ma.

Swój pozna swego, prawda? Ale to dobrze. Pracuję zarówno na oddziale zamkniętym, jak i otwartym, z mężczyznami i z kobietami w każdym wieku. Zabieram ich na basen na terapię pływaniem, na spacer i na siatkówkę, na ping-ponga i na bilard do sali gier. Kiedy pogoda dopisuje, wychodzimy na piknik albo do parku karmić kaczki. Mam im dać odetchnąć i zachęcić do rozmowy. To jest trudne, ponieważ większość z nich nie mówi i nie pomaga im ani Haldol, ani Stelazinum, ani Torazyna. Niektórzy z tych starszych mieli nawet lobotomię albo terapię szokową, zanim sądy uznały te zabiegi za nielegalne. Mówienie do nich jest jak rozmowa ze świerkiem.

Mogę nosić zwykłe ubrania, co jest fajne. Tego lata jest bardzo gorąco, więc przez większość czasu noszę króciutkie shorty albo bikini, nawet przy mężczyznach, bo założenie jest takie, że jeśli któryś z nich kiedyś wróci na łono społeczeństwa, na ulicę, na pewno zobaczy kobiety noszące takie ubrania, z ciałami dużo lepszymi niż moje. Nawet jeśli większość z nich popełniło przestępstwo na tle seksualnym - od obnażania się przed małymi dziećmi, po gwałt.

Jestem najmłodszą osobą w zakładzie. Nigdy się tym nie przejmowałam, aż do dziś. Aczkolwiek widziałam sporo dziwnych rzeczy, wierzcie mi.

Jest taki jeden facet, pan Schap, koło czterdziestki. Wydaje mi się, że wpojono mu do głowy, że masturbacja to coś złego, wpada więc w te seksualne stany, które są prawie jak ataki epilepsji i odgryza kawałki swoich dłoni. Trzeba go powstrzymywać, bo inaczej robi się makabrycznie.

Jest też Gideon. Jest stary, mógłby być moim dziadkiem. Łazi sobie cały dzień w tym swoim szarym garniturze, śpiewając w kółko „Jesse James wędrował na Zachód” albo „Zgaśmy światła i chodźmy do łóżka” swoim chropawym głosem, leżąc na podłodze, ze zwędzonym komuś papierosem.

Potem znów chodzi i śpiewa. Pewnego dnia znaleźliśmy go stojącego nago na środku hallu, gapiącego się na kanał wentyla-

cyjny. Miał potężną erekcję. A to był tylko kanał wentylacyjny!

Dziwne rzeczy się dzieją. Dziś Baby Huey wsadził mi rękę w dół od bikini i od tego chyba się zaczęło.

Nazywamy go Baby Huey, ponieważ wygląda jak wielki kurczak. Jest gruby, ma spiczastą twarz i porusza się ociężale, jak postać ze starej kreskówki. Prawie nigdy się nie odzywa. Zazwyczaj jest niegroźny. Ale dziś byliśmy na basenie, siedząc na krawędzi i rozbryzgując wodę nogami: po mojej jednej stronie Billy Osserman, Baby Huey po drugiej. Billy mówił o starych samochodach (odrestaurowywał je przed swoim załamaniem) i trudno mi było za nim nadążyć, ponieważ nie wiem zupełnie nic o samochodach. Tak więc wsłuchiwałam się w to, co mówił, a nie w Huey'a, dopóki nie poczułam jego palców szukających po omacku moich włosów łonowych.

Uderzyłam go w rękę i zaśmiałam się, po czym obdarzyłam go spojrzeniem w stylu „no co ty wyprawiasz?” A on mówi, że chciałby mnie zerznąć. Powiedziałam mu, że nie może i że ma trzymać ręce przy sobie. Spojrzał na mnie ostro i odrzekł: *Zatem chciałbym cię zabić, suko.*

Oświadczyłam, że tego też nie może zrobić, następnie wstałam i odeszłam. Obróciłam to wszystko w żart. Ale muszę przyznać, że trochę mną wstrząsnął.

Wieczorem byliśmy w pokoju dziennym z grupą pacjentów, razem z Baby Huey'em, oglądając w telewizji *Wyspę Gilligana*. Rozmawiałam z Glorią w pokoju pielęgniarek, który jest dużą, zamkniętą izbą, z nietłukącymi się oknami od podłogi do sufitu z trzech stron, ścianą z tyłu i dwoma parami drzwi, które w razie potrzeby można było zamknąć. Zawsze zamyka się je przy wyjściu, ponieważ trzymamy w tym pomieszczeniu leki. Przez pół roku nie było innych problemów.

Stephen (to ten mężczyzna, posługacz, o którym pisałam, ten przystojny) był tam, zamiatał podłogę, kiedy Baby Huey wstał i rzucił swoim metalowym, składanym krzesłem, celując prosto

w moją głowę. Rzucił *mocno*. Odbiło się od okna, ale i tak prawie dostałam zawału. Potem nagle pobiegł w stronę drzwi. Ja i Gloria nadal byliśmy w środku, zbyt przerażone, by odpalić motorek w tyłku i zamknąć drzwi.

Hej! Stephen krzyknął, ale Huey nie zatrzymał się. Stephen sięgnął po miotłę i uderzył go w bok głowy. Huey upadł, ale jakoś dobrnął do drzwi i je przyblokował. Chciałam się wydostać z pomieszczenia. Pluć na mnie i warczał, jakby rzeczywiście chciał mnie zabić. Następne co pamiętam, to Stephen, siedzący na nim, z jedną ręką na jego czole, a z drugą na tchawicy.

Huey zrobił się czerwony na twarzy. Walczył bez skutku o powietrze. Zobaczyłyśmy, że zaczyna sinieć, więc Gloria

i ja krzyknęliśmy do Stephena żeby przestał! „Przestań! Zabijesz go!”

A potem stało się coś bardzo dziwnego. Straszego i seksownego jednocześnie.

Stephen spojrział na mnie, uśmiechnął się i puścił do mnie oko, po czym powiedział „prezent dla ciebie, Kath”, ścisnął gardło Huey'a jeszcze raz, tak jak ścisną się cytrynę, po czym puścił go na podłogę, nieprzytomnego.

Nawet nie wiedziałam, że zna moje imię.

Rozmawialiśmy o tym wszystkim jeszcze przy kawie (kazałam Glorii obiecać, że nic nie powie, bo za użycie takiej przemocy przeciw pacjentowi można zostać zwolnionym!) i opowiedziałam Stephenowi, co się stało przy basenie. Powiedział, że ktoś taki powinien zostać wykastrowany, a nie zamknięty i nie miałam pewności, czy żartuje, czy nie, nawet jeśli mówiąc to, uśmiechał się.

Zapytałam go, gdzie nauczył się tej sztuczki z tchawicą, a on odparł, że od ojca. Oczywiście ja nie chciałam rozmawiać o ojcach, ponieważ według mojego nigdy nie potrafiłam nic zrobić dobrze, więc odpuściłam temat. Potem przerwa nam się skończyła i musieliśmy wracać do pracy. Ale zanim to nastąpiło zapytał, czy może się ze mną od czasu do czasu spotkać.

Zgodziłam się. Zapytał kiedy i umówiliśmy się na sobotni wieczór.

A teraz szczerze zastanawiam się, czy to było rozsądne. Jest zbyt atrakcyjny, wiecie? Tak jak Kenneth, chociaż jeśli chodzi o wygląd Stephen wyprzedzał Kennetha o kilometry. Co tylko pogarszało sprawę. Bo zobaczcie do czego doprowadziło mnie życie z Kennethem przez rok. Uzależnienie od metamfetaminy, które prawie mnie zabiło, słabe oceny w szkole i trzy długie lata terapii.

Oprócz tego jest jeszcze brutalność. Kenneth prawie nigdy nie był brutalny, nie licząc tej sprawy z rowerzystą, ale w większości odpuszczał. Jednak kiedy patrzyłam na Stephena i Huey'a wiedziałam, że mu się podobało, to co robił. Duszenie. Jestem tego pewna. Widziałam to w jego oczach i w tym szerokim, seksownym uśmiechu.

Nie jestem zbyt religijna, czy coś, ale zastanawiam się, czy czerpanie przyjemności z czegoś takiego nie jest swego rodzaju grzechem.

Mam nadzieję, że wiem, w co się pakuję. Prawdopodobnie powinnam to odwołać. Ale najpewniej tego nie zrobię.

Kathleen przeczytała wstęp, myśląc: dobra, chciałam zapamiętać jak się w to wplątałam. Teraz już pamiętam.

To nie pomaga. To było siedemnaście lat temu i nie zatrzymało odgłosów jęczenia ani stłumionych krzyków. To nic nie znaczy.

Przypomniała sobie, jak po pracy rozpuszczał swoje długie włosy i potrząsał nimi gwałtownie. W weekend nigdy się nie golił. Nosił sandały, dzwony, koraliki i krzyż ankh na szyi, egipski symbol życia. Czytali *Siddarthę* i Kahlila Gilbrana.

Teraz był gładko ogolony. Mówił, że ludzie nie chcą jakiegoś kudłatego cieśli w swoich domach, o ile to nie jest Jezus Chrystus, a pewnie i jego też nie.

Ale był tak przystojny, że czasem zastanawiała się, co on w niej widzi. Mógł mieć każdą. Nie twierdziła, że jest piękna. Miała jednak dobrą figurę, zwłaszcza piersi, a także ładne, miękkie, kręcone, rudobrzazowe włosy.

Zamknęła dziennik i zostawiła go na łóżku, po czym poszła do kuchni zrobić sobie kawę. Nalała, włożyła kubek do mikrofalni i uruchomiła sprzęt. Tutaj odgłosy były głośniejsze. Słyszała je, pomimo pomruku mikrofalówki. Pomyślała, że będzie musiał bardziej wyciszyć to miejsce.

Doprowadza mnie to do szaleństwa, pomyślała.

Boże. Co ja tu robię?

Wyjęła kawę z mikrofalówki i otworzyła kuchenne drzwi, do piwnicy.

Odgłosy były jeszcze głośniejsze.

Cóż, lepiej, że to ten dzieciak, niż ja. Przynajmniej to mamy już za sobą. Lepiej mieć to w pamięci, zanim zaczniesz narzekać na hałas albo coś innego, co jego dotyczy. Zerknij na szufladę pełną zdjęć, jeśli potrzebujesz przypomnienia. To możesz być ty, tam na dole. Robiąc co tylko ci rozkaże, z miłości do niego.

Dlaczego ty w ogóle go kochasz?

Nie potrafiła od razu odpowiedzieć na to pytanie. Potrafił być czasem bardzo opiekuńczy i miły, wracał do domu z małymi podarunkami dla niej. Kolczyki, kwiaty. Ale to przeznaczenie trzymało ich razem, to było to. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Kochała go, bo tak.

Pomimo jego małych dziwactw.

Zastanawiała się, co jest na rzeczy. Chłopiec prawie nigdy nie był tak głośny. Zazwyczaj był bierny, o krok od katatonii, a ona potrafiła ją rozpoznać. Nadal widywała katatoników, chociaż on już był od tego wolny. Okazało się, że był złotą rączką, potrafił budować. Jak Jezus. Cieśla.

Nie miałby nic przeciwko, by zeszła na dół popatrzeć. Nigdy nie miał.

Z nim nic nie było prywatne.

Zeszła na półpiętro, popijając ostrożnie parującą kawę, która pozwalała jej ogrzać dłonie, kiedy schodziła na dół.

Jak na wrzesień było dość chłodno, a w piwnicy było wręcz zimno. Poczowała gęsią skórę na ramionach i nogach, a także sztywniejące pod luźną koszulką z napisem Superbowl sutki. Stephen zawsze myślał, że jej sztywniejące w tym miejscu sutki są formą erotycznego oczekiwania na swój udział, ale w rzeczywistości było po prostu zimno. Nigdy mu tego nie powiedziała. Niech myśli tak, jak chce myśleć.

Zobaczyła kłęby kurzu pośród puszek z farbą i pustych doniczek, tuż pod drewnianymi schodami. Będzie musiała tu trochę posprzątać. W wilgotnym, stęchłym powietrzu wyczuła wybielacz i detergenty, jak również jakiś zapach, którego nie potrafiła zidentyfikować. Żadnego z nich nie lubiła. Może w końcu zmusi chłopca, by robił pranie za nią, tak by nie musiała się tym przejmować. Wspomniała o tym Stephenowi.

Po co mieć niewolnika, na litość boską, który nic nie robi?

Otworzyła drzwi do pomieszczenia, które Stephen nazywał swoją Norą Bezkarłości i pomimo tego, co widziała przez ostatnie dwa tygodnie, pomimo tego, przez co przechodziła od lat, prawie upuściła kawę.

Chłopak był przykuty do ramy w kształcie litery X - nagi, zakneblowany i z zasłoniętymi oczyma. Nic nowego. Ale tym razem Stephen bawił się elektrycznością. To było nowe. Na sutkach i po wewnętrznej stronie ud chłopaka znajdowała się przewodząca czarna taśma. Ta na lewym udzie odklejała się. Mogła widzieć mokre, otwarte pęcherze. Przewody biegły spod nich do wyłącznika podłączonego do gniazdka w ścianie. Wyczuła spalone mięso i spalone włosy. To właśnie był ten dodatkowy zapach, obok wybielacza i detergentów.

On siedział na swoim reżyserskim krześle przy wyłączniku ściennym, tak by móc włączać i wyłączać go, kiedy zechciał, ale teraz krzesło leżało przewrócone na bok, a on stał przed chłop-

cem, z łomotaniem serca, rozdzierając knebel i wdmuchując powietrze w jego rozdziawione usta.

- Kurwa - powtarzał. - Kurwakurwakurwakurwakurwa. Jesteś pieprzonym dzieciakiem na litość boską, powinienes być silny. Silny, rozumiesz? Lepiej, żebyś kurwa mi tu nie umarł!

Widziała, że był przerażony, a coś w niej cieszyło się z tego, jakiś głos w środku mówił, że czas najwyższy. Ale i ona odchodziła od zmysłów.

Współwinna morderstwa.

O Boże, pomyślała. *Nie pozwól mu umrzeć. Proszę, Boże, proszę.* Nie pozwól nas złapać na robieniu tych rzeczy. Ja tego nie robiłam. Ja go nie porwałam. To nie moja wina. Nie zrobiłam nic, poza godzeniem się z tym. Nie chcę iść do więzienia, nie wytrzymałabym tego. Życie w ten sposób było co prawda podobne do więzienia, ale prawdziwego bym nie zniosła, nie ma mowy.

Zajmował się teraz sznurami. Uwolnił lewe ramię. Ciężar ciała przeszedł na prawe. Starał się uwolnić jego lewą nogę. Dopiero teraz zauważył, że Kath jest w pomieszczeniu.

- Pomóż mi go położyć. No chodź tu, do cholery! - Jego głos był jak uderzenie w twarz. Wzdrygnęła się.

Jej palce rwały sznur okręcony dookoła nadgarstków chłopca, ale walka i pot jeszcze go zacieśniły, tak więc zastanawiała się, jak długo był związany. Węzły nie poddawały się; usłyszała samą siebie mówiącą *och, och, och*, jakby słuchała innej osoby, oddzielonej od niej samej. Kiedy paznokieć na jej palcu wskazującym pękł i złamał się, a chłodna, śliska cera na policzku chłopca zetknęła się z jej własną. Wtedy uwolniła jego nadgarstek, a chłodne, mokre, nagie ciało i wilgotne, zmierzwiłone, długie do ramion włosy dotknęły jej nagich ramion, twarzy i karku. Wsunęła ramiona pod pachy chłopca, by go przytrzymać i położyć na betonie, twarzą do niej, z poobijanymi, otwartymi ustami, takiego młodego. Nagle pomyślała, że nie wie, czy chodzi o chłopca czy o nią, czy o jeszcze co innego.

Sprawdziła puls. Wsłuchiwała się w bicie serca.

O Boże, pomyślała. Cokolwiek zechcesz, żebym zrobiła, przysięgam, zrobię to. Twoja na zawsze, przyrzekam. Tylko wyciągnij nas z tego. Proszę. Tylko ten jeden raz.

Tylko ten jeden raz proszę proszę proszę, niech mi się poszczęści.

Szli i szli, ośmioro, w ciszy, obserwując.

Dwaj umundurowani policjanci zdawali się być kompletnie wyłączeni, rozmawiając cicho, żartując i uśmiechając się.

Było zimno. Ciekło jej z nosa. Naprzeciw siebie mogła zobaczyć, że Stephenowi też. Jej rękawiczki przykleiły się do drewna. Tupiała nogami, by pobudzić krążenie. Palce u stóp były skostniałe.

Dość, pomyślała. Koniec tego gówna.

Mogła się założyć, że Stephen czuł to samo. Miała nadzieję. Obserwowała, jak porusza się w rytmie z innymi. Z ciekącym nosem, czy bez, nadal jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego poznała.

Dostrzegli ją w tym samym momencie. Zwolnili i spojrzeli w jej kierunku. Kath też, spełniając obietnicę, wskazała chudą, małą, nastoletnią, czarną dziewczynę w nędznym mundurku Augusta High School, idącą w ich kierunku z opuszczoną głową i skulonymi ramionami, celowo przechodzą przez drzwi, gdzie czekało dwóch policjantów. Jej ciemne oczy były przymknięte, jakby nie chciała przeczytać znaków, które głosiły WYBÓR ZŁA NIE JEST WYBOREM, ABORCJA TO LEGALNE LUDOBÓJSTWO oraz TO DZIECKO, A NIE WYBÓR - *gdyby w ogóle, kurwa, umiała dobrze czytać*, pomyślała Kath, *odrobinę lepiej niż ten głupi palacz cracku w piwnicy* - i uśmiechnęła się, kiedy Stephen wyciągnął dłoń, w której delikatnie trzymał mały dwunastotygodniowy płód z różowego plastiku.

NIEDZIELE

Ktoś mi kiedyś powiedział: jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz Mu o swoich planach. Powiedz Mu, kim jesteś.

Leżę obok niej, obserwuję jej sen w świetle ulicznych latarni, obserwuję jej wznoszące się i opadające piersi i myślę, jak to jest, że ona i ja nie jesteśmy jedną osobą, tylko wieloma, my obydwójce i w ogóle my wszyscy, i dlatego każdy niepewnie mieści się w jednym opakowaniu ciała, a pamięć dokucza jak gęsty dym z ogniska i otacza nas w naszych łóżkach.

Mój ojciec, Bradford Collier, polował na wiewiórki i był w tym dobry. Pamiętam, jak siedział, kołysząc się w cieniu na naszym ganku, w te jego niedzielne popołudnia, ze starą dwudziestką dwójką utuloną na kolanach i obserwował cztery wysokie, czarne dęby po drugiej stronie pola. Wiewiórki upodobały je sobie z powodu licznych żołądzi, a my ze środka słyszeliśmy krótkie, równe szczeknięcia karabinu. A potem jego buty, kiedy powoli schodził po drewnianych stopniach. Przez chwilę było cicho, po czym znowu słyszeliśmy ten dźwięk. Anne, Mary Jo i ja wybiegaliśmy z kuchni. Obrabiał pięć czy sześć sztuk, przytrzymując je za luźną skórę na grzbiecie, rozcinał je nożem i rozdzierał palcami jak ciasną rękawiczkę. Odcinał głowę, ogon i łapki, kroił brzuch, by wyciągnąć małe wnętrzności.

Jeśli zdecydował się na wycieczkę, pół kilometra dalej, przy

strumyku było kolejne skupisko sześćsetletnich dębów. Znikał tam na jakiś czas.

Zazwyczaj były to czyste strzały, chociaż jak każdy myśliwy, czasem musiał poderżnąć gardło czy dwa. Ale zazwyczaj to, co zastrzelił mój ojciec, nie cierpiało za bardzo. A gulasz matki był dobry.

Ojciec uważał wiewiórki za szkodniki. Utrapienie. Nawet, jeśli były smaczne. Było więc dla nas wszystkich zaskoczeniem, kiedy latem 1957 roku, gdy kończyłem jedenaście lat, a moje siostry Anne i Mary Jo - dwanaście i dziesięć, ojciec wrócił ze skupiska dębów z pięcioma martwymi wiewiórkami w jednej ręce, zaś w drugiej z jedną, jak najbardziej żywą, która - trzymana za skórę na karku - desperacko próbowała go ugryźć.

- Musiała spaść z drzewa - powiedział. - Z wysoka i dość mocno. Widzicie? Przednie łapy złamane. Danny, leć do kuchni i poproś mamę o żyłkę i trochę dobrego, mocnego sznurka. Dziewczynki, przynieście z zamrażarki te lody na patyku, którymi się zajadałyście całe lato. Zjedzcie je szybko albo wsadźcie pod wodę. Wszystko mi jedno.

Położył pięć martwych wiewiórek na ganku, a my zrobiliśmy, co kazał. Mama wyszła, żeby do nas dołączyć i przytrzymała wiewiórkę za kark i podstawę ogona, a my patrzyliśmy, jak tata tnie i wiąże sznurek dookoła szczęk fachowym węzłem, tak by nie mogła go ugryźć, a potem kazał mamie obrócić ją na bok. Użył myśliwskiego noża na zabarwionych na różowo i pomarańczowo patyczkach po lodach, a potem uciął trochę żyłki. Wiewiórka wierzgała i drapała pazurami po drewnie, ale nic nie wskórała.

- Przytrzymaj ją mocno, Marge. To będzie bolało.

Widok dwóch odzianych w rękawiczki dłoni musiał ją jednak przerazić do takiego stopnia, że całkowicie przestała się opierać i przewróciła oczami. Nawet kiedy ojciec ujął delikatne łapki i ostro szarpnął, tylko raz podskoczyła, a potem leżała nieruchomo i dyszała. Ojciec usztywnił łapę patyczkami i ciasno owinął żyłką.

- Weź ten sznurek i zawiąż mi kolejny węzeł, Danny. Zrobimy jej obrozę, przywiążemy do słupka i zobaczymy, co się stanie. Jeśli nie dozna szoku, w tydzień powinna być zdrowa.

- Szoku?

- Z bólu. Albo od tego, co jej zrobiliśmy. Jedno i drugie mogło ją zabić.

Kiedy już siedziała oszołomiona i zaskoczona, przywiązana do słupka z tym swoim prowizorycznym kagańcem, ojciec zrobił niesamowitą rzecz. *Zdjął rękawiczkę i pogłaskał wiewiórkę po grzbiecie.* Tylko raz. *Bradford Collier* zrobił to. Człowiek, który nigdy nie widział pożytku ze zwierząt, chyba że były to zwierzęta pracujące - kot, który dobrze łapał myszy czy pies obronny. Człowiek, który uważał wiewiórki za grube szczury z puszystymi ogonami. Które dobrze smakowały i były tanie.

- Obierzcie trochę orzechów, dzieciaki. Połóżcie je blisko niej i zostawcie ją samą. Jest przerażona.

Po jakimś czasie ojciec pozwolił nam nadać jej imię. Po ożywionej kłótni między naszą trójką jakoś się udało. Nazwaliśmy ją Charlie, po *Travels with Charlie* Steinbecka. Był to pomysł mojej starszej siostry, Anne. Pomyślałem, że głupio tak nazwać wiewiórkę po psie, ale Mary Jo przyklasnęła i to by było na tyle.

Charlie od razu przywykł do łatwego życia. Miska wody na ganku oraz tyle żołądź i orzechów, ile mógł zjeść. Nigdy więcej nie próbował gryźć. Po paru tygodniach ojciec ustalił, że już wyzdrowiał i zdjął szynę. Chociaż nigdy nie forsował tej łapy, chodził całkiem nieźle i był dość szybki, więc jak tylko spuściliśmy go ze smyczy, musieliśmy uważać, otwierając drzwi, w przeciwnym razie od razu był w środku, drapiąc i gryząc meble i próbując się na nie wspiąć.

Nie było takiego miejsca, do którego by nie wszedł. Żadna szafa ani szuflada nie była bezpieczna. Ale nigdy też nie robił zbyt wielkiego bałaganu, oprócz *przemieszczania* przedmiotów jakimś cudem. Widelec w szufladzie na skarpetki ojca, moje stare, podobne do kocich oczu kulki do gry pomieszane z łyżkami. Po ja-

kimś czasie zaczęliśmy go tolerować w domu i przyzwyczailiśmy się do jego wtargnięć. Mama kupiła weki, by chronić fasolę, ryż i makaron. Ojciec, który radził sobie i z ciesielką i z kluczem francuskim, nawet wyciął mu w podstawie drzwi małą klapkę na zawiasach, by mógł przychodzić i wychodzić, kiedy chciał.

Nigdy nie wrócił do skupiska dębów po drugiej stronie pola. Przynajmniej nigdy tego nie zauważyliśmy. Właściwie to już nie ciągnęło go do drzew. Wydawało się, że woli zostać w pobliżu domu, albo w środku, pod gankiem, albo w wysokiej trawie czy niskich zaroślach. Może pamiętał upadek z wysokości i złamanie. Wspinał się na półki z książkami, na słupki przy łóżku czy na poręcz dość zręcznie - mama wiecznie polerowała małe rysy, które zostawiał na drewnie. Nie przeszkadzało jej to. Mówiła, że Charlie po prostu czyni jej meble antykami. Ale drzewa zostawiał w spokoju.

Na nas też się wspinał.

Wydawało się, że wie, by nie wspinać się na gołą nogę czy ramię, ale jak tylko założyłeś spodnie czy kurtkę - lubił grzebać w kieszeniach - łąził po tobie i ujeżdżał ci ramię w ułamku sekundy. Można go było tak nosić, a on trzymał równowagę i zachowywał balans, jakby był dziwnym, futrzanym dodatkiem.

Tylko ojciec tego nie tolerował. Jak my wszyscy karmił Char-liego orzeszkami, ale tak daleko się nie posunął. Reagował natychmiast, gdy Charlie wskakiwał mu na stopy, odczepiał go, jak irytującego robaka i kładł stanowczo na podłodze. Charlie był jednak zawzięty. Było tak, jakby ojciec był jedynym, na którego *naprawdę chciał* się wspiąć, a reszta z nas stanowiła jedynie rozrywkę. Chodzące drabinki. W końcu dotarło do niego, że był niechciany, ale czasami przyłapywałem go, jak obserwował ojca tym nerwowym, ukośnym spojrzeniem, kłapiąc zębami, pociągając nosem i można było być pewnym, że któregoś dnia spróbuje ponownie.

Ojciec nadal polował. Może dwa razy w miesiącu. Po drugiej stronie pola albo przy zacienionym strumyku.

Czasem zastanawiałem się, co Charlie myśli (o ile w ogóle myślał), o zapachu gulaszu z wiewiórczego mięsa. Teraz, kiedy to wspominam, nie rozumiem, jak mogliśmy to jeść, podczas gdy on biegał nam pod nogami. Ale tak było.

Jak mówiłem, nie jesteśmy jedną osobą, jesteśmy wieloma. Mamy zdolność utrzymywania ich w równowadze w naszej głowie. Dopóki coś lub ktoś tej równowagi nie naruszy.

Tak jak teraz moja żona.

Zima w północnym Jersey była mroźna, a śnieg utworzył ponad półtorametrowe zasy obok domu, Charlie zostawał więc w środku. Lubił osłonę nad kominkiem, co zawsze uważałem za nienaturalne, ponieważ dzikie zwierzęta powinny bać się ognia, a nawet samego jego zapachu, ale dla Charliego im było więcej ognia, tym lepiej. Zasypiał sobie, owiewany ciepłym powietrzem.

Przyszła wiosna, a on znów używał klapki w drzwiach i to często. Wchodził i wychodził, krzątając się wokół jakichś niezrozumiałych dla nas spraw, dla niego najwidoczniej bardzo pilnych. Albo latał w tę i w w tę, albo znikał na parę godzin. Podejrzewaliśmy oczywiście rozmnażanie, ale tylko Anne, Mary Jo i ja o tym rozmawialiśmy i to wyłącznie na osobności. Wtedy rodzice nie czuli się komfortowo, rozmawiając o seksie ze swoimi dziećmi.

- Zastanawiam się, jak robią to wiewiórki - powiedziała Mary Jo.
- Za pomocą penisów, głuptasie - odparła Anne. - Jak wszyscy inni.
- Charlie sobie poużywa! - zaśmiałem się. Zignorowały mnie.
- Ktoś widział penis Charliego? - zapytała Mary Jo.
- Ja nie.
- Uch - jęknęła Anne. - Oszczędź mi tego!

Rzadko towarzyszyłem ojcu w jego niedzielnych wyprawach do strumyka, a w strzelaniu z ganku, jak sięgam pamięcią, ani razu. W wieku, w którym większość chłopców strzelałaby do

wszystkiego, co się rusza z karabinu, łuku czy procy, ja jakoś nie miałem apetytu na krwawe sporty.

Pewnego majowego popołudnia zaprosił mnie, a ja się zgodziłem. Chyba byłem o coś zły na Anne i czułem potrzebę wyjścia z domu. Anne była apodyktyczna, do tego z Mary Jo zazwyczaj zmawiały się przeciwko mnie podczas sprzeczki, co mnie rozwścieczało. Niezależnie od powodów, poszedłem z nim.

Ojciec i ja rzadko rozmawialiśmy, ten dzień nie był wyjątkiem. Szedłem za nim do lasu przez wysoką, polną trawę i poznałem jego dobrze wydeptany szlak do strumyka. Na ramionach mieliśmy swoje dwudziestki dwójki. Nie miałem zamiaru użyć mojego karabinu. Miałem go, ponieważ ojciec tego chciał. Byłem słabym strzelcem i on o tym wiedział, ale to była formalność. Nie idzie się na polowanie bez broni. Tak się nie robi.

Miał w nawyku iść najpierw do strumienia, a stamtąd do skupiska dębów. Bystra woda zagłuszała wszystkie hałasy, które robiliśmy na nabrzeżu. Dzień wcześniej padało, strumień miał kolor kawy ze śmietanką. Sam nigdy nie znalazłbym drogi do drzew pośród tego splątanego listowia, ale ojciec nie miał z tym problemu, chociaż była prawie niewidoczna w zaroślach. Dostrzegłem sześć wysokich drzew, jakieś czterdzieści metrów w górę niewielkiej skarpy.

Zatrzymaliśmy się na skraju polany i uklękliśmy na jednym kolanie, po czym ojciec zaczął strzelać. Krótkie, ostre trzaski na otwartej przestrzeni, które mogłyby równie dobrze być łamanymi gałęziami. Pierwsza wiewiórka uderzyła o pień, jakby popchnęła ją jakaś ręka, a potem spadła. Przeładował i znów wystrzelił. Kolejna spadła z gałęzi objając się o konary. Do tego czasu wiewiórki, poszczekując ścigały się w stronę ziemi, ale ojciec spokojnie wystrzelił jeszcze dwa razy. Zobaczyłem dużą, szarą wiewiórkę koziołkującą po glebie, a drugą toczącą się w stronę krzaków. Nie trafił piątym nabojem, ale szósty ustrzelił kolejną w miejscu, gdzie pień łączył się z korzeniami drugiego drzewa

i obrócił ją na grzbiet. Kula przeszła przez wiewiórkę na wylot i odłupała kawałek zielonego drewna.

- Pięć wystarczy - powiedział ojciec. Zajęło to tylko chwilkę.

Wziął płócienny worek, który trzymał przy pasku i poszliśmy zebrać plon.

- Niezły strzał.

- Dzięki.

- Pięć na sześć, a były szybkie.

- Szybkie, prawda?

Nie byłem tak podekscytowany, jak starałem się brzmieć, ale coś mi mówiło, że ojciec tego oczekuje. Pozostałe wiewiórki nadal poszczekiwały na nas wściekle, bezpieczne w gęstych zaroślach. Ojciec ruszał się powoli i metodycznie, poszturchując pokot kijem, by upewnić się, że nie żyją i nie ugryzą, a potem podnosił je kolejno za kark, odzianą w rękawiczkę dłonią i wrzucał do worka.

- Uuu, cholera. -Co?

Mieliśmy już w worku cztery z nich i szliśmy w stronę zarośli. Ojciec nagle przyspieszył, pierwszy raz widziałem go prawie biegnącego.

- Ta, którą trafiłem tutaj, przy skraju. Myślę, że zniknęła. Poszliśmy tam, gdzie powinna być, ale jej nie było.

- Może chybiłeś.

- Nie chybiłem. Spójrz tam.

Patrzył na kępę paproci. Widziałem lśniącą w słońcu krew, która poplamiała liście. Dalej zarośla tworzyły grube osty. Było gorąco. Żaden z nas nie miał na sobie wielu ubrań. Ojciec miał koszulę z krótkim rękawem, a ja T-shirt.

- Musimy go znaleźć. Nie można tak zostawiać zwierzęcia. No dalej. Nie może być daleko.

Ostrożnie wkroczyliśmy w zarośla. Ojciec wyrywał badyle albo przytrzymał je dla mnie swoimi odzianymi w rękawiczkę

palcami, a ja starałem się jak mogłem, by trzymać je od siebie z daleka za pomocą karabinu.

Osty były tu grubsze przy podłożu, dlatego nie mogliśmy podążać po śladach krwi. Pocięlibyśmy się na kawałki, gdybyśmy spróbowali. Pewnie mielibyśmy więcej szczęścia, rozdzielając się, ale on wiedział, że potrzebuję go, by przytrzymywał dla mnie osty. Szukaliśmy grubo ponad godzinę. Do czasu, kiedy ojciec odpuścił, miałem wrażenie, jakby cała moja skóra pokryta była gryzącymi insektami, a ramiona i twarz uwalane miałem potem i krwią. Umyłem się w strumyku i wróciliśmy do domu.

Mama i siostry pojechały na zakupy do miasta, więc nie było samochodu. Podwórze było puste. W ciszy przeszliśmy przez pole kołyszącej się trawy. Pamiętam, że spojrzałem na ponurą twarz ojca. Nie mógł znieść utraty tej wiewiórki.

Nie wiem jak to się stało, że zobaczyłem to pierwszy, ponieważ zaledwie rok później nosiłem już okulary, a ojciec miał sokoli wzrok. No i przecież szliśmy obok siebie. Byliśmy trochę ponad dwa metry od ganku. Pamiętam, iż pomyślałem, że to powinien być on, nie ja. Nie wiem, dlaczego to poczułem, ale nadal tak myślę. Coś było nie w porządku.

Prawie upadłem. Wiem, że się zatoczyłem, poczułem się, jakby ktoś pchnął mnie mocno w klatkę piersiową i że to odebrało mi dech, niczym nieme wołanie o pomoc. Moje ciało wołało o pomoc, ale ona nie nadchodziła.

- Co? - mruknął ojciec i spojrzał tam, gdzie ja patrzyłem, na ślad krwi, prosty jak pojedyncze pociągnięcie pędzla z na wpół wyschniętą farbą, aż do klapki w drzwiach Charliego. Zdeterminowana linia, którą namalował własnym życiem.

Wiedziałem, co tam znajdziemy, nie było szans, żeby przeszedł taki kawał, krwawiąc tak obficie i nadal żył, więc kiedy mój ojciec otworzył drzwi i zobaczyliśmy go na dywanie, leżącego na boku, postrzelonego w ten sam potrzaskany bark, który kiedyś mieścił złamaną łapę, wiedziałem, że miałem rację, że spóźniliśmy się tylko o parę minut. Jego ciało nadal było ciepłe. Dotknąłem go,

spojrzałem w jego szkliste, otwarte oczy i starałem się nie rozplakać. Uklękaliśmy przy nim.

- Wrócił do domu, szukał nas - wyszeptał ojciec.

Nie wiem dlaczego to powiedziałem. To nie był gniew ani oskarżenie. Nie był to też smutek. To ze mnie wyszło, niczym wzbijający się w powietrze ptak.

- Wrócił do domu, szukał ciebie, tato. Nie nas. Ciebie.

Nigdy nie zapomnę widoku twarzy mojego ojca tego dnia.

Pamiętam to lepiej niż widok jakiegokolwiek innej twarzy, może oprócz tej leżącej przede mną na poduszce, śpiącej teraz, ale jeszcze parę godzin temu skrzywionej i prawie nierozpoznawalnej w gniewie i bólu. Twarzy, którą zapamiętam, kiedy jutro odejdzie, nie jakąś podobną, ale właśnie tę. Powiedziała mi, zanim jeszcze zostaliśmy małżeństwem, że jedyną rzeczą, której nie mogłaby znieść, jest moja niewierność, bo taki był jej ojciec, no i ja też znowu taki byłem, a kiedy się o tym dowie, odejdzie. Ona nie rzuca słów na wiatr.

Ojciec nigdy więcej nie polował. Karabin wylądował w piwnicy, pożarła go rdza. Coś się w nim zmieniło po Charliem. Na przykład w niedziele częściej wychodził z mamą. Byliśmy już na tyle dorośli, że sami mogliśmy o siebie zadbać. Potem zaczął więcej pić.

A jeszcze później, kiedy byliśmy w koledżu, przestał. A potem się zestarzał, zachorował i stał się zgorzkniałym człowiekiem.

Jesteśmy wieloma rzeczami, my wszyscy, targani przez tak wiele niespodziewanych podmuchów wiatru.

Teraz się zastanawiam, kim jestem i czym będę jutro?

Co ja zrobiłem?

I co ja zrobię z własnymi niedzielami, kiedy ona odejdzie?

Dla Anush i Misty

BLIŹNIAKI

Dla June i dla mnie, odkąd sięgamy pamięcią i z wyjątkiem naszych lat w Nowym Jorku, świat zawsze był wrogim miejscem. Więc to nic nowego, naprawdę.

Urodziliśmy się jako bliźnięta dwujajowe, kolejno trzy i dziesięć po północy, 31 października 1956 roku, w pierwszych, wietrznych minutach Halloween. Noc Psot, jak to wtedy nazywali. Kiedy my dwoje wykrzykiwaliśmy pierwsze, drobne zniewagi za wypchnięcie nas z całkowicie ciepłego i bezpiecznego miejsca - jak wierzę, jedyne miejsca na ziemi, w którym nie ma ani potrzeby, ani żadnego dobrego powodu do krzyku - starsze dzieciaki były na zewnątrz, smarując okna mydłem, wypuszczając powietrze z opon albo podpalając na gankach sąsiadów brązowe, papierowe torebki wypełnione psim gównem.

Szkoci wierzą, że jeśli kobieta urodzi jednocześnie chłopca i dziewczynkę, nigdy już nie będzie miała dzieci. Nasza mama nie miała.

Ale to dla moich rodziców nie miało większego znaczenia. Moja mama, Hanna, nigdy nie przykładła dużej wagi do seksu. Miała nas i to było wszystko, czego chciała. Seks to dzieci. Kropka. Sam akt był brzydki, oślizgły i oburzający. I tyle, tak uważała Hanna. A teraz była szczęśliwa, że mój ojciec Willie zaspokoił ją w jedyny sposób, w jaki kiedykolwiek mogła być zaspokojona. Na boku mógł pieprzyć, co popadnie. Miał sklep sportowy tuż przy jeziorze. Idealne miejsce do intere-

sów i do skoków w bok, ponieważ co roku turystów było więcej i więcej, a wszystkie te panienki w letnich sukienkach potrzebowały dobrej rady odnośnie przynęt, spławików i takielunku.

Podejrzewam, że mój ojciec umarł szczęśliwy.

Mieliśmy wtedy po sześć lat. Z jakichś nieznanych nam powodów Hanna zdecydowała się odwiedzić ojca w sklepie w porze lunchu i wzięła ze sobą June i mnie, a ja pamiętam, że zobaczyłem tego wielkiego faceta o rumianej twarzy, w kowbojskim kapeluszu, stojącego za ladą z Petem Millerem, zatrudnionym do pomocy; wielki facet oglądał rozkładaną strzelbę, a Pete kładł na ladzie żółte pudełko z nabojami. Pete wyglądał na zmartwionego, kiedy przeszliśmy przez sklep. Powiedział coś do mamy, ale ona tylko machnęła ręką i pomaszerowała z nami w stronę przejścia do magazynu, gdzie ojciec jadał lunch. Akurat konsumował.

Była wysoką, szczupłą brunetką z największymi piersiami, jakie widziałem, a mój ojciec trzymał jedną z nich w ustach, a raczej jej część. Jego twarz zakopana była w ciele kobiety, nogi oplatały jego nagi tyłek, a on uderzał jej plecami o ścianę, na której wisiał kalendarz *Playboya*. Zasłony były zaciągnięte, a mama, June i ja zatrzymaliśmy się i staliśmy tak, obserwując. June i ja myśleliśmy, że to zabawne, ponieważ był tam nagi tata i jakaś dziwna, naga kobieta i coś sobie robili. Zaczęliśmy zatem chichotać. Nie wiem, co zrobiłaby mama, gdyby miała czas, ale cokolwiek by to było, nie zdążyła, ponieważ wielki facet w kowbojskim kapeluszu przepchnął się obok niej, wkraczając do pokoju. Mały Pete za nim, ciągnąc go za ramię, ale on tylko odepchnął go i podniósł strzelbę. Pamiętam ojca, odwracającego się na to nagłe zamieszanie i przestraszone spojrzenie rozdziawionej brunetki, jakby zrozumiała, że wybaczenia nie będzie, tuż przed tym, jak facet krzyknął SU-KIN-SYN i wystrzelił. Jeden strzał

z tej odległości wystarczył, by głowy obojga zamieniły się w krew i kości rozsmarowane na ścianie.

Facet powiedział później, że chciał wycelować trochę bardziej w lewo.

Była dziwką, ale znał gorsze.

Mama przejęła sklep i prowadziła go na tyle dobrze, żeby przepchnąć nas oboje przez koledż, ale po tym zdarzeniu nigdy już nic była taka sama.

My też nie.

Zawsze byliśmy wyjątkowi, June i ja. Od początku jakoś to wiedzieliśmy. Jak stare małżeństwo kończyliśmy nawzajem swoje wypowiedzi. Nawet zanim staliśmy się na tyle duzi, że potrafiliśmy formułować przyzwoite zdania. Bawiliśmy się w lesie, nad jeziorem. *Henry*, powiedziała, *chcę...*

...siusiu, powiedziałem. Ja *pierwszy*, powiedziałem i tak zrobiliśmy.

Jest takie przekonanie, że bliźniaki mają jakąś niezwykłą zdolność współodczuwania, że każde wie, kiedy drugie będzie w niebezpieczeństwie albo w nieszczęściu, nawet jeśli są rozdzieleni. Podobnie szczególne uczucie szczęścia i dostatku jednego będzie odczuwane przez drugiego. Do czasów koledżu rzadko byliśmy rozdzielani, ale oba przekonania potwierdziły się, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Mama mówiła, że jako niemowlęta przestawaliśmy się drzeć i zasypialiśmy w naszych kołyskach dokładnie w tym samym momencie, a potem budziliśmy się razem o poranku i zaczynaliśmy jęczeć o pierś, jakby nasze zegary biologiczne były zespolone w jeden. Nauczyliśmy się chodzić w tym samym dniu. Pierwszym słowem June było *mama*, a moim *tata*, wypowiedziane w odstępie piętnastu minut od siebie pewnego niedzielного popołudnia, podczas zabawy w salonie, kiedy tata siedział przed telewizorem, a mama prasowała. Jej wyjaśnienie odnośnie do tego, dlaczego słowa nie były takie same, było seksis-

towskie; że każda płeć powinna ciągnąć do swojej, a usprawiedliwienie kolejności słów mówiło, że jako dobry chłopiec chciałem być po prostu grzeczny.

Do momentu, kiedy ojciec został zastrzelony nago w magazynie, nie ciekawiły nas nasze ciała. Oczywiście kąpaliśmy się razem i doskonale wiedzieliśmy, że nie jesteśmy tacy sami. Nie był to dla nas problem. W większości innych aspektów byliśmy *dokładnie* tacy sami.

Rozmawialiśmy o tym przez lata.

Doszliśmy do wniosku, że to było tak, jakbyśmy żyli wówczas w dwóch różnych światach naraz. Był świat June i Henry'ego wpisany w życie innych ludzi. No i był świat June i Henry'ego zamknięty dla obcych. Pierwszy świat był zabawny, nowy, zastanawiający i trzeba było się go nauczyć. Drugi był znany od samego początku.

Zanim umarł ojciec, nasze ciała należały do drugiego świata. Znanego i kompletnie akceptowanego. Ale obydwójce zobaczyliśmy tego popołudnia coś jeszcze, poza bryzgającą krwią i śmiercią. Coś połączonego z umieraniem, ale nie bezpośrednio.

Ponieważ kiedy ojciec został zastrzelony, nadal był w niej.

Widzieliśmy to dokładnie, kiedy odwrócił się, reagując na hałas za jego plecami. Połowa jego grubego kutasa tkwiła w niej. Dziwne, ale kiedy upadł nasza uwaga skupiona była właśnie na jego fujarze, a nie na makabrze na ścianach i suficie.

Wtedy usłyszeliśmy krzyk Hanny. Naprawdę zobaczyliśmy ruinę, która została z ciał. Zdaliśmy sobie sprawę z obecności wielkiego faceta odpychającego Pete'a na bok i zmierzającego w stronę drzwi.

Wtedy kwiat zwiędł.

Po tym zdarzeniu, sami w lesie nad jeziorem, w domu - w łazience albo w sypialni, staliśmy się naprawdę bardzo ciekawi.

Parę razy Hanna nas nakryła. I to był problem o wiele większy niż powinien być, ponieważ odkąd fakt, że ojciec odszedł do

Stwórcy z opuszczonymi spodniami, stał się ogólnodostępną w mieście wiedzą, mamę zaczął trawić ogień baptyzmu, który przelał się nie tylko na chodzenie do kościoła, ale też na rozprawianie i kaznodziejstwo względem każdego, kto chciał słuchać. Tyczyło się to też ciężkich kar dla małych chłopców i dziewczynek, którzy mówili, że bawili się w doktora, podczas gdy Pan i ona wiedzieli, że to co naprawdę robili było cielesne, grzeszne i przeklęte.

Zamykała nas w schowkach - oddzielnych - na długie godziny. Dostawaliśmy klapsy, byliśmy podszcypywani i bici, nie dostawaliśmy obiadu, śniadania albo lunchu, a czasem nawet żadnego z nich. Na strychu, przy drzwiach uwiązana była pleciana lina, która przypominała nam o tych razach, kiedy jej użyła. Wściekała się na nas, wygłaszała kazania, zmuszała do modlitwy. Dostawaliśmy lekcje.

Nigdy się niczego nie nauczyliśmy.

Chcieliśmy zobaczyć, jak kwiat się podnosi. Jedynym problemem było *kiedy* i *jak*.

Wiedzieliśmy, że kiedyś to się stanie.

Chcieliśmy zobaczyć, co w nią wejdzie i jak głęboko.

Pamiętam jej pierwszy orgazm tak dobrze, jak mój własny. Myślę, że w pewien sposób nawet go z nią dzieliłem. Było lato 1967 roku, mieliśmy po jedenaście lat. Lato Kwiatów, jak nazywali je hippisi. Dzień był słoneczny, my siedzieliśmy nad jeziorem, w dość odosobnionym miejscu, do którego można było dotrzeć jedynie łodzią, ponieważ las rósł tutaj dość gęsty. Właściciel wierzył w polowanie na króliki i jelenie, a nie w nieruchomość, więc większość mieszkańców miasta uważała go w efekcie za wariata.

Pływaliśmy nago. Prawie nigdy nikogo tu nie było.

Tego dnia leżeliśmy nago na starej, podniszczonej kołdrze w kratkę. Trzymałem w niej dwa palce. Była cała mokra i śliska, za własną zgodą, co było nowe i fascynujące dla nas obojga.

Pokazała mi, jak prowadzić palce również na zewnątrz, do środka, do góry, co musiało być dla niej ostatecznym zrozumieniem, ostatecznym dostępem do jej własnej ekspertyzy. Kiedy zaczęła się trząść, wycofałem się, przerażony, że robię jej krzywdę, ale ona powiedziała *nie nie nie* i przycisnęła do siebie z powrotem moje palce, po czym z zamkniętymi oczami bawiła się nimi, jakby były jej własnymi.

Wygięła plecy w łuk i jęknęła, a ja mogłem czuć jej drzenie na moim ramieniu i sam zacząłem się trząść, jakby nagły oddech grudnia przetoczył się przez jezioro.

Upadła na kołdrę, śmiejąc się i próbując złapać oddech, a wtedy ja również się roześmiałem.

- Boże - wyjęczała. - Co to było? Chciałabym tak *umrzeć*, Hank! Bóg mi świadkiem. A mama myśli, że z tym jest coś nie tak? Hanna jest szalona!

Dalej się śmialiśmy, a ona mnie łaskotała. Wiłem się ze śmiechu, szamotając się na kołdrze. W końcu znieruchomieliśmy.

- Włóż znów we mnie swoje palce - powiedziała. - Zostaw tam dłoń. Chciałabym, żebyśmy tak usnęli, dobrze?

- Dobrze.

Dochodziło południe, błękitnie niebo było wolne od jakiegokolwiek chmury, więc szybko zasnęliśmy.

Obudziliśmy się, kiedy ktoś powiedział: cholera, spójrzcie na to! i zaczął się śmiać, a ktoś inny powiedział: *Jezu, to Hank i Junel* I zobaczyliśmy Danny'ego Beacha i Phila Autona, płynących w stronę brzegu na starej łódce Danny'ego. Dwójka dzieciaków z naszej klasy, na Boga, obaj śmieją się i wykrzykują nasze imiona, teraz, kiedy obudziliśmy się i siedzieliśmy, gapiąc się na nich, June z jedną ręką między nogami w miejscu, z którego przed chwilą się wycofałem, a drugą zasłaniającą blade sutki na piersiach, które dopiero co zaczęły się pokazywać.

Zboki! Pieprzone pedały! krzyczeli, dryfując w naszą stronę. Ostatnia obelga nie miała dla mnie żadnego sensu. Wcisnąłem się w swoje dzinsy i rzuciłem June jej własne, razem z T-shirtem,

a ona stanęła tyłem do nich i ubierała się, podczas gdy krzyczeli: *fajny tyłek, June! Odwróć się, maleńka!* Założyliśmy nasze tenisówki, a ja złapałem koszulę i kołdrę, po czym uciekliśmy do lasu. To jedyna rzecz, którą mogliśmy zrobić. Po prostu stamtąd uciec.

Byliśmy wstrząśnięci. Teraz wszyscy się dowiedzą. Szliśmy je-
lenimi szlakami, June prowadziła, nie idąc w żadnym szczególnym
kierunku, po prostu głębiej w las. Po jakimś czasie odwróciła się.

- Myślisz, że zatopią nam łódź?
- Nie odważą się - odpowiedziałem.
- Myślisz, że widzieli, gdzie trzymałeś dłoń?
- Nie wiem.

Ale wiedziałem. Widziałem, jak Danny Beach gapi się dokładnie w
to miejsce. Pomiedzy jej rozwarte szeroko nogi. A ona wtedy jakby
znów odczytywała moje myśli albo kończyła za mnie zdanie, spytała:

- Ale jesteś prawie pewien, że tak było, co?
- Taa. Tak myślę. Jestem prawie pewien.
- OK. No to mamy przechlapane - powiedziała. Chwilę spacerowaliśmy w ciszy.

- Mam to gdzieś - rzuciła w końcu. - Niech powiedzą rodzicom.
Niech rozpowiedzą to w całej cholernej szkole, w całym cholernym
mieście. To, co zrobiliśmy było przyjemne. I zrobimy to ponownie,
czyż nie?

Spojrzała na mnie, oczekując odpowiedzi, a ja musiałem się zaśmiać
i potrząsnąłem głową, bo to było takie w stylu June.

- Pewnie, że zrobimy - odrzekłem.

* * *

Mój pierwszy orgazm przeżyłem w niej. To było następnego lata.
Mieliśmy po dwanaście lat.

Hanna była w kościele, gdzie ostatnio przestaliśmy chodzić, a że byliśmy już dość duzi, to pomimo piekielnej furii i potępienia, musiała zaakceptować naszą decyzję. Poza tym, ona wiedziała teraz to, co wiedziało całe miasto. Mam wrażenie, że w sekrecie cieszyła się, że trzymaliśmy się z daleka.

Leżeliśmy na moim łóżku. Sprawiliśmy, że kwiat urósł.

Wślizgnąłem się w nią z taką łatwością, z jaką wpycha się palec do słoika z dżemem i z taką samą słodkością, a spazmy zaczęły się zaledwie po paru pchnięciach. Wyglądało na to, że nigdy nie skończę dochodzić - przez jeden, mrozący krew w żyłach moment myślałem, że dostałem krwotoku, że pompuję w nią krew - to rytmiczne pulsowanie, tak oślepiające i elektryczne, a ona wkrótce wypełniła się tym, co wypłynęło ze mnie.

Leżeliśmy obok siebie na boku, nie troszcząc się ani trochę o lśniące prześcieradło.

Uśmiechaliśmy się oboje, firanka za nami trzepotała w pachnącym świeżo ściętą trawą, letnim powietrzu.

- Gdyby Wille był taki szybki - wyszeptała - *może do dziś by żył*

- Ty *dziwko!* - Złapałem ją i zacząłem łaskotać. - *Poczekaj do następnego razu!*

Potem oboje popatrzyliśmy na siebie i zawyliśmy „KIEDY?!“

We wrześniu, kiedy byliśmy w przedostatniej klasie liceum, spróbowali ją dorwać.

Wieczorami pracowałem na zmianę w aptece Silvermana

i sklepie z napojami. Już prawie zamykaliśmy, a June zawsze przychodziła, by odprowadzić mnie do domu. Miała w zwyczaju wpadać o 21:45, by, zanim zamknąłem, mieć trochę czasu na czekoladowo-jajeczny krem i by spotkać kolegów z klasy.

Mieliśmy kilku przyjaciół, ale niezbyt wielu. Byli wyrzutkami, jak my. Nazywaliśmy ich Kulawy, Kiepski i Ślepy. Właściwie byli bardziej jak Wybitnie Uzdolniony albo Bystry, Brzydki

i Cichy. Ale każdy wyrzutek jest taki sam. June i ja byliśmy wyjątkami, nie byliśmy tacy - ja wyrosłem na całkiem przystojnego, ciemnookiego mężczyznę, a June osiągnęła pełną, piękną kobiecość w wieku siedemnastu lat. Byliśmy mądrzy, jednak nic genialni. I żadne z nas nie było ciche.

Tego chłodnego, wrześniowego wieczoru, spóźniała się. Tylko pięć minut, ale to wystarczyło bym zamknął wcześniej, kierowany jakimś niejasnym przeczuciem, a kiedy gasiłem światła i przekręcałem klucz w drzwiach, mój puls szalał. Ledwo mogłem oddychać. Nasz dom był tylko pięć przecznic dalej, dwie w stronę Głównej i trzy w stronę West Cedar, co było jednym z powodów wyboru pracy u Silvermana. Można było iść spacerkiem. Ale tej nocy pobiegłem i znalazłem ich na krótkim odcinku zalesionej drogi, przecznicę od naszego domu. Widziałem przez zarośla tylko ruszające się w świetle księżyca kształty, ale już wiedziałem, gdzie będą.

Danny Beach był jednym z nich, a trzech pozostali to chłopaki z ostatniej klasy i dobrze ich znaliśmy. Nie poddała się tak łatwo. Kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem, że jeden z nich miał na policzku długie, cienkie, krwawiące nacięcie, a drugiemu skapywała z głowy krew, zapewne od uderzenia kamieniem i to właśnie on klęczał przed nią z opuszczonymi spodniami, podczas gdy Danny przytrzymywał jej ramiona, a pozostałych dwóch nogi. To właśnie na niego się rzuciłem, tego klęczącego, z raną na głowie.

Nie wiem, skąd wzięło się to nadgniłe polano, ale leżało mi w dłoniach doskonale i uderzyłem go dokładnie w to miejsce, gdzie rana od kamienia lśniła w świetle księżyca. Kiedy upadł, Danny się wystraszył i puścił jej ramiona, co było błędem. Do czasu, aż strzaskalem żebra największego z nich, tego z zadrapaną twarzą, drugi zerwał się i uciekł, a June trzymała głowę Danny'ego w uścisku i w furii okładała go pięściami. Pozwoliłem jej bić go przez chwilę, a potem powiedziałem: *hej, .siostrzyczko, nie zabij go na litość boską, chociaż było możliwe,*

że ja zrobiłem to z tym drugim, który stracił przytomność od uderzenia. Nie ruszał się.

Mój głos jakoś ją uspokoił. Puściła Danny'ego z krwawiącym nosem i wargami, a on, wraz z tym z obitymi żebrami, pokuśtykali przez las, krzycząc, że jeszcze nam wpierdolą: *styszycie? Pierdolone zboki dostaniecie za swoje!*, do tego czasu chłopak na ziemi poruszył się, więc podnieśliśmy majteczki i torebkę June z mokrych liści i odeszliśmy, zostawiając go. Majteczki były porwane. Wcisnęła je do torebki.

- Zranili cię?

- Siniaki. Dranie.

- Chcesz komuś o tym powiedzieć? Policji?

- Jezus, nie. Tylko tego nam trzeba. Nie wydaje mi się, żeby spróbowali ponownie, nie sądzisz?

- Nie. Wątpię w to.

- Więc dajmy spokój. Masz ochotę na ten krem jajeczny?

- Dobry pomysł.

Tej nocy, kiedy umarli zaczęli powstawać, mieszkaliśmy w Nowym Jorku od osiemnastu lat. Żadne z nas nie było przygotowane, by dać sobie radę z Manhattanem - byliśmy uzbrojeni jedynie w licencjaty z anglistyki, przeciwko światu magistrów finansów. Pracowałem jako lektor, a potem jako agent w agencji literackiej, podczas gdy June próbowała swoich sił w aktorstwie, pod przybranym imieniem Celia Night. Przez te lata zaliczyła kilka plakatów, niezależną reklamę, sporo spektakli off-off-Broadway, kilka sezonów w teatrze letnim i epizod w *One life to live*. Jak większość aktorów w Nowym Jorku, siedziała w poczekalni. Miała jednak oczy otwarte i nie była głupia. Kiedy usamodzielniałem się jako agent i zacząłem dobrze zarabiać, wraz z przyjacielem kupiliśmy restaurację. Podkradliśmy teksańsko-meksykańskiego szefa kuchni od konkurencji i obniżyliśmy ceny tequili. Dobrze nam szło.

Byliśmy szczęśliwi. Żyliśmy razem jak mąż i żona. Chłopak i dziewczyna. Znacząco Inni. Nazwijcie to, jak chcecie.

To był Manhattan. Nikt nas o nic nie pytał. Nikogo to nic obchodziło.

Wieżowiec na 68 Zachodniej zbudowano niczym bunkier przeciwogniowy. Betonowe ściany i stalowe drzwi. Nie groziło nam zatem tej nocy prawdziwe niebezpieczeństwo. Siedzieliśmy więc w sypialni w mieszkaniu, oglądając wiadomości w CNN, dzwoniąc do przyjaciół, jeśli połączenie było możliwe, słuchając przez drzwi odgłosów okaleczania w hallu lub patrząc z okna na szóstym piętrze na zmarłych, przechadzających się po straszliwie pustych ulicach. Ciche trzaski w oddali, odgłosy strzałów oddawanych przez policję.

Najgorzej w te i następne dni mieli bezdomni. Martwi czy nie, byli najłatwiejszym celem. Połowa z nich ze zmysłami przytępionymi narkotykami, wódką albo szaleństwem, tak więc ich liczba spadała. Ale Manhattan nigdy nie zamknął dróg, tak jak to uczyniono na większości obszarów wiejskich. Odcięci od ruchu na mostach i w tunelach, zmarli w City byli prawie do opanowania. Nie wiedzieliśmy, jak długo może to potrwać. Tydzień później zabrakło nam jedzenia, nasz spacer do Food Emporium po drugiej stronie ulicy nie obfitował w wydarzenia bardziej niż zazwyczaj, ale półki wyglądały jak szkielety. Dostawy będą problemem.

Potem władza ustawodawcza zmieniła dziesięcioletnią politykę dotyczącą noszenia broni w miejscach publicznych, więc wybraliśmy Ladysmitha dla June i Colta Pythona dla mnie. Ćwiczyliśmy na nowej, zatłoczonej strzelnicy na Broadwayu, która kiedyś była siłownią.

Nie martw się. Będzie ci lepiej szło, powiedziała June. Nigdy nie szło.

Minał kolejny tydzień, ja pracowałem w domu, przy komputerze, mailu, faksie i telefonie, a June zostawiła restaurację kierownikowi. Interes i tak leżał, a dostawy były trudne do zorganizowania.

Spędzaliśmy dużo czasu w łóżku.

Przedwczoraj zadzwoniła nasza ciotka Joan, siostra Hanny. Matka zmarła tego ranka, powstała i zmarła ponownie. Za jednym i za drugim razem zastrzelona z dubeltówki Remington, najpierw przez spanikowanego złodzieja, który nie miał pieniędzy, by za nią zapłacić, ale był zbyt przerażony, żeby bez niej wyjść, a za drugim - z rąk starego Pete'a Millera, który Bóg jeden wie jak dawno temu wprowadził się do mieszkania nad sklepem po tym, gdy zmarła jego żona. Usłyszał strzał i, pewnie wspominając ojca zszedł na dół w samą porę, by zobaczyć jak walczyła, by wstać z podłogi. Zastrzelił ją w ostatnim obowiązku zatrudnionej pomocy.

Przyjeżdżacie na pogrzeb! - chciała wiedzieć ciotka Joan.

Żadnemu z nas nie podobał się ten pomysł. Matka przez lata miała fioła na punkcie religii, z wiekiem robiąc się tylko coraz bardziej gorliwa. Niechętnie pomagała nam, kiedy byliśmy w koledżu. Żyliśmy głównie ze stypendiów. Prawdopodobnie to, co robiła dla nas, miało na celu jedynie pomóc nam wynieść się z miasta.

Przynosiliśmy jej wstyd, a ona nam. Kochaliśmy tylko siebie.

- Pojadę - powiedziałem. - Ktoś musi.

- Ty nie chcesz jechać.

- Ty też nie. Pojadę.

- Zatrzymamy sklep?

- Nie. Powinna go sprzedać lata temu. Pewnie Pete go kupi. Nie wydał jeszcze pierwszego zarobionego centa.

Tego ranka wynająłem wóz w Hertz parę bloków dalej i pojechałem do Lincoln Tunnel. Prawie nie było ruchu ulicznego. Przy wjeździe do tunelu ponury, łysiejący facet z policyjną trzydziestką ósemką na biodrze wręczył mi przepustkę, którą musiałem pokazać wracając, po uiszczeniu zwyczajowej opłaty.

Trzy godziny później byłem nad jeziorem.

Frekwencja była nieduża. Garstka współtowarzyszy, baptystów, dzierzących karabiny i strzelby. Ciotka Joan, nieuzbrojona, ale z mocną szczęką. Ja, pastor i stary Pete nosiliśmy pistolety pod kurtkami. Usprawiedliwiałem June złym stanem zdrowia przed tymi, którzy zadali sobie trud zapytania. Dzień był pogodny, a cmentarz stary i znajdowało się na nim tak dużo świeżo rozkopanej ziemi, że wyglądało to, jakbyśmy odprawiali ceremonię w samym środku kolonii mrówek. June przygotowała wiązanek kwiatów, tak samo jak kościół, ciotka i Pete.

Pete chyba najgorzej to znosił.

Hanna była trudną kobietą, ale Pete'owi prawdopodobnie było równie trudno ją zastrzelić.

Nie pytałem go o sklep.

Nie dotrwałem do końca ceremonii.

W połowie *Ojciec Nasz* poczułem brzęczenie w głowie, jak nie-dostrojony telewizor i wiedziałem, że June już nie ma.

Dobrze, że jako członek rodziny siedziałem na składanym krześle, ponieważ w pierwszej chwili nie mogłem ufać moim nogom. Musiałem coś powiedzieć, bo ciotka spojrzała na mnie, marszcząc brwi bardziej niż zazwyczaj. Następnie zobaczyłem śmiertelne zmartwienie odbite w jej oczach. Niepewnie dotknęła mojego ramienia, po czym pociągnęła mnie i przytuliła, podczas gdy ja szlochałem. Przerwałem ceremonię, wyjąc z żalu z powodu, którego ani ona, ani nikt inny nie potrafił zrozumieć.

Wróciłem, dobrze wiedząc, gdzie ją znajdę.

W jakich okolicznościach i gdzie jej się to przytrafiło, nigdy się nie dowiedziałem, ale po wszystkim wróciła do naszego apartamentu, kierowana tym samym instynktem, który prowadził niektórych zmarłych na Times Square, do ich ulubionych barów

i restauracji, albo do biur, centrów handlowych, a bezdomnych lokował pod schodami.

Znalazłem ją tam, gdzie oczekiwałem ją znaleźć, w domu, w naszym łóżku, naga i czekająca na mnie, swojego młodszego o siedem minut braciszka. Świat znów był dla nas wrogim miejscem, w którym jest i potrzeba, i powód, by krzyczeć. Jej jasne oczy były puste, a rana na karku brzydka, jak w źle poszlachtowanym mięsie. Ale czekała na mnie w łóżku, czekała aż kwiat urośnie pewnie po raz ostatni.

Jest kolejne szkockie wierzenie, że kiedy jedno z bliźniąt umiera, drugie długo nie pożyje. Lecz jeśli przetrwa, witalność i siła zmarłego bliźniaka przejdzie na niego, dając mu czasem dziwne umiejętności uzdrowicielskie, jak moc leczenia pleśniawki poprzez wdmuchiwanie powietrza do gardła chorego. Moc uzdrawiania nie przydałaby mi się, nawet jeśliby to była prawda. Nie obchodziło mnie dmuchanie powietrza w gardło kogokolwiek, oprócz June.

Zamknąłem drzwi do sypialni i przystawiłem krzesło do klamki, po czym usiadłem w salonie i to zapisałem. Spodziewałem się łomotania, warczenia, odgłosów wściekłego głodu obróconego przeciw mnie, ale nie było żadnych dźwięków, dosłownie nic.

Czeka w naszym łóżku, pomyślałem. Kiedy ją ostatni raz widziałem, jej ręka spoczywała delikatnie między nogami.

Sporo nad tym dumałem i jest tylko jedna rzecz, jaką mogę uczynić. Położyć się obok niej i pozwolić jej zrobić we mnie ranę, która będzie bliźniacza jej ranie. A potem, kiedy już zapadnę w ten stan, w który oni zapadają, skierować kolta w jej stronę, następnie w moją. Nie pozwolę naszej dwójce być przekłętymi, nawet dziś, kiedy połowa świata taka jest.

Urodziliśmy się w Noc Psot, June i ja. W pierwszych, wietrznych minutach Halloween.

Nie zrobiliśmy nic złego.

POŚRÓD LEKKO RANNYCH

Była czwarta nad ranem, Godzina Wilka, jak później pomyślał - moment, w którym danej nocy statystycznie umiera najczęściej osób. Obudził się, w pokoju gościnnym, myśląc, że coś nim potrząsnęło. Trzęsienie ziemi, wstrząs? To była Sarasota, nie Kalifornia. Wiele lat temu został obudzony przez trzęsienie ziemi, pewnej nocy w San Diego, ale to nie było takie samo odczucie. Poświata za oknem sypialni zanikła, kiedy się obudził, nie mógł więc być pewien, czy nie było to powiązane z jego snem. Zdawał sobie sprawę z wycieku z jego nosa, z rzadkiej wydzieliny, niezwyklej, ponieważ był palaczem, przyzwyczajonym do gęstych emisji. Wciągnął to do gardła i pomyślał, że źle smakuje.

Pokój gościnny miał własną łazienkę w rogu, więc założył okulary, wstał, włączył światło, splunął do zlewu i zobaczył krew. Kiedy pochylił się nad zlewem, zaczęła mu się sączyć z nosa cienkim, przerywanym strumieniem, jak z kranu desperacko potrzebującego nowych uszczeltek. Ucisnął nos i stanął prosto, przechylając głowę do tyłu. Czuł, jak spływa mu po tylnej ściance gardła, teraz nagle cięższa, tak, że prawie go udusiła. Co jest, do cholery? zdziwił się. Ponownie się pochylił. Odjął rękę od nosa i patrzył, jak wylewa się z niego.

Złapał ręcznik, przyłożył do nosa i ponownie ucisnął. *Kurewsko krwawiący nos*, pomyślał, nieświadomy jeszcze, że nie jest sam, że inni w mieście też obudzili się tej nocy krwawiąc z nosa, chociaż nikt z nich nie brał ośmiu pigułek aspiryny dziennie przez

ponad miesiąc, próbując zwalczyć głupi łokieć tenisisty, bez uciekania się do bolesnych zastrzyków z kortyzonu w spuchnięte ścięgno - nieświadomy, że aspiryna nie tylko działa przeciwzapalnie, ale też rozrzedza krew, przez co teraz nie mógł jej zatamować.

Różowy ręcznik robił się czerwony. Uciskanie nie pomagało.

Kiedy podnosił głowę, wlewała mu się do gardła - mógł poczuć jej smak, słony i metaliczny. Kiedy ją opuszczał, krew wylewała się z nosa.

Sam sobie nie poradzę, pomyślał.

Musiał ją obudzić. Przeszedł przez hall.

- Ann? Annie?

Za oknem świeciła latarnia. Jej blade plecy i ramiona powiedziały mu, że nadal sypia nago.

- Annie. Ja krwawię.

Zawsze miała twardy sen, jak pijak, który zostawił w butelce ostatni łyk.

- Coooo?

- Krwawię. Pomóż.

Ciężko było mówić z krwią spływającą w dół gardła i ręcznikiem przyciśniętym do twarzy. Obróciła się, mrugając do niego, po czym podciągnęła kołdrę, by zakryć piersi.

- Co sobie zrobiłeś?

- Krwotok z nosa. Poważny.

Mówił spokojnie. Nie chciał obudzić Davida, jej syna, który spał w pokoju obok. Nie było sensu budzić czternastolatka. Usiadła.

- Uciśnij to.

- Uciskam. Nie chce przestać.

Odwrócił się i poszedł z powrotem do łazienki, by mogła wstać i założyć szlafrok. Pochylił się nad zlewem i odsunął ręcznik, obserwując, jak krew wylewa się z niego. Jaskrawa czerwień na porcelanie, wirująca w odpływie.

- Lód - rzuciła za jego plecami, a potem zobaczyła skalę leżą, co się z nim stało i mruknęła *Jezu*, kiedy on uciskał nos i przechylił głowę do tyłu, przelękając, a potem znowu powiedziała *lód*. - Przyniosę trochę.

Starł się dmuchać w zamknięte nozdrza, tak jak wydmuchuje się powietrze z ucha w lądującym samolocie, ale efektem były tylko zaparowane okulary. Co? Zdjął je i popatrzył na nie. Szkła były czyste. Spojrzał w lustro. W kanalikach łzowych były kropelki krwi.

Krwawił z oczu.

To oczy zaszyły mu mgłą, a nie cholerne okulary. Wróciła z lodem owiniętym ścierką do naczyń.

- Krwawię z oczu - powiedział jej. - Jeśli to wirus ebola, po prostu mnie zastrzel.

- Oczy i nos są połączone.

Nie na darmo została wychowana przez pielęgniarkę.

- Trzymaj.

Wziął lód i przytknął do nosa.

W mgnieniu oka ścierka zrobiła się czerwona. Lód dawał przyjemne uczucie, ale nie pomagał.

- Masz.

Wzięła chusteczki i owinęła je wokół patyczków do uszu.

- Włóż je do nosa. Potem znów uciśnij.

Zrobił, jak mu kazała. Podobało mu się, jak ruszyła mu na pomoc. Dawno się tak do niej nie zbliżył. Udało mu się głupio uśmiechnąć, patrząc na jej szeroko otwarte, ciemne oczy i zmartwioną twarz. Czy to coś znaczy? Ucisnął nos, aż zabolęło.

Prowizoryczny opatrunek przesiąkł na wylot. Krew kapiała mu na T-shirt. Podała chusteczki.

- Jezu, Alan. Powinam zadzwonić na pogotowie? Skinął głową.

- Chyba tak.

Pielęgniarze z karetki byli od niego o połowę młodszy, obaj po dwudziestce, a ten z krótkimi, kręconymi włosami zasugerował włożenie monety do ust, między zęby a górną wargę, a potem mocne uciśnięcie wargi, rozwiązanie, które działało na jego babcię, ale na niego ani trochę, nie licząc posmaku miedzi w ustach, gorszej wersji smaku krwi. Annie zapytała, czy powinna z nim jechać, ale odmówił. Kazał jej zostać z Davidem i trochę się przespać, a on zadzwoni, jeśli będzie jej potrzebował. Musiała zapisać mu numer, ponieważ teraz za nic na świecie nie mógł go zapamiętać.

W karetce zaczął mocno krwawić, a pielęgniarz siedzący w środku, naprzeciw niego, nie mógł znaleźć żadnych chusteczek ani niczego, czym mógłby wytrzeć krew. W końcu wyjął długą, plastikową torebkę, wyglądającą jak cięższa wersja Ziploc*, którą musiał trzymać otwartą za pomocą jednej ręki, podczas gdy drugą radził sobie z krwawiącym nosem. W końcu odnalazło się pudełko chusteczek i wylądowało na jego kolanach. Kiedy jeden zwitek chusteczek był już nasiąknięty krwią, starał się szybko wepchnąć je do torebki i wyciągnąć ich więcej z pudełka, jednocześnie trzymając nisko nad nią nos, by nie poplamieć sobie swoich shortów w kolorze khaki. Pielęgniarz nie robił już nic, by mu pomóc, po tym jak znalazł dla niego torebkę i chusteczki. Zupełnie inaczej, niż w *Oстрым дыжурзе* albo *Шпиталу Дobrej Nadziei*.

Izba przyjęć o piątej nad ranem była uspokajająco czysta i prawie wyludniona, jeśli nie liczyć jego i podstawowej załogi. Nie nalegali, by się wpisał. Zamiast tego pucowata pielęgniarka stanęła przed nim z kartą i zebrała istotne informacje. Następnie zostawiła go, by sam sobie radził z nosem, zamieniając wypełnioną do połowy torebkę Zip-loc na różową, plastikową miskę na wymioty w kształcie nerki, poza tym traktując go, jakby w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach była pewna, że ma AIDS.

'Rodzaj zamykanej, plastikowej torebki spożywczej (przy. tłum.).

Nie miał nic przeciwko. Dopóki miał plastikową miskę i chusteczki. Zaczynało mu się kręcić w głowie. Podejrzał, że to z utraty krwi. Nie mógł sobie przypomnieć adresu Annie, chociaż pisał do niej ze swojego apartamentu w Nowym Jorku setki razy w ciągu ostatnich czterech lat, odkąd się wyprowadziła, i znał jej adres

- dosłownie - na pamięć. Nie pamiętał też numeru swojego ubezpieczenia. Asystentka pielęgniarki musiała mu wygrzebać portfel z tylnej kieszeni. Karty były w środku. Sam nie mógł ich wyjąć, ponieważ jego ręce - pokryte teraz brązową, zaschniętą krwią

- starały się zatamować tę świeżą.

Doktor również był od niego o połowę młodszy. Miał orientálną urodę, był przystojny, zbudowany jak pływak, z szerokimi ramionami i wąską talią. Był przyjacielski, jak reszta załogi, i wesoły w tej bezbożnej chwili, ale w przeciwieństwie do nich nie bał się go dotknąć, nawet po tym, jak połknął mnóstwo swojej krwi, zaczął nią wymiotować do jednej z różowych, plastikowych misek. Zapytał Alana, czy bierze jakieś leki. Wtedy właśnie dowiedział się o rozrzedzających krew właściwościach aspiryny. Pomyślał, że przynajmniej nie dostanie ataku serca. Przypuszczał, że to jakieś pocieszenie.

Doktor użył jakiegoś przyrządu, by wyssać do tuby krew z jego nozdrzy, ale to nie podziałało, co też Alan mu powiedział. Było jej za dużo, więc włożył mu do nosa wkładki, które wyglądały jak tampony na patykach. Wetknął je głęboko w jamę nosową i kazał czekać, by zobaczyć, czy uda im się opanować krwawienie.

Jakimś cudem, udało się.

Pół godziny później wypuścili go. Zadzwoił po Annie. Odwiozła go z powrotem do mieszkania, umyła mu ręce i twarz, zmieniła ubranie i oboje poszli do swoich łóżek.

Obudziła go potrzeba skorzystania z toalety i odkrył, że zarówno jego mocz, jak i gówno miały czarną barwę. Maleńka,

czarna kropelka trzymała się jego penisa. Strząsnął ją. Chyba się czegoś nauczył - gówno i mocz wampira zawsze muszą być czarne. Zastanawiał się, czy Anne Rice potrafiłaby opisać to w jakiś czarujący sposób.

Kiedy obudził się drugi raz, znów krwawił. Ponownie wsadził wkładki, jak kazał mu lekarz, ale krwawienie nie ustało. Obudził Ann, która tym razem nalegała, by osobiście odwieźć go do szpitala, wręczając mu nowo otwarte pudełko Puffsów*. Miał je sobie położyć na kolanach. Na górze David nadal spał swoim młodzieńczym snem. Tak było lepiej. Chłopaka interesowała krew tylko w horrorach.

Pucołowatej pielęgniarce nie było, kiedy przybył po raz drugi do szpitala, ale różowe, plastikowe miski zostały, więc użył ich, siedząc w tym samym pomieszczeniu, które opuścił zaledwie kilka godzin temu, podczas gdy jego lekarz, pływak, przywołał człowieka od Uszu, Nosa i Gardła. Doktorek zjawił się zaraz po tym, jak Alan odesłał Annie do domu.

Do tego czasu czuł się słaby jak niemowlę, nogi miał jak z waty i kręciło mu się w głowie. Potrzebował dodatkowej pary rąk, by żonglować miskami w kształcie nerek, okularami, chusteczkami, pudełkami chusteczek, jednocześnie ściskając nos i plując, wymiotując i pozwalając krwi skapywać lub połykając ją w przerwach.

Czuł się nieco absurdalnie. Krwotok z nosa, na litość boską.

Potem czuł tylko ból, który trwał, dopóki człowiek od UNG - kolejny zdrowy okaz z Florydy, młody Irlandczyk, który przybył w pofałdowanych shortach i koszulce polo - wyjął wkładki i zajrzał mu do nosa za pomocą długiego, cienkiego, cylindrycznego mikroskopu z latarką, stwierdzając, że krwawi tylko z prawej dziurki. A potem napchał w nią tyle rzeczy, że do czasu kiedy

"Rodzaj chusteczek (przy. tłum.).

skończył, Alan miał wrażenie, że mały pies wczołgał się do środka i zdechł.

Dwuipółcentymetrowa, kwadratowa gaza pokryta wazeliną, ponad metr, gęsto złożony i wciśnięty głęboko. Przed tym kolejna, podobna do tamponu wkładka, tym razem wyjmowana za pomocą sznurka. Przed nią coś zwanego cewnikiem Foleya, nadmuchiwanym jak balon. Kolejne półtora metra pofałdowanej gazy. Kolejna wkładka.

Nie miał pojęcia, że w jego nozdrzach jest tyle miejsca.

Mężczyzna był serdeczny, ale niezbyt delikatny.

Podano mu leki przeciwbólowe i przeciwzapalne, posadzono na wózku i przepchnięto do windy, a potem położono w szpitalnym łóżku na czterdzieści osiem godzin obserwacji. Po raz kolejny pielęgniarka musiała znaleźć i odczytać jego karty ubezpieczeniowe. Leki do tej pory dały mu już kopa, podobnie jak utrata krwi. Nie wiedział nawet, gdzie jest jego portfel, chociaż podejrzewał, że tam gdzie zawsze, czyli w tylnej kieszeni.

Łóżko obok niego było puste. Sala dla chorych, cisza.

Zasnął.

Przebudził się, kichając i kaszląc krwią. Oszałamiająco jasny rozprysk znajdował się na prześcieradle - *to nie mogło wydostać się nosem, więc zamiast tego zjeżdżało w dół gardła, każde uderzenia serca było zdradzieckie, pompując cienkie strugi krwi do jego gardła, krtani i tchawicy.* Zadławił się i sięgnął po miskę stojącą na stole przy łóżku, po czym gwałtownie zwymiotował, krwią i żółcią. Jednak coś zawieszistego w gardle nadal go dławiło, coś stałego, jak ciężka kula śluzu, która sprawiła, że znów chciało mu się wymiotować. Włożył więc rękę do ust, by się tego pozbyć, wpychając kciuk i palec wskazujący chwycił to, śliskie i rozmokłe, po czym wyciągnął.

Na początku nie mógł zrozumieć, co to jest. Było długie, naciągnięte i nie powinno dzielić towarzystwa z jego gardłem, więc

pociągnął jeszcze raz, dopóki nie wyszło z jego ust i nie zobaczył tego. Nie mógł uwierzyć w to, co zrobił. Że to było w ogóle możliwe. Ale miał ją między palcami. Patrzył na nią, pokrytą śluzem i krwią, długą na czterdzieści pięć centymetrów gazę, którą wepchnięto mu do nosa. Wykichał i wykaszał ją przez gardło, a teraz trzymał ją, jak dodatkowy, długi język, który nadal go dławił. Sięgnął po przycisk w celu przywołania pielęgniarki. Nacisnął go, zwalczając chęć wymiotowania i czekał.

- Co pan zrobił?

Pielęgniarka była ładną, silną, młodą blondynką z obrączką ślubną. Ta sama, która przyjęła go i położyła do łóżka. Wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować czy ma być zaszokowana, zła, czy rozbawiona.

- Nie mam pojęcia - wymamrotał przez gazę. Znów wymiotował. Tym razem było tego dużo.

- Ułaa - skrzywiła się. - Zawołam doktora. Może chceć kauteryzować to krwawienie. Tymczasem znajdę nożyczki i utnę to dla ciebie, dobra?

Kiwnął głową i siedział tak, trzymając w ręku to, co wyszło mu z gardła. Potem potrząsnął głową. *Cholerny krwotok z nosa.*

Dużo później dotarło do niego, że operacja i pobyt w szpitalu pod wpływem silnych leków, połączony z dużą utratą krwi, były jak dryfowanie przez morze płodowe, z którego okazjonalnie wypływało się na powierzchnie, by dostrzec rozmyte kawałki nieba. W młodości zarzucił kwas, kiedy pływał w ciepłym Morzu Egejskim i to było podobne uczucie. Obudził się, kiedy sanitariusze serwowali obiad, a pielęgniarki sprawdzały ciśnienie krwi i zostawiały papierowe kubki z lekarstwami. Żadne z nich nie zatrzymało go dłużej. Głównie spał i śnił.

Żywo pamiętał te sny. Ich duże fragmenty wirowały mu w głowie z niezwykłą jasnością szczegółów i uczuć - a potem jakby mrugał i już ich nie było, tak po prostu, a jego umysł zaprzątnięty był wyłącznie sprawą wyleczenia uszkodzonego ciała. Dostosowywał nowy opatrunek, by zmniejszyć ucisk,

połykał pigułki, skubał jedzenie. Potem gnał z powrotem w sen. Pomyślał, że w procesie leczenia jest coś nieskończenie samotnego. Nikt tak naprawdę nie potrafił mu pomóc. Mogli tylko pilnie reagować na jego potrzeby. Nie mógł doczekać się krótkich odwiedzin ładnej blond pielęgniarki, bo z całego personelu szpitala ona wydawała się najbardziej dowcipna i radosna. Poza tym lubił jej południowy akcent. Jednak był w tym wszystkim całkiem sam. Powiedział Annie, żeby przez jakiś czas nie dzwoniła. Po tym jak jej pierwszy telefon go obudził, czuł się niezłe, ale nie miał jeszcze ochoty na rozmowę. To także wzmagało uczucie samotności.

Kiedy czarnoskóry mężczyzna z nawiedzonymi oczyma pojawił się na łóżku obok, nie był specjalnie zaskoczony. Założył, że w tej sali dzieje się wiele rzeczy, których mógł się tylko domyślać. Spojrzał przez okno, by zobaczyć, czy jest dzień czy noc, ponieważ na ogół nie miał pojęcia, stracił poczucie czasu, a tamten leżał płasko na plecach, przykryty aż do brody, podłączony do jakiegoś monitora i skomplikowanej kroplówki z rurek i przewodów, tak różniącej się od jego własnej. Twarz obcego była wychudzona, wynędzniała i szara w świetle księżyca. Oczy miał szeroko otwarte i skupione na Alanie, ale niewidzące, albo widzące przez niego na wylot - co potwierdził uśmiechem i skinieniem głowy przed szerokim, niemrugającym spojrzeniem mężczyzny.

Pewnie jakiś uraz mózgu, pomyślał, biedaczysko, wiedząc w jakiś sposób, że samotność tego człowieka przewyższa o wiele jego własną, jednak chwilę później zapomniał o nim i ponownie zanurzył się w sen.

Wyobraź sobie siedzenia na wolno poruszającym się diabelskim młynie, z tym że idealnie stabilne, nie wychylają się naprzód, jak te prawdziwe, a potem wyobraź sobie, że nie są to siedzenia, tylko lśniące płyty grubego, ciężkiego, błyszczącego

szkła albo metalu, czy nawet drewna, ciemne, więc nie można dokładnie stwierdzić co to jest, a teraz wyobraź sobie, że nie ma diabelskiego młyna - nic ich nie podtrzymuje, ale szybują powoli i równo, każda ma rozmiar i kształt drzwi od szafy położonych poziomo, są ich nieskończone ilości, misternie się mijają, prawie dotykają, ale nigdy do końca, tak więc możesz po nich chodzić w górę i w dół oraz na boki, bez utraty gruntu pod nogami.

To jak taniec. Donikąd nie prowadzi. Ale jest przyjemny.

O tym śnił.

We śnie przez dłuższą chwilę był sam, dopóki nie pojawiła się Annie. Wyglądała dokładnie tak samo, jak tego dnia, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, siedzącą naprzeciw niego w samolocie z Los Angeles, ze swoim dwuletnim synkiem. Tak jak wtedy, miała krótkie włosy, spódnicę i szła w jego kierunku okrężnym krokiem, jeden do przodu, jeden w bok, dryfując w jego kierunku ponad nim i pod nim, tak że nawet nie był pewien, czy zdaje sobie sprawę z jego obecności, zupełnie jakby był niewidzialny, ponieważ ani razu nie spojrzała dokładnie na niego. Nagle odwróciła się i powiedziała: *zostawiłeś nas w nicości, wiesz!*, co nie było oskarżeniem, ale zaledwie stwierdzeniem faktu. Pokiwał głową i zaczął płakać, ponieważ to była prawda, bo obok tych nieczęstych wizyt, telefonów i listów jakoś się od nich odczepił, pozwolił im troszczyć się o siebie samych.

Obudził się i zobaczył, że czarnoskóry mężczyzna stoi w drzwiach i wygląda na korytarz, obracając powoli głowę, jakby kogoś szukał swoimi szerokimi, pustymi oczyma. Pomyślał przez moment, że facet nie powinien wstawać z łóżka, nie z tymi rurkami i przewodami wciąż do niego przymocowanymi, ciągnącymi się przez salę, tuż nad jego własnym łóżkiem. Następnie usłyszał ruch po drugiej stronie zaciemnionego pokoju, odwrócił się i zobaczył kształt niedużej, krępej kobiety, która chyba dostrajała aparaturę, majstrowała przy niej. Pielęgniarka albo jej asystentka jak przypuszczał, więc uznał, że nie ma nic niepokojącego w tym, że mężczyzna tam stoi. Spojrzał na niego jeszcze raz, po czym za-

mknął oczy, bezskutecznie starając się znaleźć drogę powrotną w sen, pragnąc wyjaśnić Annie to, co niewytłumaczalne.

Prawie świtało, gdy obudziło go ramię.

Zapomniał już o łokciu, o zaognionym ścięgnię, przez które zaczął brać aspirynę i przez które tu wylądował. Lekarstwa zamaskowały ból. Teraz ręka rwała go, aż się obudził, rwała go mocno, jakby ożywił ją wstrząs elektryczny, coś niezależnego od jego woli, może coś w jego śnie, ukłucia bólu od łokcia pnące się w górę do stałej, pulsującej rany w jego twarzy.

Pomyślał, że przepiszą mu więcej leków.

Doznawał tu krzywdy.

Wcisnął guzik przywołujący pielęgniarkę i czekał, aż ktoś zgłosi się przez interkom.

- Tak? Co mogę dla pana zrobić?

- Potrzebuję zastrzyku albo tabletki. -Ból?

-Tak.

- Poinformuję pielęgniarkę.

Byli szybcy, musiał im to przyznać. Ładna blond pielęgniarka była przy nim prawie natychmiast. A może nie, tylko przez ból, w którym się pławił, mógł o tym nie wiedzieć. Dała mu papierowy kubek z dwiema jasnoniebieskimi pigułkami w środku.

- Boli cię, kiedy nie śpisz, prawda?

- Tak mi się wydaje. Moje ramię.

- Twoje ramię?

- Łokieć tenisisty. Nawet nie gram w tenisa. Stało się to na siłowni, ponad miesiąc temu.

Potrząsnęła głową, uśmiechając się, podczas gdy on połknął pigułki i popił wodą.

- Nie masz udanych wakacji, co?

- Nie, raczej nie. Poklepała go po ramieniu. -Teraz zaśniesz na trochę.

Kiedy sobie poszła, leżał, czekając aż ból zacznie ustępować.

Starał się zrelaksować, żeby móc ponownie zasnąć. Odwrócił się i zobaczył, że czarnoskóra mężczyzna gapi się na niego jak poprzednio, chociaż teraz uwięziony był w gąszczu rurek i przewodów podłączonych do obu jego ramion, przeciągniętych pod prześcieradłem do jego nóg, razem z cewnikiem - dwa podłączone były do jego obojczyka, jeden do nosa, a najgrubszy z nich do na wpół otwartych ust. Tuż za nim, na szerokim panelu, czerwone i niebieskie światełka migotały w ciemności.

Rano wiele się zmieniło. Alan leżał na boku. Puste łóżko, przestrzeń za nim i światło wlewające się przez okno były pierwszymi rzeczami, które zobaczył.

Potem poczuł zapach jajek i bekonu. Starał się jak mógł przy postawionym przed nim jedzeniu, chociaż było bez smaku i niezbyt ciepłe, a tost twardy i suchy. Wypił sok i herbatę. Kiedy pielęgniarka przyszła z pigułkami - nowa pielęgniarka, w średnim wieku, czarnoskóra, z szerokimi biodrami, jeszcze jej nie widział - zapytał o mężczyznę na łóżku obok.

- Nikogo oprócz pana tu nie było - powiedziała. -Co?

- Cały czas był pan tu sam. Dopiero co przyszedłam, ale od razu sprawdziłam karty. Zawsze tak robię. Taka procedura. Ma pan szczęście, że jest lato i nie ma zęb, inaczej tylko je by pan słyszał. A tak ma pan to miejsce tylko dla siebie.

- To niemożliwe. Widziałem tego faceta trzy razy. Dwa razy na łóżku i raz stojącego w drzwiach. Wyglądał okropnie. Był podłączony do jakichś rurek, aparatury.

- Obawiam się, że to był sen. Trochę środków przeciwbólowych, trochę wyobraźni, wstrząśnięte i zmieszane. To się zdarza.

- Jestem adwokatem apelacyjnym. Nie mam wyobraźni. Uśmiechnęła się.

- Był pan sam, całą noc. Przysięgam.

Pewnie jakaś pomyłka w kartach, pomyślał. Mężczyzna tu był.

Nie przywidziało mu się. Potrafił rozróżnić jeszcze sen od jawy. To sny były teraz barwniejsze. W ten sposób je odróżniał.

Poczekać na drugą zmianę, pomyślał. Zapytać tej drugiej pielęgniarki, blondynki. Dawała mu pigułkę ostatniej nocy. Czarnoskóry mężczyzna tam był. Na jej zmianie.

Śnił i dryfował cały dzień. Jakoś w południe odwiedzili go Annie i David. Opowiedział chłopakowi o wykastaniu gazy i czego nauczył się o gównie wampira. Pomyślał, że nastolatki lubią takie historie - im obrzydliwsze, tym lepsze. To i chłodne usta Annie na jego czole to jedyne, co zapamiętał z ich wizyty. Pamiętał lunch i obiad, ale nie pamiętał, co zjadł. Przypomniawszy sobie wizytę doktora i to, że już nie nosił shortów i koszulki polo, kiedy sprawdzał mu puls i ciśnienie krwi. Miał za to biały kitel i spodnie. Zdecydował, że bardziej lubił go w poprzednim wydaniu.

- Pewnie - powiedziała. - Pamiętam. Bolało cię, kiedy się obudziłeś.

- Pamiętasz faceta na łóżku obok?

- Kogo?

- Czarnoskórego faceta. Nie wiem, co mu było, ale źle wyglądał.

- Wiesz co lekarz daje ci na ból?

- Nie.

- To hydrokodon, skarbie. W takiej dawce, jaką dostajesz, jest tak samo podły jak morfina, z tą różnicą, że nie uzależnia. Nie zdziwiłabym się, gdybyś powiedział, że widziałeś na łóżku obok Elvise, więc odpuść sobie jakiegoś czarnego gościa.

Bolało go, kiedy się obudził tej nocy.

Tym razem zaczął okładać pięściami swoją bolącą twarz i nos. Bił winowajcę, źródło tajemnicy. Jakby chciał zacząć krwawić na nowo.

Co on wyrabiał? Dlaczego to robił?

Jego sen był intensywny i dziwny. Byli sami w środku długiej, szarej tuby: on i Annie. Ciągnęło ich w stronę jakiejś oślepiającej, jasnej nieskończoności, on szarpał jej ubranie, bluzkę, kurtkę, starając się podnieść ją na nogi, podczas gdy ona klęczała przed nim. Nic nie mówiła, nic nie robiła, jakby jego obecność nic dla niej nie znaczyła. Poczul strach, odosobnienie i panikę.

Obudził się w bólach, okładając pięściami twarz i sięgnął po przycisk, by zawołać pielęgniarkę i poprosić o kolejną pigułkę, ale duża dłoń czarnoskórego mężczyzny powstrzymała go. Facet stał obok jego łóżka. Palce miał długie, gładkie i suche, a ich uścisk był zaskakująco mocny.

Podniósł wzrok i spojrzał w te szerokie, brązowe oczy, które wydawały się go nie widzieć i patrzeć gdzieś ponad nim, w rozległą przestrzeń. Zobaczył też przewody i tuby zwisające za nim, ponad drugim łóżkiem, gdzie krępa, ciemna postać, która nie była pielęgniarką ani asystentką, unosiła się nad panelem instrumentów. Gdy głos w jego głowie powiedział *nie, jeszcze nie skończyliśmy, mój wypadek stał się twoim, za co bardzo przepraszam, ale tak się czasem zdarza i proszę teraz nie przeszkadzać, potrzebujemy ułatwienia, radź sobie ze swoim bólem, tak jak ja radzę sobie ze swoim*, pomyślał, że śni, że to szaleństwo albo leki, ale głos powiedział *nie, nie szaleństwo, tylko samotność w tym pokoju, a pielęgniarka nie może zobaczyć, nie może wiedzieć, ona nie cierpi tak jak ty i ja, będziesz jej tylko przeszkadzał, możesz bez niej żyć, nieprawdaż?*, a on pokiwał głową, ponieważ nagle pomyślał, że oczywiście może. *Dobrze, powiedział głos, mamy mało czasu, przestań się krzywdzić i zamiast o niej, śnij o mnie, już to robisz, ale zawsze wracza ona, prawda!* Znów pokiwał głową i poczuł, jak ucisk na jego nadgarstku zelżał. *Przestań siebie krzywdzić. Ona nie jest bólem, ty też nie. Odpoczywaj. Spij.*

Mężczyzna usiadł na swoim łóżku. Odpoczywał. Poprawił przewody, przyglądał je przy klatce piersiowej. Ciemna, kobieca figura wróciła do pracy przy oświetlonym panelu. Dotyk

mężczyzny był jak lekarstwo. Lepszy. Ból znikał. Nie musiał naciskać przycisku. A może po prostu współistniał z bólem? - tego nie wiedział. Jeszcze jedna noc, pomyślał. Może jeszcze jeden poranek.

Może było coś, co mógł zrobić dla niej i dla chłopca, a czego nie zrobił; czegoś, by to poprawić. Ale teraz musiał dać sobie spokój.

Śnił o diabelskim młynie. Tylko nie było młyna. Śnił o tysiącu przecinających się młyńskich kół.

Zrobił krok w dół i do góry, a potem na boki.

TEPE DZIDY I WIELKA MASAKRA W SAN DIEGO

Bernice weszła tylnym wyjściem i trzasnęła drzwiami w odpowiedzi na słońce San Diego, błędzące po ganku. Ramona siedziała przy trzeciej filiżance kawy Sanka.

- Jezu - wymamrotała. - Może od razu wykop w nich dziurę. Ramona była dziś nieznośna.

- Chcesz kawy?

- Gin. Masz gin?

- Żartujesz? Jest, kurwa, dziewiąta rano.

- Dobra, w porządku. Kawa.

Ramona nadal miała na sobie swoją bladoniebieską koszulę nocną ze sztucznego jedwabiu. Na stopach puszyste, różowe kapcie. Mrówka robotnica pięła się lekkomyślnie w górę jej uda.

Nie zauważyła tego.

Bernice usiadła i skrzyżowała nogi. Nylon otarł się o nylon.

Kac Ramony był żyjącą, oddychającą istotą. Białym robakiem, kęsającym mięso jej mózgu. *Gryzł.*

Wstała i naląła gotującej się wody z rondla do popękane go, fajansowego kubka, a potem wymieszała kawę. Z przyzwyczajenia dodała śmietankę i cukier dla Bernice i postawiła go przed nią.

Przemieszane łyżeczką granulki kawy zawirowały. Powód i rumowisko.

- Ten pieprzony Howard - powiedziała Ramona. - Patrz. Spójrz na to. Odchyliła głowę, gapiąc się na limonkowo zielony sufit. Bernice pochyliła się, by ją obejrzeć: tuż pod jej podbródkiem był mały, czerwony ślad. Malinka.

- Och, to nic, Mona. Prawie tego nie widać, dopóki się na ciebie nie wejdzie. Po prostu trzymaj opuszczoną głowę.

- Taa. Trzymać opuszczoną głowę.

Otworzyła puszkę tuńczyka w oleju i wrzuciła zawartość do miski.

- Słuchaj - powiedziała. - Mam dość tego sukinsyna. Dam ci tysiąc dolarów, jeśli go dla mnie przejedziesz.

Bernice rozdziawiła usta, drapiąc pomiędzy fałdami kremowego ciała pieprzyk na karku. Pieprzyk przywykł do ciemności.

- Co? - zapytała.

- Serio. Dam ci tysiąc dolarów, jak potracisz zasańca. Zrób to jutro rano. Po prostu przejedź po nim, kiedy wyjdzie do pracy i dostaniesz pieniądze. Wypadek. Przylegające podjazdy. Ups, przepraszam.

- Mona! Nie mogłabym tego zrobić.

- A mogłabyś to zrobić za tysiąc pięćset?

- Nie! Oczywiście, że nie!

Ramona podziobała tuńczyka widelcem. Dodała majonezu, musztardy w proszku i szczyptę kopru. Wymieszała i spróbowała. Zapomniała o soli. Przydałaby się sól. Dodała ją i spróbowała ponownie. Podała widelec Bernice.

- Spróbuj - zachęciła.

Zdaniem Bernice brakowało kiszonych ogórków. Ramona odwróciła się do niej z nagłą wściekłością. Spojrzenie przymrużonych oczu miała harde.

Zaskoczona mrówka zatrzymała się na jej udzie.

- On musi umrzeć, Bernice. Mówię serio. Drań nie ma ani grosza. Zabierają moje karty płatnicze, jedną po drugiej. Czy masz pojęcie, co to dla mnie znaczy, Bernice? Oferuję ci tysiąc pięćset

i to jest więcej niż faktycznie mogę ci zapłacić. Jestem zdesperowana. Nie mogę już patrzeć na tego skurwysyna.

Wskazała na malinkę, przeraźliwą i beztroską, pod jej podbródkiem.

- Nie miałam takiej odkąd skończyłam szesnaście lat. Nigdy ich nie lubiłam. Chcę, by był trupem. Większość długów jest na jego nazwisko, nie na moje. Nie może utrzymać pracy i chce się bzykać cały czas, a ja mam go dość. Dwa tysiące. Więcej nie dam rady.

- Jeezu, Mona. Nie mogłabym kogoś zabić.

- Oczywiście, że byś mogła. Ja mogłabym zabić dla ciebie Alberta, gdybyś mnie poprosiła.

- Nie chcę, byś zabijała Alberta.

- Wiem, ale mogłabym to dla ciebie zrobić, gdybyś chciała. Po prostu... jest trudniej, kiedy to twój własny mąż. Nie wiem. Może to jakiś rodzaj... uczucia do tego głupiego kutasa. Serio. Potrzebuję twojej siły. Nie zdzieraj ze mnie. Nie targuj się. Weź dwa tysiące.

Usiadła.

- Jeezu, Mona. Nie wiem co powiedzieć.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Zabij go dla mnie. Proszę?

Bernice skosztowała tuńczyka.

Mrówka wkroczyła w ciemny, pachnący wątróbką las jej włosów łonowych i brnęła do przodu. Alkohol i złość przyćmiły jej zmysły. Podrapała udo w miejscu, w którym mrówka była pięć minut temu.

Bernice westchnęła.

- Na pewno nie masz ginu?

Próbowała wyobrazić sobie siebie jako morderczynię. Na myśl przyszedł jej obraz kobiety w platynowej peruce, w ciemnym płaszczu, dym z jej czterdziestki piątki mieszał się z dymem z papierosa zwisającego z jej wyszminkowanych, obfitych ust.

Kiedyś przejechała kota. Małe tapnięcie. Howard byłby dużo większym tapnięciem.

- Nie mogę - oznajmiła. - Tak czy siak, jeśli to musi być zrobione, ty powinnaś to zrobić i nie przerywaj mi teraz, Ramona, bo powiem ci, dlaczego.

Wzięła głęboki wdech, czując bicie swojego serca. Jej sutki ocierały się o znoszony, niebieski materiał podomki frotte. Nylon zasyczał, kiedy skrzyżowała nogi. Te cholerne podwiązki je rujną.

- Pamiętasz, jakiś czas temu, chyba w Michigan, był facet, który cały czas bił swoją żonę. Pewnej nocy podpaliła jego łóżko, kiedy spał. Użyła benzyny. Mogłabyś tak zrobić. Może nie z benzyną, bo zjarasz cały dom, ale powiedz, że cię bił, dlatego go zabiłaś. Ława przysięgłych ją puściła. Były też inne takie przypadki. Po prostu teraz ich nie pamiętam. Poświadczę za ciebie, przysięgam.

Myśląc o tym, robiła się mokra tam na dole, podniecona.

- Widzisz, mogłabyś go zabić i spróbować *nie dać* się złapać, ale jeśli *dasz* się złapać, mogłabyś powiedzieć, że to było uzasadnione zabójstwo. Ale jeśli ja go zabiję i dam się złapać, mam prze-srane. Rozumiesz?

Ramona, zamyślona, skubała tuńczyka. Rozważała stanowisko Bernice. Słuszne stanowisko.

Brak jej było pewności siebie. A trzeba było pewności siebie, by zabić człowieka.

Zaczęła sobie wyobrażać, że ją ma.

Zobaczyła siebie, leżącą obok niego na łóżku. Ostre nożyczki w jej dłoni, błyszczące w świetle ulicznej latarni. Uśmiechała się podczas podnoszenia kołdry z jego ciepłego, pachnącego nocą, grubego, owłosionego ciała. Potem przecinała podstawę jego karku, małe nacięcie. Na szczęście nie poruszył się. Chrapał. Szybko i łatwo cięła dalej, od małego nacięcia, przez pępek, aż do kutasa. Jego wnętrzności wyskoczyły na wierzch niczym szary, mokry, śliski, parujący klaun z pudełka. Sięgnęła pod jelita, przez lepki śluz, aż do klatki piersiowej i wyjęła jego serce. Nadal biło. Chociaż Howard już nie chrapał. Rozmazała jego serce na ścianie sypialni, wycisnęła je kompletnie.

- Mona? - przerwała jej Bernice. - Mona? To jak będzie?

- Hmm?

Zabrakło jej wiary w siebie.

Mrówka wspięła się na wargi sromowe, wysuszone i szare jak pustynia.

Tuńczyk był już prawie zjedzony.

- Nie potrafię zrobić tego sama - powiedziała. - Musisz mi pomóc.

- Ramona, nie mogę ci pomóc. Co, jeśli mnie złapią? Jaką będę miała wymówkę?

- Możemy powiedzieć, że cię zmusiłam. Zwariowałam i groziłam tobie oraz Albertowi, więc nie miałaś wyjścia. Bałaś się mnie. Chodziłam wszędzie za tobą. Byłam szalona, jak pieprzony świr.

Bernice zrobiła głupią minę.

- Nie wiem, Ramona. Mona nie dawała za wygraną.

- Słuchaj, Howard ma polisę ubezpieczeniową na trzydzieści tysięcy. Jeśli upozorujemy wypadek, to odszkodowanie będzie podwójne, to daje sześćdziesiąt. Pomóż mi, to dam ci trzydzieści. To połowa. Jak to brzmi?

- Trzydzieści tysięcy dolarów?

- Zgadza się.

- Jezu.

Rozważyła to.

- Na początku zaoferowałam tylko tysiąc. Ramona nie skomentowała.

Widziała sztywniejące pod podomką frotte sutki Bernice. Powinna to przemyśleć. Albertowi zajmuje dwa lata, żeby zarobić tyle pieniędzy. Po raz pierwszy tego dnia Ramona miała dobre przeczucie.

Chociaż jej zdaniem, Bernice powinna trochę schudnąć. Te sutki mogłyby być nieco wyżej.

- Dobra - powiedziała Bernice. - Zrobię to. Ale nie sama. Nie

przejadę go na podjeździe ani nic z tych rzeczy. Cokolwiek zrobimy, zrobimy to razem. Zgoda?

- Zgoda.

Co to, kurwa, było?

Wstała i potarła mocno swój brzuch. Swędzące, pełzające uczucie nagle ustało.

Jeszcze trzy godziny zajęło zlokalizowanie mrówki w zagłębieniu jej pępka.

- Chcesz jeszcze kawy? - zapytała.

- Pieprzyć kawę - powiedziała Bernice. - Nie masz ginu? Ramona westchnęła i wyjęła butelkę.

Minęły dwa tygodnie, a Howard nadal żył.

Siedziały razem w knajpie. Bar pomalowano na różowo i czerwono. Światła przyciemniono. To było jak siedzenie w czyimś brzuchu.

Ramona piła właśnie trzecie bananowe daiquiri. Bernice zamówiła kolejny różowy gin. Wypiła o jeden za dużo, ale alkohol czynił ją szczęśliwą.

- Podwójną - powiedziała.

- Bernice, nie upij się, na boga, dobra?

- Moja głowa jest czysta, Mona - odrzekła dosadnie. - To nie ja mam ciągle nowe pomysły.

- Nie bądź mądrałą.

- Nie jestem. To nie ja jestem tu mądrałą.

Było to tak głośnie i tak gniewne, że tancerka topless za barem, irlandzka dziewczyna z twarzą szeroką i przysadzistą jak fortepian oraz piersiami koloru starych puszek, prawie się wyróżnęła.

Barman postawił podwójny, różowy gin przed tą grubą, życząc sobie, by wreszcie przestały się kłócić. Bolała go od tego głowa. Poza tym, ta szczuplejsza nie wyglądała źle. Skrzyżował przypominające konary ramiona i uśmiechnął się do niej.

Ramona wychwyciła jego spojrzenie. Jakby patrzył na udziec wołowy.

- Więc, co się stało? - zapytała Bernice.

- Nie zjadł tego. Złamas.

We dwie były jedynymi klientkami. Barman i tancerka uznali je za interesujące - oboje z różnych powodów. Barman starał się dostrzec nieuchwytny zarys bladych sutków Ramony pod jej rozpiętym swetrem i zwykłą, fiołkowo różową bluzką. Tancerka podchodziła bardziej merytorycznie: *czego nie zjadł?* Poruszyła obojętnie nogami do przodu i do tyłu, starając się pamiętać, by nie marszczyć brwi.

- Jeeezu - powiedziała Bernice. - A ja spędziłam cały dzień na wycinaniu pęczery z robaków i pieczeniu ciasta. Czy on nie lubi szarlotki?

- Oczywiście, że lubi. Zjadł kruszonkę. Przy okazji, powiedział, że była dobra. Zdaje się, że to raczej tarantuli nie lubi.

Łyknęła drinka.

- To był obrzydliwy widok, prawdę mówiąc. Trucizna zmieniła kolor na zielonkawobrazowy. Ja bym tego nie zjadła. Powiedziałam mu, że z jabłkami chyba było coś nie tak.

- Uwierzył?

- Oczywiście, że uwierzył. Uwierzył nawet w wosk na schodach frontowych, prawda?

- Ma wspaniały zmysł równowagi, Mona.

- Uwierzył też, kiedy upuściłam toster do wanny, prawda?

- Powinniśmy były lepiej zdrapać izolację. Miałybyśmy go.

- Wiem. Problem w tym, że Howard to największy głupiec, jaki chodzi po świecie. To właśnie przez to jestem w takiej rozsypce, pamiętasz?

- Taa.

Wdarła się melancholia.

Bernice dopiła drinka i gestem poprosiła barmana o następną kolejkę.

Obserwowały, jak porusza się za barem. Potężne ramiona.

Od tyłu nie było widać jego dużego brzucha, ale tyłek i biodra miał niezłe.

- Fajny, co? - mruknęła Bernice.

- Jezu, nie. Duży sukinsyn. Potrzebowałabyś łyżki do butów, by go wprowadzić.

- Taa. Taki facet może mieć cholernie dużego.

- Nigdy nie wiadomo. Widziałam już takich typów z wackami nie większymi od kluczyka samochodowego.

Uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Chociaż założę się, że mogłybyśmy to sprawdzić.

Zdjęła sweter i położyła go na stolku barowym. Potem chwyciła swoje sutki pomiędzy kciuk i palec wskazujący i delikatnie przyszczypała. Stwardniały i urosły.

Barman wrócił z różowym ginem dla Bernice i od razu zauważył różnicę. Ich oczy się spotkały i zobaczył w nich obietnicę. Ramona zamówiła kolejne daiquiri. Przełknął ślinę i odwrócił się. A Ramona zobaczyła to, co chciała zobaczyć.

- Ma tam ościę na bydło - powiedziała, zdradzając swoje korzenie z Zachodniego Chicago. - Jeszcze jeden drink i będę chciała go possać.

Bernice zachichotała.

- Potrzebujesz towarzystwa?

- Nie, do cholery.

Barman wrócił z drinkiem. W jego zachowaniu dało się teraz wyczuć pewną poufałość, świadczącą o jego przyzwyczajeniu do bycia łakomym kąskiem dla tanich i pięknych kobiet, śniących o najciemniejszych zakątkach krainy pikantnego seksu. Pochylił się nad barem.

- Coś jeszcze mogę dla was zrobić'?

- Musimy pogadać - powiedziała Bernice.

- Później - powiedziała Ramona.

Barman wyczuł, że może sobie pozwolić na więcej.

- Jasne - powiedział i odsunął się.

- Uszkodźmy hamulce w mercurym - powiedziała Bernice.

- Nie wiem jak. Ty wiesz?

- Nie. Ale może wleziemy pod gablotę i odłączymy wszystko, co tam jest? Zapewne jedną z tych rzeczy będą hamulce.

- Cholera, Bernice. Pewnie tak to zrobimy, że samochód wcale nie ruszy. Jak chcesz go zabić w ten sposób?

- Taa. Masz rację. To zbyt ryzykowne.

- Nadal podoba mi się pomysł z naleśnikami. A tobie?

- Naleśniki są w porządku - zgodziła się Bernice.

Skinęła głową ze zrozumieniem, uderzając paznokciami o kontuar baru. Pomalowała je na kasztanowo, ponieważ jej sukienka miała kolor burgunda, a jej buty były wiśniowe. W gastrycznym wystroju baru wyglądała jak w domu.

- Masz jeszcze LSD? - zapytała.

- Schowane, czeka, żeby wylądować w cieście. Problemem jest to, że on twierdzi, że jada śniadania w fabryce, więc chce tylko kawę. Chociaż, może w sobotę.

- Mona, w sobotę muszę jechać do bratowej na obiad! Mówiłam ci. Słuchaj, przelećmy wszystko jeszcze raz i wybierzmy coś. Chcę już to mieć za sobą. Natychmiast.

Ramona pokiwała głową. Czekanie na sobotę było niewygodne również dla niej. Chciałaby zabrać barmana do domu i potraktować jak należy. Z Howardem pozostającym ciągle przy życiu prawdopodobnie zaliczy tylko szybki numer przy pisuarze w męskiej toalecie. Strata czasu.

Złapała jego spojrzenie. Powoli, mokro oblizała językiem usta. Barman uśmiechnął się i mrugnął.

Tancerka topless zerknęła na swoje piersi i porównała je z biustem Ramony. Słabo wypadły. Zdecydowała nosić się bardziej wyzywająco.

- Dobra - powiedziała Ramona. - W Budweiserze i zupie fasolowej nie da rady. Nadal uważam, że mogłybyśmy podłożyć naboje do gaźnika. Eksplodowałyby i rozwaliły mu łeb. Powiedziałybyśmy, że to dzieciaki.

- Musiałybyśmy znaleźć gaźnik.

- Taa. Teraz najlepszym wyjściem byłoby znalezienie igły i wstrzyknięcie mu bańki powietrza. Ale trzeba by było się pozbyć tego cholerstwa.

- Wybacz, Mona. To był tak dobry pomysł, że aż się zdenerwowałam.

- W porządku, Bernice. Ale teraz musimy to wykluczyć. Nadal uważam, że trudno byłoby upozorować ukłucie na wypadek.

- Naboje w gaźniku są ryzykowne.

- Może. Ale szczerze mówiąc, manipulowanie roztworami ku-rewsko mnie niepokoi.

- Mnie też.

- Więc biorąc pod uwagę czas, stawiam na śmierć piwną. Barman pochylił się nad kontuarem.

- Dlaczego po prostu nie zatłuczecie sukinsyna na śmierć pałką? - zapytał.

- Chryste - powiedziała Ramona. - Widać jak ty wiele o tym wiesz. Zdajesz sobie sprawę, że facet, o którym mówimy, jest tak duży jak ty? Myślisz, że mogłabym zatłuc ciebie na śmierć?

Barman wzruszył ramionami.

- Działacie razem. On chyba czasami sypia, nie?

- Tak, mądrało, on sypia.

- Więc dorwiecie go pewnej nocy, kiedy za dużo wypije, zabijecie, a potem zrzucicie gdzieś ze skały i będzie to wyglądało jakby się schlał i wybrał na spacer tam, gdzie nie powinien był łązić. Co to za problem?

Bernice miała tego dość. To w końcu nie na jej cycki patrzył.

- Hej - fuknęła. - Pytał cię ktoś? Chcesz się zatrudnić przy tej robocie, czy co?

- Nie, do cholery.

- Więc nalej mi i mojej przyjaciółce, a jeśli będziemy chciały twojej rady, zapytamy o nią. Dobra?

- Spokojnie, Bernice - powiedziała Ramona. - Ten miły pan właśnie miał nam postawić kolejkę. Nieprawdaż?

Uśmiechnęła się. Zdecydował, że nie przeszkadza mu brzoskwiniowa szminka, rozmazana na jej przednich zębach.

- No, jasne - odrzekł. - Skoro o tym wspomniałaś.

- Jesteś kochany.

Spojrzała na Bernice. Było jasne, że podwójne drinki dają się jej we znaki. Opadła na stołek barowy. Pieprzyk na karku nie po jawił się już od ponad dwudziestu minut. Jej górna warga chowała się raczej pod dolną, a potem odwrotnie, jak para robaków, siłujących się na jej bladej, zaróżowionej twarzy.

- Lepiej trochę zwolnij - powiedziała Ramona. Nienawidziła widzieć przyjaciółki w takim stanie. Na pewno

nie wpływało to dobrze na jej figurę. Ramona mogła pić całą noc i nie przybrać na wadze ani grama. Była z tego dumna. Dumna ze swojej figury, ładnych nóg i ciemnych, grubych włosów. Mama nazywała to „atrybutami” - znaczyło to, że pomogą jej znaleźć faceta. Jednego już miała. A teraz kurdupłowata ćma barowa pomoże jej się go pozbyć. Jeśli uda się jej wystarczająco wytrzeźwieć.

- Zwolnię - zapewniła Bernice. Zaczynała już bełkotać. - Ty też zwolnisz. No. Więc zachłamy go na śmierć piwem, czy co?

- Co? A, jasne - powiedziała Ramona. Spojrzała na barmana. Sama też już zaczynała być wstawiona.

Ponad nimi tancerka zmarszczyła brwi i zerknęła na swojego Timexa.

- Za piętnaście trzecia - oznajmiła. - Czas na przerwę. Zaczęła schodzić z baru. Srebrne buty na obcasie sprawiły, że

zrobiła to niezręcznie. Poszukała wzrokiem barmana, oczekując pomocy. Ale barman adorował dziewczyny, szczerząc kły do Ramony, jak wilk.

- Pieprzyć to - mruknęła. Ostrożnie zeszła. Jakby wchodziła do mórz Arktyki.

Po drodze do toalety poślizgnęła się i zatrzymała za nimi. Gruba chyba drzemała, a ta druga gapiała się na barmana przez na wpół przymknięte powieki, mamrocząc coś pieszczotliwie.

Tancerka pochyliła się nad Ramoną i cichutko wyszeptała jej do zgrabnego, małego ucha:

- Kochanie, czemu po prostu nie wskoczysz na bar i nie zaszalejesz - powiedziała. - Może wtedy nie będziesz musiała zabijać tego drugiego faceta, wiesz? Tylko zostaw trochę dla mnie.

- Niezły pomysł - przyznała Ramona. Bernice gwałtownie się wyprostowała.

- Muszę się odlać - poinformowała. - Gdzie kibel?

Ale Ramony już nie było, a jeśli barman ją słyszał, to nie raczył odpowiedzieć. Odpowiadał za to Ramonie, która opuściła jego spodnie i bokserki do kostek i ssała swój łakomy kasek.

- Gdzie jezd pieprzona toaleta? - spytała Bernice.

Zeszła ze stołka, przewróciła się i upadła. Zaraz znów się podniosła. W otumanieniu i dezorientacji zrobiła jedyną rzecz, jaka jej została.

Użyła podłogi.

Zabójstwo Budweiserem nie doszło do skutku.

Bernice i Ramona dodały po dziesięć kropeł środka nasennego do kufła. Ramona mu go przyniosła. Howard wypił, oglądając tej nocy *Największe erekcje Hollywood*. Ale roztwór leku osiadł bezużytecznie na dnie kufła, gęstym, białym osadem.

W sobotę Ramona próbowała nakarmić go naleśnikami z LSD. Ale Howard nie był głodny i powiedział, że jej naleśniki i tak smakowały jak burgery.

W niedzielę włożyła tuzin naboju do gaźnika mercurego. Kiedy Howard próbował zapalić silnik, chcąc jechać po piwo do 7-Eleven, samochód dostał czkawki i zdechł.

W poniedziałek były wściekłe.

- Nie ma możliwości, żeby zabić tego sukinsyna - powiedziała Ramona. - Myślę, że kobieta po prostu nie może zabić mężczyzny. Mówienie inaczej jest brudnym kłamstwem.

- Pomyślmy - zasugerowała Bernice.

Pomyślały.

- Jest jeszcze ług* - powiedziała Ramona.

- Co ci po ługu, skoro on nie chce jeść twoich potraw? Ramona westchnęła.

- Chyba nigdy za nimi nie przepadał.

- Wiesz o czym myślę, Mona? Zaczynam myśleć, że ten barman...

- Stanley.

- .. że Stanley miał rację. Weźmy coś ciężkiego i grzotnijmy sukinsyna.

Ramona znowu westchnęła. Teraz to było bardziej jak charknięcie. Papierosy, drinki i niezliczone, bezsenne noce chichotały jej w płucach.

- Więc mamy znaleźć coś, by go walnąć, tak?

- Coś, czego można się pozbyć. Nie będziesz mogła tego potem zostawić.

- To wyklucza łyżkę do opon. I kije golfowe. Niech mnie diabli, jeśli będę kupowała nowe kije golfowe.

- Czy on ma kij baseballowy?

- Taa.

- Lubisz baseball?

- Nie, do cholery.

- Więc niech będzie kij baseballowy. Potem będziemy musiały znaleźć odpowiedni klif, żeby go zrzucić.

Ramona pomyślała przez chwilę.

- Dobra. Kto uderza?

- Ty i ja. Rzucimy monetą, żeby ustalić, która pierwsza. Ramona pomyślała, że to uczciwe.

- Chcesz to zrobić dziś w nocy? Bernice zawahała się.

- No dalej, Bernice. Jutro mam randkę ze Stanleyem. Wtedy już będzie dawno po wszystkim. Zróbmy to. Co ty na to?

" Wodny roztwór zasad (przy. tłum.).

Bernice zastanowiła się, potem zachichotała.

- Jezu. Jak myślisz, kiedy wypłacą odszkodowanie, Mona?

- Rzućmy monetą - zaproponowała Ramona. Wyciągnęły ćwierćdolarówkę. Bernice wygrała. *Orzeł.*

W sypialni na piętrze ciepła, mokra ciemność San Diego przylgnęła do pokoju jak spocone skarpety do brudnych stóp. Na łóżku, pod zupełnie niepotrzebną - a teraz wręcz ironiczną - kołdrą spał Howard. Jego wysokie, bulwiaste czoło unosiło się razem ze snami.

W jego snach, napędzanych burbonem Kentucky, był już ranek. Howard był w łazience, dobierając się do nowej butelki Listerine.

Nakrętka nie chciała się poddać. Howard odwrócił butelkę do góry nogami i stuknął nią dwa razy o zieloną, porcelanową umywalkę. Podziałało. Odrzucił głowę do tyłu i spróbował trochę.

Smakowało jak Old Grandad.

Przeplukał, połknął i pociągnął ponownie. Zachwycony, dokończył butelkę. Zajrzał do szafki i pod umywalkę w poszukiwaniu kolejnej. Nadal miał nieświeży oddech.

Odkręcił nakrętkę butelki szamponu i spróbował.

Osiemdziesiąt procent.

Zdumiony i uśmiechnięty, opróżnił ją. Potem butelkę odżywki do włosów. I butelkę wody po goleniu. Dezodorant w kulce Ramony.

Co za poranek.

Ramona i Bernice weszły po schodach boso, na paluszkach i otworzyły drzwi do sypialni. Snop światła i prąd gęstego, ciepłego powietrza wyprzedził je w drzwiach. Bernice niosła Louisville Sluggera Howarda w prawej ręce, rozmazując na jego końcówce tłuste plamy kobiecego potu.

Poczekwały, aż ich oczy przyzwyczają się do ciemności i będą mogły zobaczyć zieloną i srebrną tapetę.

- Nie jestem przekonana - wyszeptała Bernice.

- Lepiej, żebyś była - powiedziała Ramona.

- Nie czuję się z tym dobrze, Mona. Zobacz jak on spokojnie wygląda, gdy tak leży tak. Och! Wygląda jak dziecko.

Howard rzeczywiście wyglądał jak dziecko. Iluzja była wzmocniona przez poduszkę, którą trzymał w dłoniach, a której róg wchodził mu prawie do ust - w mroku jego snu nadtlenek wodoru, który tak naprawdę był whisky, żłopany był we wczesnorannym łakomstwie.

- Taa, jest uroczy - przyznała Ramona. - Walnij skurwiela od razu albo przyrzekam, że jeszcze o tym usłyszysz.

Niezupełnie wiedziała, co miała na myśli. Ale Bernice chyba wiedziała. Nagle porozumiały się i zguba Howarda była przypięczutowana.

- Przepraszam, How - powiedziała Bernice. Zrobiła krok w stronę łóżka i uniosła Sluggera.

- Ja też - wyszeptała Ramona. Ale tylko w połowie było jej przykro.

Kij opadł łukiem. Bernice miała dobrego cęla. *Drewno na drewnie*. To drugie, było już nieco mokre.

Howard usłyszał tylko pojedynczy plask. Zobaczył tylko krew, napływającą mu do mózgu we śnie. Poczował tylko napad morderczego kaca. Tak myślał.

Dziewczyny zeszły na dół zakrwawione i podniecone.

- Zrobiłyśmy to - powiedziała Bernice.

- No jasne - odparła Ramona. - Spójrz na moje spodnie. Są przemoczone.

Nie mówiła tylko o krwi, chociaż było jej dużo.

Cieężko było jej przypomnieć sobie, co się tam stało.

Uderzyły go dwadzieścia cztery razy, raz za razem. Pod koniec za bardzo się rozkręciły, uderzając go po dwa albo trzy razy, zanim przekazały sobie kij. Próbowwały zamachy.

Jego czaszka pękła w szesnastu miejscach, obojczyk i tchawica były roztrzaskane. Złamały mu ramię, kręę i biodro. Uderzenie w biodro wykonała Bernice. Wypróbowywała swój chwyt golfowy, trochę dokazując.

Krew i kawałki mózgu rozbryzgiwały się na ścianach i oknach przy każdym skutecznym uderzeniu w głowę - zaraz po jednym z nich Ramona miała mały wypadek. Nie powiedziała nic Bernice. Oparła się o drzwi i czekała, aż znikną rumieńce.

Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś będzie potrzebowała seksu.

Całe pomieszczenie było w nieładzie. Howard nie żył i należało już przestać. Ramona to zakończyła.

Wyjęła trochę waty z apteczki pierwszej pomocy i wepchnęła mu do uszu, nosa i ust, żeby zatrzymać krwawienie. Owinęła jego głowę w turban zrobiony z różowego ręcznika i czekała, by zobaczyć, czy mózg zacznie przez niego przesiąkać. Przesiąkał.

Wyjęła kolejny ręcznik z szafy na bieliznę i owinęła go wokół tego pierwszego.

W tym czasie Bernice ubrała go w jego ulubioną czarno-czer-woną kurtkę na polowanie, stare, niebieskie džinsy, czerwoną koszulę i zielone skarpetki. Kowbojskie buty stanowiły jednak problem. Ramona musiała jej pomóc.

Związały mu nadgarstki na jego wypchanym od piwa brzuchu za pomocą taśmy, tak by ręce nie mogły się majtać. Skrępowały też kostki, by łatwiej było go złapać, kiedy już zaczną dźwigać. Ramona obwiązała ręczniki gazą i taśmą. Dookoła. Howard wyglądał jak mumia wystrojona na otwarcie sezonu polowań na króliki.

Na dole dopiły kawę, odetchnęły głęboko i wróciły po ciało. Pchały i ciągnęły. Wreszcie Howard leżał na wznak na ganku z tyłu domu, a ślad krwi i kawałeczków mózgu prowadził z powrotem na górę po schodach, aż do sypialni, jakby czegoś zapomniał.

- Przyrowadź samochód - powiedziała Ramona - a ja trochę posprzątam.

- Masz wystarczająco dużo papierowych ręczników?

- Tak myślę. Chociaż może pożyczę trochę od ciebie.

- W porządku.

Do czasu kiedy Bernice wróciła, muchy rozbzyczały się na dobre. Ramona była na schodach z rolką papierowych ręczników i apteczką pierwszej pomocy. Bernice przepędzała muchy jak mogła.

To był błąd. W ciepłej niczym prąd morski turbulencji jej machających rąk dwie z nich popędziły w stronę Ramony, klęczącej nad plamami i rozmazami na jej białawych schodach, a potem minęły ją -jakiś prymitywny instynkt naprowadzał je bodźcem na tę cukiernię, jaką była dla nich sypialnia pełna świeżego mięsa, wybzykując swój zachwyty w noc San Diego.

W niecałą godzinę pokój wypełnił się komarami, muszkami i bąkami, imprezującymi na szczątkach Howarda.

Kiedy Bernice przejechała czterdzieści kilometrów za miasto, zdjęła taśmę i turban z głowy Howarda, zrzuciła go z klifu w miejscu, z którego upadek poważnie zwiększył obrażenia na jego ciele i wróciła, Ramona walczyła z krwią oraz insektami.

Kiedy Bernice wyczyściła samochód i ganek, Ramona w dalszym ciągu sprzątała.

W końcu Bernice wyciągnęła spray na robaki i kolejną rolkę papierowych ręczników.

Pomogło.

Do wschodu słońca, sześć godzin później, krew na parapetach i jasnosrebrnej tapecie zmieniła kolor na jasny, koralowo-różowy, a one przestały. Wyniosły śmieci. Ramona naląła drinki.

Piły do 8:30.

- Myślisz, że można już bezpiecznie zadzwonić? - zapytała Bernice.

- Myślę, że tak. To tylko zgłoszenie zaginięcia. Od razu nie zaczną go szukać. Później możemy kupić trochę farby. Trochę odświeżymy sypialnię.

- Czy to nie będzie wyglądać podejrzanie, Mona?

- Nie. Kupimy taką na bazie wody. Szybciej schnie. Dzwon. A potem ja zadzwonię i odwołam randkę ze Stanleyem. Jestem wykończona.

Ramona popijała szkocką. Bernice wykręciła numer, podała jej słuchawkę i usiadła przy swoim ginie. Spróbowała. Gapiała się na niego.

Wyglądała na zakłopotaną. Telefon dzwonił.

- Mona? - mruknęła Bernice.

- Ciii. Czeka. Mam połączenie.

Dopiła drinka, podczas gdy Mona rozmawiała z sierżantem. Wstała i napełniła ponownie szklankę swoją oraz Ramony. Słuchała. Pomijając to, co ją trapiło, wszystko wydawało się iść gładko.

Ramona powiedziała, że jej męża nie było całą noc. To do niego niepodobne. Martwiła się, powiedziała, że boi się, że coś mogło mu się stać. Nie, nie dzwoniła jeszcze po szpitalach. Założyła, że najpierw dzwoni się na policję.

Jasne, poczeka chwileczkę.

- To proste - jęknęła do Bernice. - Gliniarz jest miły. Naprawdę uprzejmy.

- Mona? - powiedziała Bernice. - Tak sobie myślę...

- Czeka.

Gliniarz ponownie się zgłosił.

Ramona podała mu dane swoje i Howarda, adres oraz numer telefonu. Słyszała w tle, jak pisze coś na maszynie. Wolno. Prawdopodobnie dwoma palcami.

Gliniarz chciał wiedzieć, co Howard miał na sobie.

Postarała się zabrzmieć niezdecydowanie. Czerwona koszula, dzinsy, kurtka na polowanie, buty albo może adidasy. Zapytał o ogólny opis. Podała mu go.

Znów kazał jej czekać.

- Mona, muszę cię o coś zapytać - powiedziała Bernice. -Co?

Ramona była na nią zła. To pewnie przez brak snu. Sprawił, że stała się kurewsko nieznośna. Bernice wyglądała na poruszoną.

- Mona, chyba pamiętam, że wkładałaś mu do ust i uszu trochę waty. Prawda?

- Jasne. Krwawił jak zarzynana świnia. Czy ty nie... ?

- Nie widziałam tego! To znaczy, nie chciałam na niego patrzeć, wiesz? Na jego twarz... To znaczy, widziałam jak to wkładasz, ale potem zapomniałam, ściągnęłam z niego taśmę i ręczniki, ale...

- Jezu Chryste, Bernice! Przecież to miało wyglądać na pierdolony wypadek!

- O Boże! Boże! Ramona myślała. Szybko.

- W porządku. W porządku. Znajdziemy go. Dotrzemy do niego przed glinami i wyjmujemy z niego... halo?

- Pani mówi do mnie? - zapytał policjant.

- Ja... eee, nie. Jestem tu z przyjaciółką. Jestem trochę w szoku, wie pan?

- Jasne - jego głos brzmiał pocieszająco. - Dobrze, że nie jest pani sama. Po prostu myślałem, że pani mówiła do mnie. To bez znaczenia. Jak tylko skończymy rozmawiać, odsłucham taśmę i sprawdzę, czy czegoś nie pominąłem.

- Taśmę?

- Taa, nagrywamy teraz wszystkie zgłoszenia. Regulamin. Archiwa i tak dalej. To dobra rzecz, naprawdę. Co, jeśli by się pani coś stało, kiedy trzymam panią na linii? Nic dobrego. A tak to będziemy wiedzieli.

Powiedział, że nie powinna się martwić o Howarda. Zazwyczaj jadą na przejażdżkę, wypiją trochę, a potem wracają. Ramona mu podziękowała. Był naprawdę bardzo miły.

Odłożyła słuchawkę. Spojrzała na Bernice, załzawioną i pociągającą nosem. Czerwień oczu Bernice rozpaliała bladość skóry wokół nich, przeciekając na nos i policzki. Jej przyjaciółka wyglądała jak jeden z tych smutnych, odpychających starców, którzy

wcielają się w Świętego Mikołaja w centrach handlowych w okresie bożonarodzeniowym.

Jej własna twarz wyrażała spokój.

Szkoda, pomyślała, że nadal musi na niej polegać.

Może da się to jakoś obejść.

- Pamiętaj - powiedziała. - Skurwieli mnie bił.

CELA

Tylko jeden z nich wyglądał lub zachowywał się jak wariat. Tylko jeden z nich wyglądał niebezpiecznie. Dwóch z sześciu, pomyślał. Mogło być gorzej.

Drzwi zatrzasnęły się za nim ze szczękiem.

- Cela - wymamrotał wariat, kołysząc z boku na bok głową, z którą kołysały się też jego długie, zmierzwiłone włosy. Po tym poznał, że facet jest szalony - mówił „cela” w taki sposób i kołysał się w tył i w przód.

- Jesteś w niej teraz. To też wiedział.

Ściany celi były żużlowe, pomalowane na białe. Przedtem były czerwone. Poprzednia farba przebijała spod spodu niczym żyły w nabiegłym krwią oku.

- Jesteś w niej teraz.

Przeszedł obok nich i usiadł na drewnianej ławce z tyłu, jednej z zaledwie czterech dla nich siedmiu. Czuł na sobie ich spojrzenia. Patrzyli na jego jedwabną koszulę i buty w dwóch odcieniach od Paula Stuarta. Jak to się stało, że nie zabrali sznurówek, pomyślał. Razem z paskiem, krawatem i blezerem.

Przecież można się powiesić na parze sznurówek, prawda?

Nie, żeby miał się powiesić za jazdę pod wpływem. Nawet, jeśli to był jego pierwszy raz. No ale uznał to za dziwnie zaniedbanie.

Ktoś inny mógłby cię powiesić.

Pozostali nosili dżinsy i buty do biegania w różnych stadiach zużycia. T-shirty. Czarny dzieciak w nierównomiernie pofarbowanym podkoszulku na ramiączkach. Nawet niski chudzielec w okularach - dżinsy, T-shirt i buty do biegania. Wariacja wzorów. Czego oczekiwał? Wyobraźni? Wszyscy, oprócz wysokiego faceta o piaskowych włosach siedzącego z przodu, naprzeciw ogromnego, śpiącego, grubego dzieciaka. Facet o piaskowych włosach nosił pomarańczowy, więzienny strój i czerwoną bransoletkę identyfikacyjną na nadgarstku. Wyglądał jak posługacz w szpitalu, tylko groźniej.

Chociaż miał Reeboki.

Był świadomy różnic klasowych.

Cela pachniała sosnowym środkiem dezynfekującym, ludzkim kałem i uryną. Toaleta z metalową ramą, stojąca na środku pokoju, z dala od ławek, była jedynym meblem. Najwyraźniej ktoś jej niedawno używał. Miał nadzieję, że on nie poczuje potrzeby.

Oparł się o ścianę, zamknął oczy i próbował zasnąć. Ściany były zawilgocone, prawie lepkie. Wiedział, że sen będzie teraz dla niego najlepszą rzeczą. Sen pomoże mu przetrwać. To będzie długa noc.

Oficer, który go aresztował, J. Johansson z SPD, numer odznaki 42789, wyjaśnił mu, że zgodnie z Prawem Stanowym Florydy, musi przejść przynajmniej ośmiogodzinne trzeźwienie, zanim będzie można wpłacić kaucję.

Wydawało mu się, że teraz jest trzecia nad ranem. Ale to tylko w przybliżeniu. Zabrali mu zegarek, a on nigdzie tu nie widział innych zegarów. Jego wyczucie czasu było wątpliwe. Prawdopodobnie tak to zaplanowali. Ale, zakładając, że jest trzecia, będzie mógł wyjść stąd nie wcześniej niż o jedenastej, nawet jeśli z Ann było wszystko w porządku, znalazła drogę powrotną do domu i załatwiła kaucję.

A to nie było do końca pewne.

Po pierwsze, była nowa w mieście. Nowa praca w nowym stanie. Nie znała jeszcze nawet wszystkich ulic. A układ miasta nie pomagał. Z tego, co widział, był to pieprzony labirynt - stare, wyboiste drogi przecinające nowe odcinki autostrady, połowa z nich jednokierunkowa, druga połowa nieoznaczona. Po lewej bagna, po prawej bagna.

Mógł się założyć, że te drogi *zjadły* przyjezdnych.

Zastanawiał się, gdzie ona teraz jest. Albo czy w ogóle wie, gdzie jest.

To nie była jej wina. Nie mógł jej winić za to, że zgubiła drogę, a potem kazała mu skręcić, kiedy było już za późno na skręt, dlatego musiał dać po hamulcach i zjechać z lewego pasa na prawy, przez co zwrócił uwagę samochodu policyjnego. Była nowa. Była tylko gościem. To był przypadek ślepeca, prowadzącego ślepeca, oboje pijani - umiarkowanie i tylko winem - pili od 16:30 do około drugiej rano, w jej biurze na przyjęciu świątecznym.

Wydmuchał mocne 0,165 promila na alkomacie.

Obstawiał, że umiarkowanie czy nie, siedem albo osiem godzin picia to dużo.

Jezu. Mam nadzieję, że ci się udało, Annie...

W grę wchodził jeszcze fakt, że dała ostro popalić gliniarzom. Nie było trudno wyobrazić ją sobie w więzieniu - w sekcji dla kobiet. Przypomniał sobie, jak wychylała się do połowy przez okno kierowcy, wyglądając, jakby miała przez nie wyjść i uderzyć kogoś, kiedy kazali mu wyrecytować alfabet, zamknąć oczy i dotknąć nosa, przejść po linii stopa za stopą, przeszukali, zakuli i wepchnęli do radiowozu. Pamiętał, jak wykrzykiwała, co oni do cholery z nim robią? Szalał za nią, z powodu jej bezlitosnego, irlandzkiego charakteru, a także bał się o nią, kiedy Johansson kazał jej *wrócić do wozu! Natychmiast! Już!* z ręką na broni i rozkazującym na całe gardło głosem, bez wątpienia w pełni świadomy, że nie byłby pierwszym ani ostatnim gliniarzem, rozwalonym przez jakąś wzburzoną panią przy okazji aresztowania jej męża.

Martwił się o nią. Była wściekła. Była tak odurzona jak on. I jeszcze parę minut temu nie było jej w domu.

Na posterunku spisali go, pobrali odciski palców, zrobili zdjęcia, zabrali papierosy i kosztowności, przeszukali drugi raz, przeczytali prawa, kazali wypełnić sześć czy siedem formularzy, których nie przeczytał, bo był zbyt podniecony i zdezorientowany, przesłuchali i pozwolili na jeden telefon.

Zostawił wiadomość na sekretarce: „Pomóż” - prawdopodobnie brzmiące o wiele radośniej niż on się czuł, ponieważ do tego czasu zawładnął nim potężny ból głowy i było mu zimno bez jego swetra. Trząsał się z nerwów i od chłodnej wilgoci posterunku, do tego został właśnie spisany za popełnienie przestępstwa, pierwszy raz w swoim czterdziestopięcioletnim życiu.

Nie czuł się winny. W jakiś sposób wykombinował, jak nie czuć obecnie winy prawie za nic.

Powiedzieli mu, że będzie mógł zadzwonić do niej później.

Cudownie.

Pomyślał, że przynajmniej ma na co czekać.

Rozejrzał się po celi. Nie podobał mu się wygląd wariata, który, niestety, dzielił z nim ławkę. Leżał na niej rozwalony na plecach, zostawiając mu zaledwie wąskie miejsce przy ścianie, gapiąc się w sufit szeroko otwartymi, przeszklonymi oczyma, ze źrenicami miotającymi się jak muchy uwięzione pod mętym szkłem. Nie podobał mu się sposób, w jaki jego usta poruszały się bezgłośnie.

- Za co kiblujesz?

To był facet siedzący naprzeciw niego.

Był w średnim wieku, może pięćdziesiąt pięć lat, i wyglądał na nieszkodliwego. Jego dzinsy i buty Nike'a były nowe i czyste i wydawało się, że nie potrzebuje rzucać piorunujących spojrzeń i mamrotać.

- Jazda pod wpływem.

Facet pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Ja też - powiedział. - Ale wiesz, co jest w tym, kurwa, naj-

gorsze? To moja cholerna żona mnie wydała. Dasz wiarę? Pojechałem po sześciopak, a ona zadzwoniła po gliny i powiedziała im, że jestem zalany jak świnia i jadę bez prawa jazdy. Powiedziała im, dokąd jadę. Możesz uwierzyć w to gównu?

Przykuł uwagę każdego w celi, nie licząc grubego dzieciaka pogrążonego w pijackim śnie. Nawet wariat odwrócił się w jego kierunku. Wszyscy się uśmiechali. Byli rozbawieni.

Facet nie czuł się rozbawiony.

- Jak tylko stąd wyjdę, odetnę jej cycki!

- Pierwszy raz? - spytał facet o piaskowych włosach, który nosił pomarańczowy, więzienny strój. Wstał i podszedł do nich, śmiejąc się. Potem przycupnął, pogrzebał w bucie i wyjął papierosa z jednej strony, a pudełko zapalek z drugiej.

Zerknął w stronę wąskiego okienka celi, osłonił papierosa i przypalił. -Nie.

- Zdaje się, że powinienes być odciąć je ostatnim razem.

- Masz rację. Powinienem. Jezu! To mnie kiedyś wykończy! A ty za co kiblujesz?

Zaciągnął się i podał papierosa facetowi. Mówił z głębokim, południowym akcentem.

- Pomiąłem kaucję przy drugiej kradzieży z bronią w ręku. Zdaje się, że trochę tu pobędę. Pieprzyć to.

Palili w ciszy, podając sobie papierosa jak dzieciaki w szatni w liceum.

Wariat wstał, podszedł do nich i wyciągnął rękę. Była czarna od brudu.

- Mogę?

- Pieprzyć to.

Skazaniec w pomarańczowym stroju wręczył mu niedopałek.

- Wykończ cholerstwo.

Wariat zaciągnął się głęboko dwa razy. Potem papieros zniknął w jego zaciśniętej pięści. Znów się położył. Podniósł pięść do ust. Zaczął żuć.

Pomyślał, że oni wszyscy są szaleni.

Dotarło do niego, już nie pierwszy raz, że mógł być teraz w łóżku z Ann. Z każdym miłym, gładkim, pachnącym kawałkiem jej-

Po prostu *śpij*, pomyślał. *Prześpij się. Potem spróbuj znów zadzwonić. W międzyczasie, postaraj się przetrwać noc. Spij. Zgub się. Wydostań się stąd do cholery...*

I jakimś cudem spał.

Może to wpływ alkoholu, może późnej godziny, może nerwów, które go wykańczały albo wszystkiego naraz, ale spał, z głową przyciśniętą do lepkiej, żuźlowej ściany.

Spał niespokojnie. Często się budził.

Słyszał urywki rozmów.

- Jezu! Która godzina? Można pomyśleć, że dadzą ci przynajmniej *ławę przysięgłych!*

- ..nakaz sądowy za pobicie jej.

- ...recydywa. Zobaczymy. Minimum pięćset dolarów i dziewięćdziesiąt dni. Chociaż nie jestem pewien...

- Próbowałeś tego? Co to, do cholery, jest?

- Masło orzechowe.

- Masło orzechowe? Chuj, a nie masło orzechowe!

Od czasu do czasu drzwi się uchylały i strażnik wzywał któregoś z nich na zewnątrz. Przez moment ich nie było, a potem wracali, trzymając pojedynczy arkusz papieru. Nawet nie był ciekaw, co jest na nim napisane. Założył, że w końcu on też się dowie.

Zamiast tego, całkowicie ogarnęła go nieodparta potrzeba ucieczki z tego cholerstwa. Jediną drogą ucieczki był sen. Wariat chrapał. Tak samo dzieciak z wielkim brzuchem. Zazdrościł im głębokiego snu.

W końcu usłyszał swoje imię.

Wstał i zobaczył, że wszyscy spali, ale na dźwięk jego imienia i przesuwanych, metalowych drzwi nagle się obudzili.

Ponury czarny dzieciak w nierównomiernie pofarbowanym podkoszulku na ramiączkach zniknął. Nawet nie przyszło mu do głowy, by zastanawiać się gdzie i dlaczego.

Tutejsza codzienność i zasady tu panujące były mu nieznane.

W korytarzu strażnik wręczył mu dwa komputerowe wydruki i kazał podpisać górną kopię. Druga była dla niego. **OBWIESZ CZENIE O POSTAWIENIU W STAN OSKARŻENIA** - głosił napis na papierze. Zapisali oskarżenie, datę, numer sprawy i kwotę jego zobowiązania. To właśnie ona go najbardziej interesowała - 369 dolarów. Poczował ulgę. Nie będzie problemu. Ann będzie miała tyle od ręki.

Jeśli się z nią skontaktuje.

- Czy mogę znów wykonać telefon? - zapytał.

- Jaki telefon?

- Przedtem nie mogłem się połączyć. Powiedzieli mi, że będę mógł spróbować później.

Strażnik popatrzył na niego bez wyrazu i skinął głową. Przekręcił kluczyk i otworzył drzwi celi.

- Dam ci znać.

Drzwi zatrzasnęły się. Wszedł z powrotem do środka. W celi było cicho. Rozwalili się na ławkach. Brzuch grubego dzieciaka wyglądał jakby topił się pod brudnym, białym T-shirtem. Wariat nadal chrapał. Mimo brakującego czarnego dzieciaka, wcale nie było teraz dla niego więcej miejsca niż przedtem.

Zdecydował się na podłogę. Przynajmniej będzie mógł się położyć.

Zwinął się w pozycji płodowej, z jednym ramieniem wsuniętym pod głowę jako poduszkę. Po kilku chwilach znowu spał. Był w dziwnym półśnie, w którym po części zdawał sobie sprawę z tego, co go otacza, a nawet z własnych myśli, z pracy jego umysłu, a po części nie.

Pomyślał, że jeszcze nigdy w swoim życiu nie spał w ten sposób.

To było tak, jakby pozwolił sobie na nieistnienie. Jakby miał nadzieję zniknąć z powierzchni ziemi.

Jesteś bardzo przygnębiony, pomyślał.

Nie trzeba doktoratu z psychologii, by wyobrazić sobie co to było. To była totalna nicość, totalne zanurzenie się w nicość -jakaś jego przebudzona część rejestrowała to, mimo że drzemał. Wewnątrz czuł się cienki jak kartka papieru, nieważki, jakby miał się unieść i rozproszyć. Dla kontrastu, głowa była ciężka i pogrążona w głębokim śnie, jak gdyby był naćpany. Nie widział w tym żadnej sprzeczności. W tym miejscu wydawało się to jak najbardziej właściwe. Jedyne sensowny stan.

Następne, co sobie uświadomił, to że ktoś jęczy.

Odciał się od tego.

Wykrzyczał to.

Lepka, betonowa podłoga zdawała się być bardziej miękka, pozwalając mu zatopić się głębiej. Wślizgnął się w tę pustą przestrzeń i odciał się. Odciał się od wszystkiego.

Potem znów usłyszał przesuwane drzwi i swoje imię.

Przedtem drzwi musiały się otworzyć przynajmniej raz - teraz nie było też niskiego faceta w okularach, jego ławka wyglądała na dziwnie smutną i opuszczoną. Nic nie słyszał, ale to go nie zdziwiło. Prawdopodobnie to właśnie dźwięk jego imienia, a nie drzwi, go obudził. Kac szalał. Wino, pomyślał. Powinien był wiedzieć lepiej. Waliło mu w głowie. Drżał.

Wywłókł się na zewnątrz.

Może to był inny funkcjonariusz, a może nie. W jego stanie wszyscy wyglądali tak samo.

- Tędy - powiedział.

Skręcili za róg. Wybrał numer na aparacie telefonicznym, zawieszonym na szarej, betonowej ścianie. Odebrała natychmiast. -Ann?

- Mój Boże, Richard! Nic ci nie jest?

- Zamarzam. Jestem wykończony, głowa mi pęka. Ale poza tym nic mi nie jest.

- Słuchaj. Odchodzę tu od zmysłów. Nic nie chcą mi powie-

dzieć. Dzwoniłam i dzwoniłam... mówią tylko, że nie ma cię jeszcze w komputerze. Zupełnie, jakby cię tam wcale nie było, Richard!

Uśmiechnął się.

- Jestem tu. Uwierz.

- Ustalili już twoją kaucję?

- Tak. Trzysta sześćdziesiąt dziewięć dolarów. Dasz radę?

- Jasne, że dam radę. Zaraz jadę do banku.

- Nie spiesz się. Przez jakiś czas stąd nie wyjdę. Johansson mówił, że trzymają cię tu minimum osiem godzin od czasu aresztowania albo zanotowania. Nie jestem pewien. Która godzina?

- Dochodzi siódma.

- Jezu. Jeszcze cztery godziny.

- Boże, Richard. Tak mi przykro!

- To nie twoja wina. Pech, to wszystko.

- Gdybym nie kazała ci skręcać...

- Wiem. I gdybym nie miał radiowozu na ogonie. I gdybyśmy nie pili całą noc. I gdybym tam nie poszedł. Zapomnij. Doprowadzisz się do szaleństwa.

- Żałujesz?

- Czego?

- Że przyjechałeś.

- Nie, żałuję bycia aresztowanym.

- Przysięgasz?

- Przysięgam.

Prawie słyszał, jak o tym rozmyśla. Prawda była taka, że - jeśli chodzi o nią - naprawdę niczego nie żałował. Po tylu miesiącach separacji był zaskoczony, że w ogóle dostał zaproszenie. I jeszcze bardziej zaskoczony tym, jak bardzo się cieszył, że ją widzi.

Zanim go zostawiła, przez jakiś czas były tylko kłótnie. Prawdopodobnie małżeństwo uczyniło ich oboje zbyt... żarliwie dbającymi o własne dobro, w obronie przed błędami drugiej osoby i zaniedbanymi cnotami. Nie wiedział jak ona, ale on czuł się teraz mniej zapamiętały. Rok separacji załatwił sprawę. Łatwiej mu to

przychodziło. Jeśli czasem brakowało mu samej zaciekłości - a brakowało - nie brakowało mu pijackiej udręki, która zbyt często temu towarzyszyła.

Czuł się teraz łagodniejszy, bardziej elastyczny.

Miał nadzieję, że w jakiś sposób ona też.

- Dobrze - powiedziała. - Spróbuję się trochę przespać i ustawię budzik na ósmą trzydzieści. Godzinę później będę w banku, a koło dziesiątej u ciebie z pieniędzmi, na wypadek gdybyś mógł wyjść wcześniej. Mam tylko nadzieję, że wprowadzą cię do komputera. Jesteś tam od czterech godzin! Jak długo może to trwać?

- Zdaje się, iż doszli do wniosku, że mają czas.

Strażnik klepał go po ramieniu, nakazując wracać do środka.

- Muszę iść - oznajmił Richard.

- Richard? Czy tam jest okropnie?

- Da się wytrzymać. Staram się spać ile mogę.

- Dobrze. Brakuję mi ciebie. Przepraszam. Wkrótce się zobaczymy, tak?

- Dobrze.

Rozłączył się. Co dziwne, zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. *Ogarnij się*, pomyślał. Dobry Boże.

W celi gruby dzieciak nadal chrapał, wyglądając na większego niż przedtem. Jego piersi rozłożyły się na sflaczałych bicepsach. Skazaniec w pomarańczowym, więziennym stroju spał dokładnie naprzeciw niego. Ale wariat czuwał.

- Cela - powiedział. - *Jesteś w niej teraz. Racja. Znowu to.*

Jego oczy ostrożnie strzelały raz w prawo, raz w lewo. Zamknął je i położył się. Parę sekund później też chrapał. Wszyscy trzej chrapali. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie tak obrzydliwe. Tak, jak ta stojąca na środku toaleta.

Faceta, którego wydała żona, nie było.

Richard cieszył się z pustej ławki.

Położył się. Pachniała alkoholem i wodą po goleniu. Zapach człowieka, który leżał tam wcześniej. Jakby jego część wykrwawiła się prosto na posłanie.

Nadeszło bez ostrzeżenia.

Przez chwilę starał się ułożyć wygodnie, zrelaksować - pomimo walenia w głowie - i nagle znowu spał.

To było jak wejście do ciemnego, pustego pokoju bez drzwi i okien, który kołysał się i przesuwiał, jak powierzchnia stawu pod wpływem bryzy, a on jakby jeździł po tej powierzchni, w miejscu, gdzie nie istniały rozpoznawalne ani dzień, ani noc, ani czas - a jeśli istniały, to nie miały znaczenia - tylko cisza. Stały, prawie niezauważalny ruch, powolny dryf, który wydawał się zbierać z niejasnych, wewnętrznych pływów ziemi, niczym magma. Miał poczucie obojętności, nie tylko swojej własnej, ale także czegoś w naturze rzeczy, co wchłaniało bez osądzania, bez poczucia tego co dobre, a co złe, mocne i słabe, czyste i brudne, czy nawet bez słowa tak lub nie. To było, jakby świat był garnkiem gulaszu gotującym się na wolnym ogniu. A on był kawałkiem mięsa.

Załamywał się.

Cela, pomyślał.

Cela.

To słowo w jego głowie brzmiało dziwnie.

Potem był grubym dzieciakiem - nie, był tłuszczem grubego dzieciaka i wytapiał się. Wrząca ludzka okrasa spływająca po ławce na podłogę, wylewająca się na ścianę, plugawa, lepka maź, spływająca po mięśniach i kościach, zdumiewająco duża ilość mięśni jak na takiego grubasa - ale kim on był, żeby krytykować. Ryl tylko sokiem. Był problemem.

Obudził się. Drzwi się zatrzasnęły.

Gruby dzieciak - prawdziwy gruby dzieciak - zniknął.

Skazaniec w pomarańczowym, więziennym stroju siedział na ławce naprzeciw niego, budząc się powoli i pocierając oczy.

Następnie zaczął się na niego gapić.

- Byłeś kiedykolwiek wcześniej w celi? - zapytał. Richard miał sucho w ustach.

-Nie.

- Cholera. Zapytałbym jego, ale to świr. Kiwnął głową w stronę wariata, który nadal spał.

- Chodzi o to, że coś jest nie tak z tym miejscem. -Co?

- Dupek. Gdybym wiedział, nie rozmawiałbym o tym z tobą, nie?

Richard postanowił nie komentować.

- Powinno nas być więcej, to po pierwsze. Zazwyczaj kupa ludzi przewija się tu przez całą noc. Po drugie, nigdy wcześniej nie byłem w tej konkretnej celi, a wydawało mi się, że widziałem już każdą cholerną celę w całym tym cholernym hrabstwie. Po trzecie, gdzie, do kurwy nędzy, wszyscy zniknęli?

Richard potrząsnął głową.

- Skorzystałeś z telefonu?

- Taa. Chwilę wcześniej. Spałeś.

- Spałem, kurwa, jak zabity. Kto płaci?

- Płaci?

- Kaucję. Kto płaci kaucję?

- Moja żona... była żona. Ona... .

Zaśmiał się. O dziwo nie był to nieprzyjemny śmiech.

- Była żona wpłaca za ciebie kaucję? Nieźle. Uśmiechnął się.

- Jeśli znajdą mnie w tym cholernym komputerze.

- Komputerze?

- Koło siódmej mnie w nim nie było.

- Gówno prawda! Jesteś w pieprzonym komputerze od momentu, kiedy wchodzisz do tego miejsca. Nawet wcześniej. Jadąc radiowozem jesteś już w komputerze. Gówno prawda!

- To... tak jej powiedzieli.

- To chujowo. Jest zatem chujowo.

Znów potrząsnął głową i przejechał dłonią po swoich przerzedzających się, piaskowych włosach.

- To pierdolone *miejsce*...

- *Cela* - powiedział wariat. - *Jesteś w niej teraz*.

Tym razem w jego głosie zabrzmiał jakiś ostry ton, coś w rodzaju ekscytacji. Spał, mówił przez sen.

- Jesteś w niej - powtarzał. Rzucał się na ławce, nogi trzęsły się w każdą stronę, jakby były z gumy.

- Dupek - powiedział skazaniec. Położył się ponownie.

Z głową Richarda było gorzej niż kiedykolwiek - miękka, cienka jak skorupka jajka. Delikatnie przyłożył ją do ściany. *Przysięgam na Boga*, pomyślał, *nigdy więcej nie będę pił*. Przynajmniej nie wino. Na moment zamknął oczy.

To było tak, jakby mógł widzieć przez powieki, cienki, blady, zabarwiony czerwonymi żyłkami filtr nałożony na wszystko, na skazańca na jednej ławce, na wariata na drugiej, na lśniącą, metalową toaletę pośrodku pokoju, na drzwi, pojedyncze małe okienko - jakby on sam był nabiegłymi krwią ścianami celi. Patrzył. Widział nawet samego siebie, siedzącego tam z szeroko rozłożonymi nogami, pofałdowaną koszulą i spodniami oraz głową przyciśniętą do wilgotnej ściany.

Przypuszczał, że znów śpi, że znów tak nagle zasnął.

To zaśnięcie nim wstrząsnęło. Przeraziło go.

Nikt tak nie powinien spać, pomyślał.

Nikt.

Co powiedział skazaniec? *Spałem, kurwa, jak zabity*. Jaki to był rodzaj snu?

Jaki rodzaj snu pozwalał mu obserwować ich, skazańca i wariata, zaczynał nim słabo szarpać - mógł widzieć samego siebie szarpanego - przyplływami i odpływami, które były pokojem twarzy, miękące ciała, niejako niewyraźnie rosnące w panice, załamujące się, mieszające się z pokojem, będące częścią celi,

wyglądające jak coś, co raz widział pod mikroskopem, jakieś amebopodobne, protoplazmatyczne, bakteryjne coś, nawet toaleta traciła teraz swoją dokładną formę, ciemniejąc w środku żelatynowej masy, w płynnym jądrze.

Sracz. Jądro celi.

Prawie się zaśmiał.

Zamiast tego krzyknął bezgłośnie i starał się obudzić.

Skazaniec stał na nogach - albo na kolanach - bo jego stopy i łydki tonęły w lśniącej podłodze, wchłaniając go po kolana. Przez moment wyraz jego twarzy przemienił się w maskę strachu i zdziwienia, a potem to wszystko zniknęło, tak jak skazaniec zniknął razem z czymś, co jeszcze chwilę temu było jego ławką.

Wariata już nie było.

Atomowy rój, jakby tysiące maleńkich pikseli na niedostrojo-nym telewizorze. Dryfował. Poczul beznadziejną panikę.

Spojrzał w dół. Jedwabna koszula, spodnie bez paska, skarpety. Wszystko tonęło. Jego ciało, krew i kości wchłaniały się w ścianę, w ławkę, która z kolei zapadała się w drżącą, zmieniającą kształt podłogę...

Walczył z asymilacją przez jakiś czas.

Buty od Paula Stuarta były ostatnie - razem ze sznurówkami. Cieszył się, że je widzi.

W celi prawie każdy nosił Reeboki. Tysiące.

Pomyślał, że to nie szkodzi być innym.

DZIEŁO

- Zabawne miejsce na spotkanie - powiedział.

Usiadł naprzeciwko niej przy laminowanym stole, popijając swoją kawę, czekając aż dojdzie do sedna, okręcając wokół środkowego i wskazującego palca elastyczną opaskę, a potem odkręcając ją w nerwowym geście, taki tik. Jej zdawało się to nie przeszkadzać.

- Chyba nie myślisz o tym, żeby mnie zabić, co? Zaśmiała się.

- Gdzie chce się spotykać większość twoich klientów?

- W barze. W restauracji. Na neutralnym gruncie. Zazwyczaj nie w ich kuchni i nigdy w kuchni jakiegoś domu w lesie, na odludziu, pośrodku niczego. To dla mnie nowość. Nie martwisz się, że mogę mieć w głowie coś innego niż biznes? Jesteś atrakcyjną kobietą. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. No i w ogóle mnie nie znasz.

Potrząsnęła głową.

- Nie martwię się. Martwiłam się pół godziny temu, zanim przyjechałeś. Przyznaję. Bo nigdy nie wiesz. Ale znam się na ludziach. Wliczone w zawód. Myślę, że jesteś profesjonalistą w tym, co robisz. Pomyślałam tak po pięciu minutach od pierwszego spojrzenia na ciebie.

- Jestem. To prawda.

- Wracając do pierwszego pytania, prawda jest taka, że z tym, o co zamierzam cię poprosić, to prędzej mnie zabiją niż ciebie. Poczekaj chwilę.

Wstała, przeszła na środek pomieszczenia i wrzuciła dwie szczapy drewna do dużego, brzuchatego pieca. Był dopiero dwunasty września, ale noce w lasach Maine były już chłodne, chociaż dni były jasne i przejrzyste. Zamknęła palenisko. Piec od razu zaczął trzeszczeć, wietrzny tunel wywołał w środku małe piekło. Zawsze lubiła ten dźwięk.

Usiadła.

-Tak lepiej.

Przez moment po prostu na niego patrzyła znad kubka, popijając czarną kawę. Pomyślała, że Carey też jest atrakcyjny, na swój dziwny sposób, chociaż nie mogła nazwać go przystojnym. Włosy miał cienkie, a twarz zbyt ordynarną jak na jej gust. Mogła go sobie raczej wyobrazić z pasem narzędzi wokół talii, pracującego fizycznie - zamiast w szytym na miarę, angielskim garniturze, który miał teraz na sobie. Silny, skuteczny. I opanowany. Bardzo opanowany. Po prostu siedział i czekał, kiedy ona go oceniała. Żadnej presji. Żadnego zniecierpliwienia. Jakby ufał, że dojdzie do sedna, kiedy będzie gotowa.

- Niech pan pozwoli, że powiem panu coś o sobie, panie Carey - powiedziała.

- Richard. Zazwyczaj nie chcę wiedzieć za dużo o swoich klientach. Czasami staje się to przeszkodą.

Skinęła głową.

- Rozumiem, ale w tym przypadku to ważne. Jeśli nie dowie się pan kim jestem, wątpię, by przyjął pan tę pracę.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się.

- Naprawdę. Proszę mi wierzyć.

Teraz to on miał chwilę na przyjrzenie się jej. Czekwała na jego zgodę.

- W porządku - powiedział. - Powiedz mi.

- Jestem pisarką. Piszę powieści. Czasami opowiadania. Wydałam osiem książek w tym kraju i dziewięć w Anglii. Wydawałam we Francji, Włoszech, w Japonii - nawet w Rosji, wierz lub nie. Przypuszczam, że moje książki można określić mianem

kultowych. Choć wyniki sprzedaży zawsze były niewielkie. Jeśli sprzedam czterdzieści tysięcy egzemplarzy w miękkiej opia wie, mam szczęście. Gdzieś tam są fani, którzy pożerają wszystko, co napiszę, nawet poszukują książek z wyczerpanych nakładów - a większość ma wyczerpany nakład - szukają w księgarniach wysyłkowych i antykwariatach. Ale nigdy nie byłam w stanie się przez to przebić. I pewnie już nie będę.

- Dlaczego?

Zainteresowało go to. Mogła to stwierdzić po wyrazie jego twarzy. Prawdopodobnie znaczyło to, że lubi czytać. Po takim facecie można oczekiwać nieoczekiwanego.

- Jestem przewrotna. Piszę to, co chcę pisać. Książki, jakie sama chciałabym przeczytać. Zazwyczaj krótkie, około dwustu stron. Amerykanie w tych czasach chcą mieć raczej przedmiot do przytrzymywania drzwi albo przynajmniej wydawcy im to narzucają. Ma to też związek z gatunkiem. Suspens, horror. Zwykle zmierzam w kierunku ciemnej strony, staram się kogoś zaniepokoić. Niektóre z moich książek są całkiem brutalne. Ale spójrz na to w ten sposób. Stephen King potrafi być brutalny. James Ellroy i Thomas Harris potrafią być brutalni. A wszyscy są autorami bestsellerów. A także szczerymi pisarzami. Nie. Zazwyczaj to wydawcy. Sprawdzają w Internecie co ostatnio sprzedałeś i przyjmują, że tym razem też tak będzie. Nie mogę ich przekonać do wydrukowania większej liczby egzemplarzy, by moja praca była dostępna na bieżąco.

- Zmień styl. Napisz im wielkiego hiciora. Otworzyła paczkę winstonów.

- Nie czuję w sobie wielkiego hiciora, Richard. Nie ma w nich nic złego, jeśli jest się wytrzymałym i da się to udźwignąć. *Na południe od Brazos* dało radę. Ale rzadko je czytam, a jak Już, to mi się nie podoba i niech mnie cholera, jeśli napiszę coś tylko dla pieniędzy albo by jakiś wydawca mógł zostać wy dawcą miesiąca. Tak czy siak, to wszystko jest nieważne w tym momencie.

Zapaliła papierosa i podała mu paczkę. Wyciągnął jednego.

- Dzięki Bogu - powiedziała. - Palacz.

Papierosowy dym mieszał się z dymem płonącego w piecu drewna, a potem z zapachami dzisiejszej kuchni. Stek. Smażone ziemniaki i gotowana dynia.

- Więcej kawy?

- Jeśli to nie kłopot. Lot. Potem jazda samochodem.

- Żaden problem, jeśli może być z mikrofalówki.

- W porządku.

Wstała i podeszła do zlewu, by opłukać filiżankę, po czym napełniła ją letnią kawą i wstawiła do mikrofalówki. Zegar odmierzał sekundy. Obserwowała ćmy uderzające o okno nad zlewem, całe tuziny ciągnące do światła, chcące dostać się do środka. Odwróciła się do nich plecami.

- Nie chcę się wzbogacić - powiedziała. - Zarabiam wystarczająco, by jakoś wyżyć i od dawna sobie z tym radzę. Chodzi o samą pracę, Richard. Pracuję ciężko i uważnie, myślę, że robię to całkiem dobrze. Nie jestem Dostojewskim, ale nie jestem też pisarzyną. W moich książkach masz wątki, ludzi, problemy - chociaż staram się nie walić nimi po głowie. Dostajesz przyzwoite pisarstwo. Czego nie dostajesz, to - mam nadzieję - prosta i wygodna książka na plażę. Czytanie w wannie. Czytanie w metrze. To nie Jackie Collins. To jest *dzieło*, które nie stamtąd pochodzi - które jest po prostu niedostępne przez większość czasu, nawet jeśli chcesz je przeczytać, nawet jeśli go szukasz - oto mój ideał. Oto do czego zawsze wracam.

Zabrzączał alarm w mikrofalówce. Przyniosła mu parujący kubek. Postawiła przed nim i poszła do salonu, gdzie zdjęła z półki ciekawą, czarną książkę z pozaginanymi rogami i przyniosła ją do kuchni. Przerzucała strony, dopóki nie znalazła tego, czego chciała. Usiadła.

- Nie masz nic przeciwko odrobinie literatury?

- Wcale a wcale. Podała mu książkę.

- Strony od osiemdziesiątej drugiej do dziewięćdziesiątej e/wartej, gdzie zmienia się scena. Moja pierwsza powieść. Pozwoliła mi trochę zarobić i wyrobić sobie markę. Albo raczej rozgłos.

Patrzyła, jak wkłada swoją elastyczną opaskę do kieszeni kurtki i usadawia się na krześle, zaczyna czytać. Zauważyła, że nie zniszczył oprawy - nie bardziej niż już była zniszczona, bo książkę ciągle pożyczano. Więc jednak był czytelnikiem. Wiedział, jak traktować książkę w miękkiej oprawie. Był też szybki. Do czasu, kiedy napełniła ponownie swój kubek, on prawie skończył.

- Dobra jesteś - powiedział, uśmiechając się i zamykając książkę. - I brutalna. To niepodobne do kobiety.

- Spróbuj Joyce Carol Oates. Spróbuj Susanny Brown. Zdaje się, że świat potrafi być brutalny. Tak czy siak, scena, którą właśnie przeczytałeś i kilka kolejnych tak zdenerwowały wydawcę, że prawie zwolnił redaktora. Dystrybutorzy byli wściekli. Postanowili więc ją pogrzebać, jakby nigdy się nie ukazała. Ściągnęli wszystkie ogłoszenia, plakaty, standy w miejscach sprzedaży, wszystko - cała maszyna była już wprawiona w ruch - i nigdy nie było dodruku. I to pomimo faktu, że książka zarobiła dla nich pieniądze. Sprzedało się ćwierć miliona egzemplarzy, tylko przez same ustne rekomendacje. Teraz to podobno biały kruk.

Oddał jej książkę, ponownie rozsiadł się na krześle i spojrzał na nią.

- Wiem, co myślisz - powiedziała. - Myślisz, że to wszystko Jest bardzo interesujące i że zapłaciła mi niezłe honorarium, sprowadziła mnie tu, więc teraz do rzeczy proszę. Miejmy to już za sobą.

Pokiwał głową.

- Coś w tym stylu. Mogę?

Sięgnął po kolejnego papierosa, przypalił go i przyglądał się jej przez dym. Spojrzenie nie sprawiło jej przykrości.

- W głowie kołacze mi się pytanie - rzekł - o kogo konkretnie chodzi? Chcesz, żebym kogo się pozbył? Twojego wydawcy? Twojego redaktora? Kto jest celem?

Prawie wybuchnęła śmiechem. Uśmiechnęła się. Było tylu wydawców, tylu redaktorów. Tylu dystrybutorów, jeśli się zastanowić. Wynajęcie go, by dopadł ich wszystkich kosztowałoby miliony.

- Ja - powiedziała. - Ja jestem celem.

Jeśli go to zaskoczyło, to nie dał tego po sobie poznać. Siedział tylko, paląc spokojnie i obserwując ją. Westchnęła.

- Choroba, która mnie dotknęła jest tak cholernie banalna. Rak kości. Palę dwie i pół paczki dziennie. To powinien być przynajmniej rak płuc. Cokolwiek, co miałoby coś wspólnego ze mną, z moim trybem życia. Ale jestem pewna, że będzie wystarczająco bolesnie.

- Więc nie chcesz czekać?

- Nie, nie chcę czekać. Chcę czegoś innego.

- Czyli czego?

- Chcę, by to się stało w konkretny sposób. Właściwie, to właśnie przeczytałeś, w jaki sposób chciałabym, by to się stało.

Teraz dopiero zobaczyła, że udało jej się go zaskoczyć.

- Masz na myśli coś podobnego. Pewien rodzaj inscenizacji.

- Nie. Chcę, by to się stało tak, jak właśnie przeczytałeś najdokładniej jak to możliwe. Teraz już rozumiesz, dlaczego wcześniej powiedziałam, że nie znając mnie, najprawdopodobniej odrzucisz zlecenie? Ale nie jestem wariatką ani masochistką. Ktoś zauważy, jeśli zrobisz to w ten sposób. Jakikolwiek inny sposób i będę po prostu kolejną martwą pisarką. Ale jeśli zrobisz to tak, ktoś połączy to z książką. Mnóstwo osób, tak myślę. Książka wróci do druku. I to jak! Właściwie, to jeśli zrobisz to dobrze, to wszystkie wrócą do druku. Wiem jak to działa.

Zgasił papierosa i powoli skinął głową. Zmarszczył brwi.

- Pokaż mi jeszcze raz tę książkę - poprosił.

- Strona osiemdziesiąta druga.

- Wiem.

Przez moment patrzyła jak czytał, tym razem w inny sposób, dokładniej interpretując. A potem wstała i podeszła do okna przy zlewie. Ćmy trzepotały, uderzając maleńkimi nóżkami

i skrzydłami o szybę. Na wzgórzu za oknem widziała ciemną linię drzew. Sznur już tam był, czekając zwinięty za wiadrem. Kolki były wbite. Podpałka i szczapy piętrzyły się, czekając na ogień.

- Dobry Boże - powiedział. - Naprawdę tego chcesz? Tego wszystkiego?

- Chcę dobrego gliniarza albo dobrych techników kryminalistyki, aby mogli przejść przez każdy szczegół w książce i znaleźć je tam na zewnątrz, w ciele. Tu chodzi o *dzieło*, Richard, nie o ból. Dam sobie radę z bólem. Mam przeczucie, że jesteś dobry. Coś mi mówi, że to nie potrwa długo. Przynajmniej nie tak długo, jak rak kości.

- Ostatnie zdanie... nie ma mowy, żebym mógł...

- Przewidziałam ten problem. I uwierz mi, nie prosiłabym cię o to. Tylko w tym obszarze możemy trochę spartaczyć.

Otworzyła szufladę przy zlewie i wyjęła to, co przygotowała całe tygodnie temu, podeszła do niego i położyła to na stole. Dwie połówki puszki po Pepsi. Wzięła nożyce i wycięła w każdej z nich dwie postrzępione linie.

- Dziesięć lat później napisałam drugą część - powiedziała.

- Kolejna próba doprowadzenia do dodruku pierwszej. Nie udało się. Ale one były w sequelu. Użyj ich w zamian. Sztuczne zęby, nie te prawdziwe. Użyj ich, zrób to, co potrzeba, a potem pozbydź się ich. Przejdź do kolejnego rozdziału. Tam, gdzie jest napisane 1:18 nad ranem. Tak to się dla niej kończy. Jeszcze tego nie czytałeś. Tak kończę ja.

Przeczytał. Przez moment rzeczywiście zrobił się blady. Potrząsnął głową.

- Naprawdę nie wiem, czy dam radę to zrobić - oznajmił.

- Bóg świadkiem, że dobrze mi płacisz, ale...

Usiadła naprzeciw niego i gwałtownie sięgnęła ponad stołem, złapała go za rękę tak mocno, że zbieleły jej kostki.

- Płacę ci wszystkim, Richard. Wszystkim, co mam. Na koncie bankowym mam dokładnie pięćdziesiąt dwa dolary. Pokażę ci. To właśnie tyle dla mnie znaczy. Ostatnie rozdanie, kochani.

Wszystko albo nic. Chodzi o *dzieło*. Twoje i moje. Proszę. Zrób to dobrze. Błagam cię.

Gapił się na nią ponad stołem, szukając w niej czegoś, o czym mogła myśleć, a może czegoś w sobie. W końcu, wydawało się, że znalazł to, czego potrzebował.

- Dziękuję - powiedziała.

Leżeli obok siebie nago w łóżku, ponieważ tak było w książce. Tak to się zaczęło i Richard nie narzekał ani nie protestował, że musiał spełniać i ten obowiązek, ale teraz nadszedł czas, aby rozpoczęła się reszta. Odkryła, że na przemian był ostrym i czułym kochankiem, a orgazm, pewnie dlatego, że był jej ostatnim - zdumiał ją swoją niepohamowaną złożonością, rytmem, gładki i rażący, zupełnie jak ten, który opisała. Patrzyła, jak wstaje z łóżka i zakłada ubranie, a potem zerka na nią, skąpaną w świetle księżycy i bierze ją w ramiona.

- Proszę. Zrób to wszystko - powiedziała.

- Zrobię.

Leżała spokojnie w ciszy, czekając na niego, wiedząc, że jej nie okłamie, zastanawiając się, czy będzie ją teraz czytał, w nadchodzących dniach i tygodniach, czując, że pewnie będzie, bo jak mógłby nie być ciekawy, nie dać lekturze szans po tym wszystkim. Myślała o tym, aż nagle potrzaskane szkło znalazło się wszędzie. Czuła jak rozsypuje jej się na piersiach i brzuchu, twarzy i włosach. Czuła ręce, zaciskające się mocno na jej nadgarstkach, a potem ciągnące ją brutalnie przez wybite okno, które skosiło jej kręgosłup, potłuczone odłamki cięły głęboko. A potem znalazła się na zewnątrz, w chłodnym, nocnym powietrzu, dokładnie tak, jak powinno być, dokładnie tak, jak napisała i rozpoczął się koniec jej nocy.

Reporter „New York Timesa” odłożył słuchawkę. *Mój Boże, pomyślał, co on jej zrobił.*

Otrzymał obietnicę w Dead River, posterunku policji w departamencie Maine, że wstrzymują pewne informacje, na wypadek gdyby złapali sprawcę, by wykluczyć dziwaków i wariatów, ale miał pewność, że nic nie wstrzymają. Gliniarze byli tak podekscytowani znaleziskiem, że pewnie rozmawiali z „Enquirerem”.

Poza tym, „Times” publikuje *wszystkie wiadomości, które na dają się do druku.*

A całe mnóstwo się nie nadawało.

Przejrzał leżące przed nim notatki. Nazwisko pisarki było mu nieznane. Czterdzieści dziewięć lat. Kobieta. Niezameżna. Bezdzienna. Zapamiętał, by zdobyć zdjęcie. Pomogłoby, gdyby była atrakcyjna. Osiem powieści na koncie. Wydawca był tu, w Nowym Jorku.

Potem szczegóły.

Pisarka została w środku nocy przeciągnięta nago przez okno swojej sypialni, uderzona w szczękę. Prawdopodobnie wtedy straciła przytomność. Powieszona na gałęzi drzewa na sznurze przywiązany do jej stóp, podczas gdy dwie inne liny łączyły jej ramiona z wbitymi w ziemię kołkami. Były przesłanki by twierdzić, że jakoś odzyskała przytomność i walczyła, walczyła mocno, sądząc po śladach sznura na nadgarstkach i kostkach. Sprawca podszedł do niej z nożem, rozplątał ją od waginy do obojczyka, u potem poderżnął jej gardło, pozwalając jej wykrwawić się do dużej, metalowej balii. Potem wyciął jej serce.

I najwyraźniej zjadł jego spory kawałek.

Wyjął wątrobę i nerki i usmażył na ogniu. Odkroił mięso / . bioder i piersi, odciął jej jedną nogę, odrąbał głowę, a potem roztrzaskał o kamień i wydrążył mózg. Każda część ciała była znacznie nadgryziona.

Reportaż będzie potworny.

Zadzwoił do biura numerów i otrzymał telefon do jej wydawcy. Wykręcił go i poprosił o rozmowę z redaktorem. Potem czekał, mając nadzieję, że dopadnie go przed policją, licząc na polną zaskoczenia reakcję.

Jego ołówek był gorący i gotowy.

Redaktor siedział przy biurku, zagrzebany w notatkach, książkach, kontraktach i czekającej na odpowiedź korespondencji, nie wspominając już o telefonie, który właśnie ukąsił go jak wąż. Spojrzał na zaniedbane stosy westernów, horrorów, thrillerów, romansów, powieści szpiegowskich, które kupił z nadziejami sięgającymi od największej, przez niewielkie, aż do prawie żadnej - żadna z nich nie przyniosła mu niczego dobrego w ramach firmy. Kilka z nich zarobiło na sobie, a on pomyślał: *muszę zadzwonić do szefa, mój Boże, muszę zadzwonić do szefa, Jezu Chryste, nigdy nie dzwonię do szefa, ale tym razem muszę.*

Pierwszy raz, pomyślał.

Wstał z obrotowego krzesła i odszedł od biurka, czując się lżej niż pozwalały na to jego sto dwa kilogramy, po czym wybiegł ze swojej maleńkiej, brzydkiej klitki, którą nazywali jego biurem, przebiegł przez hall, pochylił się nad biurkiem sekretarki i zapytał, ile jej książek mają.

- Ile? - spytała. - Egzemplarzy?

- Nie egzemplarzy, głupia, kontraktów! Ile książek mamy objętych kontraktem!

- Trzy - powiedziała - ostatnie trzy, do pozostałych wygasły prawa.

- Więc do cholery wykupujemy je z powrotem! - zagrzmiał, aż redaktor tekstu, którego uważał za totalnie niekompetentnego, ponieważ zawsze naciskał, by najpierw przeczytać książkę, zanim łaskawie weźmie się czerwony ołówek, spojrzał na niego i skrzywił się, gdyż dla kogoś takiego była to raczej cholerna biblioteka, a nie pieprzone wydawnictwo.

Wrócił do biura, usiadł na swoim krześle, uspokoił się, zaniósł śmiechem, potrząsnął głową i pomyślał: *kocham tę robotę.* A potem wykonał telefon.

NAJLEPSZY

To, co zostało, kiedy skończyły się łyzy, było czarną kolumną, przechodzącą prosto przez jej serce.

Zdecydowała, że pozwoli jej tam zostać.

Byli w sypialni. Ich kłótnie zawsze miały miejsce w sypialni. Teraz ta, ostatnia, była taka, jakby byli parą bokserów siedzących każde w swoim narożniku. On siedział na łóżku. Ona na krześle przy garderobie. Oboje palili winstony. W ciszy. To ona ją przerwała.

- Wiesz, że jesteś najlepszym, jakiego miałam, Tommy - jej głos nadal lekko drżał. Przypuszczała, że wyjdzie to na dobre.

- Wiem. Powiedziałas mi.

- Będzie mi tego brakowało. Będzie mi brakowało wielu rzeczy.

- Taa.

Popatrzyła na niego przez chwilę, a potem wstała i zaczęła rozpinąć bluzkę. Zauważył to.

- Co robisz?

- Ostatni raz, Tommy. Zawsze mówiłeś, że mnie pragniesz. Bez względu na wszystko.

- Słuchaj, sam nie wiem.

- Tak mówiłeś.

Ściągnęła bluzkę. Nie miała stanika. W wieku trzydziestu pięciu lat jej piersi nadal były ładne i ona o tym wiedziała. On leż.

Rozpięła spódnicę i pozwoliła jej opaść. Zdjęła czarne, jedwabne majteczki. Podeszła do łóżka.

- Słuchaj Shiela...

- Jesteś mi to winien. Chcę ciebie, wiesz?

Pochyliła się i rozpięła mu klamrę paska, a potem rozporek. Janinę czy nie Janinę, widziała, że on też jej chciał. Przynajmniej jego ciało.

To wystarczy.

- Wstawaj.

- Dobra, ale słuchaj. To nic nie znaczy, Shiela. Jutro i tak już mnie tu nie będzie.

Ściągnął koszulkę.

- Wiem. Wstawaj.

Podniósł tyłek z łóżka, a ona ściągnęła mu dżinsy, a razem z nimi slipy. Czarna kolumna w jej sercu współzawodniczyła teraz ze złą, czerwoną, cielistą rzeczą wstająca z łóżka. Spojrzał na nią.

- A co tam. Nadal uważam, że to szaleństwo. Ale jeśli chcesz, wskakuj.

- Najpierw gumka.

- Och, Chryste.

- Najpierw gumka, Tommy. Myślisz, że chcę zająć w ciążę? Teraz?

Otworzyła szufladę stolika nocnego i wyjęła Trojana, rozerwała opakowanie i nałożyła na jego penis. Kiedy skończyli, zdjęła ją. Tak, jak zawsze.

- Cześć, Janinę.

Młodsza kobieta stojąca w drzwiach wyglądała na zaskoczoną.

- Zajęta? Przeszkadzam?

- Jezu, Shiela, jest po północy.

Janinę wyglądała, jakby w każdej chwili była gotowa uciec. Ścisnęła ciasno swoją koszulkę nocną. Winna jak sam grzech. Shiela się uśmiechnęła.

- Nie przejmuj się. Nie to, żebym się czegoś nie spodziewała. Lucy Baskin powiedziała mi już kilka miesięcy temu, że wy dwoje macie się ku sobie. Po prostu patrzyłam w inną stronę. Wiesz, jak to jest. Nie jestem na ciebie wściekła. Pewnie nadal mogłybyśmy się przyjaźnić. Chciałam tylko z tobą porozmawiać. Tommy po wiedział, że to może być dobry pomysł.

- Tommy tak powiedział?

Tommy leżał w łóżku, chrapiąc. Jak zawsze, po tym jak się pieprzyli.

- Taa. To co powiesz? Mogę wejść na minutkę? Tylko na minutkę?

- No, ja... tak myślę. Taa. Jasne.

Odsunęła się, a Shiela weszła do środka. Kiedy tylko Janinę zatrzasnęła drzwi i odwróciła się, Shiela wyprowadziła mocny prawy sierpowy w jej podbródek, nadal uśmiechając się i dziękując za te sześć miesięcy lekcji boksu, o których Tommy mówił, że są mało kobiece i głupie, ponieważ bandyci nie boksują, powiedział, tylko obrabiają cię, tymczasem Janinę osunęła się po drzwiach, zwiotczała jak worek. Shiela sięgnęła do torebki po niebieskie, gumowe rękawiczki, których używała do czyszczenia piekarnika, założyła je i złapała Janinę za kostki, po czym zaciągnęła ją po dywanie w kolorze moczu do sypialni. Puściła jej stopy, wzięła ją pod ramiona i podciągnęła na łóżko. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku z fałszywego mosiądzu. Zdjęła adidas i położyła je na podłodze obok torebki. Podeszła do szafy Janinę, by wyjąć pasek, który powinien się nadać. Znalazła jeden, który nie był tylko tanią imitacją skóry. Wspięła się na łóżko i poukładała poduszki tak, by mogła komfortowo klęczeć z głową Janinę między swoimi kolanami i okręciła pasek wokół jej szyi.

Kiedy zaczęła ciągnąć, Janinę obudziła się, kaszląc i plując, starając się wepchnąć palce pod pasek, ale było już na to za późno, a i przeciwniczka nie dawała szans. Shiela była od niej cięższa o jakieś dziesięć kilogramów. Kiedy język Janinę się wysunął, a twarz zmieniła kolor z czerwonego na szaroniebieski, odwiązała

pasek i zeszła z łóżka. Podeszła do torebki. Schowała w niej pasek, na później. Potem wróciła do Janinę.

Przez rozdartą koszulę nocną zauważyła, że jej własne cycki były lepsze niż Janinę, chociaż cała reszta, musiała przyznać, była młoda i porażająco jędrna. Rozerwała jej majteczki i rzuciła na podłogę. Poświęciła kilka minut, by solidnie obić jej ciało, koncentrując się na żebrach i głowie. Kontynuowała, dopóki twarz nie zalała się krwią, a jej kostki nie były zbite. Wróciła z powrotem do torebki. Wyjęła prezerwatywę i szpilkę.

Kondom zawiązany był przy końcu skręconym, plastikowym sznurkiem z opakowania po chlebie ryżowym. Odwiązała go, zastanawiając się, czy te maluchy jeszcze tam żyją, a jeśli tak, to czy spróbują zapłodnić martwą Janinę.

Żywa czy martwa, wiedziała, że nie będzie to miało znaczenia dla ludzi zajmujących się DNA. Ale ciekawe było pospekulować.

A teraz czas na paskudną część.

Inaczej się nie dało.

Musiała rozłożyć jej nogi i dostać się do środka, otworzyć ją. Nie było to łatwe, ponieważ okazało się, że martwi nie nawilżają się za bardzo, ale potem doszła do wniosku, że krew też da radę i w zasadzie będzie to wyglądało nawet lepiej. Siniaki również. Dotarło do niej, że właściwie dla glin będzie to wyglądało tak, jakby Tommy wyruchał ją już po jej śmierci.

Tommy, jeden z tych nekrofilii w typie Jeffreya Dahmera? Tommy? Sam pomysł sprawił, że zachichotała.

Kiedy skończyła, pozwoliła prezerwatywie oprzeć się na odzianym w niebieską rękawiczkę palcu wskazującym i przekuła końcówkę szpilką. Potem wsunęła kondom i pchała, dopóki nie była pewna, że wtarła cały płyn Tommy'ego. Następnie przestała i spakowała się. Prezerwatywa i szpilka trafiły do jednej zamykanej, plastikowej torebki, a rękawiczki do drugiej.

I to by było na tyle.

Jadąc do domu, wyrzuciła przez okno samochodu jedną torebkę, potem drugą, a na końcu pasek, każde na drogę, co kilkaset metrów. Kiedy wróciła do domu, Tommy nadal spał.

Zdjęła ubranie i położyła się do łóżka.

Czuła obok siebie jego znajome, wilgotne ciepło. Pomyślała jakie to smutne, naprawdę smutne, że i tak odejdzie. Nie tam, gdzie chciał iść, ale gdzieś indziej.

Wcześniej powiedziała mu prawdę.

Najszczerzą prawdę.

Był bez porównania najlepszym, jakiego miała.

ODKUPIENIE

Dora poszła za nimi na czterdziestą drugą stację i zatrzymała się przy krawędzi peronu, kiedy on płacił za ich żetony. *Rozrzutnik.*

Obserwowała, jak chwycił jej rękę, kiedy przechodzili ramię w ramię przez bramki, a potem wyłowiła żeton z własnej portmonetki i ruszyła za nimi schodami w dół, w stronę czekającej na torach kolejki podmiejskiej. Szczęście jej dopisywało - wślizgnęła się do wagonu przed nimi zanim drzwi zamknęły się przed twarzą starej kobiety z czarną torebką. Kobieta zawyła i pacnęła kilka razy w drzwi, jakby próbowała ubić muchę.

Tak wiele takich kobiet. Tak wiele much.

Widziała ich przez okno w drzwiach łączących wagony. Stali, trzymając się uchwytów. Kołysali się razem, gdy pociąg ruszał. Tył garnituru Howarda wyglądał mizernie od gorąca i wilgotności. Kobieta się uśmiechała.

Dora musiała przyznać, że zawsze miał gust.

Kobieta nosiła czarny, jedwabny kostium, chyba od Versace - *czarny, na Boga, w taki dzień* - wyglądający świeżo i czysto, pomimo trzydziestostopniowego upału. Jej skóra była blada, mocno napięta na delikatnych kościach policzkowych. Włosy miała długie i czarne, usta pociągnięte jasną czerwienią i bard/o białe zęby.

Jej figura nie różniła się zbytnio od figury Dory, ale skala była inna. Kobieta była o jakieś osiem czy dziesięć centymetrów

wyższa - miała przynajmniej metr siedemdziesiąt pięć - tak więc szczupłe nogi wyglądały na jeszcze szczuplejsze, a piersi i pośladki - przeciwnie - na pełniejsze.

Trochę po trzydziestce.

Prawdopodobnie Irlandka.

I miała pieniądze. Kostium był drogi. Podobnie jak ciężka, srebrna bransoletka i kolczyki z rubinami. Jak dotąd ta była najlepsza. *Gratulacje, Howard, pomyślała. Drań.*

Wysiedli na Sześćdziesiątej Szóstej, wyszli ze stacji i udali się wzdłuż Sześćdziesiątej Ósmej, a potem na wschód, w kierunku parku. Bezdomna kobieta, stojąca przed Food Emporium, sprzedawała „Daily News”. Dla Dory wyglądała jak z fotografii Walkera Evansa, wychudzona, ze smutnymi, ostrymi rysami. Pewnie miała zgniłe zęby, a ciało pachniało pleśnią i starymi liśćmi.

Było jej szkoda kobiety, choć tkwiła w tym też cząstka współczucia dla samej siebie.

Godziny szczytu. Jednak w tej części miasta ruch na chodnikach nie był duży, więc nie miała problemu ze śledzeniem ich. Skręcili na północ, na Columbus. Przeszli obok Felliniego i on znów złapał jej rękę. Przystanęli na moment przed butikiem, podziwiając bieliznę na wystawie. Dora wskoczyła do sklepu i chwyciła najnowszy numer „Elle”. Magazyn pasował do jej jasnego, szytego na miarę kostiumu Burberry i teczki od Marka Crossa.

Kolejna ładna, młoda kobieta sukcesu na topie. Czasopismo było tylko rekwizytem.

Za pierwszym razem były okulary. Z jakiegoś powodu nikt nigdy nie zwracał uwagi na kobietę noszącą okulary, a dziewczyna, na pewno jakaś cholerna sekretarka, natychmiast otworzyła drzwi. Dora powiedziała tylko, że szuka Howarda i że jest starą

znajomą ze szkoły i on dał jej ten adres, na wypadek, gdyby nie było go w mieszkaniu - a skoro nie było go również tu, CZY dziewczyna nie ma nic przeciwko, by zostawiła mu wiadomość? Jasne, odparta i odwróciła się plecami, by wprowadzić Dorę do środka. Wyjęła z torebki piętnastocentymetrowy nóż ze stali nierdzewnej, złapała dziewczynę za kędzierzawe, rude włosy, przyciągnęła jej głowę i podcięła gardło.

Reszta była trudniejsza. Musiała zaciągnąć ciało do sypialni, na łóżko, rozebrać do naga, żeby wyglądało na zbrodnię na tle seksualnym, a nie na to, czym było, na egzekucję. Dziewczyna była cięższa niż na to wyglądała, cięższa niż zwyczajowe preferencje Howarda. Zastanawiała się więc, co ta dziewczyna takiego miała - nie była zbyt ładna, naprawdę, nie tak, jak ta obecnie - i stwierdziła, że to był seks, musiał być; Howard zawsze myślał swoim fiutem. Po takiej konstatacji zrobiło jej się mniej nieprzyjemnie przy wkładaniu w dziewczynę rączki szczoteczki elektrycznej, a po odwróceniu ciała - butelki.

Na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy znów skręcili na wschód. W połowie drogi między Columbus a Zachodnim Central Parkiem weszli na schody odnowionej kamienicy. Numer 39. Kobieta otworzyła drzwi. Dora przeszła powoli przez ulicę, gapiąc się na okna. Zapadał już zmierzch, w mieszkaniu musi być więc ciemno. Obserwowała. Znów dopisało jej szczęście. Kobieta mieszkała od frontu. Odnotowała, że światło zapaliło się na trzecim piętrze, przez moment zobaczyła biały sufit i kwiaty w oknie. Spojrzała w inną stronę i kontynuowała spacer.

Przy Zachodnim Central Parku zawróciła w stronę, z której przyszła. Zerknęła na apartament i zobaczyła, że zasłony są zaciągnięte, miały nierozpoznawalny kolor. Ciemny, ciężki materiał. W Pizza Joint Two poprosiła kelnera o stolik przy oknie i usiadła, twarzą na wschód, aby móc obserwować wejście do numeru 3') po drugiej stronie ulicy.

Zamówiła pizzę z krewetkami, parmezanem, włoską przy stawkę i kieliszek wina.

Spojrzała na zegarek. Osiemnasta trzydzieści pięć. Jeśli szczęście nadal będzie jej dopisywać, on nie zostanie na noc.

To będzie najłatwiejsze. Łatwiejsze - i o wiele mniej niebezpieczne - niż wepchnięcie Mary Beth Chapman, początkującej, blondwłosej kierowniczkę sprzedaży z Shearsona, pod ekspres Seventh Avenue na Trzydziestej Czwartej. Jeśli ktoś zauważył jej dłonie na plecach Mary Beth, to nic nie powiedział. Może ten dźwięk wywołał zbyt duży szok, żeby zareagować, nawet jeśli coś się widziało - płynny trzask, jak pęknięcie wielkiego, wypełnionego wodą balonu i złamanie konaru drzewa jednocześnie. Potężny czerwony rozprysk.

Łatwiejsze niż obie poprzedniczki, ponieważ najpierw przyprowadzał je do swojego mieszkania, a ona musiała czekać i śledzić, kiedy zostały same, planując, poznając ich nawyki - gdzie mieszkały, kogo widywały i dokąd chodziły.

Tutaj po prostu musi poczekać, aż on wyjdzie. Potem będzie mogła wejść do środka, pytając o niego, tak jak w przypadku sekretarki, trzymając egzemplarz „Elle”, ponieważ to pasowało i wydawało się właściwe. Podświadomie. Była schludna i modna, nie stanowiła dla nikogo zagrożenia, a nowy, dwudziestocentymetrowy nóż leżał sobie w teczce. Ją potnie trochę inaczej. Tym razem upozoruje kradzież. Nic związanego z seksem. Z punktu widzenia policji nie będzie żadnego związku. Czysto i tragicznie.

Gadające głowy w telewizji uwielbiały słowo „tragicznie”.

Porzucone w śmietniku dziecko było tragiczne. Dzieciak na linii ognia w strzelaninie pomiędzy dilerami był tragiczny. Młoda, obiecująca bizneswoman wpadająca pod pociąg - o tak. To też było tragiczne.

Nonsens.

Żeby być tragicznym, musisz być na szczycie. Twoje cierpienie - i ty - musicie być jakoś ponad zwykłe życie. Jak Elektra, Medea, Król Lear czy Hamlet. Musisz spaść z ogromnej wysokości,

przetrwać wielki ból. Musisz mieć możliwość stracenia wszystkiego - a potem to stracić.

Weźcie Howarda. Nic tragicznego.

Chociaż na pozór były argumenty, które można było przyjąć i odczytać.

Popularny prawnik korporacyjny. Tak. Człowiek sukcesu. Odrobina poczucia wielkości była podstawą każdego sukcesu.

Jego matka zmarła dwa miesiące temu. Smutne.

Potem niewytłumaczalna, wyglądająca na przypadkową, strata dwóch kochanek. *A wszystko to po Dorze, którą rzucił po pięciu długich latach, podczas których praktycznie wiązała mu cholerne sznurówki.* Godne politowania.

A wkrótce trzecia.

Ale to nadal nic tragicznego.

Ponieważ Howard zasadniczo był robakiem. Małym. Na tyle małym, że seks był kiepski z jej winy - chociaż to on nie mógł mieć erekcji - na tyle małym, by winić ją za to, że zwolniono ją z banku - *tak jak trzydzieści innych osób, dziękuję bardzo* - by mówić, że nie była wystarczająco agresywna. Wystarczająco ostra.

Na tyle małym, by sprawić, że ona się czuła jeszcze mniejsza, bo jego ego potrzebowało dopalacza. A potem ją rzucił.

Nie. Nic tragicznego.

Tylko słaby, mały człowiek z dużym pechem, kiedy przyszło do romantycznych związków.

I jego pech nigdy nie zniknie. Nigdy. Nie, dopóki Dora ma coś do powiedzenia.

Żadna nie przeżyje. Żadna.

Dopóki w końcu, pewnego dnia, kiedyś w przyszłości, on ujrzy siebie jako złego, pechowego wirusa, którym jest i przestanie próbować.

Wiedziała, ile znaczy dla niego seks. Przez całe lata, dopóki nie wystąpił u niego ten... problem, znaczył bardzo dużo. To go zabije.

Odkupienie, pomyślała. Odzyskanie czegoś zastawionego. Czegoś, co objęła Howardowi hipoteką.

Uwolnienie czegoś.

Jej poczucia siebie. Jej *prawdziwej* siebie. *Potrzebuję cholernego odkupienia.*

O dwudziestej opuścił budynek.

Zabijała czas nad drugą filiżanką kawy i prawie go przegapiła - przeszedł tuż obok niej, siedzącej przy oknie. Dora pomyślała, że wygląda na smutnego i zamyślonego.

Być może tam na górze rzeczy nie szły tak gładko.

To nie miało znaczenia.

Powoli dopiła kawę i zapłaciła za nią gotówką. *Żadnych dowodów.* Taksjarsz podłapywał kurs - elegancki starszy mężczyzna w drogim garniturze, noszący muszkę i trzymający laskę stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciw numeru 39. Pomyślała o kobiecie Walkera Evansa przed supermarketem. To nadal był świat facetów. Nawet starych facetów. Poczekala, aż odjadą i przeszła przez ulicę. Weszła po schodkach, otworzyła drzwi wejściowe i przebiegła wzrokiem skrzynki pocztowe w korytarzu. Pod 3F była B. Querida. Nazwisko ją zdziwiło. Była pewna, że kobieta jest Irlandką. Zadzwoiła.

-Tak?

- Halo? Tak. Tu Janet.

- Janet?

- Tak. Jest tam Howard? Pauza.

- Chwileczkę. Wpuszczę panią.

Zabrział dzwonek. Otworzyła drzwi, podeszła do windy i nacisnęła „3”.

Na piętrze były tylko dwa mieszkania, świadczyło to tylko o ich wielkości. A lokalizacja była po sąsiedzku z Zachodnim Central Parkiem. B. Queridzie wiodło się raczej dobrze, pomyślała. Pewnie tak dobrze, jak Howardowi.

Kobieta stała w otwartych drzwiach, nadal miała na sobie

czarny, jedwabny kostium - *a może ponownie go na siebie założyła?*
- Wyglądała na opanowaną, uśmiechała się i przejawiała delikatną ciekawość.

- Przykro mi. Właśnie się pani z nim minęła - powiedziała. Dora zatrzymała się tuż za drzwiami.

- Cholera! - warknęła. Wyglądała na zmieszaną i speszoną. - Pracuję z nim. Mam dla niego dokumenty do podpisania. Boże.

- Dał pani ten adres?

- Powiedział, że będzie tu do dwudziestej, dwudziestej trzydzieści. Dopiero teraz dotarłam. Powiedział gdzie...?

- Nie. Obawiam się, że nie powiedział.

- Posłuchaj. Czy mogłabym...? Czy mogłabym skorzystać z telefonu i zadzwonić do kogoś w tej sprawie?

- Jasne. Oczywiście. Proszę wejść. Kobieta odsunęła się.

Pokój był w nieładzie, prawie wiktoriański, chociaż nieskazitelnie czysty. I nawet nie tak wielki, jak jej się wydawało. Wyściełane krzesła stojące przed czymś, co wyglądało na sprawny kominek. Ciężkie, kasztanowe zasłony. Bibeloty i wazy wypełnione różami z długimi łodygami.

Pokój był ciemny. Głęboka czerwień. Mahoniowe meble.

Nawet obrazy były ciemne. Krajobrazy i burza. Nieczytelne kształty. Jeden z obrazów, pomyślała, mógł być autorstwa Alberta Rydera.

Nie tego się spodziewała.

- Telefon jest w sypialni. Tędy.

Kobieta szła przed nią przez wąski wyłożony panelami korytarz z czarno-białymi rysunkami i starymi fotografiami w kolorze sepii na ścianach, chociaż wydawały się rozmazane.

Dora otworzyła teczkę. Jej palce wymacały drewnianą rękę Jeś.

To było kłopotliwe. Miejsce było zbyt ciasne. Pomyślała, że lepiej poczekać, aż dojdą do sypialni. Nawet udawać, że do kogoś dzwoni.

Będzie mnóstwo okazji. B. Querida odwróciła się do niej plecami. Nie bała się.

Jeśli zrobiła to raz, zrobi ponownie.

Palce kobiety zacisnęły się na klamce z ciętego kryształu, przekręciły ją i delikatnie otworzyły drzwi. Teraz stała bokiem, z połową twarzy widoczną dla Dory i uśmiechała się w przyciemnionym świetle, chociaż druga połowa twarzy ginęła w ciemności sypialni.

- Zapalę światło - powiedziała.

Weszła do środka. Dora po cichu poszła za nią, prosto w ciemność. Nagle poczuła się dziwnie nie na miejscu, jakby wcale nie było jej w mieście, ale w jakimś pokoju w Vermont czy New Hampshire, gdzieś na wsi, w bezksiężycową i bezgwiazdną noc, kiedy ciemność zdaje się połykać każdą odrobinę światła. Nowy Jork nigdy nie był *czarny*. Nigdy. Świecił.

Ale nie teraz. Jej oczy nie widziały kobiety. Mogła tylko słyszeć jej kroki w pokoju, stawiane z łatwością kogoś, kto od dawna jest niewidomy i kompletnie zaznajomiony z ciemnością.

Stała. Czekala.

I prawie zawróciła, ponieważ coś tu było nie tak, coś było nie w porządku, był tu jakiś haczyk i nie bardzo ją interesowało jaki, ale ta ciemność była nienaturalna i coś mówiło jej, żeby się stąd wynosić. Wtedy usłyszała *pstryki* Nagle ciemność eksplodowała, zalewając ją światłem.

W jednej chwili stała się ślepa i przez moment nieświadoma, że kobieta znów przechodzi przez pokój. Wychyliła się w jej stronę przez promień, jak jakiś zły anioł skąpany w świetle. Zdawała sobie sprawę z fali ciepła i parzącej jasności, dopóki kobieta nie złapała jej za ramię i nie chwyciła teczki. Następnie popchnęła ją do środka, wydarła teczkę z rąk i rzuciła na podłogę.

Drzwi się zatrzasnęły. Dora pomyślała o swoim ojcu. *Drzwi zatrzasnęły się za nim. Zamek się przekręcił. Kiedy się pochylił, czuć było whisky. Czyją jesteś dziewczynką?*

Kobieta podeszła do niej, wychodząc ze snopu światła reflektora umieszczonego na drzwiach.

- Niektórzy moi klienci chcą czuć się jak gwiazdy filmowe
- rzekła. - A może jak więźniowie polityczni. - Zaśmiała się.
- Czasem jedno i drugie.

Pokój przecinały kolumny światła z reflektorów. Ponad nimi, Dora widziała normalnie. Usiadła i rozejrzała się. Kobieta ją obserwowała.

Wyjęła nóż z teczki.

Jakby wiedziała od początku, że on tam był.

- Kłamałam w sprawie sypialni - powiedziała. - Jest po drugiej stronie mieszkania. I nikt tam nie wchodzi, oprócz mnie. Wybacz.

Dora spojrzała w górę i poczuła historyczną potrzebę wybuchnięcia śmiechem, a potem żądzę ucieczki.

Pokój był długi, wąski, i poza drewnianym krzesłem i małą, dębową szafką na bieliznę, wolny od konwencjonalnych mebli. Nie było okien. Widziała miejsce, w którym wcześniej znajdowało się okno. Parapet i ramy były na swoim miejscu, ale samo okno zostało zamurowane ceglami i pomalowane na czarno. Reszta pokoju wyglądała jak wyściełana cela w azylu - z tym, że wyściełanie też było czarne. Grube, stalowe pręty splatały się na suficie. Łańcuchy, uprząże i kajdany zwisały z niego w nieładzie. Niektóre połączone były sznurami z krążkami linowymi na ścianach. Była też ściana pełna stalowych i drewnianych instrumentów

- zacisków i próbników, narzędzi do cięcia, przekłuwania i rozdzierania. Na kolejnej ścianie prezentowały się maski, pasy, pejczy, niektóre z nich zakończone metalowymi kulkami.

Na środku pokoju stały dwie olbrzymie, dwuipółmetrowe, czarne belki, krzyżujące się w literę X. Na ścianie przed nimi wisiało lustro.

Zobaczyła coś, co wyglądało jak zrobiony ze starego, zardzewiałego żelaza grill.

Drewniana beczka leżała na boku, ponabijana gwoźdźmi.

Zobaczyła pokiereszowany pieniek rzeźnicki przystrojony ciężarkami, zaciskami i nożami.

Kobieta dodała do nich nóż Dory, kładąc go delikatnie, prawie z uczuciem.

- On tu przychodzi, wiesz? Czuje się winny.

- Winny?

- Oczywiście. Zobacz, co ci zrobił.

- Mnie? Skąd wiesz... ?

- Och, wiem, że nic ci nie jest. Wiem. Widzisz, Howard zawsze płaci gotówką. Można pomyśleć, że ktoś taki jak on, zarabiający kokosy przychodzi z kartą kredytową nawet po napój lodowy. Nie Howard. Zawsze gotówka. Wiesz, że nadal nosi twoje zdjęcie w portfelu?

-Ja... nosi?

- Mówię ci. Czuje się winny. Założę się, że nie myślałaś, że on taki jest, czyż nie?

Kobieta nie żartowała. *Jej zdjęcie było w jego portfelu.* Niesamowite.

- Oczywiście nie chodzi tylko o ciebie. Jest jeszcze broker i sekretarka. On czuje się winny również z ich powodu. Chociaż nigdy nie mogłam się domyślić dlaczego. Cholera, myślę, że czuje się też winny z powodu śmierci matki. Howard nosi w sobie spore poczucie winy. Jest za co odpowiadać. Przynajmniej on tak uważa.

Znów się zaśmiała.

- Nie bądź taka zszokowana. W tym biznesie słyszy się wiele historii. Ludzie się spowiadają. Ja sprawiam, że się spowiadają.

Podeszła bliżej.

- Wstań, Dora. Wykonała polecenie.

- Zdejmij kurtkę. Niech no na ciebie spojrzę. Zawahała się.

- Jestem od ciebie o wiele silniejsza. Zwłaszcza bez tej twojej małej zabawki. Wiesz o tym, prawda?

Dora spojrzała w jej szeroko otwarte, zielone oczy i skinęła głową. Zdjęła kurtkę. Nagle poczuła się naga.

Kobieta wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jej włosów. Jej dotyk był elektryzujący.

- A co z tobą? - spytała. - Za co ty odpowiadasz? *Musisz się stąd wydostać*, pomyślała. *Natychmiast*. Kobieta odwróciła się, podeszła do reflektora i wyłączyła go.

- Zobaczymy, czy mam rację - powiedziała. - Kiedy go miałaś, nie chciałaś się z nim pieprzyć, tak ?

Wzruszyła ramionami.

- To się zdarza. Dla niektórych ludzi zdobywanie jest wszystkim. Jak już udowodnisz, że możesz to zrobić, kiedy już jest twój, to już nic nie znaczy, prawda? Zamienia się w popiół. Zwłaszcza, kiedy sama siebie niezbyt lubisz. A ty siebie nie lubisz, prawda?

Dora znów poczuła na sobie jej sondujące spojrzenie.

- Oczywiście zajęło mu trochę czasu zrozumienie tego i dopasowanie się do ciebie, przemiana w niewiarygodnie kurczącego się fiuta, jakim chciałaś go widzieć od początku. A kiedy już jej dokonał, wziął odwet. Zaczął cię bagatelizować, starał się sprawić, byś czuła się mała, głupia i bezsilna. A część ciebie naprawdę myśli, że taka jesteś. Wiedział dokładnie, w którą strunę uderzyć, prawda?

Podeszła do rzeźnickiego pieńka i ponownie podniosła nóż Dory, pocierając palcem krawędź, którą rano ostrzyła.

- Ja też tak myślę - oświadczyła. I Dora jej uwierzyła.

- Czy dotarło do ciebie, że on cię redukował, by się dopasować? Żeby mógł cię w końcu zostawić, bez poczucia, że coś z nim Jest nie tak, udowodnić sobie, że to od początku była twoja wina" A to była twoja wina, czyż nie? Część ciebie naprawdę jest mała. Nie chciałaś się z nim pieprzyć. Miałaś już to, czego chciałaś, tak po prostu.

Kobieta wróciła na miejsce, w którym stała Dora, przed ogromne, czarne X i wymierzyła w nią czubek noża, prosto w górny guzik jej bluzki. Dora stała bez ruchu. Kobieta przekręciła nadgarstek i guzika już nie było.

- Więc - powiedziała. - Powtórzę jeszcze raz. Za co ty odpowiadasz? Czują chłód noża, rozwierającego jej bluzkę. Jego płaskie ostrze poruszało się w dół.

Kolejny trzask. Kolejny guzik upadł na nagą, drewnianą podłogę.

-Ja... Ja nie...

- Nie chciałaś? Oczywiście, że nie, Dora!

Zadrzała. Nóż przebiegł po jej kremowym, jedwabnym staniku, prosto po jej mostku. Kolejny guzik. *Trzask.*

Kobieta potrząsnęła głową i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- A on nadal trzyma twoje zdjęcie w portfelu. Stoisz na skałach przy wybrzeżu. Masz na sobie biustonosz i dżinsy, fale rozbijają się, tworząc białą pianę, a ty się uśmiechasz.

Nóż przesunął się w dół po jej brzuchu. Ostrze było teraz cieplejsze. Czują oddech kobiety na swoim policzku. Pachniał deszczem i świeżym powietrzem. Kobieta była piękna. One wszystkie były piękne na swój sposób.

- Dora. Nie czujesz się winna?

Nic nie mogła na to poradzić. Zaczęła płakać.

- Och, nie ma potrzeby - wyszeptała kobieta.

- Po prostu się cofnij.

Poczuła ostrze noża na swoim brzuchu, delikatnie popychające ją w kierunku drewnianej konstrukcji. Kobieta się myliła - była potrzeba płaczu. Obojętnie, czy łzy powodowane były poczuciem winy, czy strachem, to teraz nieistotne, ponieważ to jedno i to samo. Kobieta uklękła i wpasowała jej kostki w miękkie, czarne kajdany u podstawy konstrukcji, po czym ciasno je zapięła. Kiedy rozsunęła nogi, by skrępować drugą kostkę, Dora

poczuła, że opuszczają wszelka wola, wydalona jednym, długim oddechem.

- Podnieś ręce.

Poczuła kajdany zacieśniające się na jej nadgarstkach, zapach skóry i bogaty bukiet pachnącego oleju. Kobieta zrobiła krok w tył.

- A inne, Dora? Czy pomyślałaś o innych? Nie pomyślała.

Pomyślała.

Oczywiście, że pomyślała.

Spojrzała na swoje odbicie w ściennym lustrze, a potem na długie, gładkie plecy kobiety. Wszystko widzę, pomyślała. Wszystko. Nas obie. Cały czas.

To było przerażające. I emocjonujące. Jakby ona i kobieta były częścią jednego bytu, jakby obie były Dorą - *zasadniczą Dorą* - karzącą i karaną.

- Zabiłaś je. Chciałaś zabić mnie.

Serce jej waliło. W lustrze widziała jak unoszą się i opadają jej piersi, sutki twardnieją i robią się zbolące pod cienką, przejrzystą powierzchnią stanika.

Kobieta westchnęła.

- Byłaś bardzo niegrzeczną dziewczynką - powiedziała. - One na to nie zasługiwały. A już na pewno nie z powodu ciebie i Howarda. Myślę, że odpowiadasz za bardzo wiele. Prawda?

W lustrze zobaczyła, że odpowiada. Pokiwała głową.

Ja tylko szukałam jakiegoś odkupienia, pomyślała,

Obserwowała, jak nóż wędruje po jej skórze od talii do stopy. Pot całego dnia nagle wywietrzał, kiedy opadła z niej spódnica. Nóż następnie powraca na górę, do dwóch ostatnich guzików jej bluzki i podróżuje po ramionach, by przeciąć rękawy. Bluzka i spódnica uformowały na podłodze przed nią kałużę, jak zrzucana przez węża skóra.

Kobieta przerwała, odsunęła się i pozwoliła jej przez chwilę przeglądać się w lustrze. To było dobre. Odkryła, że czuje poii /dopatrzenia.

Podeszła do szafki z bielizną, wyjęła dwa czarne prześcieradła i rozłożyła je wokół stóp Dory. Rozpięła kostium i strząsnęła go z ramion. Pod nim była naga. Starannie powiesiła kostium na oparciu krzesła, następnie wzięła ze stołu długą brzytwę o perłowej ręczce i prostym ostrzu. Otworzyła ją. Błyszczała w świetle. Pomyślała, że wygląda tak jak ta należąca do jej ojca.

- To chwilę potrwa - powiedziała. - Będzie po tym niezły bałagan. Ale dotrzemy do twojego wnętrza, ty i ja. Obiecuję. Do twojego prawdziwego ja.

Kiedy brzytwa rozrywała ramiączka i środek jej stanika oraz bok majteczek, poczuła nagły przypływ wolności, mocno związany z nagłym poczuciem przerażenia. Było idealnie, tak jak być powinno.

- Wyzwolimy cię - powiedziała kobieta.

Po raz pierwszy, lecz nie ostatni, brzytwa poszła w ruch.

ZJAZD NA TOLEDO BLADE BOULEVARD

Chłopcy w pickupie podróżowali na północ ciemnym, pustym odcinkiem 1-75 w pobliżu Nokomis. Cisnęli się we trójkę w szoferce. Mimo otwartych okien pocili się w lipcowym upale. Mogli czuć własny pot, unoszący się w powiewach wiatru. Nie przeszkadzało im to. Była poniedziałkowa noc. W pobliżu i tak nie było żadnych dziewczyn.

Jimmy, który w tym tygodniu skończył osiemnaście lat i przegrywał swoją niekończącą się batalię z pryszczami, pociągnął łyk piwa i podał Dougowi, który przekazał puszkę Bobby'emu. Samochód jechał pasem szybkiego ruchu, wyciągając sto dziesięć w strefie do dziewięćdziesięciu pięciu. Bobby prowadził. Czwarte piwo w jego ręce było niebezpieczne. Mniej niebezpieczne tu, o północy na autostradzie, niż na ulicach Tamy, gdzie dużo łatwiej o zatrzymanie - ale wystarczająco niebezpiecznie.

Nie przejmował się. Ryzyko, do cholery, było w to wpisane. Do tej pory miał szczęście.

Bobby przechylił puszkę. Piwo było cieplejsze niż lubił, ale pierwszy łyk zawsze smakował dobrze, ciepły czy nie. Hej. Daj głośniej - powiedział do Douga. - Szybko.

W radio leciała piosenka *Tebbessee Stud* w wykonaniu Johnny'ego Casha. Przypomniała mu jednocześnie o neurodzajnej farmie jego wujka w Georgii i o Mary Ann Abbot, oraz o Dee Dee

Whitaker - i o tym co on, Bobby, wiedział o życiu, a czego oni dwaj, Doug i Jimmie, nie wiedzieli. Kochał tego faceta. Faceta w czerni.

Chociaż raz Doug nie narzekał na śpiew Johnny'ego. Prawda była taka, że Doug już przestał narzekać. Pięć zimnych browarów w Cave Rock Inn w Murdock i jeden po drodze, a stary Duggie ledwo mógł namierzyć pokrętko głośności. Jakoś mu się jednak udało. Pochylił się, studiując panel i wtedy Jimmie zaczął śpiewać. Jimmie miał całkiem ładny głos, ale nie potrafił wydobyć z siebie tych niskich, mrukliwych nut, jak Johnny. Czego można było się spodziewać? Cholera, Bobby nadal pamiętał, kiedy zmienił się głos małego Jimmiego. To nie było lak dawno temu. Jimmie nadal był dzieckiem.

Znów pomyślał o Mary Ann, obraz, wspaniałych, białych, nagich ud rozłożonych w lesie. Myślał o lym i słuchał wiatru, a piosenka zagłuszała ten dźwięk, gdy on znów przyłożył puszkę piwa do ust i zobaczył coś migoczącego przed nim. Następnie coś nagle zamajaczyło w przednich światłach, uderzając o nie, a potem o drzwi od strony pasażera. Jimmy przestał śpiewać, wrzasnął i powiedział coś, co brzmiało jak „codokurwyyy?” Skręcił w bok i wcisnął pedał hamulca, usiłując zapanować nad wozem. Następne, z czego zdał sobie sprawę, to że jadą wyboistym poboczem niecałe dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, zdumiony, że nadal żyją. Trząśł się jak mokry pies, a jego kolana, nogi i koszulka były brudne i mokre w miejscu, gdzie zwymiotował na niego Doug.

* * *

Wcześniej, tego popołudnia George Hubbard gapił się na podwójne, oszklone drzwi prowadzące z jego kuchni na werandę. Myślał o psie i o tym jak pies w jakiś sposób stał się początkiem tego wszystkiego.

Pies był prezentem dla niej, czymś, co miało sprawić, że zostanie, nadzieją wbrew nadziei, że kilka kudłatyh kilogramów

ciepłego szczeniaka golden retrievera będą dla nich klejem, którym seks już nie był, tak jak nie była nim miłość ani nic innego.

Nie zadziało. Odeszła, pies odszedł z nią.

Tak jak i cała reszta.

Jego ojciec odszedł - zmarł na atak serca - ale to właściwie wyszło na dobre. Przynajmniej jeden z nich nie mógł już grać ofiary pieprzonej złośliwości matki. Jego siostra, teraz już po trzydziestce, jakoś niezauważalnie stała się lesbijską dziwką z Sodomy, pracującą jako listonosz, na litość boską, w Shreveport w stanie Louisiana. Nie rozmawiali od dwóch lat, odkąd zmarł ojciec, a nawet wtedy były to tylko krzyki. Jego przyjaciele wsiąknęli w jedno czy drugie ludzkie mrowisko w Sarasocie, po tym jak zaczął mówić im, co naprawdę się z nim dzieje. Wszyscy zamknęli się we własnych, małych żywotach, własnych ślepych zaułkach pseudoświadomości. Krzyż na drogę. Siostra, przyjaciele. Nawet jego żaloszny ojciec.

Nie mógł pozbyć się tylko matki.

Odkąd był dzieckiem, próbowała go zabić, a potem tylko zwiększała tempo. W pewien sposób osiągnęła sukces.

Gapił się na zachodzące słońce i zaciągał skrętem. Joint był jedną z dróg ucieczki przed nią.

Powiedzieli, że zwariował. Paranoik. Lekarze w szpitalu, po tym jak przedawkował metamfetaminę, mieli jaja, by posunąć się nawet dalej. *Schizofrenia* paranooidalna, stwierdzili.

Nawet Cal i Linda myśleli, że jest paranoikiem i mówili mu to w twarz. Mówili, że potrzebuje pomocy - jego najlepsi przyjaciele z liceum. Mówili, że jego matka nie mogłaby tego wszystkiego *zrobić*. A on cholernie dobrze wiedział, że ma coś wspólnego z mafią, że ciągle go nęka, każdy mógł zobaczyć, że nasyła na niego swoich przyjaciół z urzędu podatkowego i swoich przyjaciół z policji za alimenty dla jego pierwszej żony i córki, starając się go zapuszkować.

Musiał opuścić stan. Przyjechać tu, na Florydę.

Musiał zniknąć.

Jego matka nie była jedyną, która знаła jedną czy dwie sztuczki.

Wiedział, że szuka go nawet teraz. Czuł to. Czuł to we krwi. Matka wszędzie miała swoje macki. Była psychiczna jak diabli i szukała.

Znajdź pomoc. Cholera. Raz, lata temu, przeleciał Lindę. To było dobre pieprzenie. Przyjacielskie. A teraz się go wyparła. Jak wszyscy.

Nawet Sandy, po trzech latach kochania go, a przynajmniej mówienia, że go kocha, po tym jak pozwoliła mu myśleć, że tak jest, *wiedzieć*, że tak jest, po tym jak trwała przy nim mimo przeprowadzki, bo sama mogła stwierdzić jaką suką była jego matka, sama miała dosyć kłótni, ale nawet ona nie mogła uwierzyć, w powiązania z policją, mafią i rządem. Jego matka była na to zbyt sprytna, zbyt sprytna, by dać się do siebie doprowadzić. Niektóre rzeczy zarezerwowała tylko dla niego.

Zdusił jointa i przespacerował się z roztargnieniem po mieszkaniu, patrząc na to, co zostawiła. Nie było tego dużo. W salonie - jego biurko, półka pełna książek w miękkiej oprawie i kaset audio. W kuchni - kilka starych garnków i patelni, trochę sreber stołowych i szklanek, toster i mikrofalówka, którą razem kupili.

Z łazienki na górze zabrała nawet zasłonę prysznicową.

Najgorsza dla niego była sypialnia. Łóżko nadal tam stało, ale bez kołdry i koronkowej, ręcznie robionej narzuty. Brudne prześcieradło leżało w rogu. Zostawiła mu trzy z siedmiu poduszek. Telewizora nie było, tak samo jak nocnego stolika przy łóżku. Kredens został, ale bez jej pudełek na biżuterię, perfum oraz przyborów toaletowych wyglądał na nieużywany. Uleciało z niego całe życie. Puste wieszaki w wielkiej garderobie wydawały się śmieszne. Bieda czekająca na dostatek, który już nigdy się nie pojawi.

Przeszedł przez pokój i usiadł na łóżku.

Jego kroki brzmiały dla niego o wiele za głośno.

To łóżko było z nimi w trzech mieszkaniach, po jednym na każdy rok bycia razem. Wydawało się prawie niewłaściwe, że nie zabrała go ze sobą - jak zostawienie dziecka albo ukochanego kotka. Rodzaj zdrady. Pomyślał o tym, co działo się na łóżku, rozmowy, śmiechy, kłótnie, *Jezu*, radości i smutki między nimi, które trwały nieraz do późna w nocy. Pomyślał o kochaniu się z nią, ojej intensywnej, niesamowitej namiętności, która spokojnie dorównywała jego własnej, której nie tylko nigdy wcześniej nie widział, ale też nie wiedział nawet, że może istnieć w kobiecie, a która nie osłabła wcale, aż do niedawna, aż do ostatniego roku, kiedy zaczął mówić jej prawdę o tym, co się z nim dzieje. Zwierzył się jej z tego, co robi jego matka. Powiedział o całej cholernej konspiracji. W końcu, tydzień temu, o tym, co jest z nim nie tak.

Pomyślał o tym, jak bardzo intymne było łóżko. *W nocy, przed snem, dusza wylewa swoją siłę.*

Przyłożył dłonie do twarzy i zapłakał. Słyszał echo swoich szlochów w pustym pokoju. Kiedy był już wyczerpany, wstał i zszedł po schodach. Jedna z kości do gryzienia dla psa leżała na wpół ogryziona na półpiętrze. Podniósł ją, poszedł do kuchni i wyrzucił do kosza na śmieci.

Stał przez chwilę, patrząc na ganek skąpany w zanikającym świetle. Przesłona prowadząca na małe, zamknięte podwórko zarastała pnączami. Normalnie chciałby się tym od razu zająć. Zarabiał na życie jako ogrodnik i to była dla niego, jako dla zawodowca, sprawa honoru. Kilka pnączy to jeszcze nie był problem, nawet wyglądały atrakcyjnie. Lubił je, ich pełne gracji, abstrakcyjne wzory. Ale w taki sposób w końcu zniszczyłyby przesłonę.

Zdecydował, że czas złamać zasadę. Rzucił picie, ponieważ Sandy nienawidziła tego zapachu w jego oddechu, a on chciał dla niej ładnie pachnieć, kiedy szli razem do łóżka, kiedy się kochali albo przynajmniej całowali na dobranoc, tak by nie uchybiało jej spanie obok niego. Ale teraz, gdy jej nie było, nie było komu uchybiać, a biorąc pod uwagę ten jego mały, kurewski problem. I nigdy nie będzie.

Podszedł do barku. Nalał sobie drinka.

Pół godziny po tym, jak pickup Bobby'ego zjechał z drogi i pokonał blisko pięćdziesiąt kilometrów na południe wzdłuż 1-75, Pete i Jan Hoffstader w białym fordzie thunderbird, wspięli się na drogę wjazdową przy rzece Peace, czekając aż para reflektorów zjedzie na pas wolnej jazdy. Następnie wyjechali na autostradę.

Byli nieco zdenerwowani z powodu późnej pory. Dochodziła prawie północ.

To się prawie nigdy nie zdarzało.

Normalnie byliby już od pół godziny w łózkach, po wiadomościach i prognozie pogody. Pete był zmęczony.

Z drugiej strony to był całkiem udany wieczór. Zjedli obiad z bratem i szwagierką Jan. Dobre, niemieckie jedzenie w restauracji Karla Ehmera w Punta Gorda. Tyle żarcia, że nie mieli gdzie go pomieścić. W ich wieku konsekwencje przyjdą znacznie później. Połowę jego pieczeni wołowej, czerwonej kapusty i kopytek zapakowano w styropianowe pudełko, które spoczywało na kolanach Jan. Podjechali jeszcze do przyczepy mieszkalnej jej brata Eda na drinka przed snem, który zamienił się w dwa drinki, a on stracił poczucie czasu podczas rozmowy z Edem na temat ich odpowiedniego ekwipunku podczas stacjonowania we Francji w czasie wojny. A potem Pete pomyślał, że przed powrotem jeszcze wypije kawę.

Byli w drodze do domu na osiedlu seniora w Silver Lakes w Sarasocie.

Czterdzieści pięć minut jazdy.

Autostrada była prawie pusta o tej porze.

A co, jeśli zepsuje im się samochód? *Jezu. A jeśli złapią gumę?*

Na sześćdziesiątej siódmej, z sercem, które nie działało już tak, jak kiedyś, nie wspominając o trzech drinkach we krwi - nie czuł się na siłach, by zmieniać cholerną oponę.

A co tam, pomyślał. Trzeba być dobrej myśli.

Ale Jan była zdenerwowana. Można było to stwierdzić po tym, jak przebierała palcami, bawiąc się języczkiem styropianowego opakowania.

Częściowo dlatego, że nie powinien prowadzić w nocy. Miał jaskrę. Zwęziła jego pole widzenia, a reflektory nadjeżdżających samochodów mogły być piekłem. Ale tu, na autostradzie nie było ich wiele. Jeśli zostanie na pasie wolnego ruchu, nie będą dużym problemem. Gorzej było w mieście, gdzie ulice były węższe.

Poczuł chwilową irytację. *To ona* wybrała termin obiadu z jej bratem. Spodziewała się, że co zrobią potem? *Polecą* do domu? Obojętnie, czy była ósma, czy północ, ciemność była ciemnością, a reflektory reflektorami. Kiedyś zarabiał na życie jako kierowca autobusu. Da radę.

Nie mógł się na nią długo wściekać.

Sięgnął i poklepał jej bladą, chłodną dłoń.

Miał szczęście. Jego druga żona była cholernie dobrą kobietą. Wiedział o tym, kiedy się z nią żenił. Ale jeśli miał jakiegokolwiek wątpliwości, sposób w jaki wspierała go podczas angioplastyki, przerażonego, przestraszonego do łez, jak była mu podporą, cóż, wtedy mógł definitywnie się ich pozbyć.

Ktokolwiek twierdził że mężczyźni są twardsi od kobiet, nie wie, o czym mówi.

Chociaż teraz ona też była z jakiegoś powodu zdenerwowana.

Daj jej mówić, pomyślał. Odpręż ją. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to zwykły temat. - No więc, co myślisz o tym, by zjeść jutro obiad w Stockyard? Nie byliśmy tam od jakiegoś czasu. Rozważyła to. Och, nie wiem - odparła. - Będzie zatłoczona. O tej porze roku nie aż tak bardzo. Wszyscy wyjechali na zimę.

- Zawsze jest zatłoczona. Dorothy była tam w zeszłym tygodniu i była zatłoczona. Może Olive Garden?

Wzruszył ramionami. Wolałby stek ze Stockyard, ale co tam.

- Może być Olive Garden.

- Chodzi tylko o to, że Stockyard będzie zatłoczona.

- Nie przeszkadza mi Olive Garden.

- No nie wiem. Spojrzał na nią.

- Wszystko w porządku?

Marszczyła czoło. Miała otwarte usta, ściągnięte brwi i zmrużone oczy. Słyszał jej paznokcie uderzające o styropianowe opakowanie.

- W porządku.

- Dobrze prowadzę, czyż nie?

Jechał osiemdziesiąt w strefie pozwalającej na dziewięćdziesiąt pięć, thunderbirdem wyposażonym w tempomat, a w zasięgu wzroku nie było innych samochodów, ani z przodu, ani z tyłu.

- Tak, kochanie. Dobrze sobie radzisz. Wiedział to.

- Więc? O co chodzi? - spytał.

- Nie wiem. Coś jest nie tak. Coś nie gra.

- Martwisz się o swojego brata?

Ed miał raka prostaty. Było za wcześnie, by stwierdzić, czy leczenie zadziała.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Może.

Ponownie na nią spojrzął. Kontrolki na tablicy rozdzielczej dawały blade, zielonkawe światło. Jej twarz była nieruchoma.

Przez moment pomyślał, że tak właśnie wyglądałaby martwa, ale potem odrzucił tę myśl.

Cholera, pewnie przeżyje go o dziesięć lat, jeśli nie więcej.

Pomyślał, że jest po prostu zmęczona. Zmęczona i zdenerwowana, będąc w drodze o tak późnej porze, z nim za kierownicą.

Wkrótce będziemy w domu, pomyślał.

Skoncentrował się na jezdni i już na nią nie patrzył.

Osiem kilometrów za nimi Annie Buxton utrzymywała średnią prędkość dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, w wynajętym, czerwonym nissanie i pomyślała o tym, jak niesamowicie lekka jest jej głowa.

Trzy tygodnie temu, mniej więcej o tej samej porze, popijała swoją szóstą czy siódmą wódkę z tonikiem. Potem przerzuciła się na Stoliczną. Urwał jej się film.

Spojrzała na wskaźnik paliwa i zobaczyła, że ma mniej niż ćwierć baku. Dojedzie do domu w Bradenton. Ledwo. Ale kogo **to** obchodzi? Najważniejsze, że jest w drodze do domu. Zastanawiała się nad włączeniem radia, ale było więcej niż pewne, że cokolwiek sentymentalnego - każda piosenka ze słowem *miłość* - znów wywołałoby u niej płacz. Ostatnio zachowywała się jak mazgaj.

Jej siostra mówiła, że można było się tego spodziewać. Annie zbierała kawałki swojego życia i znowu składała je do kupy, a było tyle kawałków i tyle składania, że każdego doprowadziłoby to do płaczu.

Madge mówiła, że tak czy siak zawsze płacze, kiedy zdaje sobie sprawę, że wbrew wszystkiemu i tak przetrwa. Mimo to nie włączyła radia. Lepiej było w ciszy, tylko z wiatrem i niegościnną, płaską przestrzenią rozciągającą się wokół niej.

Wyjęła marlboro z leżącej na desce rozdzielczej paczki i zapaliła. Papierosy były czymś, na co chciała sobie pozwolić, przynajmniej teraz. Któregoś dnia je też rzuci, może nawet załatwi sobie plaster. Ale wszystko po kolei. Albo jak piszą w książkach, małymi kroczkami do celu.

Wlewające się przez okno powietrze było wprost cudowne.

Przez półtora tygodnia nie wychodziła z dusznej sypialni swojej siostry. Pierwsze dwa dni spędziła przywiązana do łóżka z baldachimem.

Trudna miłość, jak nazywała to Madge. *Nie pojedziesz, do cholernego szpitala, dobra, w porządku, zrobimy to tak.*

Widziała króliki na łóżku. A także węże, które połykały króliki w całości. Wypłynęła w morze na tym łóżku, zatonąła i z powrotem wróciła na powierzchnię. Wyła, pociała się, cierpiała i zabrudziła prześcieradło.

Trudna miłość. To właśnie było to.

W sumie trzy tygodnie w domu siostry. Przez większość czasu była rzeczywistym więźniem, trzymanym w niewoli wbrew własnym nałogom, uwięzionym we własnym spoconym gorączką ciele, podczas oczekiwania aż jej organizm i umysł oczyszczą się z trucizn, które zabijały nie tylko ją, ale też jej sześćoletnie małżeństwo z Timem.

Dwa tygodnie zanim Madge w ogóle pozwoliła jej zapalić dymka.

Do tego czasu zdążyła wyzwąć siostrę od najgorszych. Wcześniej parę razy nawet się na nią zamachnęła. Nawet, jeśli w głębi serca wiedziała, że jej starsza siostra zapracowywała się jak cholera, wykonując parszywą robotę, starając się uratować jej głupiutkie życie.

Dopiero później była na tyle przytomna umysłowo, by rozmawiać. Gadały w te nieskończone, wykańczające, radosne noce dopóki nie padały ze zmęczenia. Zdała sobie sprawę, że Madge rzeczywiście chciała uratować jej życie. Zrozumiała też kilka faktów ze swego życia, jak to, że Tim był szanowanym nauczycielem angielskiego, podczas gdy ona ledwo skończyła liceum. Do tej pory nie mieli dzieci, a ona kończyła trzydzieści pięć lat. On był zajęty swoim życiem, a ona nie. Te rzeczy nie liczyły się nawet w połowie tak bardzo, jak ona na to pozwalała. To była umyślna destrukcja. Miała obsesję na punkcie tego, co błahe i ignorowała jeden, wielki, piękny fakt - że Tim ją kochał, cholera, uwielbiał ją. Nawet wtedy, kiedy piła. Chociaż picie jego też zatruwało.

Tyle razy wprawiała tego delikatnego, spokojnego mężczyznę w gwałtowną wściekłość.

Tyle razy go naciskała i zaczepiała.

Jesteś ja k matka! Mówiła Madge. Głupia. Kochasz go na zabój, a on kocha ciebie. Dla ciebie liczy się tylko to, że jesteś zazdrosna, że jesteś teraz kurewsko znudzona i bezrobotna i czujesz się głupia i bezużyteczna. Wiesz, jakie to szalone? Jesteś dokładnie j a k ona! Nie tylko nie widzisz w lesie drzew, ty palisz cały ten cholerny las!

Pogłaskała się po policzku czubkami palców. W świetle jadących z naprzeciwka samochodów zobaczyła, że były czarne i lśniące od tuszu do rzęs.

Naprawdę jesteś głupia, pomyślała. Mogłaś po prostu włączyć to radio. I tak się rozplączesz. Dlaczego się po prostu nie zanurzyć we łzach?

Uśmiechnęła się do siebie, zgasiła papierosa i nabrała do płuc ciepłego, nocnego powietrza. Było po wszystkim. Dołączy do programu, jeśli będzie musiała - chociaż nigdy ją do tego nie ciągnęło. Nic. Nie było szans, że jeszcze kiedyś dotknie alkoholu. Podejrzewała, że na początku zejdzie dużo kawy. Jego głos w słuchawce, kiedy zadzwoniła powiedzieć mu, że wraca do niego, do domu, załamał się. Szloch, kiedy powiedział *Dzięki Hogu*, potem powiedział jej wyraźnie, głosem spokojnym jak głos jej samej, że od teraz nic już nie będzie takie samo.

Życie powinno się przeżyć najlepiej jak się da, ewentualnie zmienić je, jeśli trzeba.

Nie złamać.

Nigdy złamać.

Kiedy tej nocy wsiadał do samochodu, George Hubbard nic wiedział, co zamierza zrobić.

Miał wybrać się na przejażdżkę. Pozbyć się smutku. Zapomnieć o matce. Zapomnieć o swojej matce. Wydostać się z samo-

tnego, pustego mieszkania i odjechać, zanim wypije zbyt dużo by zaburzyć swój osąd albo dać się zapuszkować.

Wałęsając się po ulicach miasta, czuł się w porządku. Dopiero gdy skręcił w 1-75, zaczęła go spowijać ciemność.

Zrodziła się w jego umyśle, w jakimś zakątku, gdzie żyła jego matka i Sandy, gdzie żył gniew, od bardzo dawna. Wydostał się z tego miejsca, by objąć jego przyszłość, rosnący, czarny skrzep bólu, który przyćmił jego zmysły i karmił się widmowymi obrazami przyszłych oskarżeń jego opętanej maiki, władz, lekarzy, obrazami długich, samotnych miesięcy bez miłości i seksu, które czekały go, podczas gdy AIDS zje jego system odpornościowy, miesięcy zniszczenia, odleżyn oraz śpiączki i ta pojedyncza igła krystalicznej metamfetaminy w ramię, tak dawno temu, która była też demonicznym ukłuciem jego matki, jej zemstą, jej jadem hydry. Rzeczywistość i konsekwencje tego były przeznaczone dla Hubbarda i Sandy, do czego się jej wreszcie przyznał, a co przepędziło ją od niego w horrorze i furii.

Wewnętrzna ciemność rozprzestrzeniała się, tak jak rozprzestrzeniał się wirus HIV, zabarwiając jego sumienie na czarno.

Na 1-75 wyszła przez jego palce i zgasiła przednie światła.

A potem kazała mu zawrócić na południe, na pasie w kierunku północnym.

Był tylko w połowie świadomy pickupa, który się o niego otarł. Wiedział jedynie, że nadal żyje i ktokolwiek był w środku też nadal żył, tak jak wszyscy inni na tej żalösnej planecie i że nic się z tym nie da zrobić.

Jechał dalej.

Wewnątrz i na zewnątrz był tylko ciemnością.

To pewnie jaskra. Pete nigdy by go nie zobaczył, gdyby nie Jan. Nie dostrzegł samochodu, a jej oczy były sprawne i wpatrzone w drogę przed nimi. Jego żona była zmartwiona i zdenerwowana, że przemieszczali się o tak późnej porze i przestraszyła

go tak bardzo, gdy wykrzyknęła jego imię, że dał po hamulcach i szarpnął kierownicą, by oddalić się od czarnej, pędzącej prosto na nich masy. Lincoln przetoczył się, pochylając na bok, a potem przetoczył się ponownie i przez moment nic nie wazyli.

Rozbili się. Poduszki powietrzne nagle wybuchły, drzwi po jego stronie wgniotły się do środka, a przedni błotnik zaczął krzesać iskry wzdłuż autostrady, pas wbił się w jego klatkę piersiową oraz uda i wywichnął mu ramię ze stawu, powodując eksplozję obrzydliwego bólu. Poduszki otaczały ich oboje, kiedy samochód sunął i wyprostował się, aż w końcu przetoczył się jeszcze raz i zatrzymał pod kątem na środku autostrady.

Odepchnął poduszkę powietrzną by się uwolnić i zaczął szukać wzrokiem Jan obok siebie, ale znalazł tam tylko poduszkę, umazaną brązowymi i czerwonymi resztkami jego obiadu ze styropianowego opakowania. Miejsce pasażera ziało pustką. *Czy zapięła pas? Boże! Czy miała go na sobie?* Drzwi po jej stronie były szeroko otwarte, okno roztrzaskane. W powietrzu unosił się zapach metalu i dymu.

Dopiero teraz spanikował.

- Jan! Jezu, Jan!

Popchnął drzwi po swojej stronie, ale nie poruszyły się, a ból przebiegł przez jego ramię. Spróbował ponownie, ale był słaby i zbolały. Następnie usłyszał ją dobijającą się od zewnątrz i wołającą jego imię.

- Po drugiej stronie! Już idę! Nic mi nie jest. Dzięki Bogu, pomyślał. Nie za niego. Za nią. Wyswobodził się z pasa i przecisnął na krawędź siedzenia

bliżej drzwi. Do czasu, kiedy postawił jedną nogę na asfalcie, była już przy nim, pochylając się, płacząc i śmiejąc się jednocześnie, a jej blade, cienkie ramiona sięgały w jego stronę, by delikatnie go uspokoić i zabrać do domu.

Pomyślał, że może to był błąd.

Ludzie mnie po prostu mijają.

Może nie musiało tak być. To możliwe.

W pobliżu zjazdu na Toledo Blade Boulevard przyspieszył do prawie 130 kilometrów na godzinę, nie widząc prędkościomierza w ryczącej ciemności.

Gdzieś tam, w oddali, majaczyły światła reflektorów.

Kupię kwiaty, pomyślała. Zrobię obiad. Ze świecami. *Bez wina.*

Wszystko nowe, pomyślała. Ludzie mogą zacząć od nowa. Ludzie mogą wybaczać i nawet jeśli nie zapomnieć, to mogą brać życie, będąc smutniejszymi i mądrzejszymi niż są naprawdę i wyjdzie im to na dobre, mogą znów się kochać, znaleźć w miarę porządną pracę i może nawet pewnego dnia mieć dziecko. Nie była przecież na to za stara. Odzyskała zdrowie. Trucizny już nie było, tak jak tej ciemnej chmury nad jej życiem. Miała siłę.

Już jadę, Tim, pomyślała. *Wracam do domu.*

Żyję. Nic mi nie jest.

ŁAŃCUSZEK

Znów czekam na listonosza. Obiecałem sobie, że przestanę, ale czekam.

Przez większość dni nic nie przychodzi. Nawet śmieci. Nic. To dobrze, tak mi się wydaje.

Wczoraj śniło mi się, że zламаłem nogę i musiałem wziąć taksówkę do hotelu. Co jest głupie, ponieważ tu nie ma taksówek, a ja mieszkam w małym domku na końcu długiej, polnej drogi. Hoteli też tu nie ma. Tak czy siak, wziąłem taksówkę i wyłączyłem się. Patrzyłem przez okno i musiałem pozwolić kierowcy wziąć zły zakręt, ponieważ następne co pamiętam, to że się zgubiłem. Przeklinałem kierowcę. Nienawidziłem tego głupiego sukinsyna. Do czasu, kiedy znaleźliśmy mój hotel, byliśmy już śmiertelnymi wrogami. Jęczałem i zastraszalem go. Nie mógł powiedzieć mi ani słowa.

Wysiadłem bez płacenia i udałem się prosto do łazienki, gdzie znalazłem dwa stare kije, do których przymocowałem kilka zarzewiałych gwoździ i biczowałem się po plecach i ramionach, dopóki nie zrobiłem sobie prawdziwej krzywdy.

Tak jak mówię, to wszystko jest niedorzeczne, bo mieszkam tutaj sam, na końcu wąskiej, polnej drogi, tak dzikiej, że mam pod progiem gniazdo węży pończoszników. A trzydzieści metrów dalej są żeremia bobrów. Nie ma tu żadnych hoteli.

Wczoraj też czekałem. Cały dzień.

Jezu! Cholera! Pieprzyć listonosza!

Chyba pójdę do miasta.

Przy drodze zobaczył martwe od dawna dziecko. Małe ptaszki karmiły się jego wnętrznościami. Nie dało się rozpoznać, jakiej jest płci. Strasznie śmierdziało. Dalej leżał koń z kulą w mózgu. Przy wejściu do miasta zatrzymał się, by popatrzeć na chłopców, którzy przybijali kobietę gwoźdźmi do stodoły. Patrzył długo. Wbili po dwa gwoździe w każdą dłoń, jeden w klatkę piersiową i jeden tuż pod nadgarstkiem. Kobieta była naga. Krew spływała jej po ramionach na małe piersi. Chłopcy bili ją po twarzy i głowie cienkimi, brzoźowymi witkami. Jeden z nich naparł na nią udami, ale jeszcze był za mały.

Pan Crocker był zajęty rozmową z klientem, więc usiadł przy saturatorze, by poczekać. W gazecie toczyła się debata czy to, kto zakończy łańcuszek będzie zależało od przypadku czy osobowości. Stek bzdur. Pan Crocker nalał mu wody sodowej i obserwowali płonący budynek po drugiej stronie ulicy. Apteka Leary'ego.

- Nie podoba mi się to - powiedział pan Crocker. - Równie dobrze mogłem to być ja.

- Nikt by cię nie spalił.

- Trudno powiedzieć, co ludzie mogliby zrobić w tych czasach, Alfred.

- Nie masz się o co martwić.

Otworzył paczkę paluszków ziemniaczanych.

- Był już u ciebie listonosz?

- Jeszcze nie.

- Tu był już rano. Henley dostał list, wiesz?

- Dostał? Nie, nie wiedziałem.

- Wczoraj.

- Co zrobił?

- Oczywiście przekazał dalej.

- To rozsądne.

- Niczego innego nie spodziewałbym się po Henleyu.

- Nie, raczej nie.

Dopił wodę, zapłacił Crockcrowni dolar osiemdziesiąt i wyszedł na zewnątrz. Więc Henley d o s t a ł list. Zastanawiał się, j a k się poczuł.

To był pierwszy raz, kiedy ktoś, kogo znał osobiście, go do stał. P o m y ś l a ł o wstydlivym jākaniu się Henley'a i z a c z ą ł się zastanawiać. Oczywiście, teraz Henley był wolnym człowiekiem. Nie musiał się więcej martwić. Chociaż to i tak musiał być szok. Alfred ostatnimi czasy za bardzo się zamartwiał. Lepiej było mieć to już za sobą. Nie był pewien, ule pomyślał, że chyba zazdrości Henley'owi.

Chociaż teraz nie można mu ufać.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, do kawiarni. Jamie siedział tam nad filiżanką kawy, mrugając z powodu dymu z apteki.

- Cholerne utrapienie - powiedział

- Rzeczywiście.

- Widziałem, jak wychodzisz od Crockera. Powiedział ci o Henleyu?

- Taa.

- Szkoda.

- Tak myślisz?

- Jasne.

Wziął tyk kawy. Kubek był zagrzebany w jego dłoni. Jego szeroka, brodata twarz zanurzała się w niej i podnosiła ponownie. Ledwo dało się to wszystko zauważyć.

- Henley był przyzwoitym facetem - rzekł. - Czasami był też wrednym pijakiem, ale poza tym był w porządku. A teraz co? Kolejny krwawy rzeźnik. Albo to, albo będzie się wahać, żałować i siedzieć gdzieś w kącie, czekając aż zwariuje. Tak czy siak, Henleya raczej już nie zobaczymy. Szkoda. Będzie mi go brakowało.

Tak myślę.

Chłodno do tego podchodzisz. Nie znałem go aż tak dobrze. Pewnie. W każdym razie ja go znałem.

Zamówił kawę, tylko po to, by posiedzieć z Jamiem przez chwilę. Było za wcześnie, żeby wracać. Naprawdę nie chciał tam wracać.

- Słyszałeś kiedyś o kimś, kto pozostał taki sam po otrzymaniu listu? - spytał Jamie. - Jasne, że nie. Wszyscy się zmieniają. Zawsze na gorsze, przynajmniej dla mnie. I nazywają to religią. Gówno prawda.

- Jest w tym coś... z religijnej natury.

- Jasne. W dawnych czasach wcierali gówno we włosy.

- Przynajmniej chodzi tu o sumienie.

- To prawda.

Dwaj przyjaciele siedzieli przez, chwilę w milczeniu. Wiatr się zmienił, więc zrobiło się przyjemnie. Alfred zastanawiał się, czy Henley podał jego imię. Albo Jamiego. List mógł czekać na każdego z nich.

- Widziałeś dzisiaj gazetę? - spytał Jamie.

- Tak. Zastanawiają się, kim będzie człowiek, który zatrzyma list. Znowu.

- Świętym, oczywiście.

- Nie uważasz tak? -Nie.

- Więc kim? Wzruszył ramionami.

- Jakiś pieprzony świr. Ktoś zmęczony, oburzony. Żaden Prometeusz, mogę się o to założyć. Ktoś bez. odwagi, bez wyobraźni. Samobójstwo jest związane z brakiem wyobraźni. Ktoś, kto nie ma męczącej potrzeby wykorzystania tego pozwolenia.

-Ty?

- Cholera, nie. Ja mam jeszcze coś do zrobienia. Wystarczy, żeby jeszcze przez jakiś czas mnie zająć. Przyjdzie moja kolej. Spodziewam się, że będę się cieszył. Wolnością. Nie tykam tej gadki, ale zagram w tę grę według zasad i pewnie strzelę potem sobie w łeb. O wiele za późno na bohaterstwo i świętość, czy jak to tam nazywają, ale to nieuniknione. Moja wyobraźnia po prostu mnie zawiedzie. Co potem robić? Życ z ciągłymi wyrzutami sumienia?

Wyrzuty sumienia przyjdą o wiele za późno, by zrobić dla kogoś cholerny dobry uczynek, ale w końcu przyjdą. A wtedy oczywiście będą je miał. Myślę o sumieniu jako o zaciąganiu zasłon, wiesz?

- Nie pragnę nikogo skrzywdzić. Nikogo.

- Pewnie, że nie. Tylko poczekaj.

Chodziło o epokę, w której żyli. pomyślał - ale to nie było wyjaśnienie. Zgubił się gdzieś po drodze. Chodziło o epokę, w której Żyli, ale jak? I dlaczego? Ze środka nie można było zobaczyć postępującej ewolucji. Możesz tylko wskazać na jej najbardziej dziwaczne deformacje, najohydniejsze wcielenia. Ale istota zmian jest ukryta. Jakaś tajemnica krwi.

Wrócił do domu tą samą drogą.

Kobieta nadal tam była, wykrwawiając się na drzwiach stodoły. Zastanawiał się, czy nadal żyje. Chłopcy zniknęli. Martwy koń i dziecko też. Zastanawiał się, kto czerpał zabawę z wywleczenia ich gdzie indziej. Ktoś używał materiałów wybuchowych na drzewach rosnących wzdłuż pobocza. Były popękane i pokiereszowane. Bez życia.

Zbliżył się do domu jak zawsze, ostrożnie i bezszelestnie. Teraz było to już nawykiem. Pewna starsza kobieta z shotgunem dorwała Wayne'a Lovetta, kiedy któregoś nocy przechodził przez własne drzwi frontowe.

List wpadł przez otwór na korespondencję.

Otworzył go.

Nad jego własnym nazwiskiem było nazwisko Henley'a. Rozbawiło go, że tak niebezpieczny świat może być jednocześnie tak przewidywalny. Przeczytał list, a potem przeczytał go ponownie.

Wyżej podpisani przekazują panu całą odpowiedzialność za swoje działania: przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Uznajemy to za najwyższy honor i największe wyzwanie...

B e z b a r w n y język go zawiódł. Nie było tu nic inspirującego, ani podniecającego. To było niespodziewane!

Można oczywiście wybrać przyjęcie albo odrzucenie tej odpowiedzialności...

Znał zawartość. Zawartość była kwestią publiczną. To dobór słów, forma i składnia go zafascynowały, bo pozostawały tajemnicą dla tych, którzy jeszcze nie dostali listu, a teraz okazało się, że nie potrafią go pobudzić.

Odrzucić, po prostu dodać nowe nazwisko pod jego własnym. Dokładnie sprawdzić listę, by upewnić się, że nie powtarza się nazwiska już umieszczonego...

Jeśli to miał być najważniejszy moment w jego życiu, w ogóle tego nie odczuł. Wszystkiego, wszystkiego brakowało! Nic nie czuł. Tylko wielką pustkę, w której obcy, wyglądający jak on, trzymał dziwny, ale pospolity list. Zastanawiał się, kto dokładnie to wyśnił? I gdzie? W jakim szarym biurówcu? W jakim ponurym barze?

Zakończenie było najgorsze ze wszystkiego.

Zgodnie z wolą Boga i Pierwszego Kongresu Wiary, Abraham White, założyciel. Bądźcie błogosławieni.

Jego Ogrójec go znudził.

Stoję, gapiąc się na to. Zastanawiam się, do kogo go wysłać. Kogoś w rodzinie, może wujek albo kuzyn. Może jedno z dzieciaków. Nie ma sensu kazać im czekać tak długo jak ja, zestarzeć się, denerwując się coraz bardziej. Poza tym, wielu dzieciakom się to podoba.

Może wyślę go do Jamiego. Nic dziwnego, że musieliśmy o tym dziś pogadać, było to między nami zrozumiałe - najpierw Henley, potem ja, potem Jamie. Albo Jamie, a potem ja. Dowolnie.

Zastanawiam się, czy dam radę to zrobić. Ciężko mi zarówno wybrać wolność, jak i to drugie. Nie powinienem był dostać tego listu. Nie potrafię podejmować takich decyzji. Jamie by się bardziej nadawał. Jest mądrzejszy, twardszy, bardziej rozważny.

Dziwne, że nie jest napisane, co robić, by zerwać łańcuszek. Wszystko inne jest tak starannie i precyzyjnie wytłumaczone. Ale

to chyba zrozumiałe. To bardzo stary koncept zjadacza grzechów, tylko bardziej ekstremalny.

By zakończyć łańcuszek, musisz umrzeć. Tylko śmiech ma sens, jeśli weźmiesz odpowiedzialność za wszystkie te zbrodnie I to okropna śmierć. Najgorsza, jaką można sobie wyobrazić. Po trzeba męczennika, nowego Chrystusa. Jeśli to mam być ja, to zacznę od wydłubania sobie oczu.

Czy wyślę list do kogoś, kogo nienawidzę, czy do kogoś, kogo kocham? Czy tym, których kocham zaoszczędzę bólu czekania albo zaryzykuję, że list całkowicie ich ominie, chociaż to mało prawdopodobnie?

Henley ani mnie kochał, ani nienawidził. Po prostu mnie znał. Czy to było fair z jego strony, czy to było przyzwoite, że mnie wytypował? Zastanawiam się, co przeszło mu przez głowę, kiedy zapisywał moje imię.

Ale nie powinienem oglądać się na Henley'a.

Myślę, że męczeństwo jest fascynujące. Podoba mi się idea wydłubania oczu. Bez nich nie ma już odwrotu, nawet nie widzisz, gdzie złożyć podpis i chociaż nawet byś chciał, nie możesz zobaczyć listy nazwisk. Nazwiska, pismo, zwykłe symbole, za którymi ukrywają się ci ludzie, natychmiast zostałyby zatarte. Zostałaby tylko zbrodnia. Ich zbrodnie wniknęłyby w ciebie swobodnie i czysto, jak oddech przez nozdrza, zanieczyszczając cię od środka.

Potem powinno się przebić bębenki. *Mc nie widziałem, nic nie słyszałem.* O to chodzi. Ołówek powinien załatwić sprawę. Złamać go w środku ucha. Dwa ołówki, po jednym na każde ucho. Będzie to wymagało mocnego postanowienia, ale o to chodzi. Gesty męczennika powinny być wielkie. Wszystkie te czynności będą niezwykle ważne. Mitycznie ważne. W nadchodzących latach ludzie będą pochylać się nad zwłokami, by odnaleźć ukryte znaczenie każdego niuansu rzezi. Rodzaj boskiej autopsji. Każdy ruch powinien zostawiać wskazówkę i pokazywać drogę. Klucz do Raju z czarnych ust Zbawcy.

Nożyce do cięcia mięsa na języku. Nic *nie mówiłem*. Usta wypełnione zakrzepłą krwią, gorącą solanką życia. Własny puchar opróżniony do końca. Uważaj, Alfred. Trzeba poety, żeby to zobaczyć. A większość z nich, to martwi poeci.

Może Jamie.

Naprawdę powinienem mu to przekazać. Zobaczyć, czy będzie to kontynuował, tak jak powiedział, że zrobi. Prawdopodobnie kłamał albo przynajmniej przesadzał. Kłamca wzięty na muszkę. Nie mam wiary w nikogo. Zobaczmy. Co dalej?

Gdyby tylko można było wydobyć mózg bez zniszczenia ciała. Dobrze by było dodać *o niczym nie myślałem* do naszych nowych przykazań. Jeśli można byłoby zrobić punkcję w czaszce i wydrążyć ją do sucha, a potem kontynuować od tego momentu. Ale nie, musisz się trzymać tego, co możliwe, więc mózg i serce odpadają aż do samego końca, ponieważ musi to być powolne, wiecznie trwające konanie. Śmierć musi być współmierna do zbrodni, naprawdę wymowna, pośród tych beztroskich i neutralnych.

Wybrany powinien złamać nogi i strzaskać młotkiem kości w stopach, zmiażdżyć czubki palców i oderwać kciuki. Kciuki są szczególnie ważne. Ale najpierw genitalia powinny zostać poszarpane, zęby wybite i połknięte. Wybraniec powinien rzucić się na ścianę albo stół, dopóki kręgosłup nie trzaśnie, a czaszka nie pęknie. Długi, ostry nóż powinien zostać wepchnięty w dupę wybrańca, nos musi zostać odcięty, a sutki spalone.

Wszystko to zanim mój mózg stoczy się po mojej twarzy i klatce piersiowej i uformuje kałużę na podłodze tego starego, zakurzonego pokoju. Cudownie byłoby wiedzieć na czym polegał błąd, pomyłka w kompozycji, porażka w gruczołach albo systemie nerwowym. Naprawdę nie chcę nikogo skrzywdzić, a najbardziej siebie. Ale myślę, że to proszenie o zbyt wiele.

Muszę się czymś zająć.

Mam wiadomość do wysłania. Osobistą wiadomość. Z końca łańcuszka.

Jesteście gównem warci, każdy z was. Zamierzam to udowodnić.

NA ZAWSZE

To było wiele lat temu, kiedy - prawdopodobnie przez nadmiar białego wina Almaden i marihuany - moja żona Rita, *moja* staruszka w *tamtych dniach, pamiętasz"?*, powiedziała mi, że w jej mniemaniu prawdziwy cel życia jest prosty - jest nim życie, więcej i więcej życia, chwile w dni, dni w lata, przez długą, krętą ścieżkę ku wieczności. Że ostatecznym celem, oczywiście, jest życie wieczne. Wierzyła, że któregoś dnia opanujemy tę sztukę I była trochę wkurzona, że nasze pokolenie raczej tego nie osiągnie.

Pamiętam, jak przytaczała naszą ciągle wzrastającą żywotność, nasze coraz dłuższe lata zdrowia i wigoru. Mówiła, że robimy małe kroczki w tym kierunku. W średniowieczu miałeś szczęście, jeśli dożyłeś trzydziestki. Nasi rodzice mogli prawdopodobnie liczyć na siedemdziesiąt. A popęd do prokreacji. Marny substytut szarpaniny każdego organizmu w drodze ku wieczności, ale do tej pory najlepsze, co mamy. Ponieważ przynajmniej pozwala popchnąć do przodu pulę genów, daje nam czas, jako gatunkowi, by osiągnąć sukces dzięki praktyce.

Powiedziałem, że nie chciałbym żyć wiecznie. To by się stało nudne. Odpowiedziała, że wcale nie. Pomyśl o tym wszystkim, czego można się *nauczyć*, o książkach, które można przeczytać, o ludziach, których można poznać, o miejscach, które można odwiedzić. Księżycy, może planety. Ograniczałyby nas tylko własna wyobraźnia.

Tu mnie złapała. Cholera, byłem dumny ze swojej wyobraźni. Jaki młody przyszły pisarz by nie był?

Wyjaśnijmy to sobie, powiedziałem. Nikt by nigdy nie umarł?

Oczywiście, że by umarł. Mógłby przytrafić ci się wypadek. Albo klęska żywiołowa.

Ale oprócz tego żylibyśmy wiecznie? Nawet te prawicowe dupki? *Kissinger i Nixon!*

Wydawało mi się, że to miało swoje wady. Z tego, co pamiętam, westchnęła i uśmiechnęła się do mnie, jakby chciała powiedzieć *po prostu tego nie rozumiesz głuptasie* i wspomniała coś o czasie, który w tym przypadku jest po naszej stronie. Bo jeśli miało się przed sobą całą wieczność, po co było wyciągać rękę po rzeczy, walczyć o pieniądze, sławę, ziemię i pozycję? Dla *ochrony*. Przecież chodzi właśnie o ochronę, prawda? Po co czuć nienawiść i gniew względem innych? Czas by to rozwiązał, ponieważ zabrałby strach. A to strach cię napędza. Strach przed biedą, z której nie da się wydostać, ponieważ nie masz tyle czasu, by rozgryźć jak to zrobić, ponieważ nigdy nie zrobiłeś niczego wartościowego, bo życie jest zbyt krótkie, a twoje codzienne potrzeby zbyt cię przygniatają, by próbować znaleźć rozwiązanie. Strach przed pod-upadnięciem na zdrowiu, strach przed okropną, bolesną śmiercią w otoczeniu obcych rurek i przewodów, w jakimś szpitalu.

Nieskończony czas zakończyłby wojny. Globalne i osobiste. Czas rozprułby wszystkie portfele i rozdał bogactwa. Czas opróżniłby szpitale.

Pamiętam, jak się rozpalala.

Jak my się rozpalaliśmy w tamtych dniach.

Brakuje mi tego.

I brakuje mi jej pasji.

* * *

Do niedawna często chodziłem na spacer. Rita i ja mieszkaliśmy w małym, stu pięćdziesięcioletnim domu z dwiema sypial-

niami na pogórzach White Mountains w New Hampshire. W duszy pozostaliśmy zagorzałymi hipisami, mimo że dawno odpuściliśmy soję, kielki i brązowy ryż. Nasza akrowa działka leżała pomiędzy State Park a dziesięcioma akrami lasu, należącymi do hi ad Kaltsas z Nowego Jorku, którzy kupili je w latach sześćdziesiątych w celach podatkowych. Nigdy nic zamierzali tam budować. Było więc mnóstwo przestrzeni do wałęsania się.

Jest takie miejsce na posesji Kallsasów, do którego zawsze wracam. Zwłaszcza latem. Jest laka półka, na wysokiej, wystającej, nagiej skale, przy szlaku, jakieś dziewięć metrów od bystrego strumienia. Stopniowa, łatwa wspinaczka po wschodnim zboczu. Kiedy już tam jesteś, stoisz obok wodospadu po zachodniej stronie, opadającego po skałach do rozlewiska, w którym możesz zanurzyć się do pasa, jeśli trochę popadało. Możesz, pić wodę. Jest zimna i czysta. Za strumieniem znajduje się gęsty obszar leśny, chłodny nawet w lecie. Obróć się na wschód i za wysokimi dębami oraz brzoźami zobaczysz góry, znajdujące się za szerokim, spadzistym polem trawy. Żadnych zarośli, żadnych zagajników, tylko falująca trawa. Delikatnie maszeruj aż do linii drzew u podnóża góry.

Stań tu w gorący, słoneczny dzień, a cień drzew, bryza i chłodny strumień stworzą pozory naturalnej klimatyzacji. Zapach jest piękny. *Mokre skały i osad. Trawa i drzewa. I róże.*

Od łąk po wschodniej stronie, dzikie róże pełzną po skale. Nie wiem, jak się tam dostały. Częściej można spotkać je przy drogach.

Ale róże są wytrzymałe. Rosną praktycznie wszędzie. I ciągle rosną. Cholernie ciężko je wyplenić.

To nie do końca są róże, które wysłałbyś swojej mamie na Dzień Kobiet. Przede wszystkim są kolczaste jak jeżozwierze. Kwiaty mają o wiele mniejsze niż te, które widuje się w kuli darniach, a wiele z nich nigdy się nie otwiera. Ale tak jak mówię, róże to wytrzymały gatunek, a te zawsze chciały moją półkę, moją

skale. Może przyciąga je woda. Może chcą się dostać po skale do wodospadu i strumyka. Nie wiem. Ale zapach, który roznosi się na wietrze, zawstydzia niejedną kupioną w sklepie wiązanek. Róże to kwiaty Afrodyty.

Kiedy Rita zaczęła mnie opuszczać, przychodziłem tu dość często.

Odleżyny też rozkwitają. Otwierają się od środka, na zewnątrz. Lekarze nazywają to wrzodami ciśnieniowymi. Szczególnie w kościstych obszarach ciała - kręgosłup, miednica, pięty - najpierw pojawiają się otarcia, potem pęcznieją i robią się białe. Następnie powoli powstają płytkie, a potem głębokie kratery, które powinny być osuszone, wyciśnięte i złuszczone z powrotem do zdrowej skóry, razem z martwą i umierającą, a otwierają się na ciele jak mokre, czerwone kwiaty. Ich zapach jest obrzydliwy. Oczyszczasz je solą, nawilżasz skrobnią kukurydzianą i starasz się utrzymać w wilgoci, podczas gdy otaczającą je skórę utrzymujesz suchą. I nadal się rozprzestrzeniają.

Pacjenci z rakiem kości, tacy jak Rita, widzą ich dość dużo.

Ludzie jak ja, którzy nagle okazują się opiekunami, widzą duże ilości gazy, jednorazowych gumowych rękawiczek, opatrunków wysychających i piankowych materacy - starając się zwalczyć bliźniaczych wrogów: bakterie i pionowe ciśnienie grawitacji. Czasem wygrywamy. Czasem pacjentowi odpuszczają. Może wstać z łóżka i pospacerować, a jeśli odleżyny nie są zbyt przykre i zostały odpowiednio potraktowane, znikają. Rozkwit blednie, kurczy się w pokrytym bliznami, pomarszczonym ciele.

Z pierwszego razu zapamiętałem głównie odwracanie jej co dwie godziny, nawet w nocy, nawet kiedy spała. Pamiętam poranne czekanie na pielęgniarkę, żebym sam mógł podłapać trochę snu. Pamiętam zmienianie pidżamy i opatrywanie ran, które

nie były tym razem takie złe, mycie jej ciepłą wodą i zbieranie jej suchych, wypadających włosów z poduszki, kiedy nie patrzyła. Dni w tygodnie. Tygodnie w miesiące. Zdobywałem dla niej narkotyki przeciw nudnościom w Plymouth, czując się za starym na kupowanie działki, ale zdeterminowanym. Jeździłem z nią do miasta ambulansem na chemioterapię, dopóki nie zadziałała i mogłem mieć jakąś namiastkę mojej żony z powrotem - moją, dzielną, bladą Ritę, która mogła chodzić z pomocą balkoniku, a potem z laską, i która nalegała na to, że będzie gotować i trochę sprzątać, nawet pomimo że do tego czasu byłem już całkiem niezły

w jednym i drugim. Pisałem w gabinecie - wolnej sypialni, nigdy nie używanej, nie licząc okazjonalnych gości - pracując nad kolejnym kryminałem z Jackiem Pace w roli głównej. Te powieści były naszym jedynym źródłem utrzymania odkąd Rita definitywnie przestała uczyć rozbrykanych trzecioklasistów. Słyszałem ją w salonie, gdy pisałem cienką książeczkę, która zarobi dla nas piętnaście kawałków, jeśli będziemy mieli szczęście, a potem może jeszcze piętnaście za granicą. Odkurzacz warczał, wiedziałem więc, że czyści cholerny dywan jedną ręką, podczas gdy drugą przytrzymuje się balkoniku. Nie mogłem jej powstrzymać. Kłóciliśmy się tylko wtedy, kiedy próbowałem ją powstrzymać.

Żyłem w strachu, że upadnie. W ciągłym strachu.

Ale nie upadła. Wydaje mi się, że ćwiczenie i znajome uczucie użyteczności były dla niej dobre, ponieważ poczuła się lepiej. Kiedy przerzuciła się na laskę, zaczęliśmy razem wychodzić na spacer, dochodząc coraz dalej i dalej, aż pewnego jasnego, gorącego, sierpniowego poranka poprosiła mnie, bym zabrał ją na skały w posiadłości Kaltsasów. *Pamiętasz to miejsce?* zapytała? Oczywiście, że pamiętałem. Przychodziłem tam tak często w trakcie jej choroby, że właściwie wydeptałem ścieżkę. Półka zawsze wydawała się mnie pocieszać.

Jesteś pewna, że dasz radę się wspiąć?

- Nie - uśmiechnęła się. - Ale jestem pewna, że dam radę dojść do stumienia. Nawet przebrnięcie przez rozlewisko będzie miłe. No już. Zobaczymy, do czego jestem zdolna.

Nosiła dzinsy, wyblakłą, drelichową koszulę i czerwony szalik, owinięty i zawiązany wokół jej głowy. Włosy nie odrosły jej w taki sposób, w jaki mieliśmy nadzieję, że odrosną. Twarz nadal była wymizerowana, a linie dookoła jej ust i oczu wcięły się głębiej. Sądziłem, że była piękna. Moja hipiska w wieku czterdziestu siedmiu lat.

- Prowadź - powiedziałem.

Miała rację. Dotarła do strumienia powoli, ale bez trudu i jakąś godzinę później, koło dziesiątej, staliśmy przy rozlewisku.

- Padam - oznajmiła. - Posiedźmy chwilę.

- Nadal chcesz tam wejść?

- Jasne. Za chwilę.

Usiedliśmy na brzegu rozlewiska, a ona zdjęła płócienne trampki - żaden Nike czy Adidas - podciągnęła dzinsy do kolan i wsunęła stopy do wody. Uśmiechnęła się.

- Mmmmm.

- Zimna?

- Trochę. Ale to wspaniałe uczucie.

Zrobiłem to samo. Woda na początku była lodowata, ale można było przywyknąć. Popluskaliśmy trochę stopami i wychyliliśmy się ku pstrokatemu, porannemu słońcu, obserwując jak bawi się na wodzie. Rozmawialiśmy o mojej ostatniej książce. Miałem problemy z fabułą, a Rita zawsze mi pomagała. Kiedy już byliśmy usatysfakcjonowani wyciągnięciem Jacka Pace'a z kłopotów w przekonujący sposób, usiadła i powiedziała:

- Wiesz co? Wchodzę.

- Serio?

- Taa.

- Zamarzniesz na śmierć.

Uśmiechnęła się i zaczęła rozpinąć koszulę.

- Wcale nie.

Zsunęła ją z ramion. Trudno się pozbyć starych nawyków Nadal nie chciała nosić stanika. Rozpięła dzinsy.

- Do cholery, jeśli ty możesz, to ja też.

- Proszę bardzo.

Złapała laskę i wstała, podpierając się o nią, wysunęła z dzin sów najpierw jedną, a potem drugą nogę i ściągnęła majteczki /. bioder, które nadal były kościste od utraty wagi. Można było policzyć jej żebra, a wzdłuż kręgosłupa przebiegało kilka różowych blizn. Rozebrałem się, a ona weszła do wody z laską i odwróciła się do mnie z uśmiechem, a potem spojrzała w górę I rzuciła:

-Hej.

-Co?

- Spójrz na to.

Zwróciłem się w stronę, którą wskazywała, na półkę nad nami *moją* półkę - i zobaczyłem małego, białego kota spoglądającego na nas. Miał duże oczy, był zaciekawiony. *Dwoje nagich ludzi celowo zamarza na śmierć w zimnej wodzie. O co im chodzi?* Roześmiałem się.

- To Lily - powiedziałem. -Kto?

- Lily. Kotka Liz Jackson. Liz mają od dnia, kiedy wpadła do nas z zapiekanką, pamiętasz?

-Nie...

- No tak, byłaś wtedy jakby nieobecna. Wskoczyła na twoje łóżko. Głaskałaś ją przez chwilę. Sprawiałaś, że mruzczała. Potem zasnęłaś.

- Zasnęłam?

- Tak.

Jest piękna.

Jest po prostu „wielorasowa”. Liz wzięła ją ze schroniska. Ale masz rację, jest piękna.

Usadowiona wysoko na skale, jak żywa egipska statua, mała, biała, krótkowłosa, opanowana i drobna, wyglądała pięknie. Całkowicie nieruchoma, nie licząc omiatających nas oczu, czujnych na to, cokolwiek, do cholery, działo się lam na dole.

Wszedłem do wody. Rita kucnęła. Woda obmyła jej mostek. Ja też kucnąłem. Śmialiśmy się i drżeliśmy, a potem zrobiliśmy jedyną rozsądną w tym nagłym zimnie rzecz - objęliśmy się, przekazując sobie wzajemnie ciepło ciała w tę i z powrotem, do czasu, gdy przywyczailiśmy się do temperatury wody. Pocałowałem ją i głaskałem jej plecy, ona głaskała moje i wsłuchiwaliliśmy się w odgłos spadającego po skałach strumienia.

- Kochasz mnie? - spytała.

- Taa. A ty?

- Taa.

Znów się pocałowaliśmy. Smakowała tak, jak zawsze. Rak i chemioterapia zmieniły to na chwilę.

- Co za wspaniały dzień - powiedziała.

- W rzeczy samej.

- Myślisz, że będzie się trzymać w pobliżu?

- Kto? Lily? Nie wiem. Może.

Odwróciła się, a ja splotłem ramiona wokół jej talii i razem bazarzkowaliśmy w wodzie. Spojrzałem na Lily, która przysiadła i wpatrywała się w coś nad swoją głową.

- Nadal chcesz żyć wiecznie? - spytałem.

Nie wiem dlaczego pamiętałem wtedy akurat to. Powiedziałem to bardzo delikatnie. Myślę, że mogłem wypowiedzieć to jak modlitwę.

Kiwnęła głową.

- Dzisiaj tak.

Wysuszyliśmy się na słońcu, ubraliśmy i wspieliśmy na półkę. Musiałem jej pomóc tylko dwa razy. Kiedy weszliśmy na górę, Lily już nie było, zniknęła.

Usiedliśmy i wdychaliśmy zapach róż.

Miałem ją przez pięć miesięcy, dopóki znów się nie zaczęło. Pielęgniarce, leczenie, odleżyny rozkwitały znacznie mocniej niż przedtem. Wrogiem były wrzody Poziomu Czwartego, kiedy owrzodzenie brzucha przez skórę i podskórną tkankę doszło do powięzi, włóknistej sieci pomiędzy tkanką a strukturą mięśni, kości i ścięgien, piekące jak kwas własnej produkcji. W końcu dotarło do kości, mięśni i ścięgien. Myłem ją, czyściłem i suszyłem, kiedy zabrudziła łóżko. Trzymałem jej głowę, kiedy zwracała śniadanie do plastikowej miski w kształcie nerki.

Walczyła twardo, ja również i znów się wymigaliśmy. Do lutego była na nogach, poruszając się z pomocą balkoniku.

Ale tym razem coś się zmieniło.

Nie wróciła taka, jak przedtem. Luty przeszedł w marzec, marzec w kwiecień, a ona nadal rzadko zwracała sobie głowę gotowaniem, sprzątaniami czy praniem, a odkurzanie zostawiła mi - co początkowo przynajmniej - przyjąłem z ulgą. Nie musiałem się martwić, że upadnie.

Nagle stała się obsesyjnie zainteresowana pieniędzmi.

Peniędzmi, *których nie mieliśmy*.

Jasne, Jack Pace nadal sprzedawał się dość dobrze. Miał swoją publiczność. Ale stało się oczywiste, że bez cudu facet nigdy nie uczyni nas bogatymi. Próbowałem napisać konspekt poważnej powieści, ale moja agentka nie mogła sprzedać tego cholerstwa. Do tej pory tkwi w mojej szufladzie, świadectwo straconej przez dwa miesiące energii. W międzyczasie Rita ciągle mówiła o pieniądzach.

Wbiła sobie do głowy, że powodem, dla którego nie może się pozbyć raka raz na zawsze było to, że nie stać nas na najlepszych lekarzy, najlepiej wyposażone szpitale, najwydajniejsze terapie.

Nasi lekarze zapewniali nas, najdelikatniej jak się dało, że jest inaczej.

Na tym etapie nie da rady pokonać raka kości, on pokona ciebie. To była tylko kwestia czasu.

- Nie wierzę im powiedziała. - Dbają tylko o własne dupy.
- Wcześniej im wierzyłaś. Dlaczego teraz nie?
- Po prostu nie wierzę, to wszystko. A ty?
- Tak. Słuchaj, Rita, oboje czytaliśmy na ten temat. Wiemy wszystko.
Daj spokój.

Książki! Książki i magazyny! To nie ty umierasz. Od razu mnie przeprosiła. Nie chciała, bym czuł się winny. *Ona się czuła.*

Winna, smutna, sfrustrowana i przerażona. Jej własny strach przeszedł na mnie z taką łatwością, z jaką wręcza się komuś kwiaty.

Przez te wszystkie miesiące obserwowałem jak tonie w apatii i ciszy, która, jak wiedziałem, była po prostu rozpaczą. Nie było innego słowa. Opuszczała ten świat i wiedziała o tym. Świat zostawiał ją za sobą.

Prawie nie rozmawialiśmy. Nasze spacerunki były zazwyczaj krótkie i ciche.

Jakbyśmy oboje czekali na to, aż padnie kolejny cios.

Pamiętam, jak leżałem obok niej późno w nocy, myśląc o tym co powiedziała tamtego wieczoru, tak dawno temu, przy lampce białego wina Almaden i trawce, *że napędza nas strach. Że nieograniczony czas miałby moc, by zabrać strach. Że nie trzeba było wyciągać ręki po rzeczy takie jak pieniądze i ochrona, jeśli czas był po twojej stronie.*

Że czas opróżniłby szpitale.

Płakałem tej nocy w poduszkę. Bo nie mieliśmy czasu. Czasu, pieniędzy, żadnej ochrony.

Nic, co zabrałoby strach. Jej strach i mój. Że to się znowu wydarzy. Tym razem będzie gorzej. Znacznie gorzej. Musiało - taka była natura choroby. I może, jak będziemy mieli szczęście albo nie, będzie czwarty i piąty raz, dopóki odleżyny nie będą głębokie jak kotły erozyjne, dopóki kości nie zostaną sproszkowane jak kreda, dopóki litościwie nie złapie ostatniego oddechu i nie umrze.

Po omacku szukała ochrony przed tym wszystkim, przed

długim, powolnym zjazdem. To dlatego była cała ta gadka o pieniądzach.

Chodziło o ochronę, prawda? O coś, czego nie mogłem jej zapewnić.

Myślę, że w dziwny i tajemniczy sposób, gdzieś w głębi nocy udaje nam się znaleźć - albo to nasze sny znajdują - rozwiązanie problemów, z którymi nie umiemy sobie poradzić za dnia ani miotając się w łóżku podczas bezsennych nocy. Budzisz się rano i czasem masz odpowiedź.

Tego ranka miałem swoją.

Przeraziła mnie, zasmuciła i, Boże dopomóż, sprawiła ulgę.

Wbrew wszystkim moim oczekiwaniom pomyślałem, że może Jack Pace mógłby jednak uratować nas oboje.

Ostrożnie podrobiłem dokumenty.

Nie było to specjalnie trudne. Potrzebowałem tylko ksero i edytora tekstu. Wziąłem ze swojej teczki niewinny list od mojego agenta, przedstawiający wielkość honorarium za *Wild Side*, trzecią książkę o Jacku Pace i list z ABC, ogłaszający odrzucenie tej samej książki, jako scenariusza do filmu telewizyjnego. Przykleiłem zwykły, biały papier na oba teksty, zostawiając tylko nagłówki i podpisy, a potem zabrałem je do Plymouth, skopiowałem na najlepszej jakości papierze. Zabrałem je do domu

I wziąłem się do pracy.

Jakąś godzinę później miałem gotowy list od mojej agentki, że na telefon udało jej się sfinalizować umowę na serial telewizyjny, oparty na moich powieściach na taką to a taką horendalną kwotę, wraz z listem od wykonawcy z ABC z zarysem umowy.

Schowałem je do szuflady pod inne papiery, by czekały na właściwy moment.

Nie zajęło to dużo czasu. Był weekendowy poranek, tuż po święcie Czwartego Lipca. Jak większość ludzi dostawaliśmy sporo

zaproszeń telefonicznych, dopóki nie włączyliśmy automatycznej sekretarki, by je przesłać. Przez tydzień celowo zapomniałem ją odsłuchać¹.

Nie wiem, co kobieta po drugiej stronie próbowała mi sprzedać, ale chyba musiałem ją skonfundować, ponieważ kiedy tylko zaczęła ze swoim *darmowym okresem próbnym i gwarancją zwrotu pieniędzy*, zacząłem wrzeszczeć w słuchawkę *pani żartuje! Nie mogę w to uwierzyć! Ile?* Moment był odpowiedni, Rita siedziała przy kuchennym stole z filiżanką kawy i obserwowała mnie, zachowującego się jak rażony piorunem, a kiedy odłożyłem słuchawkę i potrząsałem głową jak szalony, ona przeszła przez pokój i była przy mnie, zastanawiając się, co do cholery się wydarzyło.

- Larry, co się stało? *Więcej* aktorstwa.

Jakbym chciał jej powiedzieć. Ale nagle się rozmyśliłem.

- Nie. Chcę poczekać - powiedziałem. - Nie chcę robić ci nadziei. Powiedzmy, że to dobra wiadomość. To może być naprawdę dobra wiadomość.

- Larry!

- Wybacz. Nazwij mnie przesadnym. Powiesz komuś, a możesz zapeszyć. Alice przesłała mi notatkę. To zajmie parę dni, może tydzień.

- Tydzień? To niesprawiedliwe - powiedziała. - To nie fair! Ale uśmiechała się.

Odczekałem tydzień, a potem jeszcze kilka dni, a były to dla nas szczęśliwe dni, chociaż spałem mało i raczej źle. Nie naciskała mnie już w kwestii umowy. Wiem, że chciała, ale to była Rita - ufała mi, że dam jej znać, kiedy nadejdzie czas. Nie było już mowy o pieniądzach i leczeniu. Pracowałem nad powieścią najlepiej jak potrafiłem, robiliśmy zakupy w mieście, wychodziliśmy na spacer, oglądaliśmy telewizję i czytaliśmy w nocy, jakbyśmy nie przejmowali się upływającym czasem.

- Chodźmy nad rozlewisko Kaltsasa - zaproponowałem Chciałbym ci coś pokazać.

- Nie wiem - odrzekła. - To kawał drogi.

- No chodź. Przecież ci się lam podoba.

Tego poranka kilka razy mocno padało, ale teraz - prawie w południe - niebo było czyste jak kryształ. Nadal czuć było zapach trawy po deszczu.

Bałem się czekać dłużej. Bałem się, że nie wytrzymam napięcia.

- Zmokniemy - powiedziała. Spojrzałem na nią i zaśmiałem się.

- To cię nigdy przedtem nie powstrzymywało. Pamiętasz? Wyszliśmy na wzgórze przez nasze podwórko. Minęliśmy

drzewa i doszliśmy do wody, a potem udaliśmy się w górę strumienia. Powietrze było chłodne i spokojne. Jej laska stuknęła o skały. Nasze adidasy chrzęściły w gładkim żwirze wzdłuż brzegu. Szliśmy powoli. Nie chciałem jej zamęczyć.

Woda tego dnia stała wysoko z powodu opadów, strumień rozlewał się szeroko i szybko po skałach nad nami. Usiedliśmy, aby zaczerpnąć tchu.

- Dasz radę wejść na górę?

- Tak myślę. Przeszłam taki kawał drogi, mogę więc spróbować. Daj mi tylko posiedzieć parę minut. Co chcesz, żebym zobaczyła ?

- Pokażę ci, kiedy się tam dostaniemy, dobrze?

- Dobra.

Siedzieliśmy, dopóki nie odpoczęła. Następnie ruszyliśmy

W połowie drogi na półkę skalną znów zaczęło padać. Najpierw mocno, ale szybko zelżało. Czekaliśmy pod jakąś brzozą aż przestanie. Jak dla mnie czekaliśmy długo. Ale Rita i tak potrzebowała chwili przerwy. Potem słońeczko znów przygrzało, a woda na skałach parowała, kiedy się wspinaliśmy.

Teraz mysie, że nie przeszedłbym przez to, gdyby nie kot. Kot i róże. Moje serce waliło zbyt mocno, ręce za bardzo mi się trzęsły. Moja pewność siebie zniknęła, a razem z nią moje postanowienie.

Potem, *cii, czekaj* powiedziała Rita i skinęła głową w stronę polki. Lily tam była.

Rozciągnięta na parującej skale. Wygrzewała się na słońcu.

Coś jest ze światłem po deszczu w tym miejscu. Zauważyłem to wcześniej, ale nigdy tak dobitnie i wstrząsająco. Światło płata figle twoim oczom i zmienia kolory rzeczy. Zazwyczaj ledwo zdajesz sobie z tego sprawę. Skala przybiera delikatne odcienie niebieskiego. Na liściach widać żółty.

Lily była białą kotką.

Ale w tym świetle była zielona.

Zielona jak liście nad głową, jak wysoka trawa w dolinie pod nami, jak liście dzikich róż, które osiągnęły już wierzchołek mojej półki i między którymi leżała, również stąd, gdzie staliśmy, wydawało się, iż jeden, jasny rozbryzg czerwieni wyrasta z czubka jej ogona, wyrasta z niej, czerwień odbija się echem w jej oczach, jakby róża, kot i otaczające listowie były jednym, naturalnym wybuchem z ziemi, z rozkładu, z podżegania i śmierci, które zobaczyłem w tym momencie, a które były właściwym porządkiem rzeczy. Rita się myliła. *Żadnego życia wiecznego, nigdy.* Ponieważ tylko śmierć i rozkład mogły płodzić życie i chociaż, jak róże, Rita i ja mogliśmy starać się wspinać w górę i w górę, ziemia była krnąbrna i każde z nas było tam zakorzenione, w ile, błocie i rozdrobnionych kamieniach.

Światło się zmieniło. Dotarliśmy.

Weszliśmy na szczyt półki skalnej i tym razem Lily została. Biały kot, ponownie leżący ospale na słońcu.

Pokazałem Ricie listy. Obserwowałem nadzieję rozjaśniającą jej twarz, a potem zobaczyłem wątpliwości. Jakby to nie mogła być prawda, po prostu my nie mieliśmy tyle szczęścia. Spójrz, powiedziałem. *Oto dowód. Tam. To dlatego cię tu przyprowadziłem.* Wskazałem na dół, na dolinę. *To wszystko jest nasze. Kupiłem to tydzień temu. Spójrz. Wybudujemy się tu, kiedy p o c z u j e s z się lepiej.*

Odwróciła się i spojrzała.

Kamień był tam, gdzie go umieściłem kilka dni wcześniej.

Podniosłem go i opuściłem.

Ponowne podziękowania dla McPheetersa za opowiedzenie mi swojego marzenia, no i oczywiście dla Alana.

ZNIKNIĘCIE

Dziewiętnasta trzydzieści. Nikt nie przyszedł. Nikt nie puka do drzwi ani nie dzwoni.

Czym jestem? Niegodziwą, starą wiedźmą z Jasia i Małgosi?
Halloweenowa lampa z wydrążonej dyni mrugała na świat z okna. Poskładany, kartonowy szkielet kołysał się, zwisając z nadproża. Jedno i drugie miało zapraszać, a do tej pory było ignorowane. Z drewnianej miski na sałatę, stojącej przed nią na stole, mrugały pocieszająco małe batoniki Milky Way, Marsy i Nestle Crunch - pomarszczone, lśniące, foliowe opakowania i gładki, błyszczący papier.

Kup słodycze, a one przyjdą.

Nie martw się, pomyślała. Ktoś się pojawi. Jest jeszcze wcześniej.

Ale nie było.

Nie w tych czasach. Przynajmniej tyle widziała z okna w poprzednie Halloween. Do zmroku w jej dzielnicy było już po wszystkim. Kiedy była dzieckiem, zostawali do jedenastej, nawet dwunastej. Wędrowali gdzie się dało. Nikt nie bał się obcych, żyletki w jabłku, czy zatrutych cukierków. Żadna matka i żaden ojciec nie czaili się w asyście. Towarzystwo rodziców, z wyjątkiem małych dzieci było do pomyslenia.

Ale jak na dzisiejsze standardy, dziewiętnasta trzydzieści to była późna godzina.

Niech ktokolwiek przyjdzie. Nie martwcie się.

E.T. się skończył i NBC nadawał maraton *Trzeciej planety od słońca*. Nie wiedziała, co *Trzecia planeta od słońca* miała wspólnego z Halloween. Może chodziło o batoniki Mars. Ale *Trzecia planeta od słońca* zazwyczaj była zabawna, więc podreptała bosą do kuchni i naląła sobie drugie, mocne Martini ze Stoliczną z shakera w lodówce, położyła się na kanapie, sięgnęła po oliwki i spróbowała się umościć.

Czekanie sprawiło, że zrobiła się niespokojna. Myśli gderwały jak besztający rodzice.

Dlaczego do tego dopuściłaś, idiotko?

Wiedziałaś, że będzie bolało, jeśli nie przyjdą.

Wiedziałaś, że będzie bolało, jeśli przyjdą.

To sytuacja bez wyjścia - powiedziała.

Mówiła do siebie na głos. Świetnie.

Cholernie dobre pytanie.

Lata mijały, ona tego unikała. Gasiła światło na ganku i światła w salonie. *Nikogo nie ma w domu*. Oglądała telewizję w sypialni.

Może powinna tej nocy zrobić to samo?

Ale dla niej w święta zawsze chodziło o dzieci. Święto

Dziękczynienia

i Sylwester były wyjątkami. Święto Pracy, Dni Prezydenta

i inne nawet się nie liczyły - to nie były prawdziwe święta.

Boże Narodzenie. *To był Święty Mikołaj*. Wielkanoc. *Zajaczek*

Wielkanocny. Czwarty Lipca. *Petardy, zimne ognie, fajerwerki na nocnym niebie*. A najbardziej chodziło o dzieci w Halloween.

W Halloween chodziło o przebieranie się i *cukierek albo psikus*.

A cukierek albo psikus to dzieci.

Dała sobie spokój z dziećmi już dawno temu.

Próbowała je wpuścić.

Wyglądało, jakby tego nie kupowały.

Nie wiedziała czy ma być zła, śmiać się czy płakać.

Wiedziała, że to po części jej wina. Była cholernym wrakiem.

Ludzie ciągle o tym mówili. O niej. Wiedziała, że to robią. Czy *właśnie dlatego jej dom miał słowo ZARAZA wymalowane na*

drzwiach? Rodzice rozmawiali ze swoimi dziećmi o kobiecie na końcu ulicy! Nadal mogła przejść obok kogoś w supermarkecie i uciąć czyjąś rozmowę. Prawie pięć lat później *nadal* od czasu do czasu jej się to zdarzało.

Pięć lat - tak naprawdę to trzy wstydliwe miesiące, ponieważ to popołudnie miało miejsce w sierpniu - przez ten czas plakaty ZA GINEŁA stopniowo znikwały z witryn sklepowych, drzew, słupów telefonicznych. Policja przestała do niej zaglądać już wcześniej, jej matka przestała dzwonić dwa razy dziennie, a zaczęła raz w tygodniu - chociaż z czegoś mogła być zadowolona - i od dawna cierpiący Stephen, mając dość jej ponurości, dość jej rozmyślań, gniewu, wyprowadził się w końcu i zamieszkał ze swoją dentystyczną

asystentką, małą, śliczną truskawkową blondynką o imieniu Shirley, która im obojgu przypominała aktorkę Shirley Jones. Samochód był jej, dom też.

Dom był pusty.

Pięć lat, odkąd mniej niż trzy minuty zmieniło wszystko.

Zrobiła tylko jedno, zapomniała o gazecie - proste zdarzenie, nieistotne zdarzenie, każdemu od czasu do czasu się przytrafia - a potem po nią wróciła i wyszła z 7-Eleven. Samochód stał tam, z otwartymi drzwiami od strony pasażera, a Alice nie było. To stało się prawie tak szybko jak wystrzał albo czołowe zderzenie.

Jej trzyletniej córki nie było. Zniknęła. Na parkingu nie było żywej duszy. A ona, Helen Teal z domu Mazik, przeszła od nauczycielki

w przedszkolu, gospodyni domowej, żony i matki, do trzech „p” - psychoanalizy, Prozacu i paraliżu.

Wypiła kolejny łyk martini. Nie za dużo.

Na wypadek, gdyby przyszli.

* * *

Do dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć *Trzecia planeta od słońca* przestała ją śmieszyć. Zaczęła rozważać czwarte i ostatnie mocne martini i pójscie do łóżka.

O dwudziestej pierwszej trzydzieści reklama forda prawie doprowadziła ją do łez.

Była w niej rodzina, dwoje dzieci na tylnym siedzeniu, mama i tata z przodu. Jechali gdzieś. Mama spoglądała na mapę, a dzieciaki zerkały jej przez ramię. Chociaż zawsze wyłączała fonię na reklamach i nie mogła stwierdzić, co mówili, to wyglądali na szczęśliwą rodzinę i można było to zauważyć.

Chrzanić to, pomyślała. Jeszcze jedna, cholerna noc łamała jej serce. Wstała i podeszła do lodówki.

Postawiła kieliszek martini i już miała udać się do hallu, by zgasić światło na ganku, przestać czuwać, ponieważ noc ją przygnębiała, totalna porażka, totalna strata, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Zrobiła krok w tył.

Nastolatki, pomyślała. *O-o*. Tylko one mogły być na zewnątrz tak późno. Z nastolatkami w tych czasach nigdy nic nie wiadomo. Mogły stanowić kłopoty. Odwróciła się i podeszła do okna. Poszarpany wierzch wydrążonej dyni powoli zapadał się do środka. Dawało to na wpół ugotowany, piżmowy aromat, który sprawiał jej przyjemność. Poczuli się podekscytowani i trochę przestraszona. Wychyliła się przez parapet i wyjrzała na zewnątrz.

Na ganku stała wiedźma w krótkim, czarnym płaszczu, wilkołak w kraciastej koszuli i džinsach i kosmita z oczami jak robak. Wszyscy nosili gumowe maski. Kosmita stał przed dzwonkiem.

To nie nastolatki.

Dziesięć, góra jedenaście lat.

Nie te małe w kostiumach balerin i prześcieradłach duchów, na które liczyła całą noc. Ale dzieciaki. *Dzieci*.

Nocny dreszczyk emocji - nawet *urok* - nagle był tam dla niej.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i uśmiechnęła się szeroko i bardzo prawdziwie.

Cukierek albo psikus!

Dwóch chłopców i dziewczynka. Nie miała pewności co do kosmity.

- Szczęśliwego Halloween! - powiedziała.
- Szczęśliwego Halloween - odpowiedziały chórem
Wiedźma chichotała. Wilkołak szturchnął ją łokciem w zębra.
- Ała! - krzyknęła i uderzyła go swoją czarną, plastikową
miotłą.

- Poczekajcie tu, dzieci poprosiła.
Wiedziała, że nie wejdą do środka. Nikt tego już nie robił. DNI
podkradania jabłek dawno już odeszły w niebyt.
Zastanawiała się, gdzie są ich rodzice. Zazwyczaj byli w pobliżu.
Nie widziała ich na trawniku ani na ulicy.

Wzięła miskę cukierków ze stolika i wróciła do nich, stojących
w ciszy i oczekiwaniu przy drzwiach. Będzie dla nich hojna, od
razu to zdecydowała. Primo, jako pierwsze się tu pokazały.

Prawdopodobnie

jedyne, które się pokazały. Secundo, nie były to dzieciaki
z zamożnych rodzin. Wystarczyło jedno spojrzenie, by to
dostrzec. Nie tylko sama skóra i kości, ale jeszcze mieli na sobie
tanie kostiumy z marketu - takie, które widuje się w tekturowych
pudełkach w Walgreen's. W przypadku wilkołaka nie był to nawet
kostium. Tylko koszula, džinsy i maska z odrobiną sztucznego
futra.

- Macie jakieś preferencje względem cukierków?

Potrząsnęły głowami. Zaczęła gmerać w misce i wrzucać smakołyki
garściami do ich czarnych, plastikowych toreb na zakupy.

- Jesteście spokrewnieni?

Pokiwali głowami.

- Bracia i siostra?

Więcej skinień.

Odgadła, że są nieśmiałe. Ale to nic. Zrobienie tego było właściwe.

Było w porządku. Czowała się, jakby ktoś zdjął z niej ciężar,

jakby żeglowała przez czyste, nocne niebo. Jeśli przez resztę
wieczoru

przyjdzie ktoś jeszcze, to też będzie w porządku. Następny
rok będzie jeszcze lepszy. W jakiś sposób to wiedziała.

- Mieszkacie w pobliżu? Znam was albo waszych rodziców?

- Nie, proszę pani - powiedział kosmita.

Czekała na więcej informacji, ale najwyraźniej nie miały nadejść. Naprawdę były nieśmiałe.

- Uwielbiam wasze kostiumy - skłamała. - Są straszne. A teraz, szczęśliwego Halloween, dobra?

Dziękujemy - wymamrotały chórem. Opróżniła miskę.

Czemu nie? Na wszelki wypadek miała więcej w lodówce. Dużo więcej. Uśmiechnęła się i ponownie życzyła im szczęśliwego Halloween,

wycofała się i już miała zamknąć drzwi, kiedy zauważyła, że zamiast zbiegać po schodkach w drodze do kolejnego domu, jak to dzieciaki zawsze robią, cała trójka nadal tam stała.

Czyżby chciały więcej? Prawie się roześmiała. Małe żarłoki.

- Jesteś nią, prawda? - zapytał kosmita.

- Przepraszam?

- Jesteś nią?

- Kim?

- Kobieta, która zgubiła dziecko? Małą dziewczynkę?

Oczywiście słyszała to w swojej głowie zanim to powiedział, wyczytała to już z pierwszego pytania. Wiedziała, że o nic innego chodzić nie może. Potrzebowała tylko usłyszeć, jak to wypowiada, sposób, w jaki to robi, ustalić co w nim było - kpina, litość, niezdrowa

ciekawość - ale w jego głosie nie było niczego takiego, był bezbarwny i nieoznaczony, niczym świeżo wytarta tablica.

Mimo to czuła się, jakby w jakiś sposób ją uderzył, jakby wszystkie to zrobiły. Jakby te jasne, niebieskie oczy spozierające zza masek czekały nie na jej odpowiedź, a na egzekucję.

Odwróciła się na chwilę, wytarła łzy wierzchem dłoni, odchrząknęła i z powrotem zwróciła się w ich stronę.

- Tak - odrzekła.

- Tak myślałem. Przykro nam. Dobranoc pani. Szczęśliwego Halloween.

Odwróciły się i zaczęły powoli schodzić po schodach, a ona omal ich nie poprosiła, by poczekały, by zostały chwilę - z jakiego powodu i jak długo, nie wiedziała, ale to by było głupie i okropne.

Nie było powodu, by skazywać je na ból. Były tylko dziećmi, zadawały

pytania, dzieci czasami tak robią niepomne konsekwencji, więc powiedzenie czegoś więcej byłoby złe. Miała właśnie zamknąć drzwi, kiedy usłyszała jak zwraca się do siostry:

- Szkoda, że nie wypuścili jej dziś wieczór, co? Szkoda, że nigdy tego nie zrobią...

Na początku tego nie zarejestrowała, jakby słowa nie miały żadnego znaczenia. Jakby były jakimś dziwnym rebusem.

Zamknęła drzwi i wtedy słowa uderzyły w nią jak śrut. Otworzyła drzwi. Zbiegła po schodach na ulicę. Wrzeszczała. Ale nikt jej nie usłyszał. Dookoła świeciła pustka.

Kiedy już odzyskała zdolność myśleniu, zastanowiła się nad tym, co mogłaby powiedzieć policji.

Wiedźma, wilkołak, kosmita. Taki wiek, taki wzrost i laka waga.

Zupełnie znikąd, zginęli w nicości.

Zabierając ze sobą to, co z niej zostało.

Zniknęli.

CZAS ZAMYKANIA

Tylko umarli widzieli koniec wojny.

- Platon

Październik 2001

JEDEN

Lenny zobaczył tego faceta w lusterku wstecznym, facet biegł w jego kierunku, próbując złapać go na światłach. Biegł szybko, wyglądał na przestraszonego. Wysoki i szczupły, w błyszczącej, niebieskiej, ocieplanej kurtce z futrzanym kapturem, nieco zbyt ciepłej jak na tę pogodę - osobnik w naprawdę trudnej sytuacji. Prawdopodobnie dlatego, że inny muskularny obywatel w koszuli gonił go po Dziesiątej Alei.

Zabrać go, czy nie?

Ruch był niewielki. Żałośnie znikomy od czasu zamachu na World Trade Center miesiąc temu. Nowy Jork nie był już taki jak kiedyś pod względem ruchu ulicznego. No i było późno, wpół do drugiej w nocy. Miał zielone. Nikt przed nim nie stał. Mógł po prostu ruszyć.

Chyba tak zrobi. Jak ten facet by zareagował? Doniósłby na niego do Komisji ds. Taksówek i Limuzyn?

Należy wiedzieć, że pościg oznacza kłopoty. Na bank facet w koszuli oznaczał kłopoty, jeśli dorwie tego biednego skurczybyka. Można to było wyczytać z jego twarzy, a już cały dzień był Burzliwym Poniedziałkiem.

Spadaj stąd, pomyślał. Masz żonę i dzieci. Nie bądź głupi. Dziesiąta i Pięćdziesiąta Dziewiąta to zazwyczaj bezpieczne miejsce, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie w tym mieście. Jeździsz od prawie trzydziestu lat. Wiesz lepiej. Co z tego, że jest biały i pochodzi z klasy średniej. Co z tego, że potrzebujesz forsy za kurs.

Zdjął stopę z hamulca, ale zawahał się i do tego czasu facet był już przy drzwiczkach. Otworzył je na oścież, wskoczył do środka i zatrzasnął je ponownie.

- PROSZĘ - powiedział. - Ten facet tam... jego cholerna żona! - Jezu!

Lenny uśmiechnął się.

- Rozumiem.

Nieznajomy zerknął na amerykańską flagę na jego tablicy rozdzielczej

i pomyślał: *kocham to pierdolone miasto.*

Umieśniony obywatel już prawie ich dopadł, zbiegając z krawężnika tylko kilka kroków dalej.

Lenny wcisnął gaz do dechy.

Przelecieli w górę miasta na zielonej fali, niczym nóż przez ciepłe masło.

- Dokąd?

- Na róg Amsterdam i Dziewięćdziesiątej Ósmej, dobrze?

- Jasne. Żaden problem.

Spojrzał w lusterko i obejrzał w nim faceta, który nadal ciężko oddychał i pocił się. Zerkał przez tylną szybę, nadal martwił się facetem

w koszuli. Zupełnie jakby poirytowany mążulek jego przyjaciółki złapał inną taksówkę i siedział im na ogonie. To zdarzało się tylko w filmach.

Więc o co poszło, jeśli mogę zapytać?

Cholera, nie wiem. Poderwałem ją w barze. Położyła mi dłoń na nodze, na litość boską. Szło gładko. Potem pojawił się ten facet. Powiedział, że zmiażdży mi twarz! Jezu, nawet nie zapłaciłem

rachunku. Po prostu się stamtąd zmyłem. Dziękuję Bogu za ciebie, człowieku!

Lenny pomyślał, że nikt nigdy nie dziękował Bogu za niego.

A przynajmniej nie przypominał sobie. To był pierwszy raz.

Twój Dobry Uczynek na Dziś, pomyślał. Biorąc pod uwagę wygląd faceta w koszuli, może nawet na cały miesiąc.

- Wrócisz tam i zapłacisz rachunek innym razem. Żaden problem.

- Nawet nie wiem, co to było za miejsce. Po prostu tam wlażłem.

-Róg Pięćdziesiątej Ósmej i Dziesiątej? To pewnie Landmark Grill.

Facet pokiwał głową. Lenny widział to w lusterku wstecznym.

W twarzy tego gościa było coś, co mu się nie podobało. Coś nagłego i paskudnego. Jakby tamten facet gdzieś poszedł i zostawił innego faceta siedzącego na tylnym siedzeniu, kogoś, kto tylko wyglądał jak on.

E tam, facet miał ciężką noc, pomyślał.

Bez laski. Bez podrywu. Prawie ktoś skopał mu tyłek. Każdy czułby się paskudnie.

Jechali w ciszy, dopóki Lenny nie wysadził go przy Amsterdam i Dziewięćdziesiątej Ósmej, przy północnowschodnim za kręcie. Facet podziękował i zostawił mu dokładnie piętnaście procent napiwku. Nieźle, ale też bez rewelacji, biorąc pod uwagę okoliczności. Następny pasażer kazał mu jechać na East Side, ko lejny do Village, potem do Soho i Alphabet City i znów do Village. Nie wrócił na Dziesiątą ani nawet do Hell's Kitchen.

Dopiero gdy pod koniec swojej zmiany wrócił do bazy, do wiedział się od dyspozytora, że Landmark Grill został obrabowany z bronią w rękę przez wysokiego, szczupłego faceta o piaskowych włosach i w kurtce z futrzanym kapturem. Który zwał

taksówką, na litość boską. Wszyscy o tym trąbili, ponieważ uciekł cholerną taksówką. Pomyślał, że to całkiem zabawne. To, a także takt, że barman był na tyle szalony, by go gonić. Faceta z bronią. Trzeba być wariatem, by zaryzykować. Albo krwawić w miejscu na głowie, w które zostało się uderzonym kolbą pistoletu. Lenny nie zauważył tego małego szczegółu w lusterku.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, by wzywać gliny. Jeśli nie mają numeru taksówki, to niech tak zostanie. Nie chcesz się mieszać w coś takiego, dopóki nie musisz. Lenny pomyślał o swoich piętnastu procentach napiwku oraz o tym, ile facet ukradł.

Żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary, jak mawiała jego matka.

Nie chciał tego przyznać, ale jak w większości przypadków - j e g o matka miała rację.

DWA

Na początku Elise była nimi zawstydzona. Nie - *przez* nich.

Najpierw zawstydzona. Potem zafascynowana.

Później nie mogła już spojrzeć w inną stronę.

Pociąg naprawdę się spóźniał - zastanawiała się, czy gdzieś na trasie znów wystąpiło jakieś zagrożenie bombowe i czy będzie miała pecha i całkowicie przegapi lekcję tańca, jedyną lekcję, na której jej zależy - peron był więc coraz bardziej zatłoczony, głównie dziećmi, jak ona, które wyszły ze szkoły i *dzięki Bogu, to już koniec*, nikt oprócz Elise nie przejmował się spóźnieniem,

poziomym hałasem, echem krzyczących, śmiejących czy kłócących się dzieciaków, czymkolwiek.

Na pewno ta dwójka przy kolumnie się nie przejmowała.

Wątpiła, czy w ogóle zauważyli dzieciaki rojące się wokół nich.

Albo spóźnienie pociągu.

Nigdy nie widziała pary dorosłych tak... zainteresowanych sobą.

Ale to nie było dobre.

To było straszne. Trwało i trwało.

Mieli pewnie po trzydzieści, czterdzieści lat - Elise nie mogła stwierdzić, ale pomyślała, że są młodsi od jej matki. Kobieta była nieco wyższa od mężczyzny, który był niemal tak przystojny - jak na starucha - jak ona była ładna. A w zasadzie byliby przystojni i ładni, gdyby ich twarze ciągle nie... zapadały się w siebie.

Ciągle się przytulali i odpychali, gapili się na siebie, jakby chcieli nawzajem zapamiętać swoje twarze, potem znów się przytulali

tak mocno, że pomyślała, że to może boleć. Widziała palce mężczyzny wpijające się w tył bluzki kobiety. Oboje płakali, łzy po prostu lały im się po policzkach, a oni nawet nie zwracali sobie głowy wycieraniem ich, pozwalali im płynąć.

Zobaczyła, jak uśmiechają się do siebie, a uśmiechy były gorsze niż łzy. *Mój Boże, są tacy smutni.* Uśmiech przeradzał się w łzy, jakby były jednym i tym samym, pochodzącym z tego samego miejsca. To było tak, jakby nie mogli przestać. Jakby oglądała dwa serca łamiące się raz za razem.

Była już trzy czy cztery metry od nich, ale nagle zaczęła się cofać, na początku nie wiedząc nawet, co robi. Jakby mieli wokół siebie pole magnetyczne, które odpycha zamiast przyciągać, jakby rozszerzali pustą przestrzeń, żeby mieć miejsce, którego potrzebowali,

by wykonać swój okropny taniec.

M ó w i ę c o m y ś l ę , w i e s z t o , p r a w d a ? - usłyszała jak kobieta mówi to mężczyźnie, a on pokiwał głową i wziął ją w ramiona. Nie dosłyszała, co powiedziała później, ale znów płakali, chociaż naprawdę cicho. Następnie znów usłyszała, jak ona mówi. że już nie może i znów zaczęli płakać, tym razem intensywniej, naprawdę szlochać, obejmując się wzajemnie. Ramiona im się trzęsły, a ona chciała odwrócić wzrok, no bo co, jeśli zauważą, że się na nich gapi, ale jakoś wiedziała, że tego nie zrobią, nie zauważą niczego poza sobą.

Rozstawali się, teraz to wiedziała. Na początku myślała, że może mieli dziecko, które umarło albo coś. Kobieta z nim zrywała, ale nie chciała, bo nadal się kochali. Kochali się tak bardzo nigdy nie widziała ludzi tak zakochanych. Nie była nawet pewna, czy widziała coś takiego w filmach.

Jak można to zrobić? Jak można po prostu zerwać, czując to?

Jak to było możliwe?

Zauważyła, że inne dzieciaki zamilkły na chwilę i też im się przyglądają. Nie tak uważnie, jak przyglądała im się Elise, do tego głównie dziewczyny, ale tam na peronie było jasne, że uczucie wylewa się z tych ludzi i dociera do dzieciaków. Coś się im przydarzyło,

coś, o czym, jak jej się wydawało, mogą wiedzieć tylko dorośli, coś sekretnego, odegranego tam, na otwartej przestrzeni.

Coś, co jak wyczuła, było ważne. I trochę straszne.

Jeśli o to chodziło w byciu dorosłym, nie chciała być tego częścią.

A teraz była.

Być tak bardzo zakochanym? Boże! Tak bardzo zakochanym, że nic i nikt się nie liczy, oprócz tych dwojga, stojących tuż obok siebie, nie zważających na nic, po prostu ściskających się i czujących coś, kogoś, tak mocno i głęboko. To musi być wspaniałe.

To musi być okropne.

Muszą być razem.

Jak tak może być?

Kiedy pociąg wtoczył się na stację, dzieciaki stłoczyły się w wagonie, a Elise za nimi, wycierając własne łzy, które tylko bardziej

ją zmieszały. Kobieta stanęła za nią, trochę z boku, odwrócona do okna, z dłońmi przyciśniętymi do brudnej, mętnej szyby, by ujrzeć, jak stoi tam na peronie sam, wyglądając bez niej na

mniejszego, a Elise patrzyła raz na jedno, raz na drugie i ujrzała ich zdruzgotane uśmiechy.

TRZY

Odłożyła gazetę i umyła ręce nad umywalką. Jak zwykle „Sunday Times” brudził farbą drukarską. Wróciła do stojącej w salonie sztalugi. Przerwa na lunch dobiegła końca. Przyszedł czas na pastel.

Miała chociaż tyle. Pracę.

Czego oczekiwałaś? Pomyślała. Kiedy dzieje się źle, z pewnością będzie gorzej. Oby tylko przez chwilę.

Miała nadzieję, że tylko przez chwilę.

Po raz pierwszy naprawdę zwątpiła, czy rzeczywiście to przetrwa. Przypuszczała, że wszyscy w mieście byli wstrząśnięci. Nieważne gdzie byłeś, ani kim byłeś, World Trade Center i tak cię dotknęło. Nawet, jeśli nie straciłeś nikogo bliskiego i tak coś utraciłeś.

Wiedziała, że była tego częścią.

Mogła spojrzeć na kota w oknie i się rozplakać.

Zerwanie z Davidem samo w sobie mogło by być wystarczająco straszne - poprawka, *było* wystarczająco straszne. Ponieważ nie umiał całkiem odejść i ona oczywiście też nie. Samotne c-maile w nocy wciąż były zbyt częste.

Rozumiem, że nic możesz mnie zobaczyć, rozumiem, że widzenie się ze mną za bardzo boli i jest mi przykro. Ale brakuje mi rozmowy z tobą. Zawsze rozmawialiśmy, nawet w najgorszych chwilach. E-maile to nie to samo. Czuję się, jakbym s t r a c i ł nie tylko kochankę, ale też przyjaciółkę. Proszę - zadzwoń do mnie c z a s e m , dobrze? Chcę odzyskać swoją przyjaciółkę. Bardzo Kocham,

David.

Nie mogę zadzwonić, jeszcze nie. Może kiedyś, ale nie teraz.

Zadzwonię, pogadamy, a następnym krokiem byłoby spotkanie,

przecież wiesz. Dlaczego chcesz, żebym przez, to przechodziła jeszcze

raz, David? Jezu! Mówisz, że rozumiesz, ale chyba tak nie jest. Nie zostawisz jej i już. A ja potrzebuję kogoś, kto będzie przy mnie cały czas, a nie tylko kilka razy w tygodniu. Brakuje mi ciebie, ale nie jesteś tą osobą, David. Nie możesz być. Nie mogę sobie po prostu tego życzyć. Więc proszę, na j a k i ś czas po prostu zostaw mnie w spokoju. Kocham, Claire.

Wiedziała, że on cierpi i nienawidziła tego, ponieważ między nimi było tyle dobrego i miłość ciągle (rwała. Nienawidziła go krzywdzić. Ale ona była sama, a on nic. Więc wiedziała, kto cierpi najbardziej. Ona. Była zmęczona ciągłym płakaniem do poduszki, kiedy tylko jego nie było przy niej albo każdego ranka, kiedy wychodził.

To musiało się skończyć.

On by tego nigdy nie przerwał. Ona musiała to zrobić.

Była sama przez większość swojego życia, ale zazwyczaj to było w porządku. Lubiła swoje własne towarzystwo.

Zawsze była samotnikiem.

Ale nigdy nie czuła takiej samotności.

Jak brzmiał ten wers Boba Dylana? *Mdli mnie od miłości.*

Dokładnie wiedziała, jak się czuł, kiedy to pisał.

Jebać to, pomyślała, *bierz się do pracy.* Jesteś artystką. Więc twórz sztukę.

Obraz był częścią całej serii. Martwa natura. Ogryzek jabłka otoczony łańcuchami. Kłódka leżała otwarta, błyszcząca, obejmująca

jedno z ogniw łańcucha.

Przemyślała to.

Dokładnie wiedziała, co to znaczy. Większość ludzi nie. To było w porządku, dopóki to czuli.

I kupowali je, wtedy i teraz.

Co od jakiegoś czasu się nie zdarzało.

Skoncentruj się, pomyślała. Skup się. Popracuj nad czernią.

Popracuj nad cieniami.

Ale chodziło o coś innego. Pieniądze. Żywa gotówka. Finansowo jej życie też było bałaganem. Dopiero zaczęła znowu malować - to głównie David ją zachęcił, cholera! - dopiero co sprzedała kilka obrazów za dobre, chociaż nie rewelacyjne pieniądze, a nowojorska restauracja, którą zawsze traktowała jako awaryjne źródło dochodu została uderzona przez politykę ekonomiczną Busha, jeszcze przed World Trade Center. Turystyka leżała, a turyści

bali się wychodzić na obiad. W ostatnich trzech miesiącach została zwolniona z posady barmanki, zatrudniona jako kelnerka, zwolniona, zatrudniona jak manager - praca, której zawsze była niechętna - a potem ponownie zwolniona.

Zawsze była zapewniana, że to kwestia cięcia kosztów, a nie jej osiągnięć. Ostatnia zatrudniona, pierwsza zwolniona. Proste. Chodziła od drzwi do drzwi. Nikt nie zatrudniał.

Teraz była więc bez pracy, z czynszem zaległym za dwa miesiące i pożyczką z banku, i jeśli czegoś szybko nie znajdzie, będzie chyba musiała zjeść to jabłko z płótna.

Jest niedziela, pomyślała. Teraz i tak nic nie zrobisz.

Twórz sztukę. Potem zadzwoń do matki.

Naucz się z tym żyć. Z tym wszystkim.

Pociągnęła linię i delikatnie rozmazała ją palcem. Ogniwo łańcucha nagle zrobiło się wyraźniejsze. Namalowała kolejną.

CZTERY

Co ty wyrabiasz, do cholery? pomyślał.

Była druga w nocy. Stał na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy naprzeciw jej mieszkania. Widział światło przedzierające się przez okno salonu na drugim piętrze. Albo jeszcze nie spała, albo zasnęła i zostawiła je włączone, ale to było do niej zupełnie niepodobne.

Nie spała.

Mógł wejść po schodkach, nacisnąć dzwonek.

Nie, nie mógł.

Nie miał prawa. Byłoby to równoznaczne z molestowaniem.

A stanie tu było równoznaczne z prześladowaniem.

Więc co ty wyrabiasz, do cholery, David?

Tylko przelotne spojrzenie, pomyślał. To wszystko. Przelotne spojrzenie przez okno kamienicy na kogoś, kogo kochasz. Co w tym złego?

Wszystko. To szalone, desperackie. Żałosne. Nie jesteś Romeo, a ona nie jest Julią. Cholera, idź do domu.

Nie chcę.

Twoja żona czeka.

Teraz już pewnie śpi.

Znowu wypijesz za dużo.

No i? Nic nowego.

Idź do domu.

Podążająca na zachód taksówka przejechała obok niego. Jego mieszkanie mieściło się na północnym zachodzie. Kogut taksówki był zapalony. Mógł ją przywołać. Prosty ruch ręką. Nie zrobił tego. Potrzebował czegoś. Chciał *coś poczuć*.

Co to do cholery znaczy?

Pięćdziesiąta Dziewiąta była cicha. Żadnego wiatru. Nikogo na ulicy, poza nim. Ruch uliczny zmierzał Dziewiątą na południe, ale nie tutaj, a nawet tam był tak niewielki, że ledwo go słyszał.

Stał tu sam. Gapiąc się na okno salonu, bojąc się odwrócić wzrok, albo chociaż mrugnąć, żeby nie przegapić momentu, kiedy się pokaże; bojąc się przewrotności przypadku i okazji, pewnie dlatego, że to właśnie przypadek i okazja go tu doprowadziły. Ona była nową barmanką, a on stałym bywalcem. Szybko się zaprzyjaźnili,

dużo później, powoli stali się kochankami - dwa lata temu - dopiero po zwykłej randce, która zostawiła ich samych w zatłoczonym,

głośnym, nowym klubie tanecznym, którego, jak się okazało, oboje nie lubili. Czekali na dwójkę przyjaciół aż wrócą z baru i wszyscy będą mogli zabrać się stamtąd w cholere, a po-

jedyncze, nieco upojone alkoholem objęcie zamieniło się w zaskakująco

czuły pocałunek, a potem więcej i więcej i zanim się zorientowali, minęły dwa lata, a miłość uwięziła ich, tak jak przypadek i okazja mogą uwięzić każdego.

Okno się zamazało.

Przetarł oczy.

W oddali słyszał wycie syren, gdzieś na Times Square.

Okno znów się zamazało.

Czy syreny to powodowały? Jakiś pierdolony ambulans wywoływał u niego płacz. Nieszczęście kogoś innego? Kogoś obcego?

To możliwe. Obecnie cokolwiek mogło (o zrobić.

To było zbyt absurdalne, nawet jak dla niego, zobaczył to, dosłownie zobaczył, że umysł nakłada na oczy obraz, który wybiera w taki sposób, że to, co naprawdę widzą na świecie znika na moment, nie mogąc rywalizować, będąc kompletnie jałowym w porównaniu z tym, co narzuca mózg. Widział to żywo, szlochając, ponieważ wiedział, że w prawdziwym świecie nigdy już tego nie zobaczy, a już na pewno nie w taki sposób jak teraz, całkowicie zwrócony ku niemu - jej szeroki uśmiech - a potem odwrócił się i poszedł do domu.

PIĘĆ

Portret w nocnych wiadomościach nie był idealny.

Miał prawie odpowiedni nos i podbródek, ale czoło było o wiele za wysokie, a oczy źle dobrane, ponieważ na portrecie były dobrotliwe,

nic nie wyrażały, podczas gdy jego były pełne...

...czego?

Czegoś. Nawet nie zawracał sobie głowy ustaleniem tego.

Z cyframi też się pomylili. Przypisali mu jakieś piętnaście, dwadzieścia robót w tym roku. Musiał się roześmiać. Powinno być raczej trzydzieści, trzydzieści pięć. W przybliżeniu jedna na półtora tygodnia. Wyliczył, że do końca jego własnego roku

fiskalnego, który zaczynał się i kończył w jego urodziny, tuż przed Bożym Narodzeniem, zarobi pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt kawałków.

Nie tyle, ile przyniosłoby rabowanie banków, ale bary były o wiele bezpieczniejsze. Bary były podatne.

Po pierwsze, nie pracujesz w biały dzień, oprócz wyszukiwania odpowiednich miejsc do uderzenia. Nie musisz się zbytnio martwić monitoringiem. No i nie ma żadnego emerytowanego gliniarza

z charakterkiem, jakiegoś uzbrojonego dupka, strażnika na tyle głupiego, by otworzyć ogień.

Rzadko trafiał się barman, który chciał zginać za przychód i napiwki.

Chociaż len dupek w zeszłym tygodniu rzeczywiście go ścigał. Sądził, że przestraszył go na śmierć. Zwłaszcza tym ostatnim uderzeniem w głowę. Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Zazwyczaj ucieczka była prosta. Szedł w stronę pobliskiej stacji metra i kiedy już wsiadł, nieważne było dokąd pojechał. Jeśli pod ręką był autobus, też mógł z niego skorzystać. Wysiadał, wypijał jedno czy dwa piwa w kolejnym barze, a potem szedł do domu.

W wiadomościach głośno martwili się jego bronią. Produkował się jakiś porucznik. Mówił, że fakt, że ma broń oznacza, iż prędzej czy później jej użyje. Gówno prawda. Jego broń miała powodować zaskoczenie i strach. Miała być ozdóbką. Naładowaną, ale ozdóbką.

Potem próbowali go połączyć z szerszym trendem. Wszystko było takie złowieszcze. Wyglądało na to, że strzelaniny w mieście wzrosły o dwadzieścia cztery punkty procentowe w porównaniu z tym samym miesiącem w zeszłym roku - wykres na ekranie telewizora

najeżony był cyframi z wybiórczych statystyk nowojorskiej policji, która od czasu ataków na World Trade Center zajmowała się wąglikiem, ochroną i służbą przy *ground zero*, zamiast zajmować się ulicznymi zbrodniami.

Ponownie, gówno prawda. Nie był częścią jakiegoś cholernego trendu. Robił to, co zawsze.

Zwykły, staromodny rabunek z bronią w ręku.
Usiadł na sofie i upił łyk piwa. Portret pamięciowy go nie martwił.
Nie licząc oczu, został pobłogosławiony jedną z tych mniej
lub bardziej *typowych* twarzy, zwyczajną twarzą, która nie wzbudza
w nikim podejrzeń. Akceptowalna - tak lubił o niej myśleć.
Na tyle, by żaden facet nie miał powodu się go bać, być pod
wrażeniem

ani być przez niego zawstydzonym albo go zapamiętać.
Akceptowalna dla kobiet na tyle, że zawsze mógł sobie skołować
cipkę. Nie była to twarda twarz ani miękka. Żadnych blizn, żadnych
dołeczków czy szczelin w podbródku.
Portret nic nie da. Jego twarz była zbyt zmienna.
Włosy można ostrzyć albo pofarbować. Na linię czoła pomoże
kapelusz albo czapka z daszkiem. Kolor oczu można zmienić
soczewkami kontaktowymi lub okularami bez recepty albo po
prostu przystrzygając nieco brwi. Albo pociemniając je ołówkiem.
Pomyślał, że brwi są poważnie niedoceniane.
Powinno się unikać mocnej opalenizny. Mocna opalenizna zapadała
w pamięć przyzwyczajonym do bladeści nowojorczykom.
Jeśli przez przypadek nabawisz się opalenizny, przykrywasz ją
pudrem. Fizyczność była zmienna jak cholerna pogoda. Jesteś
wysoki?

Masz metr osiemdziesiąt? Więc chodź przygarbiony. Zegnij
kolana. Dobrze zbudowany? Luźne swetry albo biznesowe ubrania
za jednym razem, a za innym dżinsy i T-shirt.
Na jedną robotę plecak, na inną torba na zakupy albo teczka.
Dopił piwo i, marszcząc brwi, zerknął na New York One. Na
New York One powinno być coś o Nowym Jorku, prawda? Ale
teraz znowu mówili o pieprzonym węgliku. A jeśli nie o węgliku,
to o pieprzonej wojnie w Afganistanie albo o pieprzonym World
Trade Center. Kogo obchodziło, że asystent senatora albo urzędnik
pocztowy dostał przesyłkę z węglikiem - wdychał go, wtarł
w skórę albo wstrzyknęli mu go w dupę? Kogo obchodziło, że
kolesie

z ręcznikami na głowie wysadzili wieżowce?

On pracował przy gruncie.

Zakończyli jakimś patetycznym materiałem o koleśku, który musiał być najbardziej politycznie poprawnym dupkiem na powierzchni

Ziemi - jakimś dentyście z Westchester, który chciał odkupić od dzieci wszystkie zebrane w Halloween słodycze, żeby nie popsuky sobie zębów. Pieprzyć ich zęby. Wyłączył cholerny telewizor, wstał i wrzucił puszkę do zlewu.

Już czas.

Goląc się w łazience, zerknął na swoje przybory toaletowe.

Wpadł na naprawdę świetny pomysł.

- Masz szczęście - powiedział barman. Właśnie miałem powiedzieć mojemu przyjacielowi, że zamykamy. Co będzie?

- Miller, dzięki.

- Miller, robi się.

Przyjaciel barmana pewnie nawet wcale go nie znał. Jego *przyjaciel* wyglądał, jakby całą noc szwendał się po pubach i był pracownikiem fizycznym, podczas gdy bar był raczej dla dzieciaków,

Barrow i Hudson, stół bilardowy, plakaty koncertowe, w szafie grającej *Sweet Home Alabama*, a sam barman też był dzieciakiem.

Okulary w drucianej oprawce, zaczerwienione policzki, kolczaste włosy, mocna budowa ciała pod koszulką. Może Irlandczyk.

- Zimno?

Dzieciak nalał pół kufła Millera i postawił go przed nim.

- Nie. Dobra bryza.

Barman schował dwudziestkę do kasy. Facet obok niego dopił piwo, wybełkotał podziękowania, ześlizgnął się ze stołka i stuknął palcem wskazującym dolar pięćdziesiąt. Dawał barmanowi dolar pięćdziesiąt napiwku. Rozrzutnik. Schował ręce do kieszeni i udał się do drzwi. Co znaczyło, że wszystko idzie dobrze.

- Dobranoc. Dziękuję panu. Proszę na siebie uważać.

Barman położył przed nim resztę. Zagarnął swój napiwek i wrzucił do miseczki.

Naciągnął chirurgiczne rękawiczki.

- Ty na siebie uważaj - powiedział.

- Słucham? - zapytał barman.

Często tak mówią. *Proszę na siebie uważać*. Kiedy powtórzysz im to samo, wytrącasz ich z równowagi. Może nawet zaczną się martwić.

Ale dzieciak był tylko zaskoczony.

Wyciągnął czterdziestkę piątkę zza sportowej kurtki. Położył na barze, wycelowaną w wyrobiony, płaski brzuch barmana.

- Powiedziałem, żebyś ty na siebie uważał. Teraz słuchaj uważnie, a wrócisz dziś do domu, do swojej dziewczyny.

Powiedzmy,

że jestem twoim starym kolegą z koledżu i zamykam knajpę razem z tobą, więc rób to, co zawsze, tylko, że ja tu będę. Chcę, żebyś właśnie tak się zachowywał. Ja tylko piję sobie piwko. Ty zamkniesz drzwi, zgasisz światła na zewnątrz i przygasisz te w środku. Jediną różnicą jest to, że potem podejdziesz do kasy i zamiast przeliczyć utarg, opróżnisz ją do tej torby.

Podał mu Wielką Brązową Torbę z Bloomingdale'a.

- Otwórz ją i połóż na podłodze. Tak. Bardzo dobrze. Teraz rób swoje. I nawet nie myśl o otwarciu tych drzwi. Wiem, że bardzo tego chcesz, ale widzisz, otwarcie ich i przejście przez nie trwałoby zbyt długo. Będziesz martwy, zanim dotkniesz chodnika, wierz mi. Już dwa razy dopadli mnie za morderstwo pierwszego stopnia - *to było kłamstwo, ale zawsze d z i a ł a ł o* - więc nie ma to dla mnie wielkiego znaczenia. Dobrze strzelam. Więc dla ciebie będzie miało to znaczenie.

Dla podkreślenia wypowiedzi odbezpieczył broń.

Mógł to wyczuć, niewyraźny zapach amoniaku albo czegoś podobnego. Może wybielacza. Facet pocił się ze strachu. Strach go oczyszczał, wylewał się przez tłuszcz i skórę, przez organy, które nie chciały zaniechać swoich funkcji, nie chciały przestać pulsować.

Położył broń między nogami i obrócił się na krześle, uśmiechając się, kiedy facet na trzęsących się nogach wyszedł zza baru, wyłowił kluczyki z kieszeni, zamknął drzwi, włożył je z powrotem do kieszeni, sięgnął za wysoki, brązowy, doniczkowy kaktus i zgasił zewnętrzne światła.

Tam jest ściemniacz, okay?

Facet wskazywał na wpół martwą paproć na drugim końcu pomieszczenia.

- Dlaczego miałoby nie być okay? Ufam ci. Jak masz na imię?

Facet zawahał się. Jakby nie chciał powiedzieć. Jakby to się stało zbyt osobiste.

- Robert... Bob.

- Bob czy Robert?

- Bob.

- Dobrze, Bob. Przygaśmy światła.

Obserwował, jak przechodzi przez pomieszczenie, nawet nie próbując wyjrzeć przez okno, bojąc się, że nawet przez to może zostać zastrzelony. Dobrze.

To zawsze było dla niego zadziwiające. W ciągu kilku minut

- sekund - mogłeś sprawić, że facet występuje przed tobą jak tresowana

foka. W połowie przypadków, tak jak teraz, nie musisz nawet prosić.

- Powinieneś podlać swoje pieprzone kwiatki, Bob. Wiesz?

Pokiwał głową, sięgnął i przygasił światła.

- Dobrze, Bob, teraz najlepsza część.

Wypił trochę piwa. Barman wrócił za bar i otworzył kasę kluczykiem.

- Tylko banknoty. Żadnych drobnych.

Patrzył, jak wrzuca banknoty do torby z Bloomingdale'a. Bob miał dziś całkiem udaną noc. Wyglądało, że było tego ponad tysiąc.

Dziś w gazecie czytał, że biznes w City stracił od 11 września 357 milionów dolarów. Głównie bary i restauracje. W tym miejscu nie było tego widać.

- Wiesz co, Bob? Zagrajmy w małą grę o twoją miseczkę z napiwkami.

Jestem pewien, że masz tam parę setek. Jestem pewien, że chciałbyś je zatrzymać. Więc. Jeśli przegram, są twoje. Jeśli wygram, lądują w torbie.

- Nie, w porządku, możesz je po prostu...

Sięgnął ręką do miseczki nad kasą.

- Hej! To *nie* w porządku, Bob!

Pochylił się, oparł na barze i przystawił lufę pistoletu do bladego, wysokiego czoła barmana. Przez rękojeść czuł, że facet się trzęsie. Obserwował jak jego okulary zsuwają się po spoconym nosie.

- Nie zrozum mnie źle, Robert. Jeśli mówię, że zagramy w małą grę, to zagramy w małą grę. Pozwól, że powiem ci o sobie coś, czego nie wiesz, Bob. Nie lubię ludzi. Właściwie to wypada powiedzieć, że ich, kurwa, nienawidzę. Nie tylko ciebie, Bob, ty kolczasto-włosy, mały pierdzielu ze środkowego zachodu - chociaż ciebie też nienawidzę, to pewne. Ale widzisz, nienawidzę wszystkich. Wszystkich równo - Żydów, Arabów, Azjatów, czarnych,

białych anglosaskich protestantów, do wyboru do koloru.

Niektórzy myślą, że to problem. Wiesz ilu ludzi chciało mi pomóc z tym małym problemem, Bob? Chciało mnie zreformować? Tuziny! Nie żartuję. Ale to nigdy nie działa. Nigdy. Wiesz czemu?

Ponieważ to, co w życiu najbardziej daje mi kopa, co mnie naprawdę napędza, to reformowanie tych, którzy chcą zreformować mnie. A szczerze wierzę w to, że jedyną metodą na zreformowanie kogoś, jest skrzywdzenie albo zabicie. Albo jedno i drugie.

Kropka.

Usiadł ponownie, położył broń na barze, a potem nakrył ją dłonią.

Bob teraz wyraźnie drżał, połykając powietrze jak ryba.

- Jezu, uspokój się Robercie albo to się nie uda. Podaj mi torbę.

I kluczyki. Dobrze. Bardzo dziękuję. Teraz przysuń tę deskę do krojenia i ten mały nóż do cytryn.

- Jezu.

- Zrób to. I wyrzuć cytryny.

Dzieciak zerknął na dłoń spoczywającą na broni, odwrócił się i zrobił co mu kazano, położył przed nim deskę i nóż.

- Dobra, powiem ci co zrobimy. Jesteś praworęczny, prawda?

Tak myślałem. Położysz więc swoją prawą dłoń, *wewnętrzną stroną do góry* - to ważne, *wewnętrzną stroną do góry* - i rozcapierzysz

palce. Potem wezmę nóż, który jak widzę jest ostry - bardzo dobrze, Robercie - i zacznę nim dźgać między twoimi palcami. Na początku wolno, potem może trochę szybciej. Nie za szybko, nie martw się. Wierz mi, jestem w tym dobry. Naprawdę. Ale jeśli mi się nie uda, jeśli zrobię chociaż najmniejsze nacięcie, zatrzymasz miskę. Jeśli mi się uda, miseczka wędruje do mnie. Sprawiedliwie? Jasne, że tak. Musisz, tylko się nie ruszać.

- Jezu.

- Przestań mówić *Jezu*, Robercie. Dla odmiany bądź, kurwa, mężczyzną. Możesz pamiętać, że mam broń, jeśli ci to pomoże.

Dobra. Rozcapierz palce.

Dzieciak poprawił okulary na nosie. Znów się zsunęły. Wziął głęboki wdech i położył dłoń płasko na desce.

Złapał nóż między kciuk a palec wskazujący i środkowy i tak, jak obiecał, zaczął wolno. *Uderzenie*, góra. *Uderzenie*, góra. *Uderzenie*.

Podkreślił tempo i uderzenia stały się głośniejsze, ponieważ zwiększyła się też siła, a on naprawdę był w tym dobry, cholernie dobry, *bumbumbumbumbum*, a dzieciak powtarzał

tylko *Jezu*, o *Jezu*, Bob Chrześcijanin. Wiedział, że dla biednego Boba to trwa całą wieczność, a kiedy wreszcie zmęczył się straszaniem dzieciaka, przygwoździł jego kciuk do deski, tak że dzieciak zaczął dyszeć i wydyszał: *aaachhh!!*, podczas gdy on sam powiedział tylko: *nie wrzeszcz, Bob, cokolwiek zrobisz, nie waź się, kurwa, wrzeszczeć*.

I Bob nie wrzasnął. Pewnie się tego spodziewał. Stał tam, ciężko oddychając, opierając się o bar na lewym łokciu, pomimo bólu i trzęsących się nóg, zerkając na powiększającą się kałużę

krwi pomiędzy jego palcami. Sięgnął do kieszeni, wyjął kopertę i otworzył ją. Wysypał z niej trochę talku Johnson's i dmuchnął mu nim prosto w twarz.

Bob wyglądał na zaskoczonego. Mrugał, skonfundowany.

- Wąglik, Bob - powiedział. - Prawdziwy, przysięgam.

Podniósł torbę z pieniędzmi. Wyjął z kieszeni kurtki cztery pary zrolowanym skarpetek, rozwinął je i rozłożył na pieniądzach. Jakby właśnie zrobił pranie.

- Postaraj się nie oddychać przez chwilę, Bob. Idź umyć twarz. To gówno dostanie się prosto do twoich płuc. Wiesz, co stanie się potem. Miska jest twoja. Wygrałeś ją uczciwie. Uważaj na siebie. A jeśli myślisz, że traktowałem cię źle a mam nadzieję, że nie - no to cholera, powinieneś zobaczyć, jak traktuję panienki.

Nie miało znaczenia, czy dzieciak uwierzył w wąglika. Mógłby się założyć, że i tak nie był teraz szczęśliwy. Miasto w tych dniach było jakie było.

Przekręcił klucz w zamku, rozejrzał się, wyrzucił klucz do rynsztoka, zdjął rękawiczki i wyszedł.

SZEŚĆ

Claire zajęło chwilę, nim zdobyła się na odwagę, by wreszcie to zrobić. Barbara miała podobnie. Zdecydowały zatem zrobić to razem i pomogło.

Stały przed wejściem do metra na Chambers Streets w ten - nietypowy, jak na porę roku - ciepły, słoneczny dzień, w grupie trzydziestu innych osób rozproszonych po ulicy, gapiących się zza policyjnych barykad na odległe, srebrne niebo na południu, gdzie zaledwie półtora miesiąca temu stały Dwie Wieże.

Zapach był napastliwy, surowy, zrodzony z północnej bryzy.

Drapał ją w gardło. *Rozgrzany do czerwoności metal, topniejący plastik i coś jeszcze. Coś, o czym nie chciała myśleć.*

Nigdy nie lubiła World Trade Center. Zawsze wydawał się jej wyniosłą,

bezduśzną, wielką, filisterską świątynią pieniędzy i władzy.

A teraz ona i Barbara cicho płakały.

Tylu ludzi zginęło.

Ostatnio tak dużo płakała.

Nie знаła nikogo, kto tu zginął.

Ale czuła się tak, jakby знаła każdego...

Gapiła się na jasne, niebieskie niebo, poszarpane pióropuszcami bladego, jasnego dymu, a po chwili się odwróciła.

Nigdy nie widziała tylu przejętych twarzy.

Starsi, młodzi, nawet małe dzieci tak małe, że nie powinny

o tym widzieć i stać tutaj, nie powinny dorastać w cieniu tego wydarzenia.

To nie było w porządku. Kobieta w dzinsach i koszulce

z napisałem KOCHAM NOWY JORK - BARDZIEJ NIŻ BARDZO wycierała potoki własnych łez. Facet z teczką specjalnie się tym nie przejmował.

Nie widziała ani jednego uśmiechu.

- Przejdźmy się - powiedziała.

To właściwie był szept. Jakby stały w kościele. Było w tym jeszcze coś niesamowitego - cisza. Nowy Jork wypełniony ciężką

i grubą ciszą, przerywaną jedynie okazjonalnymi przejazdami ciężarówek z gruzem i zawodzeniem syren wozów strażackich,

pędzących przez ulicę w stronę *ground zero*. Miała tylko jedno

porównywalne wspomnienie związane z miastem - spacer

o północy sprzed kilku lat, po rekordowych opadach śniegu, na

tyle dużych, że zamknięto wszystkie lotniska, mosty i tunele.

Sparaliżowały

miasto. Pamiętała, jak stała sama na środku prowadzącego

na północ pasa na Broadway i Sześćdziesiątej Ósmej,

w dziewiczym, niepodeptanym śniegu, przez ponad dwadzieścia

minut, dopóki w pewnej odległości nie pojawiła się para reflektorów.

Mogła być w Vermont albo New Hampshire. Zamiast tego

stała na jednej z najbardziej ruchliwych ulic, w jednym z najbardziej

ruchliwych miast na świecie. Pamiętała, że była zachwycona

nową odsłoną, całym tym spokojem i ciszą.

Ale to nie było to samo.

Szły na południe przez Broadway, mijały sklepy z plakatami i przepasanymi kirem zdjęciami Wież, które nieodparcie przyciągały ich wzrok. Nie uderzyły jej jako beznadziejne, ani nawet komercyjne, chociaż takie właśnie były - Nowy Jork zawsze najpierw

zdrowieje przez komercję - uderzyły ją jako ważne przypomnienie tego, co się wydarzyło. I nie było w tym nic złego.

Zatrzymały się przed zabitym deskami, brudnym od pyłu Bankiem Chase. Cała powierzchnia jego szerokich okien pokryta była zdjęciami martwych policjantów i strażaków, młodymi twarzami, gapiącymi się na nie, zatrzymanymi w czasie na zawsze. Wszędzie dookoła zalegała gruba warstwa brązowo-białego kurzu. Chodniki, ulice, sklepy, samochody, nawet całe wieżowce były polewane wodą z węży - byle się tego pozbyć.

To była z góry przegrana walka. Cały teren nadal się palił.

Gapiała się na przesuwające się obok niej twarze. Na żadnej nie malował się uśmiech.

Minęły usiane kwiatami policyjne zapory.

Okna wypełnione apelami o informacje na temat zaginionych.

Martwych.

Ich fotografie.

Minęły jasne, narysowane kredkami przez dzieci ilustracje - serca, strażacy, policjanci, kwiaty, słowa żalu i podziękowania.

Minęło trochę czasu, zanim któraś z nich zdecydowała się coś powiedzieć. Zawsze dobrze się czuła w towarzystwie Barbary, odkąd zaczęły pracować razem w barze Village Cafe, ale tym razem było inaczej. Pomyślała, że obie były tu naprawdę samotne. Każdy był.

Wiatr się zmienił. Smród zelżał. W ustach czuła jednak nadal smak stali, pyłu i plastiku. Była głodna. Nic nie jadła. Chociaż myślenie o jedzeniu tutaj było niemożliwe. Zastanawiała się, jakim cudem sklepy z przekąskami i uliczne stragany pozostawały otwarte. Nawet cola czy butelkowana woda smakowałyby tu... niewłaściwie.

Zatrzymywały się przy każdym rogu i gapiły się w puste niebo.

Bliżej Liberty Street chodniki stawały się coraz bardziej zatłoczone i niebawem zostały uwięzione w masie idących powoli ludzi, co było niemal przerażające, to odczucie, kiedy setki ludzi, turystów i Nowojorczyków, tłoczą się przy zaporach i wyciągają głowy, by ujrzeć widok, którego już tam nie było. I tu można było zobaczyć uśmiechy, usłyszeć śmiech, zbyt głośny jak na jej gust. Atmosfera prawie jak w karnawale, napędzana niezdrową ciekawością.

Było zbyt ciasno, o wiele za ciasno - a co, jeśliby się coś stało? Gdyby ktoś spanikował? Mogłabyś zostać zmiażdżona, zdeptana. Kiedy ojciec zrobił zdjęcie swojej uśmiechniętej córeczce na tle horyzontu, a potem to samo powtórzył nastolatek ze swoją dziewczyną, powiedziała: *wynośmy się stąd, do cholery.*

- Nie możemy - rzuciła Barbara.

- Nie podoba mi się to.

- Ani mnie.

Trzęsła się ze strachu i gniewu.

- Tędy.

Było łatwiej niż myślała. Kiedy przechodziły ze środka na zewnątrz tłumu, ludzie cieszyli się, że mogli zająć ich miejsce, by przybliżyć się do miejsca tragedii. Wreszcie wycofały się na skraj pełzającej, ludzkiej fali, ich plecy prawie ocierały się o brudne fronty sklepów. Potem wspięły się na schodki prowadzące do innych sklepów i wkrótce znalazły się na Park Row, po czym udały się na wschód i nareszcie znów zapanowała cisza, a one śmiały się i potrząsały głowami, niemal odurzone ulgą. Wtedy to usłyszały cichy, miękki, kwilący odgłos.

- C z y to...?

- Cii. Tak.

Nasłuchiwała. Po chwili usłyszała to znowu. Po jej lewej stronie stał długi, zielony kontener na śmieci, wypełniony gruzem, głównie kawałkami cementu. Odgłos dobiegał właśnie stamtąd.

Podeszły i obejrzały go - Claire z jednej strony, Barbara z drugiej.

- Nic - oznajmiła.

- Tu też nic.

Zajrzała za kontener. Brudny, pusty chodnik i ściana budynku.

- Nie wydawało nam się - powiedziała Barbara. - To był kociak.

- Wiem. Poczekaj chwilę.

Claire postawiła stopę na cegle, podciągnęła się na brzeg kontenera i zajrzała do środka. Był tam, po jej prawej, mały bury kociak, spacerujący niepewnie - jak na linie po wąskiej, poszarpanej skorupie cementu, w tę i z powrotem, obserwując coś za linią jej wzroku, coś po drugiej stronie kontenera. Znowu usłyszały kwilenie. Zeskoczyła na dół.

- Tutaj - wyszeptała.

Podeszły do miejsca, w którym powinien znajdować się kot, ale nie było tam żadnych klocków, niczego, na czym można było oprzeć nogę. Rozejrzała się w poszukiwaniu kraty po mleku, wiadra, czy pojemnika na śmieci. Czegokolwiek.

- Podstaw mi rękę.

- Robi się.

Barbara podstawiała ją, ale pierwsza próba skończyła się niepowodzeniem

i Claire spadła. Zaczęły się śmiać, a potem spróbowwały ponownie.

- Dobrze. Mam. Poczekaj.

Zdjęła większość swojej wagi z ramion Barbary, kiedy jej brzuch oparł się o krawędź kontenera, zgięła się w talii i zobaczyła zwierzę, po czym sięgnęła w jego stronę, a kociak odwrócił się i spojrzał na nią szerokimi oczyma, na to nowe zakłócenie spokoju i pomyślała, że pewnie czmychnie, ale tylko usadowił się niepewnie. Został na tyle długo, że zdążyła oprzeć się na prawej dłoni i podciągnąć się dalej na krawędzi kontenera, by móc sięgnąć po niego i podnieść go lewą ręką.

Kotek wydał z siebie długie, żarliwe *miauuuuuuu* i z niepokojem zerkał ponad jej ramieniem. Spojrzała w tę samą stronę i zobaczyła ciało większego kota. Jego głowa leżała za kamiennym blokiem. Zobaczyła dawno zaschniętą krew na jego piersi i łapce.

Och, biedactwo - powiedziała.

Kolek patrzył na nią, trząsł się.

Mam ją - oznajmiła. - Schodzę.

- Skąd wiedziałaś? - spytała Barbara.

- Skąd wiedziałam co?

- Że to była kotka?

Zaśmiała się.

- Po prostu wiedziałam. Nie wiedziałam. Nie wiem.

Kierowały się w górę miasta, w stronę metra, a potem do domu. Barbara niosła jej torbę. Ona z kolei trzymała kotkę przyciśniętą do piersi i ramienia. Kotka była skołtuniona i lepiła się od kurzu oraz Bóg wie od czego jeszcze. Pachniała jak wnętrze pojemnika na śmieci i trzymała się mocno ramienia Claire. Claire nie miała nic przeciwko.

- Jak myślisz, ile ma? Pięc, sześć tygodni?

- Wątpię. Daję jej tydzień. Jest młoda. Naprawdę młoda. Po południu zaniosę ją do weterynarza. Niech ją zbada i zobaczy, czy wszystko w porządku. Będzie wiedział.

Wracały mniej więcej tą samą drogą, którą przyszły. Przechodziły obok zakurzonych sklepów, wchodząc w zapach spalenizny i dziwną, smutną, nowojorską ciszę.

- Zatrzymasz ją?

Podniosła kotkę i przytrzymała ją nad głową, a kiedy kotka spojrzała w dół, ona obdarzyła zwierzę promiennym uśmiechem, a zaraz potem uśmiechnęła się w kierunku cichej ulicy.

- Na zawsze - odpowiedziała.

10 listopada, 2001

SIEDEM

Kiedy David skończył pracę - akryl na okładkę YA nareszcie nabierał kształtów - zrobił to, co zawsze, umył pędzle, nakrył płótno, poszedł do sypialni i nacisnął WIADOMOŚCI na swojej sekretarce, po czym wyłączył przycisk wyciszenia głośności i zaczął słuchać.

Wtłoczony pomiędzy nagrany wiadomość od Mike'a Bloomberga, proszącego o wsparcie w nadchodzących wyborach, a telefon od asystentki jego agenta, z prośbą o oddzwonienie, miała dla niego dobre wiadomości, pojawił się jej głos mówiła: *to ja chciałam tylko dowiedzieć się, co u ciebie* - urwany nagle.

Minęły całe dni, odkąd ostatni raz o niej myślał. To był jeden z tych, podczas których był całkowicie zaabsorbowany pracą, a teraz jej głos, a raczej widmo jej głosu - jego sekretarka była stara, na analogowe kasety i miała denerwujący nawyk przebijania fragmentów starych rozmów pomiędzy te nowe, niczym zwiędłe palce z za grobu - uderzyło w niego z całą siłą i przerwało znajdującą się w nim tamę.

Co u mnie?

Niektóre dni są w porządku, Claire. Większość jednak nie za bardzo.

Wybrał jej numer. Coś, czego nie robił od tygodni, a teraz zrobił na jej życzenie.

Nagrał się na jej sekretarkę.

- To ja - powiedział. - Dzwoniłaś do mnie dziś? Czy moja sekretarka droczy się ze mną? Pomyślałem, że sprawdzę. Tak czy siak, jestem tu, mam nadzieję, że wszystko w porządku. Na razie. Dał jej mnóstwo czasu na odebranie wiadomości. Nie odebrała, więc albo jej tam nie było, a telefon był wcześniej, albo jej głos był mechaniczną usterką i nadal nie chciała z nim rozmawiać.

Nie była gotowa z nim rozmawiać, jak to ujęła.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie.

Jego agent był na szybkim wybieraniu. Ona nie. Skasował ją prawie miesiąc temu. *Zbyt duża pokusa*. Agent powiedział, że mają dla niego wspaniałą ofertę - okładki na następne sześć wznowień

powieści Anne Rice - był bardzo rozentuzjasmowany i zaczął już finalizować umowę. To była dobra umowa, a jemu na pewno przydałyby się pieniądze, ale pracował już z Rice kilka lat leniu i wiedział, że potrafiła być trudna. Jedną z tych pisarek, której wydaje się, że jest też malarką i na każdym kroku daje ci to odczuć, zadreńczając detalami, podczas gdy rysunek krąży w tę i z powrotem, niczym płócienna piłeczka ping-pongowa, czekając na akceptację.

- Powiedz jej, że to biorę - powiedział.

Rozłączył się, podszedł do komputera i zapalił tego dnia dwudziestego

pierwszego papierosa. Liczenie ich miało podobno pomóc mu rzucić, ale póki co tylko go denerwowało. Irytowała go świadomość, że jara tak cholernie dużo. Sprawdził pocztę. Nie odpowiedział na żadnego maila. Słowa po prostu nie chciały przychodzić.

To było obsesyjne, ale mógł myśleć tylko o jej wiadomości odsłuchanej na sekretarce. *Chciałam tylko dowiedzieć się, co u ciebie*. Może naprawdę chciała. Może wyszła tylko na chwilę i oddzwoni później.

Wątpił w to.

Ale bardzo mu jej brakowało i kiedy tylko zdawał sobie z tego sprawę, kiedy dopuszczał do siebie tę myśl, czepiał się nawet najmniejszej

nadziei. *Z m i e n i ł a zdanie, nie m i a ł o znaczenia, że nie mógł odejść, za bardzo za nim tęskniła, wybaczyła wszystko, spróbujmy*

jeszcze raz.

Sądził, że to była fantazja, ale uczepił się nadziei, jakby sama nadzieja mogła to sprawić. Nie tylko seksu mu brakowało. Bóg świadkiem, że między nimi zawsze było w porządku, ale w jego sercu przewijał się cały katalog rzeczy, za którymi u niej tęsknił,

a jego umysł właśnie przeglądał poszczególne strony. Czasem, zupełnie przypadkowo, coś trafiało go mocno bez żadnego powodu. *Przerwa pomiędzy jej dwoma przednimi zębami, ochryply głos, rozmowy o wspólnych przyjaciółach, których imion nie słysz a ł od tygodni i o dawno minionych incydentach, ludziach którzy odeszli z ich życia, sztuce, książkach i uczuciach, sposób, w j a k i dumnie szła ulicą, dotyk jej talii pod jego ramieniem albo jej policzka pod jego dłonią, albo ich dwoje stojących pod ciemniejącym, nowojorskim niebem - i tak w kółko.* Niezliczone obrazy, obserwowane i dzielone przez upojny bieg dwóch długich lat momenty.

I przyjaźń, która zawsze stanowiła bazę tego wszystkiego. Odepchnął się od komputera i wyłączył go, patrząc jak ekran mruga i przybiera neutralny, szary kolor. E-mail będzie musiał poczekać.

Nie był przygotowany na radosny ton, którego zawsze od niego wymagano.

Drink, pomyślał, to by się przydało. *Odwalileś dzisiaj k a w a ł roboty. Zaslugujesz na to. Nalej sobie szkockiej i włacz na chwilę wiadomości. Nie zaszkodzi.*

Czyżby?

Ostatnio sporo popijał.

Czy dla przyjemności, tak jak kiedyś? Czy żeby ukoić swój ból? Wiedział, że Sara się tym martwiła. Czasami on też.

Wyglądało na to, że musiał się schlać, żeby zasnąć.

Wstał i nalał sobie. Jego dwa obudzone koty ziewały na blacie, kiedy wyluskiwał lód z pojemnika. Podrapał je za uszami. Znów zasnęły. Sara powinna wrócić z pracy dopiero za dwie godziny, a koty nie zostaną nakarmione, dopóki ona tego nie zrobi. Wiedziały to, tak samo jak wiedziały o każdej płaskiej powierzchni w apartamencie, o każdym obszarze, na którym można było się przespać. Do tego czasu dawkowanie sobie alkoholu było właściwą odpowiedzią na życie.

Życzył sobie, by być rozsądnym i nalał sobie mocną porcję.

Czekał na telefon. To może być długa noc.

Była.

Siedem godzin, pięć drinków, resztki kurczaka na obiad, a ona nadal nie zadzwoniła. Więc to jednak usterka. Jutro kupi nową sekretarkę,

cholera. Taka męka nie była mu potrzebna.

A to była męka. Nie przesadzał. Czuł się w swoim apartamencie jak zwierzę w klatce. Sara była w sypialni, oglądała telewizję i pracowała nad papierami. Przyniosła pracę z banku do domu, ale nie mógł jak zazwyczaj do niej dołączyć, nie dziś. Nie mógł tego wyłączyć. Jakby bycie z nią w tym samym pokoju stanowiło zdradę - Sary, Claire, całej ich trójki.

Próbował czytać, ale to też nie pomogło. Nigdy nie malował ani nawet nie szkicował, kiedy pił. I teraz też nie zamierzał. Został więc tylko komputer. Odpowiedział na maile najlepiej jak potrafił. Następnie

posurfował po sieci, nie bardzo wiedząc czego szuka, pewnie czegoś, co go zaskoczy albo pocieszy. Czegokolwiek. Czuł więc z jej głosem w telefonie. W końcu kliknął na **NAPISZ WIADOMOŚĆ**

i zaczął pisać do niej ten długi, gorączkowy, idiotyczny list. Prośba o kontakt, o jakikolwiek rodzaj kontaktu, ale najbardziej chciał ją zobaczyć, prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego ona nie chciała zobaczyć jego. To by zaczęło wszystko od nowa, czego samolubnie pragnął, nawet wiedząc, że to by nie było dla niej dobre i szczerze mówiąc, czuł się winny jak cholera. Nie wiedział, czy alkohol pomagał, czy robił utrudnienia w departamencie

trzeźwego myślenia, ale list wylał się z niego. Kiedy skończył, miał nacisnąć **WYŚLIJ**, powstrzymał się jednak i przeczytał go ponownie. Nie wiedział, czy dobrze oddaje jego uczucia, czy nie. Czy były to użalające się brednie, czy nie. Pieprzyć to, pomyślał. *Pieprzyć to pieprzyć to pieprzyć to*. Zapisał go w **KOPIACH ROBOCZYCH**. Może wyśle jutro, kiedy będzie bardziej trzeźwy, a może nie.

W międzyczasie nie będzie tu siedział, gapiąc się w ekran przez całą noc.

Wiedział, gdzie obecnie pracowała.

Nadal mieli kilku wspólnych przyjaciół, którzy nie opuścili go całkowicie i przekonał Barbarę, by dała mu adres. Cholera, była tuż obok, po sąsiedzku. Tylko dziesięć ulic dalej.

Wyłączył komputer, wstał i poszedł do sypialni. Sara spoglądała na niego z łóżka. Sterty papierów były ułożone przed nią w wachlarz, w jakiś jej tylko wiadomy uporządkowany wzór. Pisała coś na nich czerwonym długopisem.

- Wychodzę - powiedział. - Czuję się zdenerwowany.

- Dobrze. Gdzie idziesz?

- Na spacer, na drinka. Zobaczymy.

- Idziesz zobaczyć się z Claire?

- Nie wiem. Może. Pewnie zdecyduję, kiedy już wyjdę. Nadal nie chce mnie widzieć.

Odłożyła długopis.

- David, czy my mamy kłopoty? Czy powinniśmy porozmawiać?

- Nie, nie mamy kłopotów. Przynajmniej nie teraz. Nie wiem, jak będzie dalej. Nie wiem, dokąd to zmierza. Ale nie musimy rozmawiać, nie teraz.

- Martwię się.

- Nie martw się. Jest w porządku. Może po prostu muszę ją zobaczyć. Nie wiem.

Spojrzała na niego i skinęła głową.

- W porządku. Uważaj na siebie - powiedziała.

Dokładnie to miała na myśli - żeby na siebie uważał.

- Będę. Kocham cię.

Wróciła do swoich dokumentów. Pomyślał, jak dziwnie to musiało wyglądać dla kogoś z zewnątrz. Jakby naprawdę jej to nie obchodziło. Ale wiedział, że się martwi i wiedział, jak bardzo.

Znali się trzydzieści lat i więzy były mocne, nawet jeśli czasami niewidoczne dla większości ludzi, chociaż teraz stały się słabsze, bo on się zakochał, a ona oczywiście wiedziała, jak wiedziała o każdej ważnej rzeczy w jego życiu - i może ta wiedza, tak jak koty, które posiadali, albo mieszkanie, które dzielili, albo fakt, że

była zawsze jego pierwszą i najlepszą recenzentką, albo nawet te wspólne lata po prostu bycia razem sprawiły, że został i nie mógł odejść.

Sara była do tej pory jego jedyną rodziną. Innej nie miał.

Założył kurtkę, zszedł do hallu i zamknął za sobą drzwi.

O wpół do pierwszej Claire *wreszcie* mogła coś zjeść. Poprosiła kucharza, by zostawił jej w mikrofalówce sałatkę Cezar, tę z grillowanym kurczakiem. Byli zawaleni robotą przez całą noc, ale teraz został już tylko stary Willie, siedzący w tym samym rogu co zawsze, z ramionami rozłożonymi przed sobą, przysypiając nad swoim piwem. Kiedy skończyła jeść, potrząsnęła nim. Willie ważył dobre dziewięćdziesiąt kilogramów i raz już spadł z barowego stołka, odkąd zaczęła tu pracę kilka tygodni temu. Pewnego dnia rozbije sobie głowę. Nie chciała, by stało się to na jej zmianie.

Sandi wyrzuciła ostatnią świecę do plastikowej torebki przy końcu baru, westchnęła, uśmiechnęła się i odwiązała kelnerski fartuch,

po czym zdjęła go przez głowę.

- Spadam stąd, dobra?

Rozdzielili już napiwki i wyrównali wkład w kasie. Nie było żadnych rozbieżności między tym, co w niej mieli a wydrukiem, inaczej musieliby sprawdzać pojedyncze rachunki, by znaleźć błąd. A Sandi padała z nóg.

Jasne. Idź. Dobrej nocy.

A raczej tego, co z niej zostało.

Uściskaj go ode mnie.

Taa. Słuchaj, naprawdę chcę ci za to podziękować. Doceniam, że ze mną rozmawiasz. To pomaga.

- Kenny to dobry dzieciak. Każdemu zdarza się nawalić. Tylko nie pozwól, by weszło mu to w nawyk, to wszystko.

Sandi uśmiechnęła się, narzuciła na siebie kurtkę i podniosła torebkę.

- Nie pozwolę. Widzimy się jutro?

- Tak.

Dokończyła sałatkę. Cholera, pożarła ją. Jak cię coś pochłonie, nie masz czasu na jedzenie. W końcu zapominasz o jedzeniu.

Wkrótce umierasz z głodu. Od dawna nic nie łyknęła ani nie wypaliła

marlboro. Nalała sobie podwójną, porządną Cuervo, zapaliła i pozwoliła dymowi wnikać głęboko.

- Hej, Willie. Ostatni dzwonek.

- Hmm?

Obserwowała, jak ciężkie powieki podnoszą się i opadają - j e j ojciec nazywał to Długim Mrugnięciem.

- W i l l i e . Hej!

- Hmm?

- Czas się zbierać.

- Och tak, oczywiście. Mogę to dokończyć?

Uśmiechnęła się.

- Jasne.

Patrzyła jak jego palce bawią się Heinekenem, dosłownie muskały, a potem chwyciły i wlały. Została mu jedna trzecia szklanki.

Wzięła łyk Cuervo i zaciągnęła się papierosem, po czym przeszła obok baru sałatkowego i Williego w stronę kontuaru. Wyłączyła klimatyzację przy oknie i nagle usłyszała odgłos pędzącego miasta po swej lewej stronie. Mężczyzna otworzył drzwi i wszedł do środka. Skinął głową i uśmiechnął się, po czym zdjął cienkie, brązowe, skórzane rękawiczki, a ona pomyślała: *cholera, dlaczego to zawsze mnie się przytrafia?* Powinna trzymać lokal otwarty do godziny pierwszej, jeśli byli jacyś klienci, taka była zasada. A było dopiero za piętnaście pierwszej i takie już jej szczęście, na dodatek nowa w pracy, więc szef mógł wpaść i sprawdzić ją, czy powiedziała temu facetowi, że już zamknięte.

Facet był wysoki, nosił dobrze skrojony, brązowy, trzyczęściowy garnitur. Położył swoją brązową, skórzaną walizkę na barze,

osiem stołków od Williego. Uśmiechnął się ponownie i powiedział *dobry wieczór*.

- Dobry wieczór - odpowiedział Willy.

Facet po prostu spojrzął na niego.

Musiała się roześmiać.

Właśnie miałam zamykać - poinformowała. - Więc to będzie ostatni dzwonek. Ale co mogę podać?

Jeśli na czymś się znał, to na barach i ómach barowych, stąd po sposobie, w jaki grubas siedział na stołku mógł stwierdzić, że zaraz upadnie, że nie dostanie od niej kolejnego drinka i wtedy wykonał ruch. Przeszedł przez ulicę spod kwaciarni, przy której udawał, że podziwia okno wystawowe i wszedł przez drzwi.

Z miejsca, w którym stał, miał idealny widok na ulicę i na róg Columbus

i Siedemdziesiątej. Niezły monitoring.

- Co jest z beczki? - spytał, a ona mu powiedziała. Stwierdził, że weźmie Amstela.

Podawała mu piwo Amstel w zamrożonym kuflu. Tak, jak lubił.

Upił łyk i patrzył, jak opłukuje kilka szklanek i wyciera ręce, a potem podchodzi do grubego faceta w rogu. Podobał mu się sposób,

w jaki stawiała kroki. Był asertywny, bardzo nowojorski.

- Hej, Willie. Obudź się, Willie.

- C o ?

- Dokończ piwo.

- W porządku. Dobrze.

Przechylił szklankę, wypił i postawił ją ponownie.

- Jutro też jest dzień, Willie. Dopij do końca.

- Dobra - dopił. - Ile ci wiszę?

- Już mi zapłaciłeś.

- T a k ?

- Taa.

- Napiwek?

- Zostawiłeś niezły, Willie. Dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział, uśmiechnął się i machnął do niej, jakby był cholernym papieżem, udzielającym pijackiego błogosławieństwa, po czym ześlizgnął się ze stołka. Postawił kołnierz swojego wyblakłego, szarego płaszcza przeciwdeszczowego, wyprostował się i próbował się nie zataczać, kiedy szedł do drzwi.

Boże, nienawidził stałych bywalców barów. Pieprzona ohyda. Wróciła do naczyń.

- To naprawdę miły facet - powiedziała. - Ale martwię się o tę jego wagę. Boję się, że dostanie zawału serca albo czegoś podobnego

podczas mojej zmiany. Co ja bym wtedy zrobiła?

- Nie winię pani. Ale jeśli tak było, co by pani zrobiła?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie zadzwoniłabym po karetkę pogotowia. Widziałam sztuczne oddychanie, ale nigdy, wie pan, nigdy tego nie robiłam.

- Widziała pani sztuczne oddychanie?

- Filmy, telewizja. Nie w prawdziwym życiu.

- Aha. Tak przy okazji, jestem Larry.

Wyciągnął dłoń. Uśmiechnęła się, wytarła swoją i podała mu.

- Claire. Miło mi cię poznać.

- Miło cię poznać, Claire.

Kiedy wróciła do zmywania, rozejrzył się. Cholera, moment dobry jak każdy inny, pomyślał. Założył chirurgiczne rękawiczki poniżej linii baru, poza zasięgiem jej wzroku, otworzył walizkę i popchnął ją na bok, otwartą, aby zasłaniała widok z ulicy, po czym położył delikatnie broń na barze.

- Claire?

Najpierw spojrzała na niego, potem na jego dłoń spoczywającą na pistolecie. Wyraz jej twarzy zmienił się. Zawsze lubił ten moment.

Czas objawienia.

- Oto, co zrobisz, Claire. Będziemy udawać, że jesteśmy parą starych przyjaciół. Może nawet kiedyś umawialiśmy się na randki, kto wie? Jestem tu, by pomóc ci zamknąć bar, więc rób to, co każdej nocy, tylko, że ja tu będę. Zamknij drzwi, zgaś światła na

zewnątrz i przygaś te w środku. Kiedy już zrobisz to wszystko, opróżnisz kasę do tej walizki. A ja napiję się piwa. Rozumiesz? Kiwnęła głową.

- Dobrze, teraz rób swoje. I, Claire? Nawet nie myśl o próbie ucieczki przez te drzwi. Wiem, że bardzo byś chciała, ale sprawa wygląda tak, że otwarcie ich i przejście przez nie zajmuje zbyt dużo czasu. Wierz mi, wiem coś o tym. Będiesz martwa, zanim upadniesz na chodnik. Już mam na koncie morderstwa pierwszego stopnia w Nowym Jorku, New Jersey i Connecticut, więc dla mnie to będzie bez różnicy.

Odbezpieczył broń.

- Rozumiemy się, Claire?

- Tak.

- Dobrze. Wiesz, co masz robić?

- T a k .

- To ruszaj.

- Klucze są w torebce. Klucze do drzwi.

- Więc? Weź je.

Obserwował ją, próbując oszacować jej reakcję, kiedy schyliła się w kierunku podłogi, by wziąć torebkę. Położyła ją na uchwycie do butelek, otworzyła i wyłowiła klucze. Ręce się jej trzęsły, kiedy gmerała w poszukiwaniu właściwego. To dobrze. Zbladła. To też dobrze.

Ale ciągle na niego zerkala - tuż przed tym, jak pochyliła się po torebkę i potem, kiedy stawiała ją na uchwycie i jeszcze raz, kiedy skręciła za róg przy barze i po raz czwarty, kiedy mijała go i szła w stronę drzwi. Pomyślał, że tym razem trafiła się mądrała, która stara się *zapamiętać jak wyglądam*, ale były sposoby, by zminimalizować

prawdopodobieństwo oraz sposoby, by całkowicie to wymieść.

Nazywało się to terapią szokową.

Noc zrobiła się chłodna, a David nie był na to przygotowany, ubrany tylko w lekką kurtkę. Nawet kiedy była zapięta pod brodę,

to wiatr znad rzeki wiejący wzdłuż West End Avenue wystarczył, by wysłać go na wschód przez Zachodni Central Park, gdzie gęste rzędy ekskluzywnych rezydencji blokowały podmuchy.

Przespacerował

od Sześćdziesiątej Trzeciej aż do Siedemdziesiątej Ósmej, zastanawiając się, co on takiego wyrabia, trzymając się zachodniej strony budynków, zarówno dla ochrony przed wiatrem, jak i dlatego, że nigdy nie wiesz, kogo spotkasz w Central Parku tak późno w nocy. Był to osamotniony odcinek, chociaż całkiem dobrze oświetlony - parę osób wyprowadzało psy albo wracało skądś do domu, a na ulicy odbywał się lekki ruch w obie strony. Stwierdził, że ulica pasuje do jego nastroju. *Samotna i w połowie oświetlona.*

Na Siedemdziesiątej Ósmej przeszedł obok trzech bloków w kierunku Broadway'u, chociaż jej bar był na Columbus. Chciał chyba zatoczyć szerokie koło wokół niej i tylko wtedy, kiedy nie da rady pozbyć się tego uczucia, zbliżyć się. Miał nadzieję, że to uczucie minie. To, co robił, było głupie. Nawet stanie po drugiej stronie ulicy od baru i patrzenie na nią przez okno byłoby głupie, ponieważ jeśli on mógł ją zobaczyć, istniało prawdopodobieństwo, że również ona mogłaby zobaczyć jego. Nie przyszło mu do głowy, że było to tak samo upokarzające, jak stanie pod oknem jej mieszkania. Wejście do środka i próba porozmawiania z nią - co bardzo chciał zrobić, wręcz umierał z chęci, by to zrobić - przysporzyłoby

im obojgu więcej bólu.

Tu nie mogło być dobrego zakończenia. Ale i tak zamierzał to zrobić.

Przeszedł przez Broadway z rękami schowanymi w kieszeniach przed zimnem. Niektóre bary nadal były wypełnione, głównie dzieciakami po dwudziestce. Słyszał muzykę i głośnie śmiechy. Inne knajpy były spokojne i ciemne, już zamknięte albo tuż przed zamknięciem. Nagle uderzyła go myśl, że nie miał pojęcia, jak szedł biznes w jej miejscu pracy. Mogła już dawno zamknąć i pójść do domu. Istniała taka możliwość.

Ta myśl przepełniła go strachem i przyspieszył, tak więc gdy przeszedł na czerwonym i minął Gray's Papaya na Siedemdzie-

siątej Drugiej, jego serce łomotało tak, że musiał zwolnić. Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczyła go w takim stanie, jeśli w ogóle miała go zobaczyć. Nadal nie był tego pewien. Za cholere nie wiedział,

co zamierza zrobić.

Ale bycie tutaj nie łagodziło jego uczuć. Nocne powietrze nie czyściło mu umysłu ani nie uleczyło duszy. Nie na dłuższą metę. *Był tak blisko.* By ją przynajmniej zobaczyć. By...

Skręcił na wschód na Siedemdziesiątą i poszedł wolno w stronę Columbus.

Zamierzał to kontrolować. Nie użyje broni.

Chciał pieniędzy, to wszystko.

W porządku.

- Opróżniłam już kasę - powiedziała. - Pieniądze są na zapleczu.

- Co jest w szufladzie?

- Dwieście dolarów wkładu na jutro.

- Włóż je do walizki. Kasetka czy sejf?

- Kasetka zamknięta w biurku. Nie zaufaliby mi z sejfem. Jestem tu nowa.

- Och? Nie jesteś godna zaufania?

- Jestem tu nowa.

Włożyła pieniądze do walizki. Patrzyła, jak popija piwo.

- Już to mówiłaś. Ale ja pytałem o to, czy jesteś godna zaufania.

- T-tak.

Przestań, pomyślała. *Cholera!* Nie chcesz okazać mu strachu.

Najmniejszego.

- Czy powinienem ci zaufać z pójściem na zaplecze i przyniesieniem kasetki?

- Twoja decyzja.

Uśmiechnął się i zlustrował ją od stóp do głów, a ona żałowała, że nie nosi czegoś mniej obcisłego niż cienka bluzka z dekoltem.

- Nie wydaje mi się - rzekł. - Jesteś kobietą. A ja nie zaufałbym kobiecie nawet jakby była na krótkiej smyczy i z odciętymi pieprzonymi nogami. Nic osobistego. Chodź ze mną na zaplecze. I trzymaj ręce przy sobie. Ruszaj.

Przeszła do biura, otworzyła drzwi i pomyślała o zatrzaśnięciu mu ich przed nosem. Ale to była tylko myśl - nic, co rozważałaby dłużej, przecież chciał tylko pieniędzy. Znalazła właściwy klucz do szuflady, otworzyła ją, po czym wyjęła kasetkę i położyła ją na biurku obok drukarki i komputera.

Odwróciła się.

Był tak blisko. Broń znajdowała się kilkanaście centymetrów od jej klatki piersiowej. Szarpnęła się do tyłu i jej biodro uderzyło o biurko. Bolało. Nagle poczuła suchość w ustach.

- Chcesz bym... to znaczy, czy powinnam ją otworzyć? Czy chcesz ją zabrać?

- Otwórz. Lubię widzieć, co biorę.

Znow się uśmiechał. Jego brązowe oczy drgały, a ona pomyślała o *mrówkach, pszczołach czy innych insektach.*

W tych oczach wcale nie było uśmiechu.

Ulgą było odwrócenie się z powrotem do biurka. Nie musiała patrzeć w te oczy. Użyła trzech palców, by ustabilizować kciuk oraz palec wskazujący. W końcu znalazła dziurkę, przekręciła kluczyk,

odwróciła się i odsunęła trochę w lewo. Podniósł wieko.

- Miałaś niezłą noc, Claire.

Zamknął kasetkę i zrobił krok w jej stronę. Jego twarz znajdowała się zaledwie kilkanaście centymetrów od jej twarzy, dokładnie przed nią.

- Naprawdę nie wiesz, jak zrobić sztuczne oddychanie?

- C o ?

- Naprawdę nie wiesz, jak zrobić sztuczne oddychanie? Tylko to, co widziałaś w telewizji?

- Ja nigdy...

- A co, jeśli któryś z klientów dostanie ataku albo coś? Jestem ciekaw. Nie sądzisz, że powinnaś odpowiadać za ten bar, Claire?

Czy nie ty właśnie? To nie kelner jest odpowiedzialny ani pieprzony pomywacz. Czy jesteś dobra tylko w nalewaniu cholernego piwa? Co z odpowiedzialnością? *Powiedzmy, że j a dostaję ataku albo coś!* Co byś zrobiła? Zadzwoiła po karetkę pogotowia, kiedy będę tu umierał? Jezu Chryste!

Jest szalony, pomyślała. Jest pierdolonym wariatem i Bóg wie, co wariat może zrobić.

Może nie chodzi mu tylko o pieniądze.

Po raz pierwszy naprawdę ją przeraził.

Miał ją, mógł to stwierdzić po wyrazie jej twarzy. Czas przerazić dziwkę na śmierć i przekonać się, czy zapamięta po tym cokolwiek *poza* strachem. Przyłożył jej broń do skroni i zmusił do przyciśnięcia tyłka do biurka.

- Otwórz usta.

- C o ?

- Powiedziałem, otwórz usta. Zrób to, Claire.

Zrobiła to.

- W porządku, a teraz trzymaj je otwarte, rozumiesz? Coś ci pokażę. Pokażę ci, jak robić sztuczne oddychanie.

Sięgnął i ścisnął mocno jej nozdrza. Jej oczy były rozbiegane.

Wziął głęboki wdech i przyłożył swoje usta do ust Claire, po czym wydmuchał powietrze i usłyszał, jak łąpała dech, kiedy się od niej odsunął, ale zanim jej się to udało, zrobił to ponownie, opróżniając w nią zawartość swoich płuc i teraz, gdy ją puścił, kasłała, a oczy zaszły jej łzami.

Smakowała jak dym i tequila.

Kaszel ustał. Pochyliła się nad biurkiem, ciężko oddychając.

- Proszę bardzo. Oczywiście musisz leżeć na plecach. Ale masz już pojęcie. Bierz kasetkę. Chodź.

Maszerując tą samą drogą, którą przyszli zobaczył, jak wyciera jedną dłonią policzek i pomyślał, że to dobry początek.

David siedział na schodkach kamienicy po drugiej stronie ulicy, naprzeciw ozdobnego, niebiesko-złotego budynku Pythian, z zapalonym papierosem w dłoni, próbując zapanować nad łomocącym sercem. Dotarł do połowy ulicy, kiedy poczuł jakby ktoś położył mu dłoń na klatce piersiowej i powiedział: *dupku, nie waż się zrobić kolejnego kroku*. Nawet o tym nie myśl.

Nie miał po co tu być.

Nie na schodach, bo to nikogo nie obchodziło - ale tutaj. Tak blisko. Myśląc to, co myślał.

Mówiła, że nie chce go widzieć, że nie może się z nim zobaczyć, że spotkanie się z nim stało się czymś w rodzaju odgrywanego w kółko żalu, co musiało się skończyć. Musieli od siebie uciec, wylizać rany i może z czasem będą mogli zostać znowu przyjaciółmi albo kimś w tym rodzaju, ale teraz nic nie może ich łączyć.

To było zachowanie swawolnego, samolubnego dziecka, żeby znaleźć się tak blisko niej.

Powinienem iść do domu. Zachować się jak dorosły.

Dokonał wyboru. Powinien nauczyć się z tym żyć.

Zaparło mu dech od nagłego, niespodziewanego przypiływu łez.

Że w ogóle musiał wybierać. To nie w porządku.

Wytarł łzy, wyciągnął papierosa i usiadł tam, powoli się uspokajając.

- Nalej mi jeszcze Amstela, Claire. Ten się kończy. Użyj jednego z tych dobrze zmrożonych kufli, które tam masz.

Zrobiła, jak kazał, kiedy przekładał zawartość kasetki do walizki - naląła piwo i postawiła przed nim, starając się opanować drżenie rąk, nic nie rozlać, nie okazać strachu. Jego smak nadal pozostawał w jej ustach. Wręczył jej pustą kasetkę.

- Połóż to na podłodze, dobra?

Zrobiła to. Schyliła się i postawiła ją obok kosza na śmieci, a kiedy wstała, coś uderzyło ją w pierś. Zaczęła ciężko dyszeć,

gdy coś bardzo zimnego zjeżdżało w dół po jej piersiach i po brzuchu.

Śmiał się. Zmrożona szklanka była pusta.

Ups. Trochę rozlałem. Jezus, przepraszam.

Ty...!

Pochylił się nad barem.

Ty co. Claire? Ty co? Jak chciałaś mnie nazwać? Chciałaś mnie zwyzywać? Nalej mi kolejne piwo ty głupia dupo i zamknij, kurwa, ryj! I chcę nową szklankę.

Spojrzała na siebie. Ramiona miała opuszczone po bokach. Nie wiedziała, co ma robić. Przez cienki materiał było widać prawie wszystko, a stanik zrobiono z cienkiego materiału. Z pewnością dostrzegł jej pomarszczone od zimna sutki. Widział je, do cholery. Gdyby próbowała się oczyścić, byłoby jeszcze gorzej, bo materiał przykleiłby się do jej ciała. Chciała się rozplakać. *Ale się nie rozplacze.* Odwróciła się do zamrażarki, aby wyjąć szklankę. Nalała piwo i postawiła je przed nim na barze. Nie była nawet specjalnie zaskoczona, kiedy podniósł je i znów całe na nią wylał. Kiedy po raz drugi się roześmiał, wtedy zaczęła płakać. Nie mogła nic na to poradzić. Po prostu to się stało. Obojętnie, czy było to upokorzenie, frustracja, strach, czy wszystko naraz, po prostu stała tam z zamkniętymi oczyma i cicho szlochała.

- Spójrz na mnie - rozkazał.

Nie zrobiła tego. Jeśli go nie widziała, prawie mogła udawać, że on też jej nie widzi.

- Powiedziałem, spójrz na mnie, do cholery!

Otworzyła oczy. Zobaczyła niezmiernie zadowolonego z siebie człowieka. Nie rozumiała tego. Dlaczego jej to robił? Czy nie powinien teraz uciekać? Czy nie martwił się gliniarzami?

Jak ktoś może *być taki?*

- Śmierdzisz piwem, Claire. Pachniesz jak szmata. Użyj tamtego ręcznika. Zamocz go w wodzie. Dobrze. Masz ładne sutki, Claire. Powiedz *dziękuję panu*. Jestem klientem. Klient ma zawsze rację.

- Dziękuję.

Chwyciła materiał i wytarła go mokrą szmatą. Bluzka będzie porozciągana i zniszczona.

- Dziękuję panu, Claire.

- Dziękuję panu.

- Lepiej. A teraz podaj mi szpikulec.

- C o ?

- Jezu Chryste, Claire, jak długo pracujesz w barach? Szpikulec.

Przeklęty szpikulec. Kolec, na którym zawieszasz rachunki, na litość boską!

-Ja...

Nie chciała tego robić. Jej serce nagle zaczęło walić jak młotem. Nienawidziła tego. Zawsze. Nawet na to patrzeć. Kolec miał może dwadzieścia centymetrów, wystawał z grubej cewki z drutu u podstawy.

Ten leżał na stanowisku serwisowania pod jednym ze stojaków z winem i za każdym razem, kiedy musiała wspiąć się na ladę, by sięgnąć jedno z droższych win z samej góry, miała wizję, że spada prosto na niego, że zostanie przebita. Miała to przed oczami.

Niedorzeczna,

okropna śmierć.

Kolec był ostry i gruby jak szpikulec do lodu.

- Proszę... ja nie...

- Och, błagaj. Lubię to.

- Takie rzeczy mnie przerażają.

- Dlaczego? Używasz go każdego dnia.

- Po prostu tak jest.

- Może ja chcę cię przerazić.

- Co? Proszę...

- Może ja chcę cię przerazić. Może ani trochę cię nie lubię,

Claire? Może chcę przerazić cię tak bardzo, że prawie spuszczę się w spodnie na myśl o tym? Co, jeśli pieniądze to tylko dodatek?

Może o to właśnie mi chodzi. Zastanawiałaś się nad tym, głupia dziwko?

- Dlaczego...?

- *Dlaczego?* Bo chcę. Bo ten pistolet mówi nam obojgu, że mogę. Słyszysz mnie, brzydka kurwo? Robisz się brzydka, kiedy płaczesz, Claire, wiesz o tym? *Chcesz wiedzieć dlaczego? Ponieważ po mnie już nigdy nie będziesz, czuła się bezpieczna, Claire.*

Nigdy. Ani w pracy, ani w domu. Nigdzie. Bo takie mam życzenie względem całego pieprzonego świata i względem ciebie, Claire, w szczególności. A teraz podaj mi ten cholerny szpikulec.

Ledwo widziała go przez łzy, ale czuła gorączkę bijącą z jego gniewu, dosięgającą ją ponad kontuarem. Przez ułamek sekundy wyobraziła go sobie stojącego w płomieniach. *Skąd to się bierze? Dlaczego? Co ona takiego zrobiła?*

Jeśli mnie za to znienawidzi, niech tak będzie, pomyślał David. Muszę ją zobaczyć.

Zgasił papierosa i zszedł ze schodków kamienicy.

- Chcę ci pokazać, jak to zrobimy, Claire. Przestań beczeć, na litość boską. Weź jedną z tych chusteczek. Wytrzyj nos. Najpierw zrobisz to raz, żebyś mogła zobaczyć, jakie to trudne, a potem moja kolej. Widzisz, kładę dłoń na barze, wewnętrzną stroną do dołu, właśnie tak. Ty bierzesz kolec. Podnosisz go nad środkiem mojej dłoni, dokładnie na wysokość tego kufla, nie niżej i nie wyżej. Niżej oznacza oszukiwanie. Wyżej nie zadziała. A potem starasz się mnie przebić.

- N i e mogę...

- Jasne, że możesz. Dam ci coś na zachętę. Przebijesz mnie i gra jest skończona od razu, będziesz mogła zachować wszystko, co jest w słoiku na napiwki. Chociaż myślę, że tego nie zrobisz. Tak jak mówię, to trudne. Zakładając, że tego nie zrobisz, ja dostaję trzy próby. Jeśli spalę wszystkie trzy, zachowujesz wszystko, co masz w słoiku na napiwki. Jeśli nie... wtedy masz pecha,

Claire. A teraz podnieś kolec. I pamiętaj, mam broń w drugiej dłoni, więc raczej nie myśl o niczym innym, tylko o naszej małej grze.

Patrzył jej w oczy. Zawsze mrugały, kiedy robili ruch. Oczy wszystko zdradzały. Ale tym razem nawet nie potrzebował oczu. Zamiast go szybko opuścić, podniosła go najpierw o centymetr, więc z łatwością mógł zabrać rękę. Chociaż włożyła w to sporo siły. Potrafiła się bawić, to musiał jej przyznać. Wyciągnął kolec z baru.

- Dobrze. Moja kolej.

- Nie. Proszę. Po prostu weź pieniądze. Po prostu zostaw mnie w spokoju, proszę. Wystarczy, w porządku? W porządku?? Ochrypli głos zamienił się w skomlenie. Oczy miała czerwone od łez.

Uśmiechnął się.

- Nie wystarczy, Claire. Nie w porządku. Ale czym się martwisz? Widziałas, jakie to trudne. Prawdopodobnie i tak przegram, prawda? Oczywiście, może nie.

- Nie mogę, proszę...

- Możesz, Claire. Musisz. Widzisz broń? Widzisz tę rurkę na końcu? To się nazywa tłumik. Sam go zrobiłem. To znaczy, że mogę strzelić do ciebie trzy czy cztery razy, jeśli zechcę, nawet cię nie zabijając, ty głupia dupo, i nikt tego nie usłyszy, nawet sąsiedzi na górze. A to, Claire, oznacza ogromny ból, obiecuję. Chcesz tego? Nie ma problemu. Inna gra. Paskudniej sza.

- Jezu! Dlaczego...?

- Znasz ten dźwięk? Małe *pffttt*, jakie wydaje tłumik w filmach? To bardziej jak odgłos zamykania drzwi do samochodu.

Więc jak będzie?

Pomyślała o swojej owdowiałej matce w Queens i o tym, że w przyszłym miesiącu będzie Boże Narodzenie. A potem o swojej ciężarnej siostrze, która jest mężatką od blisko trzech miesięcy

i mieszka w Oregonie, i że nigdy do niej nie wpadła w odwiedziny. Pomyślała o dopiero co skończonych obrazach i tych na wpół ukończonych, a także o Davidzie, który nadal nie mógł się od niej uwolnić, ani ona od niego. Pomyślała też o kotce, która kuliała się u jej stóp każdej nocy. Kto ją będzie karmił i dbał o nią. Zrozumiała, czym byłby świat bez niej. Jeszcze godzinę temu praktycznie niemożliwa refleksja, ale jednak ją teraz dopadła i pomyślała

tak bardzo się boję, tak bardzo się boję o to, czego nie będzie mi dane zobaczyć. Położyła dłoń na barze.

. . . a teraz jego kontrola się dopełniła. Widział to w jej oczach. Widział, że ona zna prawdę, którą on znalazł od początku, że nikt na świecie nie może jej pomóc, że to, co ma się zdarzyć, zdarzy się i żadne błagania do Boga, Jezusa czy ludzkiej dobroci nigdzie jej nie zaprowadzą, że w obliczu takiej odrazy, tak głębokiej i silnej jak jego własna, ona jest tylko mrówką robotnicą w kopcu, który on może zburzyć w sekundę, zmiażdżyć pod stopami, kiedy tylko sobie tego zażyczy - jej ręka na barze mówiła mu to wszystko, czuł pokusę, by jej to zrobić za pierwszym razem, by sprowadzić to gwałtownie do jeszcze bardziej bolesnej dla niej perspektywy - ciała, rozlanej krwi i cierpienia fizycznego.

Ale oparł się temu. Pozwolił jej zabrać dłoń i s ł u c h a ł jej oddechu oraz stłumionego uderzenia kolca o bar, potem znów go uniósł, obserwując, jak jej dłoń ślizga się po kontuarze, by uciec drugi raz i zastanawiał się, czy ona czuje teraz nadzieję? Czy widzi rychły koniec? Bo wygląda na to, że on nie trafi? Ponieważ mógł zmieść to wszystko tak szybko jak tylko chciał, znów skłamał, a jest w tym bardzo dobry, miał p r a k t y k ę i jeśli ona jeszcze nie czuje nadziei, on może zaszcześcić ją w jej sercu przy drugiej próbie, zwabić w pułapkę głodne zwierzę, tym dla niego była - głodna prawdy, którą on znalazł.

I tym razem praktycznie słyszał bicie jej serca, przyspieszające, kiedy z a b r a ł a rękę, bo tak! czuł, że nadzieja zwija się w niej jak

waż - nie trafił, j a k jej się wydawało, o cały kilometr, a on wyczuł smród nadziei, nagły, słodki fetor, kiedy umieścił kolec nad jej d ł o n i ą po raz trzeci i ostatni, a potem, chytrze przewidując, co zrodziło się z miesięcy i lat oglądania się za siebie, ufając własnym zmysłom, wyrzwał przez okno na ulicę...

- Kto to jest do cholery? - zapytał.

Na początku myślała, że to część jego gry - szalonej, złej, pojebanej gry - dlatego wcale nie podniosła wzroku znad swojej dłoni spoczywającej na kontuarze baru, czekając na odwagę, by ją zabrać, jeśli się uda za trzecim razem, ale wówczas słowa i ich ton dotarły do niej i to, co usłyszała było niespodziewane, niewłaściwe w tych okolicznościach, ten jednolity, gładki ton, tak jakby powiedział „to interesujące” albo „pada deszcz”, a ona najpierw spojrzała na niego, a potem w miejsce, na które on patrzył i zobaczyła

Davidą stojącego na rogu, przy zamkniętej, ciemniej kwiaciarni po drugiej stronie ulicy. Ich oczy się spotkały, miał groźną

i zaskoczoną minę, a ona pomyślała *o nie, Boże nie, byłam tak blisko, mogłam to skończyć tu i teraz*. Przypomniała sobie, że widziała

go na ulicy po drugiej stronie jej mieszkania, kilka nocy temu, że zaciągnęła zasłonę zanim ją zobaczył w oknie; pamiętała, jak pomyślała sobie, że to bardzo smutne dla nich obojga, jaka szkoda, że nie wyszła, by się z nim spotkać. Pomyślała: *David, dlaczego do cholery znowu tu jesteś? Coś ty do cholery n a r o b i ł?* Przetrzywała jego wzrok i powoli pokręciła głową. Nawet o tym nie myśl. Groźne spojrzenie zniknęło. Zamiast tego oczy błagały ją, zmieszane i niepewne. Oczy tak dobrze znane i kochane. Musi wyprzeć się tych oczu. Dla nich obojga.

- Kto to jest, Claire?

- Mój... chłopak. Były chłopak.

- Były?

- Zerwaliśmy.

- Więc co on tu robi?

- Nie wiem.

Mężczyzna zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

David przybliżył się o krok do krawężnika. Ponownie potrząsnęła głową. *Nie, cholera!* Nie rób tego! *Proszę*, pieprzony, uroczy idioto, trzymaj się, do cholery, *z d a l e k a !*

- Myślę, że będzie lepiej, jak go zaprosisz, Claire.

- Nie.

- O tak. Musisz.

- Nie zrobię tego.

- Zrobisz. Albo najpierw będziesz ty, a potem on. Potrzebuję tylko dwudziestu sekund. Nawet nie będzie wiedział, co go trafiło. Zamknął walizkę leżącą obok i popchnął kolec po barze, poza jej zasięg. Jest gotów. Gra skończona. Wszystko skończone, chyba że wprowadzi do tego Davida, a jeśli to zrobi, czyż nie zacznie się od nowa? Jak się skończy? Dlaczego tego chciał? Co chciał przez to osiągnąć? Mógł po prostu wyjść. Wolny i czysty. Po prostu wyjść. Jej spojrzenie wróciło do Davida. Chciała go tam zatrzymać. Nie ruszaj się.

- Zrób to.

- Nie mogę.

- Zrobisz to.

Myślała - intensywnie, szybko, tak jak tylko umiała. Nie zrobi mu tego. Był tylko jeden sposób. Przekonać go, że jest na niego wściekła, że tu jest. Powinien w to uwierzyć. Powinien przewidywać taką reakcję z jej strony. Miała prawo być wściekła - chociaż nie była. Ponowne ujrzenie go, nawet w tych okropnych okolicznościach, było tak tkliwe, że miała ochotę go objąć, przytulić, wypłakać mu się w ramię nie tylko przez to, na co dziś w nocy naraził ją ten mężczyzna, ale z powodu wszystkiego, co stracili i wszystkiego, co posiadali. Zrobić to jeszcze raz. Coś, czego obiecała sobie już nigdy nie robić.

Wyszła z baru, odwróciła się i minęła mężczyznę w drodze do drzwi.

Z zewnątrz David widział jej zdecydowany, znajomy krok, ale wyraz jej twarzy był mu nieznany. Nie mógł go odczytać. A myślał, że zna je wszystkie. Dopiero co tu przyszedł, a już było z nią coś nie tak i zastanawiał się, kim jest ten facet w środku? Nowy chłopak? Szef? To chyba nie mógł być chłopak. Oczywiście, to możliwe. Nie chciał po prostu przyznać przed samym sobą, że mogła już mieć kogoś nowego.

Ale to chyba nie mógł być chłopak. Ani szef. Coś w wyrazie jej twarzy, to spojrzenie. Przejechał samochód, a potem kolejny.

Claire była już przy drzwiach.

Zrobił krok na ulicę.

Claire zobaczyła, że David przechodzi przez ulicę, idzie w jej stronę. Poczła przypływ krwi do twarzy, przyspieszony puls. Otworzyła drzwi na oścież, ponieważ *nie narazi go na to, do cholery, nie pozwoli na to* i przybierając najbardziej lekceważący i gniewny ton, na jaki ją było stać, krzyknęła prosto w spokojne, nocne powietrze:

- DAVID! IDŹ! UCIEKAJ...

...UCIEKAJ STĄD! - to właśnie chciała wyrzeszczyć.

...ale czyste, nagłe podniesienie tonu jej głosu spłoszyło mężczyznę w środku i pomyślał... POMOCY! POLICJA! *ta głupia dziwka woła o pomoc*, więc odwrócił się i strzelił - mokry kwiat rozkwitł na jej plecach, a on usłyszał dźwięk tłumika, niczym zamykane drzwi do samochodu, dokładnie jak jej powiedział.

Upadła na bok. Szklane drzwi zostały otwarte, zaklinowane o jej biodra, a on ściągnął walizkę z baru, myśląc *pieprzony gliniarz miał rację, w końcu musiał kogoś zastrzelić*. Jej chłopak już prawie przeszedł przez ulicę, zmniejszając dystans między nimi,

kiedy robił krok nad jej ciałem, zobaczył jej mrugające, szeroko otwarte oczy, a mężczyzna krzyknął *Claire! Claire!* tak głośno, że mógłby obudzić umarłego, pomyślał, że facet jeszcze nie rozumie, ale nie było sposobu dowiedzieć się co zrobi, gdy zrozumie, więc skręcając w prawo w stronę metra na Siedemdziesiątej Drugiej, oddał kolejny strzał i przez moment obserwował drugi kwiat, rozkwitający na klatce piersiowej mężczyzny. Patrzył, jak osuwa się na kolana i upada, wyciągając rękę w jej stronę, kładąc ją na jej splątanych, rozrzuconych na chodniku włosach. Jego ręka otwierała się i zamykała na pasmach włosów, nie mogąc sięgnąć dalej.

Nie wiedział, czy czuł strach. Mógł. Może powinien.

Ale wiedział, że czuje się dobrze.

David leżał na chodniku, który wydawał mu się dziwnie ciepły.

O tej porze roku chodnik powinien być zimny. Próbował się poruszyć,

ale nie mógł. Próbował oddychać, ale ledwo mu się to udawało.

Czy to szok? Śmierć? Co? Widział ją, leżącą obok niego na progu baru. Gdyby skupił się na niej, na Claire, mógłby przeżyć.

Ktoś mógłby tędy przechodzić.

To, że w ogóle mógłby chcieć przeżyć, napawało go odrazą.

Patrzyła w górę na puste niebo.

Znowu łzy.

Tak wiele łez w tym mieście. Tyle złamanych serc.

A potem pustka.

Podziękowania dla Amy, Mili i Adonisa.

RÓŻA

Dla Beth i Richarda

Była jego ziemią, jego gruntem. Rzucił w nią ziarno, znowu i znowu.

Obudził się z uczuciem, że wic, co jest niezbędne. Potrzebowała czegoś w rodzaju światła, zarówno prawdziwego, jak i metaforycznego,

potrzebowała wyjść na świat o wiele bardziej niż pozwolił sobie jej ufać.

Zdecydował, że ją weźmie.

Kiedy wyszli z autobusu we wczesne, popołudniowe słońce, zobaczył jak bardzo zmieniło się miasto, wcale nie na lepsze. To było miasteczko, które w latach pięćdziesiątych próbowało rozkwitnąć

w miasto i prawdopodobnie przez moment to się udało, ale teraz dzieci wojny, napędzające lata ożywienia, które wybudowały

szkoły na pustych działkach i farmach, które zapchały kina i sklepy z napojami, wyfrunęły stąd i zostawiły dziurawe, zaśmiecone

ulice na pastwę losu.

Nadal czuł się tu jak w domu.

Zabrał ją do kawiarni „Mabel”, gdzie jako chłopiec przesiadywał nad coca-colą i drożdżówką, czekając na panią Lanier, nauczycielkę gry na akordeonie, aż skończy z małą, rudą dziewczynką z warkoczykiem,

która brała lekcję tuż przed nim, na trzecim piętrze budynku po drugiej stronie ulicy. Zjedli lunch przy barze - ona hamburgera z grilla, on kanapkę z tuńczykiem i ogórkiem konserwowym.

Pani Lanier nie żyła. Rak. Pani Lanier poszła do ziemi. A on nie widział swojego akordeonu od trzydziestu pięciu lat.

Twarze w kawiarni „Mabel” były teraz głównie czarne. Ale wydawały mu się tak samo zmęczone jak zawsze, twarze ludzi pracujących pochylone nad jedzeniem ludzi pracujących. Zdał sobie sprawę, że kawiarnia zawsze go przygnębiała, nawet w jakiś sposób złościła.

Nie chodziło tylko o lekcje akordeonu.

Ale dziewczynie to nie przeszkadzało.

Wziął ją pod ramię i poprowadził wzdłuż sklepów z butami, z ubraniami, z używaną odzieżą, poczty Arthura E. Doyle'a imienia Weteranów Zagranicznych Wojen, aż do Roxy.

Roxy zabito dechami. Pewnie była zamknięta od lat. Na gnijących deskach namalowano graffiti, kolorowe jak wzorki na perskim dywanie. Przeprowadził ją na drugą stronę ulicy, do Palace. Palace był otwarty.

- Masz ochotę na film? - zapytał.

Odgarnęła z twarzy czysty, ładny kosmyk swoich blond włosów i kiwnęła głową.

Siedzieli w ciemności, sami, nie licząc trzech innych bywalców, rozłożonych niedbale w fotelach i porozrzucanych przed nimi, oglądając jak J e a n - Claude van Damme walczy, przebijając się przez podwójny seans, a on pomyślał, że są tu jedyną parą.

W przerwie kupił popcorn. W połowie drugiego filmu rozpiął jej bluzkę, masował nagie piersi i rolował blade, szerokie sutki pomiędzy

palcami, pozwalając im stwardnieć, a potem znów zmięknąć, czując je w dłoniach pomyślał, gdybym tylko dostał to trzydzieści lat temu. Jezu.

Kiedy seans się skończył, było naprawdę ciemno. Zjedli obiad w „Rogerio's”, parę przecznic dalej. Sądził, że serwowali tam chińszczyznę na wynos, ale teraz była to włoska knajpa. Zamówił dla siebie podwójną szkocką, a dla dziewczyny mrożoną herbatę. Zjedli makaron i gruby, gorący, kruchy chleb. Dziewczyna niewiele mówiła.

Wyszli na światło latarni.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył znak.

Jak wielu innych i tego sklepu nie było, kiedy był chłopcem.

Zapamiętałby go. Ale ktoś krzątał się w środku. W pomieszczeniu paliło się światło.

Poczuł przyływ napiętności i nabrzmiałego kutasa w swoich luźnych spodniach.

- Chodź - powiedział.

Usiadła przed nim na drewnianej ławce, naga do pasa, z twardniejącymi,

a potem miękącymi sulkami, zupełnie jak w kinie, podczas gdy brodaty mężczyzna usiadł za nią, pracując nad jej łopatką. Jego igła brzęczała jak elektryczna maszynka fryzjera, ponad łagodną, rockową muzyką z radia.

Muzyka powinna być uspokajająca. Mężczyzna ostrzegł ich, że będzie bardziej bolało niż zazwyczaj, bo w tym miejscu kość jest blisko powierzchni skóry. Widział przelatujący w jej oczach ból. Była już pod pistoletem od ponad pół godziny.

- Jakie to uczucie? - zapytał ją.

- Trochę jak... zadrapania kota - odpowiedziała. - Setki małych, kocich zadrapań. Potem jakby... ktoś mnie obierał. A potem...

Tatuażysta uśmiechnął się.

- Jak u dentysty, prawda?

- Tak - odetchnęła.

Widział pot perlący się nad jej górną wargą.

- Bark - powiedział. - Nic na to nie poradzimy. Chociaż niezła z ciebie pacjentka, wiesz? Nawet nie drgniesz. To jak praca na płótnie. Dam ci coś specjalnego. Zobaczysz. Róża będzie dla ciebie idealna. Jeszcze kilka minut.

Z setek rysunków na ścianach wybrał dla niej prostą, czerwoną różę, która miała niecałe cztery centymetry średnicy. Pomyślał, że róża była piękna i że facet miał dobrą rękę. Widać było żyłki na zielonych liściach, bladoczerwony kwiat, kolce, artystyczną łodygę usianą kolcami.

Brzęczenie ustało.

- A teraz - powiedział mężczyzna - podaj mi dłoń. Przytrzymaj gazę i uciśnij. Nie za mocno.

Zrobiła tak, jak jej kazał. Mężczyzna wstał z ławki.

- Chcesz zobaczyć?

Wstał i ustawił się za nią. Tatuażysta uniósł jej dłoń. Był bardzo delikatny. Piękna, pomyślał. Róża wyglądała nawet lepiej niż na papierze, z wieloma szczegółami, delikatniej uformowana; jej łądyga pokrywała się dokładnie z naturalnym zakrzywieniem kości, jakby tu było jej miejsce, jakby wyrosła tu, na jej jedwabistym ciele.

Tatuażysta spojrział na niego, kiwając głową, oceniając jego reakcję. Miał długą, krzaczastą brodę, a jego siwiejące włosy związane były w kucyk, długi jak u konia. Jedynie oczy pozostawały nieodgadnione. Ale nie zobaczył w nich osądu. Chociaż było niemożliwe, by przegapił blizny na jej plecach i ramionach.

Nie zobaczył osądu.

- Coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

Jego oczy powędrowały na szklaną gablotę przy kasie. Były tam pierścionki, złote i srebrne spinki i półszlachetne kamienie.

- Tak - powiedział. - Tak, możesz.

* * *

Nie siedziała tak dzielnie przy przekłuwaniu.

Za pierwszym razem wzdrygnęła się, pomimo miejscowego znieczulenia, a jej ciało ześlizgnęło się z instrumentu, który przypominał

dziurkacz do papieru, kiedy tylko zaczął dawkować nacisk.

Mężczyzna zaklął, a potem przeprosił ją za to. Dziewczyna nic nie powiedziała, chociaż ją zabolalo, a łyzy lały się jej po policzkach.

Mężczyzna ponowił znieczulenie i spróbował jeszcze raz, trzymając czubek sutka nieco mocniej pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, pociągając. Było widać, że to też boli,

powiedział jej więc uspokajająco, że to będzie tylko sekunda, a potem zacisnął uchwyt.

Cicho wciągnęła powietrze.

Była zdziwiona, że jest tak mało krwi.

Mężczyzna nawlekł na jej ciało cienką, srebrną obręcz, którą wybrał z gablotki.

Potem pochylił się nad drugą piersią.

Światła za nimi zgasły i usłyszał, jak tatuażysta zaciąga zasłony, kiedy wyszli na ulicę.

Wziął ją pod ramię i poprowadził na róg.

Podczas podróży autobusem był przez nią poirytowany. Zupełnie jakby nie chciała mieć obręczy na sulkach. Nic wykazywała oporu względem tatuażu z różą. Jakby go akceptowała.

Natomiast dla niego było to jedno i to samo. Zarówno tatuaż, jak i obręcz znaczyły ją jako jego - na resztę życia. I jeśli nie mógł zapewnić jej płodności, jeśli nie mógł przywiązać jej do siebie

poprzez

wpieprzenie do głębi jej łona małej dziewczynki, mógł zrobić przynajmniej to. Dzieci były klejem, jak mówiła jego matka, myślał więc, że to niewdzięczne ze strony dziewczyny, że go odrzuca.

To był taki dobry dzień w mieście.

Otworzył piersiówkę i napił się. W ciemności nikt tego nie widział.

Mijali wygasłe miasto i ciemne domy przedmieścia. Napił się jeszcze.

Miasto zanikało. Domy ustąpiły lasom, zaroślom, skupiskom białych brzoź i starym, wyblakłym, kamiennym ogrodzeniom.

W końcu dotarli do domu. Pierwszy wysiadł z autobusu i wyciągnął dłoń. Wzięła ją i poszli razem nieutwardzoną drogą

w świetle księżyca. Mógł dostrzec małą, szarą plamkę z tyłu jej bluzki, gdzie krew przebijała przez gazę. Na jej piersiach nie było plam, ale pomyślał, że bluzka i tak będzie potrzebowała prania,

żeby zeszła krew, co też go zirykowało, z powodu, z którego nie zdawał sobie sprawy. Przechylił piersiówkę i opróżnił ją, kiedy podeszli do drzwi. Wyjął klucze i otworzył, włączył światła, po czym weszli do środka.

- Przygotuj się - powiedział.

- Dlaczego?

- Dlaczego? *Pytasz* dlaczego?

Jej twarz, wyglądała na zbolałą.

Przygotuj się. I włóż bluzkę pod zimną wodę.

Poszedł za nią do kuchni i obserwował, jak odkręca wodę w zlewie i zdejmuje bluzkę. Widział zarys róży na jej ramieniu, tuż pod cienką warstwą gazy. Mężczyzna mówił, że przez parę dni będzie się robił strup, jednak potem się zagoi. W porządku. Nie będzie jej tam dotykał. Ani, przez jakiś czas, nie będzie dotykał także obręczy.

- Odwróć się.

Sięgnął po krótką, skórzaną szpicrutę wiszącą na specjalnym wieszaku pomiędzy garnkami i patelniami.

- Podnieś ręce - polecił.

Zaczął od brzucha.

Położył się na prześcieradle po zbyt dużej ilości szkockiej, przy zbyt małej ilości tłustego włoskiego jedzenia, i usłyszał, jak przesuwa się w skrzyni, którą zbudował dla niej pod łóżkiem.

Wiedział, że ciężko będzie jej usnąć. Sutki na pewno ją bolały.

Plecy też. Uda i brzuch na pewno piekły.

To nic nowego. Po czterech latach, odkąd znalazł ją na parkingu przy K-Mart i przy pomocy blefu i pistoletu-zabawki wpakował do samochodu, zdążyła już przywyknąć do bólu. Były już setki takich nocy. Teraz jedyna różnica była taka, że znów miał nadzieję na zerżnięcie jej. Może jego podniecenie przełoży się na jej własne, a polem na dziecko. Chciał dziecka, ponieważ byłoby kontynuacją niej, kiedy jej już nie będzie. Ale to się nie wydarzy. Wiedział o tym.

W skrzyni było ciemno jak w grobie. To też wiedział. Sam kie-

dyś ją wypróbował, by zobaczyć, czy kółka działają i odkrył, że jest tam nawet ciemniej niż w piwnicy, gdzie trzymał ją przez pierwsze dwa lata niewoli, wysłuchując jej próśb, błagań o uwolnienie

- dopóki jęki i rozmowy nie ustały wreszcie na długi czas.

Skrzynia była lepsza i ciemniejsza niż piwnica. Była tym, na co zasługiwała. Żeby zostać tam pogrzebaną.

Grzechem było to, że ją kochał.

- Bezpłodny - wymamrotał. A polem wreszcie zasnął.

Następnego dnia był poniedziałek, więc jak zwykle poszedł do pracy, zostawiając ją nagą i związaną w skrzyni pod łóżkiem.

Więzy właściwie nie były potrzebne. Były jedynie nawykiem.

Ponad trzy lata temu próbowała mu uciec dwa razy w ciągu jednego miesiąca, ale zniechęcił ją ostrzem kuchennego noża i sugestią, że wszędzie ma kontakty, że jest częścią rozległej,

nieuchwytniej siatki przestępczej i jeśli spróbuje trzeci raz, jej

matkę i ojca spotka śmiertelny wypadek. Wzmocnił przekaz

pokazaniem jej, że ma ich adres i służbową wizytówkę jej ojca w swoim wizytowniku. Znał nawet markę, model i rok produkcji samochodu, który stał na podjeździe jej rodziców.

Często opowiadał jej historie o swojej siatce przestępczej, zazwyczaj

o okrucieństwie w zemście. Powiedział, że jej nazwisko

figuruje w ich centralnym komputerze i jeśli coś mu się stanie,

jeśli umrze albo zostanie aresztowany, będą zobowiązani, by ją znaleźć i torturować aż do śmierci, bo taki mają kodeks honorowy.

W historiach opisywał tortury ze szczegółami i dostrzegł, że wkrótce zaczęła mu wierzyć.

Więcej nie próbowała uciekać.

Wrócił z pracy w południe, by pozwolić jej się posilić oraz skorzystać

z łazienki i zobaczył, że znów ma okres. W pierwszy dzień

zawsze był obfity. Kazał jej zmienić cienkie, szare prześcieradło w skrzyni, zanim z powrotem wpuścił ją do środka. Okres ozna-

czał, że raczej nie będzie chciał jej dotknąć przez parę dni. Po prostu poogląda kablówkę.

Nocami wracał do domu, do litra szkockiej i *Nick a t N i t e* i mógł zapomnieć, że tu była, zmywała naczynia, robiła pranie, nawet odkurzała, jeśli odpowiednio podgłośnił telewizor. Mógł zapomnieć o instalowaniu telefonów, o cholernym szefie i o nie żyjącej od dawna kobiecie, w której domu teraz mieszkał, nawet jeśli jej duch był wszędzie. Nieco się nawalił i pomyślał: *M a m o , mogła mnie teraz zobaczyć.*

Czwartej nocy ją zerznął.

Musiał się niemiłosiernie schlać, by ją przelecieć, ponieważ nadal miała krwawienie, jakieś resztki w jej wnętrzu, ale zerżnięcie jej po pijaku nie było niczym nowym. Ciągnął i szarpał obręcze w jej sutkach, dopóki nie zaczęła krzyczeć, a potem wszedł w nią od tyłu z siłą, która zaskoczyła nawet jego. Musiał być naprawdę

zalany, bo kiedy się od niej odkleił i wyciągnął na łóżku, wydawało mu się, że widzi nie jedną różę, ale dwie, rozgałęziające się na jednej, środkowej łodydze, która zakrzywiała się wzdłuż jej łopatk.

Wydawało mu się nawet, że czuje ich zapach.

Kolejnej nocy też był zalany w trupa, wściekał się.

- Chcesz zadzwonić do swoich rodziców? Znów do tego wracamy? Znów mi robisz to gówno?

W domu miał różne rodzaje batów, właśnie na taką okazję jak ta. Ten na gzymisie kominka był długi i cienki. Miał zadawać ból i był nabijany ćwiekami, by wywołać krwawienie.

Wiedziała to, ale nie uciekała - po prostu stała tam i patrzyła na niego wyzywająco. Myślał, że prowokowanie mają już za sobą.

- Zdejmuj ubranie.

Nie poruszyła się.

Więc pomógł jej batem.

Miała na sobie lekką, letnią spódnicę i bluzkę, którą kupił jej w K-Marcie, a kiedy skończył, na jej biodrach i ramionach były tylko łachmany splamione krwią.

Wsadził ją do wanny i przygotował kąpiel, po czym zamknął drzwi.

Do czasu kiedy wyszła, wypił całą butelkę. Patrzył, jak wpełzła pokornie do skrzyni i zwinęła się w kłębek pod łóżkiem. Tuż po tym zasnął na ciężkim, wypchanym fotelu przed telewizorem.

Była naga. Ślady po uderzeniach na jej ciele wyglądały jak rozłogi, jak pnącza serpentyn, nakładających się i przecinających na jej ciele - dojrzałe, czerwone rany, zrobione przez metalowe ćwieki, wyglądały jak małe, rozkwitające kwiatki.

Potem znów zaczął się weekend.

W sobotę zostawił ją samą, czując wyrzuty sumienia, że wczoraj ją zbił. Chociaż go sprowokowała.

Dziewczyna trzymała się z daleka. Przygotowała lunch i wręczyła mu listę zakupów, a kiedy wrócił z artykułami spożywczymi, na kolanach szorowała podłogę w kuchni. Nosila stary, czerwony podkoszulek i spodnie, które kiedyś należały do niego, ale skurczyły się od ciągłego prania tak, że teraz były za ciasne nawet na nią. Ponieważ przód koszulki był mokry, mógł zobaczyć kontur obręczy na sutkach, kiedy wstała, by zmienić wodę.

Zostawił ją w spokoju.

Tej nocy oglądali razem film - *Duch* - o rodzinie walczącej z siłami nadprzyrodzonymi, które próbowały ją rozdzielić i ciągle wygrywały.

Dzieci były klejem, pomyślał. Spojrzał na nią ze smutkiem.

- To mogliśmy być my, wiesz?

- Jak to? - spytała.

Wypił swoją whisky.

W niedzielę w nocy nadal było mu jej szkoda.

Po części dlatego, że nie wyglądała dobrze. Jej twarz miała szarobrązowy odcień, który mu się nie podobał. Potrzebowała

słońca. Ale niedziela była równie pochmurna, co sobota. Zapowiadało

się na deszcz. Nie było więc sensu pozwalać jej siedzieć na podwórku z tyłu domu i cerować jego skarpetki.

No i nie jadła. Nigdy nie spożywała śniadań, ale zazwyczaj zjadała nieduży lunch i przynajmniej całkiem przyzwoity obiad. Zazwyczaj najbardziej lubiła kurczaka, ale dziś w nocy jedli kurczaka i ledwo go tknęła, wydawało się, że preferuje warzywa - chociaż do tej pory za nimi nie przepadała.

Zastanawiał się, czy zachoruje.

Albo czy to piątkowe lanie było bardziej ekstremalne niż zapamiętał. Możliwe, że potrzebowała poczęstunku, jakiejś zachęty, czegoś dla kurażu. Czegoś, co podniesie jej morale.

Kiedy zrobiło się późno, a ona wyszła z łazienki w swojej piżamie, powiedział jej, że nie musi dziś spać w skrzyni, że dziś jest wyjątkowa noc, że może spać obok niego na łóżku. Nic nie powiedziała,

ale wpełzła na łóżko i złożyła głowę na jego ramieniu.

Uśmiechnął się. Pachniała piżmem i różami. Zastanawiał się, jak jej się to udawało. Nie przypominał sobie, by kupił jej perfumy, ale może tak było. To było taktowne z jej strony - nawet urocze - że teraz dla niego się nimi skropiła.

Zasnęła w tę bezksiężycową noc.

Mógł to stwierdzić po jej oddechu.

On też prawie usnął. Zaczęło padać. Leżał, wsłuchując się przez pewien czas w stukot deszczu. Następnie pomyślał o jej młodym, dziewczęcym ciele, znaczonej jego ręką, noszącym jego znaki, takim mokrym i miękkim w środku, którego nie widział ani nie dotykał już od prawie dwóch dni. Poczuł, że zaczyna twardnieć.

Może dziś w nocy, pomyślał. Nie wiedział nic o kobiecej płodności, tylko tyle, że jest i że jakoś może jej dotknąć, jeśli dostanie się dostatecznie głęboko, by ją z niej wydobyć.

Odwrócił ją do siebie w ciemnościach. Rozpiął jej piżamę, poczuł ukłucie w opuszek środkowego palca, kiedy odpiął trzeci

guzik i pomyślał, że będzie musiała to rano naprawić, że może był uszkodzony i poszarpany, że może ją zranić.

Ściągnął jej dół od pizamy. Poczł pręgi, jak grube spirale na jej udach. Poruszyła się na prześcieradle, a on usłyszał dźwięk podobny

do szelestu liści.

Usłyszał odległy grzmot.

Musiał ją obudzić, rozbierając ją, ponieważ położyła dłonie na jego ramionach, kiedy rozkładał jej nogi i wchodził w nią. Czuł rany na wewnętrznej stronie ud, kiedy chwyciła go i delikatnie się kołysząc wślizgnęła pod niego.

Nigdy wcześniej tak nie było.

Nigdy tak na niego nie reagowała. Sama z siebie zbliżyła się do niego. Rozległ się grzmot gdzieś za oknem. Zamknął oczy, ale po chwili je otworzył. Chciał ją widzieć. To był istny fenomen. Pragnął patrzeć jak drapie go po plecach i ramionach. Niesamowity fenomen, jego miłosna niewolnica, teraz skąpana w bezksiężycowej czerni, która kaleczyła, gryzła i wydawała jęki, jakby rzucone na dziki wiatr i która nagle wydawała się być wszędzie dookoła niego. Jej palce jak tysiące kolców, jej ciało jak miliard płatków opadających jednocześnie, a on sam - autor tej destrukcji, tego przepelnionego rozkwitu.

Błyskawica błysnęła dwa razy.

Słyszał obręcze upadające na łóżko i toczące się po podłodze.

Jej szerokie, miękkie sutki rozwarły się, rozkwitły i oderwały.

Pachniały ilem i świeżo rozkopaną ziemią. Włókno dzikiej róży okręciło się dwa raz wokół jego karku. Jej cipka chwyciła go niczym korona cierniowa, mocno i rozdzierająco. Poczł rwanie i ciosanie głęboko w niej, a potem krew i nasienie. Rozłogi pełzały po nim, kolce wbijały się głęboko, czuł, że wykrwawia się w niej, żyły, arterie poprzekłuwane i porwane, a kiedy spojrział w dół, zobaczył, że jej ciało nie było już jej ciałem, ale splątanym ogrodem dzikich, krwistoczerwonych róż, które stworzył z jej rozkwitu, które wybuchały z jej tortuowanego ciała.

*Była jego ziemią, jego gruntem. Rzucił w nią ziarno, znowu
i znowu.*
A dokarmione pnącza rosły.

PRZEMIANA

W ciągu trzech lat miasto znów się zmieniło.

Niemal wyczuwało się krew w powietrzu.

Złą krew.

Szedł Riverside od Osiemdziesiątej Drugiej. Od sześciu przecznic nikt go nie minął. Chłodna, nocna bryza powiała znad rzeki Hudson. Po drugiej stronie ulicy znajdował się park, szary, pusty i skąpany w świetle księżyca.

Ta okolica była jedną z najpiękniejszych w Nowym Jorku.

Nadal była. Stare, niedawno odrestaurowane kamienice po jednej stronie, park po drugiej. Mieszkańcy, którzy byli obrzydliwie bogaci, postarali się, by chodniki były czyste. Nocą ruch był niewielki.

Lecz spójrz. Tutaj.

Musiał ją okrążyć. Jej brudna spódnica podciągnęła się do wysokości tłustych i rozlazłych ud. Czapka naciągnięta na skołtunione, brązowe włosy. Położyła się spać. Jej bezzębne usta były szeroko otwarte - obrzydliwość, czarna dziura pod uliczną latarnią.

Przeszedł obok.

Dotarło do niego, że to nadchodzi na długi czas. Bogaci - albo prawie bogaci - i biedni, żyli w zupełnie oddzielnych obozach. Ich ścieżki ledwie się przecinały. Klasa średnia nie była niczym więcej, jak tylko grupą niezbyt dobrze zamaskowanych sług bogaczy. Izolowaną tym samym płaszczem przywilejów, który zdobił ramiona panów.

Nie można już było odnosić się do „wzrastającej liczby” biednych.
Biednych były tłumy.
Nawet tutaj. Na tej cichej ulicy.
Nic dziwnego, że usłyszał ich, zanim ich zobaczył.
Przed nim. Niedaleko.
Szedł powoli, miarowym krokiem. Nie spieszyło mu się ich zobaczyć.

Byli po drugiej stronie ulicy, w parku przy Siedemdziesiątej Ósmej, starszy facet bezwładnie opierał się o drzewo. Czterech chłopców ruszyło na niego z pięściami i kamieniami. Bezdomny mężczyzna błagał, ale sens jego słów zniknął w połamanych zębach, kościach i w krwi, ponieważ, wysoki chłopak wpychał mu kamień w usta w tym samym czasie - nie, kawałek postrzępionego makadamu* z ulicy - gdy dwóch gwizdało dla odwagi, a najmniejszy z chłopców, szczupły, żylasty blondyn, może dwanaście lat, miażdżył jego lewą rzepekę trzema szybkimi uderzeniami metalowej pałki. Pałka lśniła w świetle księżyca. Mężczyzna upadł, wrzeszcząc, a kawałek makadamu wypadł mu z ust na trawę.

Nie musiał dłużej patrzeć.
Było wiele takich grupiek.
Nie wszyscy byli dziećmi.
Na Siedemdziesiątej Drugiej skręcił na wschód w kierunku Broadway'u. Jak zawsze w mieście, jeden skręt, kolejna przecznica i już był w zupełnie innym świecie.
Tutaj był duży ruch. Wyły klaksony. Wozy strażackie w oddali.
Ludzie przechodzili nawet nie spoglądając, podczas gdy on studiował twarze. Twarde, młode kobiety, delikatni, młodzi mężczyźni.

Jedni i drudzy z pieniędzmi. Ledwo zdolni maskować swoją furję, że nie mają więcej. Właściciele sklepów stali w drzwiach, srodzy i groźni, broniąc swoich handlowych fortec.

* Rodzaj nawierzchni drogowej złożonej z dwóch uwałowanych warstw tłucznia. Nazwa pochodzi od nazwiska szkockiego wynalazcy metody budowy dróg Johna Loudona Mac-Adama (przyp. tłum.).

I starsi. Z trudem trzymający na nogach, żyjący zbyt długo. Strach wryty głęboko w ich bladych twarzach.

Jakby wiedzieli. Czuli to w swoich starych kościach.

Co nadchodzi.

I wiedzieli, że pomogli to stworzyć.

Wszędzie bezdomni. Stali pod bankami, jak wartownicy bez nadziei, na rogach ulic, jak dziwki, rozwaleni, przycupnięci, klęczący na połamanych kończynach, bez kończyn, silni i okaleczeni, pijani i szaleni, młodzi i starzy, nie można było odgadnąć jak starzy.

Zbyt zastraszeni, większość z nich, nawet by dłużej błagać.

Czuł przemianę.

Tam. Tamta.

Przeszedł Broadway, udając się w stronę Columbus.

Tamta, ale nie ta...

Była piękna. Pewnie dlatego właściciel baru pozwolił jej tu siedzieć. Może jej piękno wynagradzało tę sytuację i mogło całkowicie nie obrażać klientów właściciela. Może męczyzna zachował resztki współczucia.

Na jej prawej nodze znajdował się brudny, biały gips. Oklejona taśmą drewniana kula na jej kolanie. Ubranie za małe, ale względnie czyste. Pusty kubek po kawie z fast-foodu stał przed nią na chodniku.

Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Jej skóra była czarna jak u wyspiarzy, napięta, wyglądająca miękko na jej cienkim jak u charta szkielecie. Miała szerokie, brązowe i świecące oczy. Oczy łani uwięzionej w świetle reflektorów. Ciągłe zaskoczone

i pełne strachu.

Spoglądały na niego ze strachem, kiedy zatrzymał się obok niej.

Widział, że bała się przemówić. Wiedział, że tego nie zrobi.

Że musiała być ostrożna. Czuł już spojrzenia przechodniów, ich pogardę nad tym, że się zatrzymał. Przykucnął.

- Jesteś głodna?

- Tak, proszę pana. Jestem.

Jej głos był miękki i zmęczony. Przypominał mu głos kogoś, kto stracił bliskiego, a teraz, nareszcie, nie miał już więcej łez, bo płakał od wielu dni i jest wyczerpany.

- Twoja noga. Co ci się stało?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Głupia sprawa. Potknęłam się o ten krawężnik.

Wskazała go palcem.

- Prosto w... jak to się nazywa? Pręty. Nad...?

- Krata? Nad kanałem ściekowym?

Zgadza się. Chyba nie patrzyłam pod nogi. Zajęli się mną na pogotowiu. Ale nie pozwolili mi zostać.

- Nie masz dokąd iść?

- Nie, proszę pana. Jest takie miejsce na West Endzie, gdzie mogłabym zostać na tydzień, ale to trzeba dwudziestu dolarów, a ja nie mam dwudziestu dolarów. Gdybym zatrzymała się tam chociaż na tydzień, miałabym adres. A bez adresu nikt nie da mi pracy. Ja nie mam nic.

Sięgnął do portfela.

Był pewien. Nie ona.

Może uda jej się przetrwać. Może. Kto wie.

- Masz dwudziestkę.

Sam jej uśmiech był wart dwadzieścia dolarów. Pomyślał, że ma piękne zęby.

Zapisała jak mała dziewczynka. Zupełnie jakby dał jej setkę.

- Dziękuję! Boże, dziękuję!

Wychyliła się i zarzuciła na niego swoje ramiona, przytuliła i pocałowała w policzek. Tuż za nim oczy kobiety wbijały się mocno w ich dwójkę. Zignorowali ją.

- Założę się, że nigdy przedtem nie pocałowała cię czarna dziewczyna - zaśmiała się.

- Pomyliłabyś się - powiedział. - A teraz, chcę byś sobie stąd poszła, zgoda? Idź do tego miejsca, o którym wspominałaś. Nie chcę cię tu więcej widzieć. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana. Zrobię tak. Boże! Dziękuję, proszę pana, dziękuję.

Pomógł jej wstać. Patrzył, jak kuśtyka w stronę West End Avenue. Nie obejrzała się.

- Dupek - wymamrotał ktoś za nim.

Mężczyzna przeszedł obok i rzucił mu gniewne spojrzenie przez ramię.

Nawet jeszcze nie mężczyzna, pomyślał. Chłopiec. Chłopiec, k tóry myśli, że jest mężczyzną, ponieważ zarabia sto tysięcy dolarów rocznie, plus dodatki.

Chłopiec będzie miał szczęście, jeśli p r z e t r w a takim, jaki jest i tym, kim jest nim dojdzie do rogu Columbus.

Ten.

Oparł się o latarnię. Bełkotał do siebie w obłąkanym dialogu z własnym bełkotliwym wnętrzem.

Już się zmieniał.

Było ich więcej - tych, którzy teraz się zmieniali.

Nie tylko wariaci.

Już raz widział, j a k to się stało. Dawno, dawno temu. Kiedy zbiorowa wola i świadomość całej populacji stała się wystarczająco intensywna, wystarczająco czarna, wystarczająco wściekła, wystarczająco straszna, wystarczająco skumulowana, by wydrzeć się z trzewi natury ludzkiej - jakby od zawsze tam tkwiła, cała ta ciemna okrutna energia skoncentrowała się niczym promień lasera, by przekształcić metaforyczny obraz całej klasy społecznej w namacalną rzeczywistość.

W przeszłości to byli bogaci - klasa rządząca, którą postrzegano jako wampiry. Karmiące się biednymi i pozbawionymi środków do życia.

Teraz to byli biedni we własnej osobie.

Wcale nie potrwa długo, zanim wszyscy w mieście, i połowa świata, zobaczą to, co on widział już od dłuższego czasu z jego własnej, unikalnej perspektywy, rozumiejąc dokładnie, co się dzieje, ponieważ jemu też to się przytrafiło.

Ponieważ ostatnim razem to był on. On i garstka innych. Wielmoża, królowie, książęta.

Tym razem, oczywiście, nie będzie ich jedynie garstka.

Tym razem będzie ich legion.

Widział ich wszędzie.

Przemieniających się.

Zmieniających się,

Miał nadzieję, że dziewczyna z pięknym uśmiechem i ładną, ciepłą skórą nie będzie jedną z nich.

Zawsze lubił spacerować po Nowym Jorku. Chętnie by kontynuował wędrówkę, ale było już późno i zrobił się głodny. Na Columbus zatrzymał taksówkę.

Taksówka była bezpieczniejsza niż limuzyna.

Kierowcy limuzyn zawsze czują potrzebę, żeby się przymilać.

Żeby rozmawiać.

Natomiast taksówkarze używali lusterka prawie wyłącznie do obserwacji ruchu ulicznego - i to było istotne.

Jakby cię tam prawie nie było.

- Do Four Seasons - rzucił.

Miał rezerwację.

Kolacja z piękną, od niedawna rozwiedzioną dziedziczką nieruchomości,

a potem powrót do jej apartamentu na East Side, wypełnionego dziełami Vlamincka, Emila Nolda, Gaugina, oryginalnymi, dwadzieścia jeden pięter nad East River, z wbudowaną łaźnią parową i sauną.

W przeciwieństwie do większości świata, wolał żywić się swoimi.

PASOWAĆ DO ZBRODNI

- Myślę, że wykonałeś znakomitą robotę - oznajmił Dugas.

- Naprawdę.

Morgan odchylił się na czerwonej, skórzanej sofie, przypalił camela bez filtra i rozkoszował się pierwszym zaciągniętym dymem na podniebieniu i w nosie. Uważał to za cudowne, że stare przyjemności znowu wróciły do łask.

- Dziękuję - powiedział. - Ale to nie moja zasługa. Nawet nie sądu. - Uśmiechnął się. - Możemy podziękować republikańskim prezydentom: Reaganowi, Bushowi, Quayle'owi.

- Nie Quayle'owi - zaprotestował Dugas. - Dobry Boże. Nie Quayle'owi.

Morgan roześmiał się.

- W porządku. Nie Quayle'owi. Jego człowiek Beavers też się za bardzo nie napracował. Ale Denninger, jak najbardziej. I Harpe. Wszystkie nominacje były ich.

- Prawda.

- Oczywiście, byliśmy wspierani przez historię. Wolę narodu. Pozostał jeden demokratyczny sędzia, by rozstrzygać w imieniu narodu i zgodnie z jego wolą, co i teraz jest stosowane. A my zawsze byliśmy w tym najlepsi.

Dugas patrzył, jak podnosi papierosa do ust i wciąga dym do płuc. Dotarło do niego, że jego usta były zbyt cienkie, by wydawały się atrakcyjne u kogoś innego niż osoba publiczna - z jakichś powodów Amerykanie lubią swoich polityków bez ust - ręce

miął zbyt delikatne i zbyt perfekcyjny manicure. Nie było w nim ani krzty zmysłowości. Chociaż miał reputację nie mniej wyuzdanego niż ktokolwiek inny w Waszyngtonie.

Nie mniej niż on sam, prawdopodobnie.

Dugas pomyślał, że gdyby nawet byli członkami tego samego Klubu - teraz pustego, poza nimi dwoma - on nigdy nie marnowałby swojego czasu, siedząc tu i rozmawiając z Morganem. Pomimo władzy Morgana, pomimo jego niezaprzeczalnych osiągnięć i pomimo jego politycznych oraz zawodowych powiązań, było w nim jakieś nieprzyjemne zadowolenie z siebie. Ale ta kurtuazja wymagała jego uwagi.

- To poczucie zachowałem od szkoły prawniczej - powiedział Morgan. - Że kara, po prostu, powinna pasować do zbrodni. Że coś fundamentalnego zostało przeoczone w samej strukturze naszego systemu kontradyktoryjnego* - cierpienie ofiary. Stan ofiary podczas procesu wiktyimizacji.

Dugas obserwował go, jak się nakręca. Znow się zaczyna, pomyślał. W końcu miał telewizor. Słyszał to już dziesiątki razy.

Mimo to...

Powoli sączył swoją whisky i słuchał.

- Ty, jako prawnik, rozumiesz, tego jestem pewien. Weźmy na przykład chłopca, potrąconego przez pijanego kierowcę. Chłopak, w rozkwicie życiowych sił, potrącony niespodziewanie. W jednym momencie żyje - pewnie jest szczęśliwy - w następnym jest martwy. Czy to mądre i właściwe, by skazać kierowcę na określoną liczbę lat w więzieniu, pozwolić mu na luksus liczenia dni do wyjścia, karmić go, ubierać, pozwolić na ćwiczenia na podwórku, na telewizję, a potem, w końcu, wypuścić go? Kiedy po upływie tych lat bary nie zniknęły, sklepy z alkoholem nie zniknęły?

Mógłby nawet znow ubiegać się o prawo jazdy.

On mnie nie lubi, pomyślał Morgan. Ale jest rozsądnie uważny. To wystarczy.

* kontradyktoryjność - jeden z elementów sformalizowanej procedury sądowej, zasada zakładająca istnienie dwóch przeciwstawnych stron toczących spór (przyp. red.)

Mówił dalej. Dążył do puenty, aby Dugas mógł wszystko dokładnie zrozumieć.

- Wiele lat temu, kiedy byłem jeszcze sędzią Sądu Stanowego, miałem sprawę, której nigdy nie zapomnę. Mężczyzna wszedł do akademika i strzelił starszej opiekunce w głowę ze Smith & Wessona kaliber 45 z tłumikiem, a potem zakradł się na górę i wybrał przypadkowy pokój. W środku były dwie studentki, młode kobiety, bardzo ładne. Mężczyzna trzymał je na muszce, kazał im się rozebrać, potem zmusił jedną z dziewczyn, by przywiązała drugą do łóżka i zakneblowała ją. Polem związał i zakneblował tę drugą, rzucił na to samo łóżko i zmusił jej współlokatorkę by patrzyła, jak on *zjada jej przyjaciółkę żywcem*.

- Zaczął, jak mniemam, od jej pośladków.

- Prawo było wtedy takie, jakie było, zwykła ława przysięgłych składająca się z ludzi równych rangą. Skazała go na dożywocie w więzieniu stanowym, jako niepoczytalnego. Podczas gdy, oczywiście,

on powinien umrzeć.

Morgan zgasił papierosa.

- Umrzeć okropną śmiercią.

- Przepraszam, panowie.

To był kelner, Woolbourne, niósł tacę i podniósł pusty kieliszek po winie Morgana.

- Będziesz pan chciał kolejne? Obawiam się, że robotnicy...

Bezczelny drań, pomyślał Dugas. Woolbourne adresował pytanie do obydwu, ale patrzył tylko na Morgana - jakby on, Dugas, się nie liczył.

Dugas spojrział na robotników, dwóch wielkich mięśniaków, rozkładających plandekę z tworzywa sztucznego w drugim końcu biblioteki. Najwyraźniej potrzebna była renowacja, chociaż on sam takiej potrzeby nie widział.

- Co oni robią, Woolbourne? - zapytał.

- Tapetę, jak mniemam, proszę pana. Zastępują fragment.

Mężczyzna nadal na niego nie patrzył. Jedynie podniósł jego kieliszek, który nie był nawet całkiem pusty.

Miał ochotę rozbić kieliszek na grzecznej, wystudiowanie
uprzejmej twarzy Woolbourne'a.

Cholerny kelner, na litość boską.

- Kolejna - mruknął Dugas. Jeszcze jedną.

- Tak - powiedział Morgan. Jeszcze jedna może być.

- Bardzo dobrze, panowie.

Dugas zapalił camela, przebiegł wzrokiem po złotej i czerwonej
tapecie w irysy przy oknie. Może uszkodzony fragment krył
się za ciężkimi, aksamitnymi zasłonami z Utrechtu.

Morgan westchnął.

- Ta sprawa zmieniła moje życie. Od tego momentu wiedziałem,
co chcę robić, co musi zostać zrobione. I, dzięki Bogu, przyszedł
na to właściwy czas.

- T a k .

Lizus w Dugasie mógł z łatwością powiedzieć *tak i to ty*
doprowadziłeś

do tego właściwego czasu. Ze względu na karierę,
byłoby to mądre. To nawet byłaby prawda. Ale gadka-szmatka
z tym starym sędzią nudziła go. Jego kariera była dobra taka, jaka
była. Nie był nawet pewien, czy jeszcze w ogóle o nią dbał. Miał
inne zainteresowania. Nic nie powiedział.

Bezczelny czy nie, Woolbourne był przynajmniej skuteczny.

Przyniósł im drinki. Kieliszek sherry dla Morgana, kolejną whisky
dla Dugasa.

Morgan uniósł swój kieliszek.

- Za prawo - powiedział z uśmiechem.

Za prawo.

Stuknęli się. Potem stary wyga kontynuował.

- Miałem sprawę, która niedawno osiągnęła punkt kulminacyjny

- oświadczył. - Właściwie bardzo interesującą. Doskonały
problem w... stosowności. Oskarżoną była młoda, przybrana
matka, która zamordowała swojego trzyipółrocznego synka, którego
adoptowała, kiedy miał rok. Jakimś cudem jej systematyczne
napaści na dziecko umykały ludziom z opieki społecznej przez
ponad dwa lata.

- Zdarza się.

- Tak, niestety tak. Jej wytłumaczeniem było to, że dziecko spadło ze schodów. Powiedziała, że generalnie było to niezdarne dziecko. To było oczywiście kłamstwo. Po pierwsze, część siniaków miała miesiąc. Po drugie, na całym ciele były ślady oparzeń.

Wzniósł papierosa.

- T o , bez cienia wątpliwości. Były także dowody ciężkiego niedożywienia.

Sąsiedzi donieśli, że przynajmniej raz karmiła dziecko jego własnymi odchodami. No i odcinek odbytniczy był poważnie pokryty bliznami, porozdzierany i anormalnie rozszerzony.

Jak zwykle, zaakceptowaliśmy jej wyjaśnienie, a potem przeprowadziliśmy śledztwo i oskarżyliśmy o morderstwo. Jej mąż, tak przy okazji, też został oskarżony i skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci. Nie mieliśmy dowodów, że kiedykolwiek dotknął chłopca. Prawdopodobnie tego nie zrobił. Ale patrzył. Przez dwa lata żona była przypalana, bita, lekceważona, głodzona, przy okazji karmiona własnymi odchodami, poniewierana kijem od szczotki z jej własnego domu - chyba znaleźli go w piwnicy - podczas gdy mąż, oczywiście, musiał na to patrzeć. Tak w ogóle, podobno teraz całkiem oszalał. W zeszłym tygodniu została zepchnięta ze schodów. Zmarła, tak jak dziecko, ze złamanym karkiem. Byliśmy z tego całkiem zadowoleni. Z mojego doświadczenia wynika, że rzadko kara tak bardzo pasuje do zbrodni. To była prawie jej kopia.

Dugas uśmiechnął się.

- Ach - rzucił. - Ale to było tylko dziecko. Niewinne, szczerze mówiąc. Co z tym?

Morgan wzruszył ramionami.

- Po paru miesiącach pozbawienia praw i ciągłych napaści, kobieta też nim była. Praktycznie pod każdym względem.

Dugas zastanowił się i skinął głową.

- Eleganckie - przyznał. - Całkiem eleganckie.

- Tak też myśleliśmy - powiedział Morgan. - Brakowało tylko jednego - dodał - elementu zaskoczenia.

- Zaskoczenia?

Robotnicy przy oknie rozłożyli plandekę i robili sobie przerwę, paląc i od czasu do czasu spoglądając w ich kierunku. Dugas pomyślał, że to teraz typowe dla niższych klas społecznych. Od sekretarek, przez kelnerów, do rzemieślników.

- Oczywiście - powiedział Morgan. - Wróćmy do naszego chłopca na rowerze, potrąconego przez pijanego kierowcę. Był zaskoczony,

czyż nie? Zszokowany! W jednej chwili nic mu nie jest, jedzie sobie, a w następnej wypełniony jest nagłą, oślepiającą agonią.

Albo dwie młode dziewczyny, o których wspominałem, siedzą sobie w akademiku, rozmawiają o chłopakach, kolegach, rodzinach, kiedy nagle ich życie zamienia się w kompletny horror, koszmar, ból, śmierć i bezsilność. Nie do pomyślenia. Niewyobrażalne.

I całkiem zaskakujące.

Morgan zauważył, że skupia teraz na sobie całą uwagę Dugasa.

Lepiej późno niż wcale.

Wziął łyk sherry.

- Element zaskoczenia. To z tego powodu prowadzimy śledztwo, sądzimy i wydajemy wyroki bez podawania ich do publicznej wiadomości. Dlatego zaniechano wcześniejszych doświadczeń z telewizyjnymi i prasowymi relacjami, a nawet z ławą przysięgłych i otwartymi rozprawami sądowymi. Ponieważ większość, jeśli nie wszystkie, brutalnych zbrodni, definitywnie zawiera w sobie ten element. Nagły szok. Więc, by oddać sprawiedliwość ofierze, tak bardzo, jak tylko się da, by przybliżyć się maksymalnie do *doświadczenia* ofiary, każda kara, która ma pasować do natury zbrodni, musi być szokująca dla sprawcy, tak jak swojego czasu dla jego lub jej ofiary. Ten ostatni przypadek, *na pierwszy rzut oka*, nie dorasta do naszego ideału. Ponieważ jej kara trwała tak długo - dwa lata - musiała w końcu zdać sobie sprawę, jak to się skończy. Ale spójrz głębiej i zobaczysz, że to wcale nie było takie niewłaściwe. Początkowy areszt ją zaskoczył. Natura kary - tak bliska cierpieniu jej adoptowanego synka - *to* musiało ją zaskoczyć, na absolutnie podstawowym poziomie. Że to boli,

na przykład, kiedy jest się zmuszanym do zjedzenia własnego gówna.

Użycie przez Morgana słowa „gówno” zaskoczyło Dugasa wystarczająco,

by zakrztusił się swoją whisky.

- Przepraszam - powiedział Morgan. I kontynuował.

- Spójrz na sam koniec. Czy śmierć *zawsze* nie niesie ze sobą zaskoczenia? Czy nie przychodzi jako coś w rodzaju szoku? Może nie sposób, ale na pewno czas stanowi element zaskoczenia. Chorzy na serce, chorzy na raka, nawet ci, cierpiący na codzienne, agonalne bóle, którzy *modlą się* o śmierć, muszą w końcu być zaskoczeni,

kiedy ona przychodzi. Nawet jeśli przychodzi... jako ulga. I kto może stwierdzić, że nawet trzyipółletnie dziecko nie zdaje sobie sprawy z własnej śmiertelności, z własnej, rosnącej słabości, zbliżającej się śmierci?

Powoli umościł się w fotelu i dokończył wino.

- Masz chyba zatem całkiem dobre lustro - powiedział Dugas.

- Tak - przytaknął Morgan z uśmiechem. - Myślę, że wszyscy wykonujemy swoją robotę całkiem dobrze. Nawet w tym przypadku. Mój Boże. Jesteś zadowolonym z siebie sukinsynem, pomyślał Dugas.

- Nawet w twoim przypadku - powiedział Morgan. Wstał, prostując swój smoking.

Dugas widział, że to był sygnał. Dwóch krzepkich robotników podeszło z rogu pomieszczenia i stanęło w pobliżu. Woolbourne pojawił się w mahoniowych, panelowych drzwiach, blokując wyjście.

- Emilu Dugas - powiedział Morgan. - Zostajesz oskarżony, osądzony i skazany przez sąd za zamordowanie Lynette Janice Hoffman, lat 23, twojej przelotnej kochanki i jednocześnie sekretarki,

w dniu 23 stycznia 2021 roku. Twój wyrok zostanie wykonany natychmiast, a kara będzie pasować do zbrodni.

Mózg Dugasa dostawał kręćka. To było niemożliwe. *Dostownie* niemożliwe. Cała ta gadka. Cała ta hipokryzja. Całe to pieprzenie

o karze „pasującej do zbrodni”, ten nudny inauguracyjny wykład, kiedy i tak zamierzali go zabić, jak w jakiejś pieprzonej, zmyślonej powieści i tylko to mogą zrobić. Ponieważ reszta była niemożliwa. Prawie wybuchnął śmiechem. Zamiast tego eksplodował.

- Jesteś głupcem, Morgan! Bufonem! Albo cholernym, kłamliwym hipokrytą. Albo wszystkim naraz. Jakim cudem sprawisz, by ta kara „pasowała do zbrodni”? Cholernie dobrze wiesz, że nie dasz rady. Jeśli wiesz, co zrobiłem tej dziewczynie, to wiesz też, jak to zrobiłem. To nie jest coś, co możesz odtworzyć. Więc co dostanę? Coś *zbliżonego*?

Wypluwał słowa pełne obrzydzenia.

Morgan uśmiechnął się. Dugas nadal nie rozumiał. W sumie oczekiwał, że nie zrozumie.

Skinął na robotników. Chwycili Dogasa za ramiona i poprowadzili do plastikowej plandeki. Dugas walczył, ale to było jak walka z kimś trzy razy silniejszym i trzy razy większym od siebie. Jak mu się zdawało, właśnie o tyle razy więksi byli robotnicy. *Tak jak on był trzy razy silniejszy i prawie trzy raz cięższy od Lynette, kiedy...*

A teraz śmiał się histerycznie, kiedy zdejmowali z niego ubranie. Śmiech mieszał się z gniewem.

Nie możecie tego zrobić! - krzyczał. - Kurwa, nie możecie tego zrobić, bo nie mam tam dziury! Rozumiecie? Nie mam tam pieprzonego otworu, cholerne głupie dupki! Widziała, jak jej to robię, rozumiecie? Wiecie, co to oznacza? Widzicie cholerną różnicę? Widzieć twarz własnego oprawcy? Widzieć, jaką czerpię *przyjemność*. Co zamierzacie zrobić, wsadzić mi to w dupę, cholerni hipokryci? Pieprzeni frajerzy! Nawet nie zbliżycie się do tego, jak przeze mnie cierpiała ta dziwka! Potem zdecydowałem się skrócić jej pieprzony kark! Przez cały ten cholerny czas patrzyła prosto na mnie, prosto w moją *twarz!*

- Rozumiemy to - powiedział Morgan - Doskonale.

Ponownie skinął, a jeden z robotników wyciągnął coś ze swojego kombinezonu. Dla Dugasa wyglądało to na połączenie łopatkę ogrodniczej z dryłownikiem do jabłek. Zrobione z chirurgicznej stali. O średnicy pięciu centymetrów. I o ostrej, ząbkowanej krawędzi.

Kiedy mężczyzna przyłożył przedmiot do jego krocza, po czym zatopił je głęboko i przekręcił, a potem wycofał, Dugas krzyczał i krzyczał.

- Czy *moja* twarz wystarczy? - grzecznie zapytał Woolbourne. Przez oślepiający ból, Dugas obserwował spodnie kelnera opadające do kostek.

Zupełnie jak kiedyś Dugas, Woolbouine miał całkiem potężną erekcję.

RIPOSTY: ELVIS, PODOBNIIE JAK GENERAL FRANCO, NADAL NIE ŻYJE

To było najwspanialsze zagajenie, jakie usłyszałem od lat. Wraciałem właśnie od szafy grającej, a pierwsza piosenka jaką włączyłem, *Suspicious Minds*, leciała już, kiedy minąłem ją przy barze. Elvis śpiewał, a ta atrakcyjna kobieta siedziała zupełnie sama.

Odwróciła się, obrzuciła mnie spojrzeniem i spytała:

- *Widziałeś go ostatnio?*

Roześmiałem się, następnie poszedłem po swoją szkocką. Wróciwszy, odparłem:

- Chyba widziałem go dziś na plaży. Chociaż mógł to być wieloryb. Trudno powiedzieć.

Nie była to nawet w połowie tak dobra kwestia jak jej, ale wystarczyła,

by zagaic rozmowę. Miała niski, ochryply głos, który zawsze uwielbialem u kobiet, a takze duze, brązowe oczy i długie, kręcone włosy. Była szczupła i ładna. Nosila dzinsy i firmową koszulę.

Nic fantazyjnego.

Od razu przekonałem się, że nie szalała za Cape May. Osobiście uważałem, że to miła odskocznia od Nowego Jorku. Ale ona była miejscowa, a ja przyjechałem tu tylko na weekend. Co ja tam mogłem wiedzieć. Jak można mieć dość tego namacalnego spokoju, tych wiktoriańskich domów z przełomu wieków, zwróconych oknami do zatoki, z pomalowanymi gzymsami. Jak można

być zmęczonym turystami, ich plażowym ekwipunkiem i przytulnymi sklepikami z rękodziełem.

Widziałem, że moi przyjaciele - Liam i Kate - śmiali się ze mnie przy drugim końcu baru. Liam i Kate byli małżeństwem i zawsze dobrze się bawili, kiedy podrywałem kobietę. Albo, jak w tym przypadku, kiedy kobieta podrywała mnie. Myślę, że ocenili moje wysiłki na większe niż były w rzeczywistości, ale podobała im się idea przygruchania sobie kompana do picia w osobie tej ómy barowej. Ponadto była niedziela, ostatnia noc mojego tu pobytu i wiedzieli, że Tess tak miała na imię - może stanowić dobre zakończenie weekendu

I w przedziwny sposób stanowiła.

Rozmowa nie była niezwykła. Chyba podobało jej się, że jestem pisarzem, który raz nawet rozmawiał przez telefon ze Stephenem Kingiem. Liam był malarzem i rysownikiem, a Kate uczyła w Profesjonalnej Szkole Dziecięcej w Nowym Jorku. Unikałem rozmów o mojej byłej żonie i dwójce dzieci. To nie było trudne. Było dla mnie jasne, że jest nieco znudzona swoim własnym życiem i łatwo było mi się z tym utożsamiać. Oto ona, trzydzieści lat - wyglądała na o wiele mniej, myślałem, że może na dwadzieścia parę - mieszkała z rodzicami i pomagała im w prowadzeniu zajazdu typu „wikt i opierunek” i to by było na tyle.

- Trochę więcej niż pokojówka - powiedziała. - A czasem nawet *nie więcej* niż pieprzona pokojówka.

Bardzo ogólnikowo opowiedziała jak do tego doszło. Mówiła, że mieszkała w Bostonie przez jakiś czas. Chciała zdobyć dyplom magistra zarządzania na Uniwersytecie Bostońskim i pracowała jako kelnerka, by związać koniec z końcem. Było oczywiste, że wolałaby to robić dalej. Nie było oczywiste, dlaczego przestała. Dała do zrozumienia, że w grę wchodzi facet. Ktoś, z kim już nie była, ale był jakoś wplątany w powrót do Cape May.

Nie powiedziała tylko kto, jak i dlaczego.

Pomyślałem, że powie, kiedy będzie chciała. Nie zamierzałem naciskać.

Spodobał mi się jej zapach. Podobały mi się zmarszczki wokół jej łagodnych, brązowych oczu, kiedy się uśmiechała. Podobało mi się chłopięce ciało i długie, splątane włosy.

Chciałem ją stąd zabrać.

Było późno. Bar i tak wkrótce zostanie zamknięty. Ludzie zaczęli odpływać. Widziałem też, że Liam i Kate są zmęczeni.

- Weźmy drinki na zewnątrz - zaproponowałem. - Chciałbym zaczerpnąć trochę powietrza. W porządku?

- Dobrze.

Już prawie wyszliśmy, kiedy barman imieniem Phil pojawił się w drzwiach.

- Tak nie można - powiedział. - Drinki. To wbrew prawu New Jersey.

- Przepraszam - odrzekłem. - Nie wiedziałem.

To było też wbrew prawu Nowego Jorku, ale chyba myślałem, że w turystycznym miasteczku jest nieco lżejsze. Zastanawiałem się, dlaczego Tess mnie nie powstrzymała. Była tutejsza.

Jak widać nie przeszkadzało jej łamanie prawa raz na jakiś czas.

Mnie też nie. Zalegałem z alimentami dwa miesiące.

Barmanowi nie przeszkadzało picie.

- Żaden problem - powiedział - dajcie mi je, a ja zaniosę je dla was z powrotem do baru.

Wręczyliśmy mu drinki. Moja szkocka i jej drink ze stoliczną i sokiem żurawinowym. Phil wrócił do środka.

Nie mieliśmy więc nic do roboty, poza tym, co chciałem zrobić od początku.

- Mogę czegoś spróbować? - zapytałem.

To też była niezła kwestia. Użyłem jej już wcześniej. Zazwyczaj działała, by doszło do tego w ten czy inny sposób.

Pochyliłem się i pocałowałem ją.

Zawahała się, oddała pocałunek, a potem odsunęła się.

- Cholera. Nawet nie pamiętasz mojego imienia - powiedziała.

- Jasne, że pamiętam. Tess.

- Po dzisiejszej nocy prawdopodobnie już nigdy więcej cię nie zobaczę.

- Wracam tu pod koniec kolejnego miesiąca, w lipcu. Może tym razem na tydzień.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

To była prawda. Przynajmniej w połowie. Liam, Kate i ja rozmawialiśmy

już o moim powrocie. Spędzali tu całe lato, a ja byłem mile widziany, kiedy tylko chciałem przyjechać. Ale to, ile będę miał czasu, zależało od pracy.

Pocałowałem ją ponownie. Tym razem się nie odsunęła.

Ten pocałunek był taki, o jakim się zawsze marzy.

A zazwyczaj taki nie jest.

- Przejdźmy się - poprosiłem.

Objąłem ją w pasie. Nie bardzo wiedziałem, gdzie jesteśmy i dokąd pójdziemy. Ale trudno było zgubić się w mieście tak małym jak Cape May. Znajdę drogę do domu, a jeśli będę miał szczęście, Tess znajdzie ją za mnie.

Było sporo po drugiej w nocy i ulice były ciche. Nikt nie spacerował, poza Tess i mną. Nie było też żadnych samochodów.

Rozmawialiśmy, a ja co chwila odwracałem się i całowałem ją, mocno przytulając, ciągle krocząc przed siebie i wcale nie zwalniając. Miałem to intensywne, dobre samopoczucie, które się ma, kiedy bierze się w ramiona nową kobietę, którą *chce* się w nich trzymać, kiedy oboje wypiliście trochę, ale nie za dużo, kiedy nie ma się pojęcia, dokąd to prowadzi, ale to i tak nieważne.

- Może pójdziemy na plażę? - zapytałem.

Roześmiała się. Jakbym powiedział coś zabawnego.

- *P l a ż a !* - wykrzyknęła.

Myślałem, że to dobry pomysł. Nie było za zimno. Właściwie to noc była cieplejsza niż dzień.

Prawdopodobnie udawadniałem jej, że jestem tylko turystą.

Dla niej plaża była stereotypem.

Nadal mi się podobało. Myślałem, by położyć się na piasku. Nie było nikogo, poza naszą dwójką. Księżyc na wodzie. Szum fal i ogromne niebo. Może to było stereotypowe, ale i tak mi się podobało. Czegoś takiego nie robi się na Manhattanie, nie leży się na plaży i nie całuje z piękną kobietą.

Uśmiechnąłem się. Jakbym to sam zaaranżował, ale co z tego.

- Dlaczego nie? - spytałem.

Pocałowała mnie, a potem jej głos znów się zniżył.

- *Jasne. Dlaczego nie.*

Nie leżeliśmy tam dłużej niż dziesięć minut, kiedy usłyszeliśmy strzał.

Myślałem, że byliśmy sami. Zresztą koncentrowałem się na niej, na jej miękkich, ciepłych ustach, jeszcze cieplejszych piersiach pod drelichową koszulą i na sposobie, w jaki pod moimi palcami twardniały jej jedwabiste, gładkie sutki.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem ciemną, ciężką postać w odległości mniej więcej trzech miejskich przecznic, biegnącą po plaży w stronę Atlantic Avenue. W lewej dłoni trzymała karabin, a może strzelbę, jednak sądząc po echu wystrzału, które nadal wisiało

w powietrzu, obstawiałbym to drugie. Spodziewałem się syren, policji, ludzi wybiegających z hoteli po drugiej stronie ulicy.

Ale siedzieliśmy tam, podczas gdy mężczyzna przebiegł ostatnie kilka kroków po rampie prowadzącej z plaży na betonowy chodnik, a potem zbiegł po przeciwnej rampie do zaparkowanego samochodu - widzieliśmy tylko jego dach - wsiadł i odjechał.

W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Tylko Tess i ja klęczeliśmy na piasku. Gapiliśmy się na inną postać, leżącą bez ruchu na plaży, niczym fala w oddali.

Tess wstała.

- Chodźmy - powiedziała.

- Jesteś pewna? - zapytałem. - Może powinniśmy znaleźć telefon.

Wezwać policję.

Zatrzymała się, odwróciła i rozważała to przez chwilę, a ja pomyślałem,

że w jakiś sposób także badała mnie. Jednocześnie.

- Może być ranny - oświadczyła. - Nie możesz go tak zostawić. Musimy sprawdzić.

Nie chciałem sprawdzać.

Ale ona miała rację. Więc poszedłem.

Mężczyzna leżał płasko na plecach, z jedną nogą podwiniętą pod siebie i z przeciwnym ramieniem uniesionym wysoko. Jakby biegł, machał do kogoś, tylko że leżał na piasku i już nigdy nie będzie biegał ani machał. To była jednak strzelba. Tuż pod jego ramieniem brakowało kawałka ciała, dużego jak piłka baseballowa. Kawałka nie widziałem nigdzie w pobliżu. Ale piasek był ciemny, a jego klatka piersiowa błyszczała w świetle księżyca. Po trzydziestce, pomyślałem. Szczupły, ciemny i dobrze umięśniony.

Nosił dżinsy i koszulkę Dallas. Jedno oko miał szeroko otwarte, drugie do połowy przymknięte. Szczeka opuszczona, usta otwarte. Plażowe kraby go pokochają.

Wpełznąć, wypełznąć.

Przewróciło mi się w żołądku i poczułem kwas.

- Cóż, to nie jest Elvis - powiedziała swoim miękkim i niskim głosem. Zajęło mi chwilę, by zdać sobie sprawę, że zapamiętała moją głupią odzywkę z baru.

- Ten facet nie potrafił nawet zaśpiewać.

To też dotarło do mnie dopiero po chwili.

- Jezu, Tess. *Znasz* tego gościa?

Pokiwiała głową.

- Tak. Tak, znam.

Czekałem, aż wyjaśni. Nie zrobiła tego.

Ale widziałem, że w jej oczach pojawiły się łzy.

- Chyba będzie lepiej, jak znajdziemy telefon - zasugerowała, po czym odwróciła się.

- Poczekaj. Kto to jest?

- Słuchaj, teraz potrzebujemy telefonu. Później, dobra?

Brnęła przez piasek, idąc w stronę rampy. Nie tej, której użył mężczyzna, ale kolejnej, znajdującej się trochę dalej na plaży.

Weszliśmy na szeroki, betonowy chodnik i dostrzegłem podświetloną

budkę telefoniczną parę domów dalej, stojącą przed zamkniętą, ciemną galeryjką. Zdawałem sobie sprawę z morskiego zapachu plaży i samotnego dźwięku naszych butów na betonie.

Weszła do budki. Wybrała 911.

- Na plaży leży mężczyzna. Jest martwy - powiedziała. - Po drugiej stronie Franklin Street. Znaleźliśmy go. Mój chłopak i ja. Widzieliśmy mężczyznę ze strzelbą. Zbiegł i wszedł do samochodu. Nie widzieliśmy samochodu. Znajdziecie ślady stóp, prowadzące do jednej z ramp i dwa kolejne, prowadzące do następnej.

Pauza.

- Nie, oczywiście, że nie. Po co panu nasze nazwiska? To wszystko, co widzieliśmy. Żegnam.

Chłopak, pomyślałem. Szybko poszło. Nie wiedziałem cieszyć się czy martwić. Wyjeżdżałem koło południa, za jakieś dziewięć godzin. Nie będzie mnie przez ponad miesiąc. Jeśli w ogóle.

Ledwo ją znalazłem i nie byłem pewien, czego oczekiwała.

Wyszła z budki telefonicznej i wzięła mnie pod ramię, po czym popchnęła w cień galeryjki i pocałowała. Nie byłem przygotowany na pocałunek, a już na pewno nie na jego dzikość. Chociaż oddałem go. Chętnie.

- Boję się - powiedziała. - A co, jeśli on wróci? Możesz mnie zabrać do domu? Może do domu swoich przyjaciół?

Jej oczy błyszczały, odbijając światło księżyca. Jedyne światło w tym ciemnym miejscu.

- Jasne - odparłem.

W drodze powrotnej na Queen Street nie naciskałem jej w sprawie tego faceta. Pomyślałem, że pozwolę jej otworzyć się we właściwym czasie.

Spacer nie zabrał dużo czasu. Nie spotkaliśmy nikogo po drodze.

Kiedy byliśmy już prawie na miejscu, powiedziała:

- Miał na imię Tommy Brookwalter. Był w liceum, klasę niżej. Trochę go wtedy znałam, ale wiesz, rok to cała wieczność, kiedy jest się w liceum. Potem przeprowadził się do Bostonu, kiedy ja pracowałam nad magisterką. Odwiedzał mnie i coś nas łączyło przez jakiś czas. Nie wyszło.

Objąłem ją ramieniem. Brzmiała smutno i wiedziałem, że jej na nim zależało. A potem byliśmy już w domu.

Na dole przygotowaliśmy sobie drinki, a potem wkradliśmy się cichutko do mojego pokoju, żeby nie obudzić Liama i Kate - to była druga kolejka drinków, której nie dane nam było wypić tej nocy, ponieważ kiedy tylko usiedliśmy na łóżku, cali byliśmy ustami i rękoma, nagle byliśmy niczym więcej tylko ciałami, starającymi

się stłumić jęki, syki i odgłosy bólu, który zrodził się z regularnej przemocy. Jej paznokcie złościły moje plecy, napędzając mnie do własnej przemocy, seks jak uderzające fale, na tyle mocne, by rozbić muszlę i wypolerować kamień, nasza dwójka, jak para zjadaczy grzechów, pożerających zbrodnie i przestępstwa, zarówno martwych, jak i swoje własne.

Mieliśmy to wszystko. A potem odpoczywaliśmy.

A potem mieliśmy to wszystko raz jeszcze.

Nad ranem już jej nie było. Oczywiście.

To policja mnie obudziła. Rozmawiali na dole z Liamem i Kate.

Dwóch przeciętnie wyglądających mężczyzn w koszulach z długimi rękawami i pod krawatami. Dała im ten adres i dała im moje nazwisko.

Chcieli ustalić, że z nią byłem. Całą noc. Powiedziałem, że tak.

Powiedziałem, że oboje usłyszeliśmy strzał i widzieliśmy ciało, no i oczywiście to Tess zgłosiła sprawę. Ale byłem ciekawy. Jak doszli do tego, że to Tess dzwoniła? Powiedzieli, że nie doszli. Że Tess przyznała to godzinę temu, kiedy ją przesłuchiwali.

Nie zrozumiałem.

Gliniarz, z którym rozmawiałem, westchnął i powiedział mi, że Tommy Brookwalter był powodem, dla którego Tess wróciła. Że mieli razem otworzyć interes, restaurację i bar z owocami morza, połączony ze sklepem rybnym, który miałby kontrakt bezpośrednio

z lokalnymi rybakami i serwować najlepsze cholerne jedzenie w mieście. Znali Cape May i wiedzieli, że jest miejsce na taki lokal. Zaręczyli się. Dopóki Brookwalter nie spiknął się z inną kobietą. Niedługo potem Tess została zmuszona do odejścia. Kobieta została jego żoną i restauracja należała do nich, a Tess całkowicie zniknęła z obrazka i zaczęła pracę dla swoich rodziców w ich małym zajeździe.

Powszechnie było wiadomo, że Tess bardzo źle to zniosła. Piła.

A kiedy piła - rozpowiadała.

Chociaż nie mnie.

Ze mną nie rozmawiała.

Staralem się to przyjąć ze spokojem. Zapytałem ich, czy to oznacza, że jest podejrzana, czy myśleli, że ona to w jakiś sposób *zaaranżowała*.

Nie teraz, powiedzieli. Teraz tylko zadają pytania.

A ja byłem jej alibi.

I to cholernie mocnym.

Wracałem na Manhattan pociągiem. Stałem w chłodnym, mglistym deszczu na Penn Station, zastanawiając się, co będzie bardziej niebezpieczne - wrócić i zadzwonić do niej, tak jak obiecałem,

czy nigdy nie wracać i nigdy nie dzwonić.

Odpowiedź byłaby oczywista. Gdyby nie to, co powiedziała mi na koniec.

Ostatnia rzecz, którą mi powiedziała, zanim zasnąłem.

Właściwie to ją *wyśpiewała*.

A ja się uśmiechnąłem.

Jesteś w pułapce. Nie możesz z niej wyjść. Ponieważ za bardzo cię kocham, kochanie.

Pomyślałem, że ma naprawdę dobry głos. Miły, chrapliwy alt.
Nie zaskoczyło mnie to.

ODWIEDZAJĄCY

Dla Neala McPheetersa

Stara kobieta na łóżku 418B w szpitalu Dexter Memorial nie była jego żoną. Choć było silne podobieństwo. Bea zmarła jednak wcześniej.

Nie oddychał dobrze tej nocy - nocy, podczas której zaczęli krążyć zmarli. Do łóżka udali się wcześniej. Nic obejrżeli nawet wiadomości. Pewnie i tak by ich nie oglądali. Nie znosili kanałów informacyjnych.

W nocy nie obudziło ich nic alarmującego. Nadal nie oddychał dobrze, nie poczuł się też lepiej następnego ranka, kiedy John Blount wszedł po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych przyczepy mieszkalnej, by odwiedzić ich i wypić kawę, co stało się jego zwyczajem trzy czy cztery razy w tygodniu i ugryzł Beatrice w obojczyk, czego wcześniej wcale nie miał w zwyczaju.

Oddychając dobrze czy nie, Will odepchnął go od niej i zepchnął ze schodów przez otwarte drzwi. John też nie był młodzieniaszkiem i upadek rozmazał jego mózg na ich podjeździe.

Will zapakował Beatrice do samochodu i pojechał do szpitala oddalonego o niecały kilometr. Wtedy zorientował się, że w całym stanie Floryda - w całym kraju, a może i na całym świecie - zmarli powstali. Dowiedział się tego, zadając pytania udręczonemu personelowi szpitala, lekarzom i pielęgniarce, którzy ją przyjęli. Bea była rozhisteryzowana faktem ugryzienia przez przyjaciela

i kumpla od golfa, więc uspokoili ją i było wątpliwe, że kiedykolwiek dowie się w ogóle co wyprawiali zmarli. Co prawdopodobnie

było dobre. Jej brat i siostra byli pogrzebani na Cmen-

tarzu Stoneyview, zaledwie sześć przecznic dalej i myśl, że znów chodzą sobie po ulicach Punta Gorda, gryząc ludzi, zdenerwowałyby ją.

Pierwszego dnia widział kilka okropnych rzeczy.

Widział mężczyznę z odgryzionym nosem - z krwotokiem wszechczasów i kobietę wieszoną na noszach, której piersi zostały odgryzione. Widział czarną dziewczynkę, nie starszą niż sześć lat, która straciła ramię. Widział martwe i okaleczone ciało niemowlęcia,

aż przysiadł i krzyczał.

Opanowanie zniknęło. Ale lica ciągle spała.

To był niespokojny, bolesny sen. Dali jej środki przeciwbólowe przez kroplówkę i przywiązali jej ramiona i nogi do łóżka. Lekarze powiedzieli, że ma w sobie jakiś rodzaj trucizny. Nie wiedzieli jak długo potrwa, zanim ją zabije. To zależy.

Każdego dnia przyjeżdżał do szpitala w otoczeniu dźwięków syren oraz wystrzałów i każdej nocy opuszczał go w taki sam sposób.

W środku było względnie cicho, dopóki ktoś się nie obudził, a i tak trwało to wówczas tylko chwilę, zanim zdecydowali się podać śmiertelny zastrzyk. Potem znów było cicho i mógł do niej mówić.

Opowiadał jej historie, które słyszała już wiele razy, ale wiedział, że nie będzie miała nic przeciwko, by opowiedział je ponownie.

O jego matce, wysyłającej go z monetą po lody do lodziarza na Stuyvesant Avenue. O graniu w bilard z Jackie Gleasonem

w obskurnej sali w Newark tuż przed wojną i o tym, że prawie go pokonał. O tym, jak po raz pierwszy wyszedł ze swoją pierwszą narzeczoną i przyszłym teściem do baru i ktoś ją obraził, a on zamachnął się na niego, ale tamten się uchylił, więc zamiast tego wyrznął swojemu teściowi w twarz.

Nalegał, by nie umierała. Żeby spróbowała do niego wrócić.

Poprosił ją, żeby przypomniawszy sobie dzień ich ślubu, to, że byli tam ich przyjaciele i to, jak świeciło słońce.

Przynosił kwiaty, dopóki nie miał już dość ich zapachu. Przynosił poliestrowe balony ze sklepu z pamiątkami, które krzyczały

napisami typu „wracaj do zdrowia” albo „wydobrzej” i przywiązywał

je do tego samego łóżka, do którego ona była przywiązana.

Dni mijały z paraliżującą regularnością. Widział więcej okropnych rzeczy. Wiedział, że ona ociąga się o wiele dłużej niż większość.

Szpitalni strażnicy już teraz go znali i nawet nie prosili o przepustkę.

- 418B - mówił, chociaż prawdopodobnie to też było niepotrzebne.

Nocami wracał do zabitej deskami mobilnej przyczepy na coraz bardziej opustoszałej Village, wkładał zamrożony obiad do mikrofalówki i oglądał wiadomości same wiadomości, odkąd tylko zmarli zaczęli wstawać - a kiedy się kończyły, kładł się do łóżka. Nie odwiedzali go żadni przyjaciele. Wielu z nich już nie żyło. A żywych nic zapraszał.

Pewnego ranka ona zniknęła.

Każdy ślad po niej.

Nie było kwiatów, balonów, ubrań - niczego. Lekarze powiedzieli mu, że umarła w nocy, ale jak zauważył, mówili o naukowej i o ludzkiej stronic, a kiedy wróciła ponownie, było to szybkie i nie cierpiała.

Jeśli chciał, mógł tam chwilę posiedzieć, tak mu powiedzieli lekarze.

Mieli też psychologa, który w razie czego był do jego dyspozycji.

Usiadł.

Godzinę później do pokoju wwieźli rudą kobietę o niezdrowej twarzy, może dziesięć lat młodszą od Willa, z brzydką raną po ugryzieniu na lewym policzku, tuż nad wargą. Pocałunek na opak.

Pielęgniarki jakby go nie zauważały. A jeśli tak, to po prostu go ignorowały. Siedział i patrzył, jak ruda śpi na łóżku jego martwej żony.

Rano przyszedł w odwiedziny.
Strażnikowi powiedział „418B”.
Siedział na krześle i opowiadał jej historie o graniu w bilard z Gleasonem, o tym jak wbił cholerną białą bilę, próbując trafić ósemkę, o kupieniu zgniłego hamburgera podczas Wielkiego Kryzysu,
o jego pierwszej żonie, płaczącej długo w noc nad półkilogramowym kawałkiem zepsutego mięsa. Opowiedział jej stary żart o kogucie na podwórku. Mówił spokojnie o przyjaciółach, związkach,
od dawna martwych. Poszedł do sklepu z pamiątkami i kupił jej kartkę oraz małą, doniczkową roślinę na okno przy łóżku. Dwa dni później zniknęła. Kartki i rośliny też nie było, a jej szuflada i szafka były puste.
Mężczyzna, który leżał na łóżku, był mniej więcej w wieku Willa, tego samego wzrostu i budowy, co on. Stracił oko, ucho, kciuk, palce dłoni, wszystko po prawej stronie ciała. Miał nawyk leżenia na lewej, jakby chciał odwrócić się od tego, co zrobili mu zmarli.
Coś w tym człowieku kazało Willowi myśleć, iż był on marynarzem - może szorstki wyraz jego twarzy, a może srogie, krzaczaste brwi i biała szczecina na brodzie. Will sam nigdy nie żeglował, ale zawsze chciał. Opowiedział mężczyźnie o swoich letnich przygodach w Asbury Park i Point Pleasant przy wybrzeżu Jersey, kiedy był chłopcem, o nocach na deptaku i dniach z rodziną nad morzem. To była najbliższa rzecz, z jaką, jak sądził, mężczyzna będzie mógł się utożsamić.
Mężczyzna wytrzymał tylko jedną noc.
Przyszły i odeszły dwie kolejne, kobieta w średnim wieku i piękna, nastoletnia dziewczyna.
Nie wiedział, co powiedzieć dziewczynie. Minęły lata odkąd rozmawiał z nastoletnią osobą - jeśli nie liczyć kasjerek w supermarkecie.
Siedział więc i nucił, czytał jej artykuły z magazynu *People* sprzed czterech miesięcy.
Kupił jej stokrotki i małego, pluszowego misia, po czym położył go obok niej na łóżku.

Dziewczyna jako pierwsza umarła, a potem wróciła w jego obecności.

Zaskoczyło go, jak bardzo się tego spodziewał. W jednej chwili dziewczyna spała, a w następnej walczyła z pasami, które przywiązywały

ją do łóżka, a gęsty, szarozółty śluz wypływał z jej ust i nosa, plamiąc prześcieradła, które okręcili ciasno dookoła niej.

Z jej gardła dobiegał dźwięk, jakby ktoś palił suche liście.

Will odsunął krzesło do ściany i obserwował ją. Czuł, że nic nie może jej powiedzieć.

Małe, czerwone światełko na ścianie ciągle mrugało.

Przypuszczalnie

podobne światełko mrugało w pokoju pielęgniarek,

ponieważ w ciągu kilku sekund pielęgniarka, lekarz i asystent pojawili

się w pokoju, asystent przytrzymał jej głowę, podczas gdy

lekarz zaaplikował zastrzyk przez nozdrza prosto do mózgu.

Dziewczynę przeszedł dreszcz, a potem jakby zwiędła i zapadła się głębiej w łóżku. Pluszowy miś spadł na podłogę.

Lekarz zwrócił się do Willa.

- Przykro mi - powiedział - że musiał pan to widzieć.

Will pokiwał głową. Lekarz wziął go za krewnego.

Will nie miał nic przeciwko.

Nakryli ją prześcieradłem i popatrzyli na niego przez chwilę, a potem wyszli.

Wstał i poszedł za nimi. Wezwał windę i zjechał na parter,

a potem przeszedł obok strażnika i wyszedł na parking. Słyszał wystrzały broni automatycznej przy Wal-Marcie na końcu ulicy.

Wsiadł do samochodu i pojechał do domu.

Po obiedzie miał trudności z oddychaniem, więc zaaplikował

sobie tlen i poszedł wcześniej do łóżka. Rano czuł się dużo lepiej.

Zmarły kolejne dwie osoby. Oboje w nocy. Przeszli jak duchy przez jego życie.

Drugą osobą, która zmarła na jego oczach był szpitalny asystent.

Will widział go wiele razy. Młody, nieco łysiejący. Ewident-

nie został ugryziony, kiedy lekarz aplikował zwyczajowy zastrzyk, ponieważ miał zabandażowaną i nieco zaropiałą rękę. Asystent nie poddawał się łatwo. Był młodym mężczyzną z grubym, muskularnym karkiem, szarpał się i trząsał na łóżku. Trzecia na jego oczach zmarła kobieta, która wyglądała jak Bea. Miała jej włosy i oczy, budowę ciała i karnację. Patrzył, jak ją zabijali i pomyślał, że to musiało tak być. Jej twarz tak by wyglądała. Jej ciało by się tak zachowywało. Następnego ranka po tym jak umarła, wstała i umarła ponownie, przechodził obok strażnika na pierwszym piętrze, delikatnego, niedużego, mocno zbudowanego mężczyzny, który znał go z widzenia

od jakiegoś czasu.

- 418B - powiedział.

Strażnik dziwnie na niego spojrział.

Pewnie dlatego, że płakał. Przez całą noc. I rankiem. Czuł się zmęczony i głupi. Źle oddychał.

Udawał, że wszystko jest w porządku. Uśmiechnął się do strażnika i powąchał bukiet kwiatów, które zerwał w swoim ogrodzie.

Strażnik nie odwzajemnił uśmiechu. Zauważył, że oczy mężczyzny też były czerwone. Poczul się zaalarmowany. Wyczuł, że to nie od płaczu. Ale trzeba było go minąć w drodze do środka, więc zrobił to.

Strażnik chwycił go za ramię swoimi małymi, białymi, serdelkowatymi

palcami i ugryzł w żylasty biceps, tuż poniżej krótkiego rękawa koszuli Willa. Nikogo nie było w hallu przed nim, przy windach. Nikogo, kto mógłby pomóc.

Kopnął mężczyznę w goleń i poczuł, jak martwa skóra rozdziera się pod jego butem, a potem wyrwał ramię.

Poczul pstryknięcie w klatce piersiowej, jakby ktoś łamał gałązkę w jego wnętrzu.

Atak s e r c a?

Popchnął strażnika, tak jak popchnął Johna Blounta tak dawno temu, i chociaż nie było schodów, tym razem na ścianie była

gaśnica, głowa strażnika uderzyła w nią z głośnym brzękiem, a potem on sam osunął się oszołomiony po ścianie. Will poszedł do windy i wdusił przycisk z czwórką. Koncentrował się na oddychaniu i zastanawiał, czy podadzą mu tlen, jeśli o niego poprosi.

Wszedł do pokoju.

Łóżko było puste. Jak nigdy.

Ani razu, kiedy przychodził w odwiedziny, nie było puste. To był zapracowany szpital.

To, że tego ranka łóżko było puste, zmieszało go. Jakby wpadł do króliczej nory.

Jednak wiedział, że rozstrząsanie tego nie było mądre teraz, kiedy po tym wszystkim nareszcie miał szczęście.

Włożył nieco sponiewierane ogrodowe kwiaty do wazonu. Nalał wodę z umywalki w łazience. Rozebrał się w ciszy, znalazł wiszącą w szafie rozpinaną pidżamę szpitalną bez pleców, zarzucił ją na ramiona i wspiął się na łóżko, na świeżą, czystą pościel.

Ugryzienie nie bolało za bardzo i było tylko trochę krwi.

Czekał, aż pielęgniarka zrobi poranny obchód.

Myślał o tym, że to wszystko jest naprawdę takie samo. Że nic się nie zmieniło, nieważne, czy umarli chodzą, czy nie. Byli ci, którzy żyją w samym środku życia i ci, którzy z jakiegoś powodu nie chcieli lub nie mogli. Martwi czy nie.

Czekał, aż przyjdą, uspokoją go, zwiążą. Miał tylko nadzieję, że będzie miał z kim porozmawiać - opowiedzieć historię o Gleasonie,

może po raz ostatni. Gleason był w rzeczywistości zabawnym człowiekiem, zupełnie tak, jak w telewizji, ale z niewyparzoną gębą. Zawsze przeklinał. A on go prawie pokonał.

WEŹE

Jej wąż pojawił się po pierwszej burzy.

Rozmawiała przez telefon z prawnikiem z Nowego Jorku. Na zewnątrz powódź zelżała. Widziała przez osłonę, otaczającą ganek, że jej podwórko, na którym jeszcze godzinę leniu było trzydzieści centymetrów wody, osuszyło się dzięki zboczu przy płocie i kanałowi, który znajdował się za nim.

Pomyślała, że może wypuścić psa. Chociaż będzie musiała go pilnować. Roczny golden retriever to nadal szczeniak, który lubi kopać. Ann przekonała się o tym w trudny sposób. Pogoda na południu

Florydy była jaka była, miała więc na kanapie trzy narzuty, ze względu na czarne, smoliste błoto na łapach i brzuchu Katie.

Prawniki mówił, że potrzebuje pieniędzy.

- Nienawidzę o to prosić - rzekł.

- Ile?

- Na początek dwa tysiące.

- Chryste, Ray.

- Wiem, że to trudne. Ale spójrz na to z innej strony. On już wisi ci trzydzieści kawałków, a z każdym miesiącem ta liczba rośnie. Jeśli go dostaniemy, będzie ci także wisiął za moje wynagrodzenie.

Masz moje słowo.

- *Jeśli go dopadniemy.*

- Nie możesz tak myśleć, Annie. Ja wiem, że ty tam głodujesz.

Wiem, ile zarabiasz i wiem, dlaczego się tam przeprowadziłaś

- ponieważ to było najtańsze miejsce, na które mogłaś sobie pozwolić, przy jednoczesnym wychowaniu dziecka w porządnym

sposób. To jego wina. Musisz go dopaść. Pomyśl o tym przez chwilę. Trzydzieści tysięcy w alimentach! Wierz mi, to zmieni twoje życie. W tym przypadku *nie możesz sobie pozwolić* na bycie defetystką.

- Ray, ja *czuję się* przegrana. Czuję, jakby mnie pobił.

- N i e jesteś. Jeszcze nie.

Westchnęła. Czowała się, jakby miała siedemdziesiąt lat - nie czterdzieści. Czowała to w nogach. Usiadła na kanapie obok Katie. Delikatnie się odsunęła, kiedy chłodny, mokry nos pacnął ją w twarz.

Zdobądź honorarium, Ann.

- Gdzie?

Jestem w pułapce, pomyślała. Ma mnie. Ledwo mnie stać na podatki w tym roku.

- Zaufaj mi. Zdobądź pieniądze.

Rozłączyła się i otworzyła rozsuwane drzwi prowadzące na ganek. Stała w nich, obserwując jak Katie węszy w ubłoconej trawie i za hibiskusem, który wyglądał na odpowiednie miejsce do wysikania się. Słońce świeciło jasno. Ziemia parowała.

Pomyślała, że nawet nie było ją stać na psa. Kochała Katie, Danny też, ale pies to luksus. Zastrzyki były ekstrawagancją.

Jestem w pułapce.

Na zewnątrz Katie zamarła.

Jej łapy były płasko rozstawione, a nos wbity nisko w grunt.

Gładkie, złote włosy wzdłuż jej kręgosłupa nagle zjeżyły się.

- Katie?

Pies zerknął na nią na sekundę. To spojrzenie powiedziało Ann, że cokolwiek suka zobaczyła w trawie, zamierza się z tym bawić bez względu na wszystko. Oczy psa błyszczały. Zadek trząśł się w podnieceniu.

Zabawy Katie bywały niekiedy zabójcze. Ann wielokrotnie znajdowała przeżute ciała różnych stworzonek na ganku, niczym prezent. Raz nawet małego królika. Patrzyła zdumiona i zaszokowana

pewnego słonecznego popołudnia, kiedy pies podskoczył na

ponad metr w górę, by chwycić wróbla w locie. Myślała o tym przez chwilę.

A potem ujrzała węża.

Był oko w oko z Katie. Oba zwierzęta poruszały się to w przód to w tył - wyglądało to jak pojedynek szermierzy. Wąż był czarno-brązowy, do połowy ukryty w krzakach hibiskusa, ale z miejsca gdzie stała Ann, wyglądał na przerażająco wielkiego. Wystarczająco wielkiego, pomyślała, by obojętnie, czy jest jadowity czy nie, wyrzucić dużą krzywdę Katie.

Słyszała syk. Widziała jego otwarty pysk i żuchwę jak na zawiasach. Poruszył się i uderzył w czarne błoto przy łapach Katie. Pies zmienił pozycję. Zaczął się wycofywać, jednak wąż nie odpuszczał tak łatwo. Zbliżał się.

- Katie!

Wybiegła na zewnątrz. Nie spuszczała oczu z węża. Zauważyła jego gładki ślizg, a także spostrzegła jaki naprawdę jest wielki. *Dwa m e t r y ? Dwa i p ó ł ? Jezu!*

Pokonała dystans dzielący ją od psa szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Złapała za obrozę i pociągnęła całe trzydzieści cztery kilogramy golden retrievera, prowadząc go przed sobą do drzwi. Wąż był teraz za nią, cholera, z uniesionym łbem. Sunął przez błoto i kępki trawy. Zbliżał się do niej. Potknęła się o psa, po czym ostatni raz zerknęła na gada. Następnie weszła do środka i zatrzasnęła drzwi na ganek przed cholernym pyskiem zwierzęcia, w momencie, kiedy właśnie uderzył w nie raz czy dwa - z dźwiękiem,

przypominającym kopnięcie lub uderzenie młotka - na tyle mocno, by wygiąć je do środka. Widząc to, Ann krzyknęła.

Pies czekał, dopadając do drzwi, rozwścieczony. Ann odciągnęła Katie za obrozę, zasunęła szklane drzwi i chociaż wiedziała, że to szalone, nawet jeśli wiedziała, że wąż nie przejdzie przez drzwi na ganek, zamknęła je.

Siedziała na dywanie, bez czucia w nogach, z walącym sercem, próbując uspokoić Katie. I siebie.

Pies czekał dalej. A potem zawarczał.

Ann zastanawiała się, czy wąż odpuścił.

Jakoś w to wątpiła.

Cieszyła się, że to były Dni Prezydenta i że Danny był ze swoją babcią i dziadkiem w Universal w Orlando. Wycieczka była prezentem

dla niego za dobre stopnie. Cieszyła się, że nie wróci do domu ze szkoły o tej godzinie co zazwyczaj. I nie zastanie tego, co ona zastała.

Pies nadal się trząsał.

Ona też.

Była czternasta. Potrzebowała drinka.

Mogła dokładnie wskazać moment, w którym zaczęła bać się węży.

Miała osiem lat.

Dziadkowie mieszkali w Daytona Beach, a Ann i jej rodzice przyjechali w odwiedziny. To była pierwsza wizyta Ann na Florydzie.

Daytona była dość nudna. Trochę zwiedzali, a jednym z miejsc, w które chodzili, była Farma Aligatorów Rossa Allena.

Oprowadzał ich przewodnik. Pamięta swoje zafascynowanie tuzinami małych aligatorów, nagromadzonych w jednej, bagiennej zagrodzie. Wydawały się razem bardzo spokojne, dlatego zastanawiała się, czy może to, iż nie gryzą się wzajemnie, było spowodowane tym, że pochodzą od jednej matki. Stała tam, zastanawiając się, dopóki nie zorientowała się, że wycieczka poszła dalej i że lepiej będzie, jak pospieszy za resztą. Ale nadal chciała mieć odpowiedź na swoje pytanie o aligatory, więc kiedy wróciła do grupy, zrobiła to, co została nauczona robić, kiedy ma pytanie, nieważne jak pilne.

Podniosła rękę.

W tym momencie, przewodnik zadał właśnie swoje pytanie.

K t o chce położyć sobie tego węża na k a r k u ? I Ann, z ręką w powietrzu, myśląc o spokojnym pólśnie małych aligatorów, zorientowała się, że ma na sobie - spoglądającego jej w oczy - ponad dwukilogramowego

boa dusiciela o imieniu Marvin. Wszyscy się

do niej uśmiechali, dopóki jej ojciec nie powiedział:

- Lepiej go zdejmij, sam nie wiem, wygląda na trochę bladą.
Zemdlą.

W ogrodzie przy jej domu były wtedy węże zielone i nie przeszkadzały

jej w żadnym wypadku, a przy strumyku były pończoszniki.

Ale nic podobnego do ponad dwukilowego boa o imieniu

Marvin. Po tym wydarzeniu unikała nawet węży zielonych i pończoszników.

Wkrótce też miała pierwszy z powtarzających się snów.

Ona pływająca w rozlewisku w górach.

Jest sama. Naga.

Woda jest ciepła, na tyle rześka, by być odświeżająca, a brzegi są skaliste i zielone.

Znajduje się w połowie rozlewiska, płynie z łatwością, mocno, kiedy ma przecucie, że coś jest... nie tak.

Odwraca się i widzi za sobą lśniącego węża wodnego, smukłego niczym bat, jest tak blisko, że widzi jego kły, może patrzeć prosto w białą, otwartą paszczę, faluje, płynąc przez wodę w jej stronę z oszalamiającą prędkością, jest tuż za nią, a ona płynie jak po życie, ale wie, że jej się nie uda, brzeg majaczy przed nią jak krwawiące, lśniące skupisko gigantycznych, kamiennych ścian, a ona jest przerażona, płacze - p ł a c z e spowalnia ją jeszcze bardziej, więc jeśli nawet płynie dalej, to traci wolę i nadzieję, bo to bezcelowe, tylko jej zaskoczone, przerażone ciało prowadzi ją, a wąż jest już przy jej stopach i prawie go czuje, a wtedy...

Budzi się.

Czasem się pociła. Wierciła się w pościeli, jakby pościel była wodą.

Czasem budził ją jej własny krzyk.

Krzyczała, tak jak teraz.

Cholerny wąż.

Dwa metry długości, średnicy pięści mężczyzny. Większy. Wąż w jej snach był niczym, w porównaniu z tym.

Wstała, poszła do kuchni i naląła sobie szklankę wódki,

dodała lód i tonik. Wypiła ją całą, niczym szklankę wody i naląła kolejną. Odrobinę przestała się trząść.

Wykańczało ją samo zastanawianie się, czy wąż tam ciągle jest. Katie leżała na dywanie, wygryzając pchłę z tylnej, prawej łapy. Nie wyglądała na zmartwioną.

Spójrz, pomyślała.

Kogo on może skrzywdzić?

Otworzyła drzwi i wyszła na ganek, a potem zasunęła je za sobą. Nie chciała, by Katie się do tego mieszała. Chwyciła miotłę, której zwykle używała. Za nią Katie podniosła się i patrzyła, nadstawiając

uszu. Drapała w drzwi.

- Nie - powiedziała. Drapanie usiało.

Wyjrzała przez drzwi ganku.

Nic przy nich nie było.

Na podwórku też nic, co mogła zobaczyć, ani po lewej - gdzie po raz pierwszy pojawił się wąż i gdzie przy płocie rósł hibiskus, ani po prawej - gdzie druga, wyższa roślina rosła przy drzwiach. Jedyne miejsce, którego nie mogła dostrzec, to podstawa ściany po obu stronach. Żeby zobaczyć, musiałyby otworzyć drzwi.

A tego nie miała zamiaru zrobić.

Może j e d n a k ?

Cholera, to było śmieszne, żeby się ciągle nad tym zastanawiać.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że wąż wrócił przez płot tą samą drogą, którą przyszedł i polował na myszy przy brzegach kanału, kiedy ona tu sobie stała.

Dobra, pomyślała. Zrób to. Ale ostrożnie. Zrób to *mądrze*.

Otworzyła uszkodzone przez węża drzwi na szerokość miotły i zaklinowała je grubą szczecią. Wyjrzała na podstawę długiej ściany po lewej.

Węża nie było.

Spojrzała na prawo i usłyszała syk oraz ślizg po metalowej podstawie

przy drugim hibiskusie i poczuła, że wąż uderza w drzwi, wstrząsając metalową framugą.

Zatrzasnęła je.

Miotła wypadła jej z rąk, uderzając z brzdękiem o betonową podłogę.

A potem gapiła się na to coś, wycofując się do betonowej ściany za nią.
Patrzyła, jak podniósł łeb. A potem ciało. Sześćdziesiąt centymetrów,
metr. Unosił się. Powoli zyskiwał na wysokości.
Jakby pęczniał.
I kołysał się.
Gapił się na nią.
Prawie zmierzchało, zanim odważyła się spojrzeć ponownie.
Tym razem użyła łopaty z garażu, zamiast miotły. Jeśli znów po nią przyjdzie, to przy odrobinie szczęścia będzie mogła odrąbać mu ten cholerny łeb.
Nie było go.
Sprawdziła wszędzie. Gada nie było
Zrobiła sobie kolejnego drinka, by to uczcić. Pomysł spędzenia nocy z wężem leżącym gdzieś tam na jej podwórku kompletnie wytrącił ją z równowagi. Pomyślała, że zasłużyła na drinka.
Jeśli śniła, to nic nie pamiętała.
Rankiem znów sprawdziła podwórze i kiedy przekonała się, że jest puste, wypuściła Katie, by się załatwiła, a potem wpuściła psa z powrotem do domu i wyszła frontowymi drzwiami po gazetę.
Nie zamykając za sobą drzwi zeszła na chodnik. Zobaczyła go na trawniku, rozciągniętego po przekątnej, od skrzynki pocztowej aż do chodnika metr dalej. Uniósł głowę i ruszył w jej stronę.
Weszła do środka i zatrzasnęła drzwi.
Wąż zatrzymał się. Czekał.
Obserwowała go przez drzwi na ganek.
Nie ruszał się. Leżał tylko w jasnym, porannym słońcu.

Zamknęła wewnętrzne drzwi na klucz.

Jezu.

Była uwięziona we własnym domu!

Do kogo ma zadzwonić? Na policję? Do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami?

Wykręciła 911.

Oficer przedstawił się. Brzmiał młodo i przyjacielsko.

- Mam węża na podwórku. Dużego węża. On... ciągle mnie atakuje. Szczerze mówiąc, nie mogę wyjść z własnego domu! To była prawda. Jedyne inne wyjście prowadziło przez drzwi kuchenne wprost do garażu, a garaż był obok drzwi frontowych. Nie wyjdzie w ten sposób. Nie ma mowy. Nie, dziękuję.

- Przepraszam panią, ale to nie jest sprawa policji. Musi pani zadzwonić

do ARL*. Przyślą kogoś i pozbędą się go. Ale muszę pani powiedzieć, że to dziś trzeci telefon w sprawie węża, a już mam cztery aligatory. Wczoraj było jeszcze gorzej. Te deszcze przyciągnęły

je wszystkie. Więc ARL może pani kazać chwilę poczekać.

- Boże!

Zaśmiał się.

- Mój szwagier jest ogrodnikiem. Wie pani co on mówi o Florydzie? *Wszystko tu gryzie. Nawet drzewa gryzą.*

Dał jej numer, a ona zadzwoniła. Kobieta z ARL zapisała nazwisko, adres i numer telefonu Ann i kazała jej opisać zwierzę, jego wygląd i zachowanie.

- Wygląda na to, że ma pani pończoszniaka prążkowanego z Florydy - powiedziała. - Chociaż nigdy nie słyszałam o takim dużym.

- Co mam?

- Prążkowanego pończoszniaka z Florydy. Mówi pani, że ma dwa, dwa i pół metra? Jest duży. Musi ważyć z trzynaście i pół kilograma.

- Czy jest jadowity?

- Nie. Chociaż potrafią cholernie paskudnie ugryźć. Są agresywne. Potrafią podczas jednego ataku ugryźć cztery razy. Ale

*ARL - Animal Rescue League.

powtarzam, nie słyszałam o *nieustannie atakującym* okazie, jak to pani określiła. Zazwyczaj tylko bronią swojego własnego terytorium.

Jest pani pewna, że go jakoś nie sprowokowała?

- Na pewno nie. Może mój pies, na początku. Ale zabrałam go bardzo szybko, kiedy tylko zobaczyłam tego węża. Od tej pory zaatakował

mnie dwa razy. Bez żadnej prowokacji.

- Więc proszę nie prowokować go teraz. Jeśli się wzburzy, będzie atakował wszystko. Przyjedziemy tak szybko, jak się da.

Miłego dnia.

Czekała. Oglądała talk show i zjadła lunch. Celowo trzymała się z daleka od drzwi i ganku.

Przyjechali około piętnastej.

Dwóch krzepkich mężczyzn w luźnych spodniach i koszulach z krótki rękawem wyszło z vana niosąc długie, drewniane tyczki. Jedna miała na końcu coś na kształt obroży, jak na kiju pasterza,

a druga klin w kształcie litery V. Stała w drzwiach razem z Katie i obserwowała ich. Mężczyźni kiwnęli do niej głowami i wzięli się do pracy.

Dostatecznie rozwścieczony wąż leżał teraz bez ruchu na trawie, podczas gdy obroża przeszła przez jego łeb tuż pod szczękę, a klin w kształcie litery V przycisnął go w połowie długości ciała.

Mężczyzna z obrożą podniósł jego łeb i złapał go pod szczęką jedną ręką, a potem drugą, upuszczając swoją tyczkę na trawę. Wąż miał szeroko otwarty pysk i wił się, sycząc - ale wyglądało na to, że niespecjalnie się opierał. Policzyli do trzech i podnieśli go.

- Wielki, nie?

- Największy, jakiego widziałem w tym gatunku.

Przeszli z nim przez ulicę na pustą działkę, w gęste zarośla.

Potem po prostu wypuścili go, przeszli przez ulicę z powrotem, zabrali tyczki z trawnika i wrócili do vana.

Ona stała tam i nie mogła uwierzyć.

- Przepraszam? Mogą panowie chwilę poczekać?

Wyszła na zewnątrz. Łysy mężczyzna już wspinał się na siedzenie kierowcy.

- Nie rozumiem. Czy wy go... nie przenosicie? Nie zabieracie nigdzie?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Został zabrany.

- To znaczy, że będzie się trzymał z daleka? Od tej *ulicy!*

- Nie od ulicy, proszę pani. Widzi pani, to wąż terytorialny. To znaczy, że osiedli się tam, gdzie będzie miał dużo pożywienia i tam zostanie. Teraz poszuka jaszczurek, myszy, królików, czy co tam znajdzie na tamtej działce. A polem wróci do strumienia. Kiedy skończy, pójdzie sobie dalej wzdłuż strumienia. Nigdy więcej go pani nie zobaczy. Proszę mi wierzyć.

- A jeśli pan się myli?

- Proszę?

Była zła, sfrustrowana i chyba było to widać.

-Pytam, co się sianie, jeśli pan się myli! Co, jeśli to cholerstwo wróci tu za pół godziny?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

Kobiety. Gówna wiedzą, nie?

- Wtedy zadzwoni pani do nas jeszcze raz. Ale to się nie wydarzy.

Miała ochotę rozwalić meble.

Tej nocy rozmawiała z Danny'm w Orlando i opowiedziała mu o wężu. Musiała sprawić, by brzmiało to jak niezła przygoda, ponieważ

Danny wyraził swoje rozgoryczenie, że to przegapił.

Zanim skończyła rozmowę, prawie sama uwierzyła, że to była przygoda.

Potem przypomniała sobie syk, gnający przez trawę. Unoszącego się i gapiącego na nią węża.

Jakby ten cholerny gad ją znał.

Zasnęła wcześniej, przegapiła wieczorne wiadomości i prognozę pogody. Okazało się, że była to najgorsza rzecz, jaka jej się tego dnia przytrafiła.

Następnego ranka wysprzątała dom od piwnicy po strych. Łatwiej było to zrobić, kiedy nie było Danny'ego, a do południa wprawiała się w całkiem dobry nastrój, pomimo okazjonalnych myśli o prawniku i pieniądzach. Zastanawiała się, w jaki sposób ma zebrać pieniądze na jego honorarium, ale na nic nie wpadła. Jej były mąż wiedział, że ona nie ma zdolności kredytowej i pożyczka nie wchodzi w grę. Jej samochód to w zasadzie wrak. A rodzicom też ledwo starczało na życie. *Sprzedać mieszkanie? Nie. Całe wyposażenie?* Dobry Boże.

Raz na jakiś czas wychodziła, by sprawdzić podwórko. Pomyślała, że może ci faceci mieli rację. Może mimo wszystko znali się na rzeczy. Ponieważ pończosznik prążkowany nie pojawił się ponownie.

Wzięła prysznic i ubrała się. Miała spotkać się z Suzie na lunch w Outback o trzynastej trzydzieści. Suzie też przegapiła wczoraj prognozę pogody i kiedy wyszły z restauracji koło trzeciej zauważyły,

że pada, na parkingu było wody po kostki. Niech szlag trafi huragan Andrew. Oto one, w środku cholernej burzy deszczowej, najgorszej w tym roku.

- Chcesz to przeczekać?

- Sprzątałam. Zostawiłam otwarte okna. Nie do wiary.

- Dobra. Ale jedź ostrożnie, co?

Ann skinęła głową. Suzie mieszkała niedaleko, podczas gdy jej dom był półtora kilometra dalej. Widoczność nie była dobra. Nawet na parkingu. Ściany deszczu, wiedzione przez stałe wiatry, nadały szaremu niebu gruby, ciepły i wilgotny ciężar. Uściskały się, zdjęły buty i pobiegły, każda do swojego samochodu. Do czasu, kiedy Ann otworzyła swój i wślizgnęła się do środka, jej spódnica i bluzka były całe przemoczone, a woda z jej włosów spływała strumieniami. Czowała smak włosów. Prawie nic nie widziała.

Wycieraczki pomogły. Ruszyła powoli, podążając za Suzie w stronę wyjazdu na ulicę, gdzie każda pojechała w swoim kierunku. Na szczęście na zazwyczaj zatłoczonej czteropasmówce nie było prawie nikogo, a samochody jechały ostrożnie i nikt nie wy-

przedzał. Linie oddzielające pasy zniknęły pod wodą. A było jej jakieś czterdzieści pięć centymetrów.

W połowie drogi do domu musiała się zatrzymać. Wycieraczki przestały wystarczać. Lało jak z cebra - duże krople uderzały o samochód niczym grad. Wiatr chwiał i kołysał jej wozem. Siedziała, gapiąc się na zaparowane lustro, mając nadzieję, że jakiś idiota nie wjedzie jej w tył. Niebezpiecznie było się tu zatrzymać,

ale nie miała wyboru.

Spojrzała na siebie i pożałowała, że nie założyła stanika. Nie tylko sutki, nie tylko zarys piersi można było zobaczyć każdy pieprzyk i pieg. To samo tyczyło się bladożółtej spódnicy, przez którą było widać jej uda. Równie dobrze mogła być naga.

No to co, pomyślała. Kto niby mnie zobaczy?

Deszcz zelżał na tyle, by wycieraczki znów mogły robić swoje.

Ruszyła.

Woda szybko spływała ulicą, wylewając się na wzgórza w nieznanym

kierunku.

Krawężniki zniknęły, zalane.

Tak samo trawniki, parkingi i chodniki.

Kratki ściekowe uformowały małe wiry, w których dryfowały śmieci, papierowe torby na zakupy, gałęzie i kawałki drewna.

W jednym z nich zobaczyła coś, co całkowicie ją zmroziło.

Zniszczone kartonowe pudełko powoli obracało się nad kratką.

Pudełko miało czarne i brązowe paski, a paski ruszały się.

Węże. Szukające gruntu i odpoczynku od pływania.

Słyszała, że zdarzało się to podczas burz na Florydzie, ale nigdy tego nie widziała.

Wszystko gryzie, powiedział mężczyzna.

Przeklęty stan.

Skręciła na swoją ulicę.

Mogła na to wpaść, jeśli by o tym pomyślała, mogła się tego spodziewać. Wiedziała, że ulice, po których jechała, były nieco wyżej niż jej własna. Zauważyła to dziesiątki razy.

Ale nie teraz. Nie tym razem. Za bardzo chciała po prostu tam

dojechać, przejechać przez burzę. Więc jej samochód zanurzył się w metrowej wodzie na zjeździe.

Wtedy niemal spanikowała. Wzięło ją to z zaskoczenia i tak wystraszyło, że prawie się zatrzymała. Co byłoby bez wątpienia katastrofą. Wiedziała, że już nie odpaliłaby wozu. Nie w takiej wodzie. Jechała dalej, ręce kurczowo ścisnęły kierownicę, marząc, by to się nigdy nie wydarzyło.

Woda dotarła do połowy kraty przed nią i do połowy drzwi.

Wóz wydawał się lżejszy, jakby opony miały mniej do roboty niż poprzednio.

Kuląc się, oczekując, że w każdej chwili samochód zabulgocze i zgaśnie, popędzała go. Mówiła do niego. Błagała. *No dalej, kochanie.*

Jej mieszkanie z otwartymi oknami było tylko cztery budynki dalej.

Dasz radę, kochanie. Jasne, że dasz.

Jeden budynek.

Jechała powoli, samochód chwiało się na boki jak łódka, jej stopa delikatnie przyciskała pedał gazu.

Dwa budynki.

Jej dom był tuż przed nią, widziała jego białą, stiukową fasadę, teraz szarą w deszczu, widziała szeroko otwarte okno sypialni Danny'ego, niczym ciemne, oskarżycielskie oko, gapiące się na nią i frontowy trawnik, zalany wodą.

I gdy mijala trzeci budynek, zbliżając się do wlotu kanału, zobaczyła kłębowisko.

Na początku nie było jasne, co to jest. Coś dużego i czarnego, przesuwanego się w wodzie, jakiś przedmiot nad kolejnym wirem, nad kolejną kratą, tylko większy.

Podjechała bliżej i prawie znów zatrzymała się, ponieważ teraz zobaczyła co to jest, ale nie stanęła. Boże, nie mogła. Posuwała się do przodu na jałowym biegu i zastanawiała się desperacko, jak uniknąć wijącej się masy ciał i co, do cholery, zrobić.

Musiały być ich tuziny. We wszystkich rozmiarach.

We wszystkich długościach.

Woda się od nich roiała.

Przemieszczały się nad sobą i przez siebie według jakiegoś tajnego, wrodzonego wzorca, formowały masę, która była prawie okrągła w kształcie i miała z dwa metry średnicy, grubsza na środku, cieńsza na krawędziach, ale cała w ciągłym ruchu. Niektóre strzelały jak iskry ze sztucznych ogni, albo innych fajerwerków, a potem płynęły z powrotem do okręgu, do wijącego się, lśniącego jądra. Nie wyobrażała sobie przejazdu przez nie. Musiała je okrążyć, ale nie można było zobaczyć, gdzie kończyła się ulica, a zaczynał trawnik i - jak to bywa na każdej ulicy w rozbudowie, krawężniki były płytkie - prawie nic nie poczuje przejeżdżając przez nie. Ale musiała spróbować.

Właściwie to nic nie poczuła, kiedy wjechała na trawnik sąsiadów po prawej stronie, a potem w błoto. Próbowwała nie patrzeć na nie przez okno od strony kierowcy, kiedy samochód przechylił się, szarpnął i zatrzymał, podczas gdy koła kręciły się bezskutecznie.

Jej pierwszym odruchem było wciśnięcie do oporu pedału gazu, ale to nie było dobre, ponieważ samochód tylko zakopał się głębiej w błocie.

No, nie tylko.

Również rozbudził je, wkurzył jak cholera. Słyszała, jak uderzały w przednie i tylne drzwi po jej stronie. *Bum. Bum. Bum - bumbumbum.*

Odważyła się spojrzeć przez okno i zobaczyła, że krąg zamienił się w podłużną figurę, sięgającą całej długości samochodu

- j a k b y coś protoplazmatycznego próbowało ją pochłonąć.

Przestała próbować odpalić samochód. Zaczęła walczyć z narastającą

paniką. Rozważała swoje możliwości. Mogła tu siedzieć.

Mogła poczekać na pomoc. Mogła poczekać, aż się rozpierzchną.

Ale nikt nie przyjdzie z pomocą. Na głównej drodze nie było praktycznie nikogo, nie mówiąc już o kimś, oprócz niej, na tyle głupim, by znajdować się na bocznej drodze w taką burzę.

A one się nie rozpierzchną.

To było oczywiste. Teraz, kiedy samochód był cichy, ponownie uformowały okrąg. Prawie dokładnie taki sam jak przedtem.

Oprócz tych dwóch. Wpełzających na maskę.

Czarny wąż. I coś w zielone i brązowe prążki. Pełzły w stronę przedniej szyby.

Szukały wyższego gruntu.

Czuła, że są już z nią w samochodzie. Słyszała je na tylnym siedzeniu. Wpełzały na fotel kierowcy. Wpełzały na kark, piersi i uda.

Musiała się stąd wydostać. Albo to, albo zwariuje. Było tylko jedno wyjście, którego nie mogła tolerować, a było nim siedzenie tu i słuchanie odgłosu pełzania po dachu i po masce. Mogła sobie je wyobrazić, zobaczyć, blokowały jej widok przez przednią szybę, pełzały, gapiły się na nią. Chciały się dostać do środka.

Musiała wyjść.

Mogła biec. Mogła pobiec przez wodę. Nie była taka głęboka. Wyjdzie od strony pasażera. Może ta strona była od nich wolna. Przesiadła się.

Nie była. Nie całkiem. Ale nie było ich dużo. Tylko kilka iskier z fajerwerków. Ciskały się pod samochodem.

Czarny wąż był już przy przedniej szybie. Kolejny żółtobrazowy pojawił się tuż nad przednimi światłami, przesuwał się po masce.

Jak długo potrwa, zanim samochód zostanie pod nimi pogrzebany?

Serce jej waliło. W ustach miała smak starych, suchych liści.

Dasz radę, pomyślała. Nie masz wyboru. Jedynym wyborem, jaki ci pozostał, jest poddanie się i zostanie w środku, a to doprowadzi

cię do szaleństwa. Kiedy nie ma się wyboru, robi się to, co należy.

Nie czekaj. Czekanie pogorszy sprawę. Idź. Teraz.

Wzięła głęboki wdech, pociągnęła za klamkę i pchnęła mocno ramieniem.

Ciepła woda rozlała się po jej stopach i kostkach. Drzwi otworzyły się na parę centymetrów i utknęły w błocie. Kręcące się koła ustawiły stronę pasażera pod kątem w dół.

Pchnęła ponownie. Drzwi przesunęły się o kolejne dwa centymetry. Desperacko chciała się przez nie przecisnąć.

Ale nie dałaby rady.

Rzuciła się plecami na siedzenie kierowcy, złapała kierownicę obiema dłońmi dla oparcia się i kopała w drzwi z całej siły, uderzyła dwa razy, a potem podniosła się i staranowała powstałą szparę całym ciałem. Guziki jej bluzki wystrzeliły. Krzyknęła i kopnęła, kiedy brązowy wąż prześlizgnął się po jej noce tuż nad kostką i dostał się do samochodu, pchnęła ponownie, a potem nagle była na zewnątrz.

Stopy zapadły się w błoto. Woda sięgała jej do połowy uda. Jej spódnica unosiła się na wodzie. Zrobiła kilka kroków i prawie upadła. Zielony wąż skręcał się niecały metr dalej, po jej lewej stronie, a coś, co mogło być wężem koralowym - małym, w czarne, żółte i czerwone prążki - przepłynęło obok niej w stronę samochodu. Szarpnęła się do przodu. Koralowe były jadowite.

Odwróciła

się, by się upewnić, że wrócił do wirującego piekła, z którego przybył i wtedy go zobaczyła.

Jej wąż.

Usadowił się na dachu samochodu. Zwinął się.

Patrzył na nią.

A teraz zaczął się poruszać.

Sen, pomyślała, *to znów ten sen*, kiedy zobaczyła, jak wąż ześlizguje się z dachu, podczas gdy ona wlokła się przez wodę, starając się dotrzeć do betonowego podjazdu przed jej domem.

Złapała lepszy grunt pod stopami, jednak nadal była na sąsiednim trawniku, a jej stopy zapadały się w miękkie, śliskie błoto, nogi rozchlapywały wodę, tak więc była u mazana błotem od stóp do głów. Nie odwróciła się, nie musiała w jej umyśle wąż doganiał ją tak szybko, jak we śnie.

Upadła płasko, lewa ręka na beton, prawa głęboko w błocie.

Zachłysnęła się wodą, wypluła ją. Wstała. Rozerwana, jedwabna bluzka zwisała jej z jednego ramienia jak brudna, mokra szmata.

Zaryzykowała spojrzenie - był tam, metr dalej, czekał, pełzał i wił się, dostojny, gotowy, by ją skrzywdzić.

Czarny wąż plusnął kawałek dalej, ale to jej nie obchodziło, jej stopy uderzyły o beton i nagle chlapała na wszystkie strony, starając się dojść do garażu, ponieważ jego drzwi zawsze były otwarte dla Danny'ego, kiedy wracał ze szkoły, a klucze do domu schowane były za pralką, w środku znajdowały się grabie i narzędzia.

W biegu wpadła na drzwi, odwróciła się i zobaczyła, jak wąż podnosi pysk ponad linię wody, gotowy do ataku, więc zgięła się i sięgnęła ręką pod ciepłą, głęboką, błotnistą wodę, na jeden przerażający

moment jej głowa się pod nią znalazła, oślepiając ją, kiedy drapała w drzwi w poszukiwaniu klamki, znalazła ją i pociągnęła,

kiedy masywny łeb zwierzęcia uderzył w nią, o włos mijając jej nagą pierś. Szarpnęła się do tyłu, upadła, a wąż zaplątał się, wijąc wściekle, w jej porwanej, jedwabnej bluzce.

Woda wlała się z impetem do garażu, grube, muskularne ciało węża odwróciło się do niej, pieszcząc ciało na jej brzuchu i pełzając po jej plecach, kiedy próbowała uwolnić się z bluzki i okręcić ją wokół jego pyska. Wstała, potykając się dopadła pralki, znalazła klucze i ściskając je mocno pobiegła do drzwi.

Wąż uwolnił się. Bluzka dryfowała na wodzie.

Ann stała w sięgającej sześćdziesięciu centymetrów wodzie i nie widziała węża.

Gmerając, włożyła klucze do zamka i przekręciła, po czym otworzyła szeroko drzwi.

Wąż powstał z wody i dosięgnął krawędzi pierwszego schodka, kiedy ona przekroczyła próg, a potem zaczął wchodzić do środka.

- Nie - krzyczała. - Nie wpuszczę cię, nie *zapraszałam* cię.

Cholera! Ty draniu!

Krzycząc ze strachu, ale i z gniewu, w kółko uderzała drewnianymi drzwiami w ciało węża, podczas gdy jego łeb szukał jej

za nimi. Zdawała sobie sprawę ze szczekania Katie gdzieś obok, wąż też, jego głowa odwróciła się teraz w tamtym kierunku, a jego czarny język smakował zapach psa i kobiety, odwrócił się, a ona

zobaczyła odkurzacz stojący przy lodówce, nadal podłączony do prądu po porannym sprzątaniu, nacisnęła guzik, otworzyła szeroko drzwi i rzuciła go w stronę czarnego ciała w wodzie.

Urządzenie stanęło w fontannie iskier, które gnały przez garaż, niebieskie i czerwone jak ognie świętego Elma. Wąż został uderzony i jakby zaczął puchnąć. Kręcący się dym buchał z jego ciała.

Jego pysk otworzył się i zamknął, a potem szeroko otworzył się ponownie, niemożliwie szeroko. Poczowała zapach palonego ciała i cierpki zapach elektryczności. Kabel trzeszczał i płonął w gniazdku.

Katie zawyła i z położonymi uszami oraz podkulonym ogonem wbiegła do salonu, gdzie schowała się za sofą.

Złapała rękawicę kuchenną i wyciągnęła wtyczkę.

Spojrzała na dymiące ciało.

- Mam cię - powiedziała. - Nie dopadłeś mnie. Nie spodziewałeś się tego, czyż nie?

Kiedy wyciągnęła zwłoki na zewnątrz, zamknęła drzwi do garażu, nakarmiła Katie i wreszcie pozwoliła sobie na wspaniałą, długą, gorącą kąpiel, założyła na siebie swój ulubiony, miękki, bawełniany

szlafrok i podeszła do telefonu.

Prawnik zdziwił się, że oddzwoniła tak szybko.

- Mam małą, garażową wyprzedaż - powiedziała.

I prawie się roześmiała. Jej mała, garażowa wyprzedaż bez wątpienia uwolni ją od wszystkiego, na co patrzyła, od praktycznie wszystkiego,

co miała. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Było warto.

- Chcę, byś go dopadł - powiedziała. - Słyszałeś? Chcę, byś dopadł sukinsyna.

Wtedy się roześmiała.

Rikki- T i k k i - Tavi*, pomyślała.

Węże.

* Rikki- T i k k i - Tavi to mangusta z opowiadania Rudyarda Kiplinga, o tym samym tytule, która zwycięża w walce z węzami w indyjskiej dżungli (przyp. red.).

TANIEC OGNI

Frisco Hans przerzucił remingtona nad i pod swoją pooraną bliznami lewą dłoń z białymi knykciami i nerwowo poprawił kapelusz. W tak zimną noc jak la wszyscy nosili kapelusze. W taką noc jak ta można było czuć ciepło ciała, uciekające przez głowę niczym para z rur kanalizacyjnych. Przez osiem i pół roku Hans pracował na kontrakcie jako marynarz. Aż pewnego ranka, zeskoczył z łodzi ratunkowej, przynajmniej wysoko nad zawietrzną burtą, na pokład statku „Curlew”, zbyt mocno w niego uderzył i stracił zmysł smaku. Nie odróżniał łososa od wątróbki z cebulką. Nigdy nie wróciło. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że smak nie zamierza powrócić, rzucił marynarke, zanim stracił kolejne zmysły i zatrudnił się jako strażnik w fabryce mrożonych ryb w Maine. Hans znał smak porażki. Trzymał fason. Mały facet obok niego, Homer Devins, stwierdził, że też zna ten smak. Ale to dlatego, że żona Devinsa uciekła z chińskim pracownikiem pralni zeszłej zimy, kiedy Devins polował na króliki. Zapakował do torby jednego królika, a Chin Feng Chi ukradł mu żonę, po trzydziestu latach małżeństwa. Devins nadal był tym zakłopotany. Hans potrząsnął głową.

- Ciągle chcę wiedzieć, jakim cudem takie rzeczy się dzieją? Czy obudziłem się pewnego ranka i wszystkie reguły się zmieniły? Devins mocno zaciągnął się camelem light, małeńkie światełko w ciemności.

- Niech mnie cholera, jeśli wiem. Jak wpadniesz na odpowiedź, to mnie oświeć.

Devins zerknął w dół na linię nagich, karłowatych drzew, które otaczały pole. Inne papierosy też się zaświeciły. Rozgorzała na moment kuchenna zapalka. Połowa miasta była na zewnątrz, stojąc w okręgu, obserwując. Rzucił camela light w śnieg.

- Cholera! Zwierzęta powinny bać się ognia.

Hans pokiwał głową. Słyszał te same mądrości już od ponad dwóch dni, odkąd Ray Fogarty i Dot Hardcuff wkroczyli do baru „None Grill” w środę w nocy tuż po pierwszej, z czerwonymi twarzami

i ciężkim oddechem, bełkocząc coś o zwierzętach na polanie przy Zeigler's Notch. Na co on i większość z siedemnastu czy osiemnastu zgromadzonych tam osób odpowiedziało: bzdura. I co do cholery ta dwójka tam robiła? Żartowali sobie z nich, doskonale wiedząc, co tam robili, ale wiedzieli też, że żona Raya żywcem obdarłaby ich ze skóry, gdyby się dowiedziała - tak samo, jak mąż Dot.

Nikt im nie uwierzył. Ani na chwilę. Ale była środowa noc i nikt nie chciał iść do domu - tylko kilkoro z nich miało pracę, do której rano mogło pójść, zważywszy na sytuację gospodarczą. Załadowali się więc do sześciu ciężarówek i pojechali pod górę do Notch, ich łańcuchy na oponach miały piach pod śniegiem jak jedną, wielką, otwartą ranę.

Zatrzymali się w miejscu, gdzie kończyła się droga, ale nawet przez szlak prowadzący przez chaszczę widzieli przed sobą lunę, tuż nad wzgórzem, zatem wiedzieli, że przynajmniej ta część o ogniu była dostatecznie prawdziwa. Ale reszta? Gówna prawda. Ray i Dot zabawiali się ze sobą, to wszystko.

Na brzegu polany papierosy zaczęły wypadać z szeroko otwartych z niedowierzania ust, a butelki z piwem upadały w śnieg - ponieważ to, na co patrzyli, było niemożliwe. Nie było naturalne. Nie było *właściwe*. Zaprzeczało wszystkiemu.

Nie trzeba być geniuszem - nie trzeba nawet skończyć liceum, na litość boską - by wiedzieć, że nie tylko mózg i wszechmocny

przeciwstawny kciuk oddzieliły ludzi od zwierząt, przynajmniej w naturze, w dziczy; nie mówimy tu o grubym, starym, żółtym ogarze ani leniwym kocurze leżącym zwiniętym w kłębek na sofie, tylko o dzikich rzeczach i nie tylko mózg i kciuk uczyniły ludzi innymi. To *był ogień*.

Kiedy zwierzę dostrzegło ognisko, trzymało się z daleka.

Zobaczyło ogień w jaskini, zaszywało się w ciemnościach.

Zobaczyło

ogień w lesie, panikowało. Biegło przed siebie jak szalone.

To, co dla nas było ciepłe i komfortowe, dla zwierząt było źródłem terroru. Ale one były tutaj. Siedem z nich wygrzewało się w ciepłej, czerwonej łunie.

Nie wszystkie nawet należały do tego samego gatunku.

Kolejne nieprawdopodobieństwo.

Były dwie myszy.

Duże węże, z tej odległości nie można było stwierdzić, jakiego rodzaju, ale też para.

Wielki, czerwony kardynał, cholerny *ptak*, wyobraźcie sobie.

Wilk. Ryś. Oba rzadkie tutaj jak biały kruk.

Ale generalnie, była tutaj gromada naturalnych wrogów. Wilk.

Ryś. Ptak. Węże. Myszy. Nikt nikogo nie zjadał. Zamiast tego leżały przy gorącym ogniu, otoczone przez pole o średnicy metra.

Tak po prostu, gapiąc się w ogień, słuchając jego trzasków i skwierczenia.

Pierwszą rzeczą, jaką uświadomił sobie Hans było to, że nie byłoby dobrym pomysłem zadzieranie z nimi. Nie licząc opróżnionych

do połowy butelek piwa byli nieuzbrojeni. Wilk mógł być groźny. Ryś z pewnością *był* groźny.

Tak więc bywalcy baru „None Grill” stali w zimnym punkcie obserwacyjnym i na początku było zupełnie tak, jakby byli świadkami

czegoś cudownego i inspirującego, niczym paruzja*, niczym Lourdes, na litość boską, równie dobrze mogli obserwować małe,

* Ponowne przyjście Jezusa Chrystusa na świat (przyp. red.).

zielone ludziki z wielkimi oczyma wychodzące z latającego spodka, mogli obserwować potwora z Loch Ness wystawiającego łeb spod wód szkockiego jeziora.

Jeden z mężczyzn zrobił krok w tył, a potem kolejny. W trzasku płomieni i ciszy, która ich otaczała, usłyszeli coś złowrogiego, poczuli

ciemny chłód bezksiężycowej zimowej nocy w Maine, który przesunął się z zewnątrz do środka.

Później wielu przyznało, że przez ich głowę przemknęła dokładnie ta sama myśl.

To było, jakby *naturalny porządek rzeczy się odwrócił*.

Ludzie w cieniu, dzikie zwierzęta w świetle.

- N i e tak - powiedział ktoś. Kurwa, nie tak - i nagle czmychnęli, zbiegając ze zbocza jak dzieci uciekające przed upiorem, połowa całkowicie zignorowała szlak i przedzierała się przez gąszcz, jakby sam las zwrócił się przeciwko nim i szczekał, trzaskał pod ich podszwami, ścigając ich jak kobry, pikując z nieba jak polujące ptaki.

Pili aż do świtu.

Do południa wiedziało już całe miasto.

Coś działo się ze zwierzętami.

To mówiła Gert McChesney. Która, ponieważ była stara, mieszkała sama w sędziwym, zrujnowanym domu na szczycie Cedar Hill i kulała, bo odmówiła upokorzenia szpitalnych ubrań i basenu dla chorego, których wymagałby przeszczep biodra, była przezywana

przez lokalne dzieciaki Wiedźmą. Która w rzeczywistości była jedyną absolwentką stypendium Rhodesa na Uniwersytecie w Yale w całym Dead River, rocznik 1931 - i tylko trochę była pijaczką. Siedzieli w barze przy Tip Top Lounge i Gert piła drugiego Heinekena, a Musiel, Schilling i Frisco Hans raczyli się już trzecim. Była dopiero trzynasta - zimny, ponury, szary dzień sącył się na podłogę baru i na ich stopy, nawet przez zatrzaśnięte za nimi drzwi.

- Myślicie o tym, czym jest ogień - mówiła - i jaka jest odpowiedź? Ogień niszczy rzeczy. Zaczynasz od szczapy drewna, a kończysz na kupce popiołu. Jeśli rozniecicie ogień wystarczająco, to samo stanie się z ciałem i kośćmi. Widzicie, *kształt* znika. Zostają tylko minerały, gazy i tymczasowe wyzwolenie energii. To odstrasza zwierzęta. Destrukcja, zniszczenie wszystkich znanych kształtów. Drzewa, trawy, gniazda - wszystko, co ma nieszczęście znaleźć się w jego pułapce. Zwierzęta mają zmysł, by uciekać gdzie pieprz rośnie, kiedy wszystko dookoła się wali. Natomiast my to kochamy. Kochamy zapach ognia, jego wygląd

i dźwięk, a także miłą, ciepłą łunę. Dla nas ogień to komfort.

Jesteśmy jedynymi zwierzętami na ziemi, które znajdują *komfort* w niszczeniu rzeczy.

Pociągnęła łyk ze swojego kufła, trochę piany zostało na jej długich, stalowoszarych włoskach na górnej wardze.

- Może to się teraz zmieniło.

- Jak to jest, do cholery, możliwe, Gert? Ogień nigdy się nie zmienia.

Frisco Hans pacnął butelką i wskazał na nią palcem, a Teddy Panik sprzątnął ją, otworzył kolejną i postawił na barze. Nie pytał, czy ktoś inny też chce. Nigdy nie miał wiele do powiedzenia.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Hans spojrzał na nią, marszcząc brwi. Pomyślał, że całkiem nieźle ją rozumie. Zaczął bezskutecznie główkować. *Może to się teraz zmieniło?* Pomyślał, że Gert ma więcej rozsądku niż cała ruda miasta razem wzięta w najlepszym dniu ich życia, ale co to do cholery oznaczało? Musiel i Schilling patrzyli na nią i też byli zakłopotani.

Hans był jednak człowiekiem czynu. Kiedy miał przed sobą blokadę, omijał ją.

Dobrze - powiedział. - Co zamierzamy z tym *zrobić?*

Uśmiechnęła się. Górne zęby Gert prawie zawsze nosiły ślady szminki. Dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem.

- Zwołamy dziennikarzy? Wezwiemy kogoś z Uniwersytetu? Mógłbyś to zrobić. Gdybym to była ja, zostawiłabym sprawę w spokoju. Zobaczyła, co się stanie. Tak długo, jak nie spalą lasu, co to za różnica?

Hans rozmyślał nad tym. Może była różnica, a może nie było.

Też pomyślał, żeby zostawić to na jakiś czas.

- Dobra, więc wyjaśnij nam, jakim cudem węże nie jedzą myszy, koty nie jedzą ptaków, koty, *rysie*, na litość boską, i wilki nie rozrywają się na strzępy? Wyjaśnij to.

Uśmiechnęła się ponownie.

- Królestwo spokoju powiedziała.

- C o ?

- Fragment ze Starego Testamentu, coś w rodzaju przepowiedni, chyba z Księgi Izajasza. Wielu dziewiętnastowiecznych *prymitywistów* upodobało sobie ten temat. Edward Hicks, Henri Rousseau. Jest taka idylliczna scena, lew wachający paszczę wołu, wilk leżący wraz z jagnięciem, lamparty leżące obok kozy, takie rzeczy. Pamiętam z tego tylko jeden wers. „I dziecię będzie je prowadzić”.

Na obrazach są też dzieci. Królestwo spokoju. Interesujące.

Hans zastanawiał się, czym był *prymitywizm* i co znaczyło *idylliczna*.

Dla niego brzmiało to jak choroba. Marzył, by mógł posmakować Heinekena.

To było wczoraj. Zapadła noc i wspięli się na górę, trochę po północy, a zamiast sześciu ciężarówek zaparkowanych w miejscu, gdzie kończyła się droga a zaczynał szlak, samochody i ciężarówki były już wszędzie, a on i Homer Devins musieli przejść jakieś czterysta metrów od miejsca, w którym zostawili *dodge'a*.

Tym razem niektórzy z nich, pierwszy tłum z baru „None Grill” i garść innych, byli uzbrojeni w strzelby i karabiny. Pomimo ich zakłopotania i wysiłku, by ukryć co zrobili, wieść o ich

panicznej ucieczce w dół zbrocza się rozeszła. Nawet Hans miał strzelbę.

Jego sąsiedzi i przyjaciele już byli na stanowisku, kiedy się zjawili. Tym razem były również kobiety i dzieci. On i Homer stanęli obok Gert, Dot Hardcuff i Jacka Musiela, w miejscu, z którego mogli wszystko widzieć. Cisza była taka sama jak wczoraj. Niewytłumaczalne stało się ciałem. Nikt nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Tym razem było o wiele więcej zwierząt. Wielki, dziki, biało-czarny pies. Kolejny wilk, mniejszy, wilczyca, może partnerka tego pierwszego. Dwa dodatkowe kardynały i pół tuzina wróbli. Para ropuch. Modrosójka błękitna. Sowa i kogut. Para mokasynów błotnych znad rzeki. Jastrząb.

Nie tylko wygrzewały się przy ogniu. Poruszały się w powolnym, nieregularnym kręgu w obu kierunkach *dookoła* niego.

Frisco Hans patrzył na rysia, który szedł ramię w ramię z wilczycą i na mysz, która wspięła się na grzbiet mokasyna błotnego sunącego w przeciwnym kierunku. Mokasyn nawet nie odwrócił pyska, nie zareagował w ogóle.

- W imię Boga, co one *robią!* - wyszeptała Dot.

Hans zauważył, że jej męża tam nie było. Chociaż Fogarty'ego też nie. Zastanawiał się, czy się nie pozabijali. Teraz pół miasta wiedziało już, że to Dot i Ray Fogarty spowodowali takie obłężenie góry, poprzez przyniesienie nowiny do „None Grill”.

- Poruszają się - powiedziała Gert, jakby mówiła, *skąd do cholery mam wiedzieć co robią, cholerny głupcze?* co mogłaby z siebie wyrzucić po jeszcze paru piwach. Można było prawie słyszeć kliknięcie w głowie Gert czasami, kiedy piła i wtedy nie była już taka grzeczna.

Nie miało znaczenia, co robiły, ponieważ cokolwiek to było, przestały. Jakby jakiś wcześniej ustalony sygnał został im przekazany.

Stanęły na sygnał, wszystkie naraz.

To było naprawdę przerażające. Można było usłyszeć dźwięk, jaki wydaje odbezpieczana broń na całej długości polany. Każdy

myślał *mogę się założyć, że już wiedzą, że tu jesteśmy*. Wszyscy byli zdenerwowani jak prawiczek w burdelu, zastanawiając się, czy zwierzęta nie zwrócą się przeciwko nim. Nawet oswojone zwierzęta by się zwróciły. Te były dzikie.

Ale tylko usiadły.

Jak poprzedniej nocy. Jakby ludzie w cieniu kompletnie się nie liczyli. Jakby ich tam wcale nie było. Po prostu rozłożyły się przy ogniu. Wiatr zawodził. Wilczyca westchnęła. Można było słyszeć miękki, chrapliwy szelest czarnego węża.

To było dziwne, pomyślał Hans, chociaż był tego świadomy, że kiedy strach odpuścił, coś przerażającego zostało w tych zwierzętach,

które powinny bać się uzbrojonych ludzi, a zamiast tego ich ignorują. A może chodziło o nich, o to, że wszyscy tu są - nikt nie potrafił powiedzieć, jak to się skończy, a one straszą ich, straszą *ludzi*. Przez tłum przeszło coś w rodzaju kolektywnego wstydu, albo winy, jakby zwierzęta sprawiły, że w jakiś sposób stali się mniejsi, pokorniejsi, mniej ważni. Dało się wyczuć tłumioną wściekłość z tego powodu. Przeszło to przez tłum jak blade światło wstającego księżyca.

W tym momencie wiedział, po prostu *wiedział*, że to się źle skończy. Z jego doświadczeń z ludźmi każdej narodowości na powierzchni

ziemi wynikało, że duma i upokorzenie zawsze łączą się z krwawą przemocą. Widział to w barach w Singapurze i w burdelach w Polsce, w dokach i na frachtowcach, w kółko, wszędzie to samo. Można było wyczuć napinające się ciała i palce zaciskające się na spustach.

- Zdaje się, że na dziś przedstawienie skończone - powiedziała Gert. Głośno, tak by wszyscy słyszeli. Nic nie możemy poradzić, tylko zastanawiać się, co przygotowują dla nas jutro.

Ludzie wybuchnęli śmiechem. Napięcie zelzało.

Przed nimi, obok ognia, żadne zwierzę nawet się nie poruszyło.

Mają swoje sprawy, pomyślał Hans, nie będąc nawet pewny, co tak naprawdę miał na myśli, ale był pewien, że to była prawda.

Potem pojedynczo zeszli ze zbocza.

Wyczekiwali trzeciej nocy.

Gert z nimi nie było. Od stania na chłodzie poprzedniej nocy jej artretyzm dał o sobie znać. Zadzwoiła do Natty Horner i powiedziała,

że ledwo chodzi. Było mu przykro z jej powodu, ale jeszcze bardziej, z powodu pozostałych.

Nastroje znowu robiły się złe.

Tym razem przeraził ich po prostu rozmiar tego cholerstwa.

Frisco Hansowi wydawało się, że jest tam cały las.

Wiewiórki, ptaki, szopy, łosie, niedźwiedzie, łasice - było też mnóstwo zwierząt gospodarskich. Świnie, kurczaki. Po białej, futrzastej kępcie na czole rozpoznał Henriettę, starą, czarną kozę Toma Mullinsa. Płomienie były wyższe, kamienny krąg, który je otaczał, poszerzył się do prawie dwóch metrów. Cała ośnieżona polana była jasno oświetlona i lśniła. Tylko drzewa stopniowo pochłaniała ciemność.

Drzewa i ich, stojących w tym miejscu.

Jakby chowali się wśród drzew. Tak, jak jeszcze kilka dni temu robiłyby to zwierzęta. Znowu to samo poczucie odwrócenia. Teraz oni to robili. Chowali się ludzie. Podczas gdy zwierzęta, w grupkach po cztery czy pięć, leżąc blisko siebie, gapiły się w płomienie. Hansa martwiło jedno. Co się stanie, jeśli wstaną, tak jak zeszłej nocy i zaczną się poruszać, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt sztuk, wystarczająco, by, jak się rozdziela, wypełnić całą cholerną polanę? Tym razem wszyscy byli uzbrojeni, poza kobietami i dziećmi - za dużo dzieci, jak na gust Hansa - no i nie było z nimi Gert, by sypnąć mądrością i załagodzić napięcie.

- Nie podoba mi się to - powiedział. - Myślę, że powinniśmy się stąd wynosić. Gert miała rację. Zostawmy je w spokoju.

Homer Devins spojrzał na niego.

Sam wiesz lepiej, Hans. Cholera, nie możemy ich tak po prostu zostawić w spokoju. To jest... - Szukał myśli. - To jest... po prostu *sprzeczne z naturą*.

Pomyślał, skąd my to wiemy? Kto do cholery wie, co jest naturalne na tym świecie pełnym zatrutych jezior i strumieni, zatrutego powietrza, na litość boską, z normalnie wyglądającymi ludźmi, niewiele różniącymi się od Homera, którzy wchodzą do K-Martu i strzelają do klientów z jakiejś ekstrawaganckiej, automatycznej broni za tysiąc dolarów, ludźmi, którzy lubią porwać i zabić małe dzieci, na świecie, w którym na święta dostajesz lalkę, a ona zjada twoje włosy, świecie tak szalonym i nonsensownym, że możesz zeskoczyć z cholernej łodzi ratunkowej i stracić na zawsze zmysł smaku? Kto może powiedzieć, co jest naturalne, a co nie?

Myślał o tym, kiedy zaczęły powstawać, rozchodzić się po polanie i tańczyć.

Bóg świadkiem, że nigdy wcześniej nie widział takiego tańca, ale nadal widział to jako taniec, czysty i prosty, dookoła oryginalnej siódemki - dwóch myszy, dwóch węży, kardynała, rysia i wilka - myszy na tylnych łapach skakały wokół ognia, węże uniosły się wysoko i sunęły po śniegu, skrzydła kardynała były szeroko rozłożone, a jego dziób wskazywał zimowe gwiazdy, tak samo jak pysk wilka, a także czarny, płaski nos rysia; oba zwierzęta też stały na tylnych łapach, przednie miały szeroko rozłożone, a łby odrzucone

do tyłu - podobne sceny działy się wokół nich, jakby las nagle ożył muzyką, którą tylko one mogły słyszeć, która negowała tych stojących w czarnym cieniu pośród drzew.

- Jezu Chryste - wyszeptał Homer.

To było, jakby oglądali jakieś ciemne, bezbożne objawienie, które ich oszołomiło i przeraziło. Można było poczuć fale strachu przepływające przez tłum. Instynktownie, zbiorowo odsunęli się o krok czy dwa do tyłu, w łamliwą płataninę drzew. Kobietom zaparło dech w piersiach. Dzieci płakały. Słyszał ładowaną strzelbę, spusty gotowe do użycia.

Rzeź, pomyślał Hans. To będzie cholerna rzeź.

Ponieważ się boimy. Nic ponadto.

Cholera, przecież to nie pierwszy raz, ale to było niewłaściwe

- niewłaściwe i niewiarygodnie głupie. Teraz rozumiał to, co mó-

wiła Gert. Może wszystko się zmieniało. To, co przerażało resztę, jego napełniało poczuciem cudu.

One są takie, jak my, pomyślał. My tacy byliśmy tysiące lat temu. Musieliśmy wpełzać nocami z jaskiń i robić dokładnie to samo.

Był świadkiem świtu zupełnie nowych czasów, zupełnie nowej natury.

Zobaczył Raya Fogarty'ego kilka metrów dalej, unoszącego strzelbę z dwoma lufami i namierzającego cel i pomyślał *nie, proszę nie*, ale inni w ciemności zrobili to samo. Broń lśniła w blasku ognia, podczas gdy tancerze na polanie wirowali dookoła płomienia w jasnej, radosnej, rozkosznej uroczystości, nieświadomi niebezpieczeństwa,

niepomni krzywdy, a Frisco Hans stał zmrożony w fundamentalnym horrorze tego, co jego gatunek golów był zrobić tu dziś w nocy, tak nagle, smutno i intensywnie, że nawet nie zdołałby mu oddać strzału ostrzegawczego. Kolejny zmysł zniknął, a on został, zastanawiając się, czy wróci, a jeśli tak, to czy będzie go to obchodziło.

Wtedy właśnie mała Patty Schilling wyrwała się z ramion matki, podbiegła do ognia i dołączyła do nich.

Nie można tak po prostu zastrzelić małej dziewczynki - nawet tej, która ma w nawyku podkradanie pączków w piekarni Manger's, kiedy Tillie Manger nie patrzyła. Wkrótce inne dzieciaki wyrwały się i też dołączyły, tańcząc z myszami i wiewiórkami, a potem doszły jeszcze kobiety. Zobaczył Dot Hardcuff tańczącą wokół wielkiego, brązowego niedźwiedzia i ani jej mąż, ani Ray Fogarty nie mieli nic do powiedzenia na *taki* dobór partnera. Hans oparł swoją strzelbę o drzewo i odwrócił się do Homera Devinsa.

- Hej, Homer - powiedział - właśnie zdałem sobie z czegoś sprawę. Założę się, że nigdy nie widziałeś hornpipe'a*.

* charakterystyczny solowy taniec irlandzki
(p r z y p . red)